

TERRY BROOKS

KABAŁOWA SZKATUŁA

Przełożył Robert Rogala

W skład cyklu **MAGICZNE KRÓLESTWO**

wchodzą:

KRÓLESTWO NA SPRZEDAŻ

CZARNY JEDNOROŻEC

NADWORNY CZARODZIEJ

KABAŁOWA SZKATUŁA

NAPAR CZAROWNIC



DOM WYDAWNICZY
REBIS POZNAŃ 1997

Dla Chrisa, Deny'ego, Gene'a, Phila, Scotta, Stuarta, a także dla Larry'ego starych przyjaciół, którzy znali mnie w owym czasie i którym zawdzięczam niejedno.

– Któregoś wieczoru, wchodząc do kajuty ze świecą, usłyszałem z przerażeniem, jak mówi lekko drżącym głosem: „Leżę tutaj w ciemności, czekając na śmierć”. Światło było niecałą stopę od jego oczu. Zmusiłem się, by wyszeptać „Och, nonsens!” i stałem nad nim jak osłupiały.

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego, co choćby w przybliżeniu podobne było do zmian, jakie dokonały się na jego twarzy, i mam nadzieję nigdy już nie ujrzeć. Och, nie czułem poruszenia. Byłem zafascynowany. Wyglądało to tak, jakby ktoś uniósł zasłonę. Widziałem na owym obliczu z kości słoniowej wyraz ponurej dumy, bezwzględnej potęgi, nikczemnego strachu – wszechogarniającej i beznadziejnej rozpacz. Czy przeżywał od nowa swoje życie wraz z każdym szczegółem pragnień, pokus i upadków w owej ostatecznej chwili wiedzy całkowitej? Krzyknął szeptem, widząc jakiś obraz, zjawę – krzyknął po dwakroć, a krzyk ów nie był niczym więcej, jak tylko oddechem:

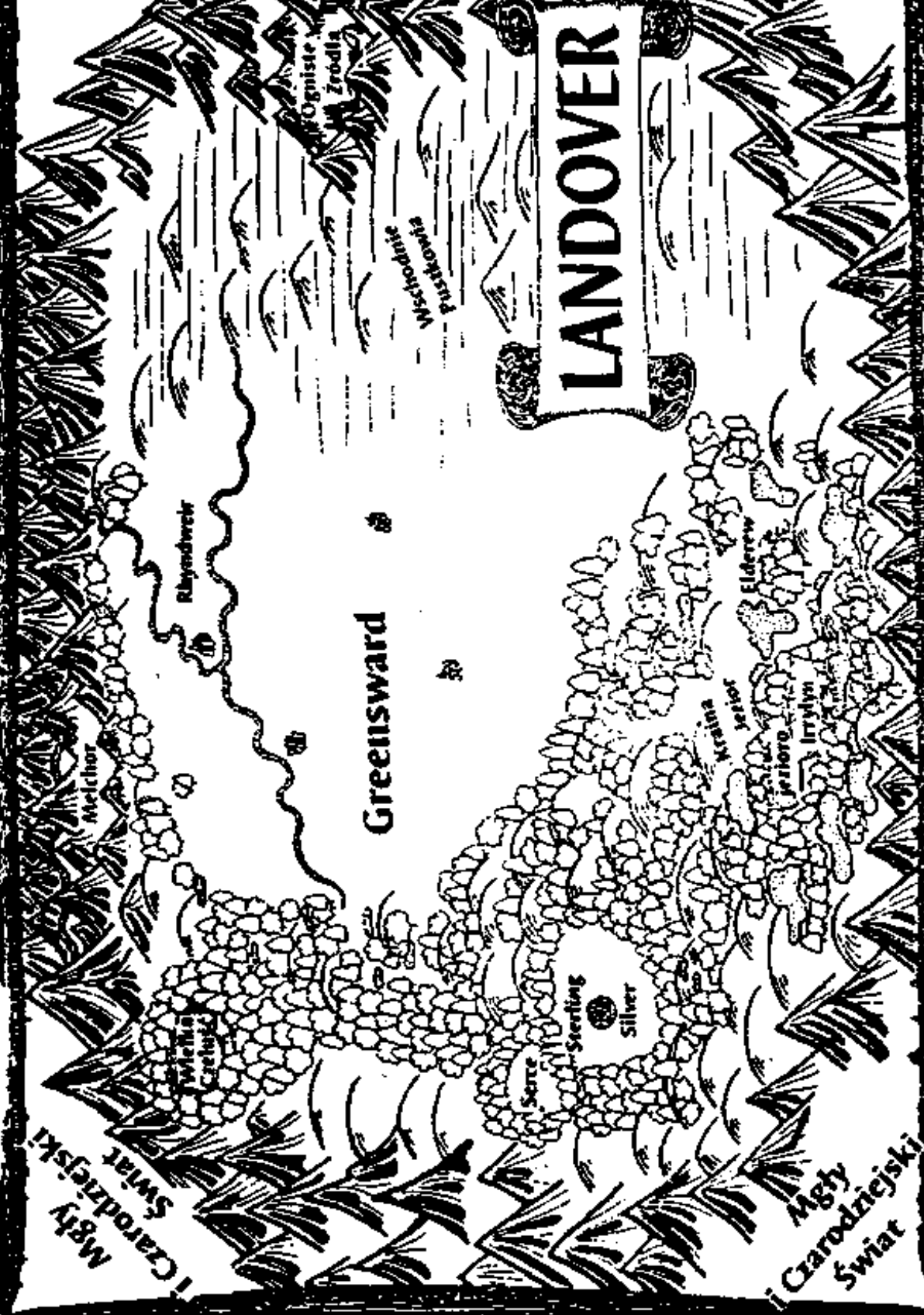
„Potworność! Potworność!”

Joseph Conrad, *Jądro ciemności* (tł. Jędrzej Polak)

© 1985

Mgły
i Czarodziejski
Świat

Mgły
i Czarodziejski
Świat



Mgły
i Czarodziejski
Świat

Mgły
i Czarodziejski
Świat

Grensward

LANDOVER

Ogniste Źródła

Wioszczyńska
Tutkowa

Meclichor

Rybnicze

Wieżnia Czekolady

Srebrny Sztybel

Sterling Silver

Kraina Jasioł

Eldereń

Jezioro

Irylwin

SKAT MANDU

Horris Kew mógł z powodzeniem posłużyć jakimś disnejowskiemu artyście za pierwowzór Żurawia Ichaboda. Długi, niezgrabny, przypominał nieudolnie wykonaną marionetkę. Głowę miał za małą, ręce i nogi za długie, a jego uszy, nos, jabłko Adama i włosy zdawały się sterczeć we wszystkich kierunkach. Sprawiał wrażenie nieszkodliwego głuptasa; prawda wyglądała zupełnie inaczej. Należał do tych, którzy dzierżąc odrobinę władzy, nie potrafią jej odpowiednio wykorzystywać. Uważał się za inteligentnego i mądrego, a wcale taki nie był. Był przysłowiową beczką prochu – mówiąc krótko, stanowił zagrożenie dla każdego, nie wyłączając samego siebie. Oczywiście nie zdawał sobie z tego sprawy.

Ów rano potwierdził tę regułę.

Ogrodową ścieżką zbliżał się do wahadłowej bramy, pokonując dystans wielkimi, zamaszystymi krokami, nie zwalniając przy tym ani na chwilę. Znalazłszy się po drugiej stronie bramy, trzasnął nią, jakby zirytowany tym, że się nie otworzyła sama wtedy, gdy przed nią stanął, i podążył w kierunku dworku. Nie patrzył ani w lewo, ani w prawo, gdzie niezliczona ilość letnich kwiatów rozkwitała na starannie ostrzyżonych na kształt koła klombach. Pędy krzewów róży pięły się po właśnie odnowionych kratkach, ciągnących się wzdłuż alei. Nie przyszło mu też do głowy, że oto właśnie oddycha przepelnionym kwiatową wonią, ciepłym, porannym, podnowojorskim powietrzem. Nie był także w stanie dostrzec pary świergoczących drozdów, siedzących na najniższych gałęziach leciwej, pomarszczonej hikory, wyrastającej na środku rozciągającego się aż po sam dworek trawnika. Mając to wszystko

w nosie, galopował, przypominając zdeterminowanego i rozjuszonego nosorożca.

Z sali zebrań, znajdującej się u podnóża skarpy, na której stał dworek, dobiegały odgłosy dyskusji. Chwilami przybierały na sile, brzęcząc jak rój rozwścieczonych os. Krzaczaste brwi Horrisa, zawieszane nad jego wąskim, haczykowatym nosem, marszczyły się z niepokojem, niczym dwie puszyste stonogi mozolnie podążające ku sobie. Biggar wciąż nieugięcie próbuje przekonać wiernych, pomyślał. Przekonać byłych wiernych, poprawił się w myślach. To oczywiście nie mogło się powieść. Teraz nic już nie można było zdziałać. Tak już jest ze słowami. Nie można ich cofnąć. Takie to proste, aczkolwiek niektórzy szarlatani uświadamiali sobie to dopiero wtedy, gdy przyszło im za to zapłacić życiem. Biggarowi na razie się jakoś upiekło.

Horris zgrzytnął zębami. Co ten idiota sobie wyobraża?

Z wściekłością pędził w kierunku dworku, lecz krzyki z sali zebrań zdawały się go gonić, wpadając w coraz bardziej zatrważającą tonację. Niedługo się zjawią. Cała horda dawnych wiernych, którzy nagle się zamienili w stado ogłupiałych niewdzięczników, gotowych w każdej chwili połamać mu wszystkie kości, gdyby go tylko dostali w swoje ręce.

Zatrzymał się gwałtownie przed samymi schodami prowadzącymi na werandę, która rozciągała się wzdłuż całego olśniewającego budynku, i pomyślał o tym, co w tej chwili

tracił. Jego wąskie ramiona opadły, niezgrabne ciało się skurczyło, a jabłko Adama zadrżało jak korek na powierzchni wody, jakby właśnie próbował przełknąć gorzką pigułkę swego niepowodzenia. Pięć lat wysiłku poszło na marne. Zniknęło w ułamku sekundy. Tak jak światło zdmuchniętej świecy. Nie mógł w to uwierzyć. Przecież tak ciężko pracował.

Pokiwał głową i westchnął. Tak, są jeszcze inne ryby w tym oceanie, pomyślał. I inne oceany pełne nie złowionych ryb.

Wszedł ciężko na schody. Jego czterdziestki dziewiątki uderzały o drewniane stopnie jak wielkie buty kłowna. Rozejrzał się dokoła. Być może był to ostatni raz, kiedy mógł się rozejrzeć. Nie zobaczy już nigdy tego domu, tego kolonialnego klejnotu, który tak bardzo pokochał, tej wspaniałej, zabytkowej, secesyjnej, amerykańskiej posiadłości tak dokładnie odrestaurowanej i odświeżonej specjalnie dla niego. Popadła w ruinę i zapomnienie, tu, na terenie oddanym w ręce myśliwych i narciarzy, położonym w głębi regionu Finger Lakes, na północny zachód od Nowego Jorku, nie dalej jak pięćdziesiąt mil od głównej drogi łączącej Uticę i Syracuse. Ponownie odkrył ją Horris. Doceniał bowiem wartość historii, był jej admiratorem i miał słabość do rzeczy zabytkowych – szczególnie wówczas, gdy łącząc przeszłość z dniem dzisiejszym, mógł sobie zapewnić osobiste zwycięstwo. Skat Mandu pozwolił mu połączyć te dwie rzeczy w jedną, czyniąc historię tego domu i całej posiadłości przyjemnym, miłym prezentem, przywiązany do nogi Horrisa, czekającym tylko na rozpakowanie.

Ale Skat Mandu sam był już historią.

Horris zatrzymał się ponownie, tym razem przy drzwiach. Ogarnął go gniew. To wszystko przez Biggara. Tracił to wszystko przez niego i przez jego niewyparzoną gębę. Nie do pomyślenia. Te pięćdziesiąt akrów, ten azyl: dworek, dom gościnny, salę zebrań, korty tenisowe, stajnie, konie, cały personel, samochody, prywatny samolot, konta bankowe itd. Niczego nie można już uratować. Wszystko należy bowiem do Fundacji Skat Mandu i nie da się odzyskać najmniejszej części. Członkowie zarządu zaraz by się zorientowali, że coś się nie zgadza. Oczywiście, są jeszcze pieniądze na kontach banku szwajcarskiego, ale to nie wystarczy, by zrekompensować sobie upadek wielkiego imperium.

Inne ryby w oceanie – powtórzył bezgłośnie. Ale dlaczego, na Boga, miałby znowu zarzucać sieci?

Kopnął wiklinowe krzesło stojące obok drzwi frontowych tak, że podskoczyło do góry. Zaprażył jednocześnie, aby to samo zrobić z Biggarem.

Krzyki na sali wzmożyły się ponownie i bez trudu można było wyłowić często powtarzane zdanie: „Dostaniemy go w swoje ręce!” Horris porzucił więc rozmyślania o tym, co by było, gdyby, i spiesznie przekroczył próg werandy.

Był już prawie w samym sercu budynku, gdy usłyszał za sobą trzepot skrzydeł. Próbował zatrzaskać drzwi, ale Biggar był szybszy. Wpadł jak burza z rozpostartymi skrzydłami, gubiąc przy tym kilka piór i hamując z piskiem na krętej balustradzie schodów, pnącej się w górę od foyer aż po drugie piętro. Horris spojrział chłodnym,

badawczym wzrokiem na ptaszysko.

– Jakieś problemy, Biggar? Nie chcieli cię słuchać?

Ptak nastroszył pióra i wzdrygnął się. Był czarny jak smoła z wyjątkiem białej koronki okalającej głowę. Całkiem ładny ptaszek. Coś z gatunku majny, choć i sam Horris nie potrafił określić jego dokładnego rodowodu. Ptak obserwował Horrisa zuchwałym wzrokiem, mrużąc przy tym swe błyszczące oczy.

– Ajajaj! Śliczny Horris. Śliczny Horris. Biggar okazał się lepszy. Lepszy.

Horris przycisnął palcami skronie.

– Proszę cię. Czy nie moglibyśmy choć raz dać sobie spokój z tą głupawą ptasią gadką?

Biggar na chwilę przymknął dziób.

– Horris, to wszystko twoja wina.

– Moja? – Horris osłupiał. Zbliżył się gwałtownie. – Jaka moja wina, ty idioto! To nie ja wyśpiewałem wszystko o Skat Mandu! To nie ja zdecydowałem się na to!

Biggar przesunął się do góry po poręczy, by zachować bezpieczną odległość.

– Spokojnie. Spokojnie. Przypomnijmy sobie coś, dobrze? To wszystko było twoim pomysłem! Nie mam racji? Już zapomniałeś? To ty wymyśliłeś ten cały biznes i Skat Mandu, nie ja. Stosowałem się do twoich zaleceń, bo twierdziłeś, że wszystko się powiedzie. Byłem pionkiem w twojej grze. Zawsze nim będę dla ludzi, dla całego rodzaju ludzkiego, przez całe moje życie. Biedny, prosty ptak, wyrzutek...

– Idiota! – Horris przysunął się bliżej, próbując z trudem opanować świerzbujące go dłonie, które z chęcią zacisnąłby na szyi ptaszyska.

Biggar ponownie odsunął się od Horrisa.

– Horris Kew. Ofiara. Jestem produktem twoim i tobie podobnych. Robiłem, co mogłem, ale nie mogę wytłumaczyć swojego zachowania w taki sposób, w jaki ty tego oczekujesz.

Horris zatrzymał się na jednym ze stopni.

– Powiedz mi tylko, dlaczego to zrobiłeś. Tylko to. Biggar napuszył się.

– Miałem wizję.

Horris wytrzeszczył oczy.

– Miałeś wizję – powtórzył głucho. Pokręcił głową. – Czy zdajesz sobie sprawę, jak absurdalnie to brzmi?

– Nie widzę w tym nic śmiesznego. Cały ten biznes jest jak jedna wielka zjawia, a może się mylę?

Horris odwrócił się do niego tyłem, wymachując rękami.

– Nie wierzę w to! – Znów obrócił się gwałtownie. Gestykułując, miotał się na

wszystkie strony. Przypominał stracha na wróble. – Zrujnowałeś nas, ty głupi ptaku! Pięć lat jpracy wylądowało za oknem! Pięć lat! Fundaqa była wszystkim, co osiągnęliśmy! Bez Skat Mandu nic by się nie udało! Nie pomyślałeś o tym?

– Skat Mandu rozmawiał ze mną – odrzekł poirytowany

Biggar.

– Nie ma żadnego Skat Mandu! – wrzasnął Horris.

– Ależ jest.

Olbrzymie uszy Horrisa, rozpalone nagle poczerwieniały, a wielkie nozdrza rozszerzyły się jeszcze bardziej.

– Pomyśl tylko, co ty wygadujesz – syknął Horris. – Skat Mandu jest dwudziestotysiącletnim mędrce, którego sami stworzyliśmy, aby nakłonić tych głupców do zainwestowania pieniędzy. Przypominasz sobie? Pamiętasz nasz plan? Wymyśliliśmy go, ty i ja. Skat Mandu – starzec, który przez wieki wspomagał radą filozofów i przywódców. W końcu i z nami podzielił się swoją mądrością. Tak to miało wyglądać. Wykupiliśmy ziemię, odrestaurowaliśmy dworek i stworzyliśmy przystań dla naszych biednych, sfrustrowanych wiernych, dla wzruszających desperatów z nabitymi portfelami, którzy chcieli usłyszeć potwierdzenie tego, o czym dobrze wiedzieli! To właśnie czynił Skat Mandu! Za twoim pośrednictwem, Biggar. Byłeś czymś w rodzaju medium, ty niezdarny ptaku. Ja trzymałem to wszystko w swoich rękach, byłem menedżerem Skat Mandu w oczach tych sfrustrowanych bogaczy. – Złapał oddech. Ale nie ma i nigdy nie było nikogo takiego jak Skat Mandu, Biggarze! Jesteś tylko ty i ja!

– Rozmawiałem z nim – upierał się Biggar.

– Rozmawiałeś?

Ptak spojrział na niego zniecierpliwiony.

– Powtarzasz po mnie. Komu z nas bliżej do papugi, Horrisie?

Horris zgrzytnął zębami.

– Rozmawiałeś z nim? Rozmawiałeś ze Skat Mandu? Z kimś, kto nie istnieje? To może z łaski swojej przekazałbyś mi to, co ci powiedział? Może podzieliłbyś się ze mną jego mądrością?

– Nie bądź nieprzyjemny – odrzekł Biggar, wbijając swe pazury w drewnianą, politurowaną poręcz.

– Biggar, powiedz mi, co on ci tam niby naopowiadał – głos Horrisa zabrzmiał jak zgrzyt przesuwanego po tablicy paznokcia.

– Kazał mi wyjawic całą prawdę. Kazał wyznac, że wszystko zostało wymyślone przez ciebie, no wiesz, on i ja. To był jedyny raz, kiedy naprawdę miałem z nim kontakt.

Horris zacisnął palce.

– Postawmy sprawę jasno. Skat Mandu kazał ci wyznac prawdę, tak?

– Zapewnił, że wierni to rozumieją.

– I ty mu uwierzyłeś?

– Musiałem zrobić to, czego wymagał ode mnie. Nie spodziewam się, że to zrozumiesz, Horrisie. To była kwestia świadomości. Czasem tak bywa, że musisz po prostu nadawać na falach emocji.

– W takim razie z twoim nadajnikiem jest coś nie tak – podsumował Horris – musiały ci się spalić wszystkie przewody.

– Ty po prostu nie chcesz stanąć twarzą w twarz z rzeczywistością – burknął Biggar. – Więc oszczędź sobie tych uszczypliwych uwag, Horrisie. Są inni, którzy ich potrzebują.

– Skat Mandu był oszustwem doskonałym! – Horris wrzasnął tak głośno, że Biggar podskoczył z wrażenia. – Rozejrzyj się dokoła, idioto! Znaleźliśmy się w świecie, w którym ludziom się wydaje, że utracili kontrolę nad swoim życiem.

W świecie, gdzie dzieją się rzeczy, wobec jakich jesteśmy bezsilni, gdzie zaufanie jest w cenie marzeń, a jedyne, czego możesz być pewien to łatwe pieniądze! Ten świat został skrojony specjalnie dla takich jak my, ozdobiony licznymi sposobnościami zdobycia fortuny, życia na wyżynach i posiadania tego wszystkiego, czego kiedykolwiek zapragnęliśmy, a nawet tych paru rzeczy, o których się nam nie śniło. Jedynym warunkiem było ciągle kreowanie mitu Skat Mandu i utrzymywanie wiernych w przekonaniu, iż jest on prawdą! Ilu mamy wiernych, Biggarze? Przepraszam, chciałem zapytać, ilu mieliśmy wiernych? Około kilkuset tysięcy? Rozrzuconych po całym świecie, acz regularnie pielgrzymujących do naszego zakątka, by usłyszeć tych kilka bezcennych słów mądrości i by zapłacić okazałe pieniądze za przeżyte doświadczenie? – Zaczerpnął powietrza. – Czy ani przez moment nie przyszło ci do głowy, że wyjawienie tym ludziom prawdy, iż płacą tylko za to, by usłyszeć, co ma do powiedzenia ptaszysko przytaczające nie wiadomo czyje słowa, może nie być dla nich rzeczą, o której bardzo łatwo się zapomina? Wyobrażałeś sobie, że przyjdą i powiedzą: wszystko w porządku, Biggarze. Rozumiemy cię, po czym tak po prostu wrócą tam, skąd przybyli? To brzmi jak żart! Skat Mandu teraz zapewne ciężko się z ciebie śmieje, nie sądzisz?

Biggar potrząsnął głową, uwieńczoną białym grzebieniem.

– Jest niezadowolony z tego, że nie okazuje mu się należytego szacunku ze względu na to, kim jest. Horris zacisnął zęby.

– Przekaż mu zatem, że właściwie mogłoby mnie to wcale nie obchodzić!

– Dlaczego nie powiesz mu tego osobiście, Horrisie?

– Co?

Biggarowi błysnęło w oczach.

– Powiedz mu to sam. Stoi właśnie za tobą. Horris zachichotał.

– Chyba straciłeś rozum, Biggar. A raczej na pewno.

– Tak? Tak myślisz? – Biggar napuszył się. – No to obejrzyj się. Dalej, obróć się.

Horris poczuł, jak dreszcze przebiegają mu po plecach.

W głosie Biggara wyczuwało się przerażającą pewnością siebie. Dom wydał się nagle jakby większy, a cisza, która w nim zapanowała, stała się przeraźliwie nieznośna. Buntownicze okrzyki zbliżającego się tłumu umilkły niespodziewanie, jak gdyby ktoś je nagle połknął. Horrisowi wydawało się, że czuje za plecami obecność czegoś tajemniczego, jakiegoś wynurzającego się cienia, który groźnie szepcze: „Odwróć się, Horrisie, odwróć!”

Horris wziął głęboki oddech, by powstrzymać drżenie ciała. Znow ogarnęło go wrażenie, że wszystko wymyka mu się spod kontroli. Pokręcił przecząco głową.

– Nie zrobię tego – warknął i dodał ze złością – ty głupawy ptaku!

Biggar wyciągnął szyję.

– Właśnie zbliża się do ciebie – zasyczał. Coś delikatnego jak piórko dotknęło ramienia Horrisa. Ten odwrócił się gwałtownie, przerażony. Niczego jednak nie zauważył.

Prawie. Tylko jakaś słaba poświata, przyćmione światelko, ledwo zauważalny ruch powietrza.

Horris zmrużył oczy. Nie, niczego nie ma, upewnił się w myślach usatysfakcjonowany. Niczego.

Z zewnątrz, z końca ogrodu dobiegły nagle krzyki. Horris obrócił się. Wierni dostrzegli jednak jego sylwetkę przez uchylone drzwi i ruszyli przez klomby i różane krzewy prosto w kierunku głównej bramy. Trzymali w dłoniach różne ostre przedmioty, wymachując nimi z wściekłością.

Horris szybko podszedł do drzwi, zatrzasnął je i zamknął na klucz, po czym obrócił się w stronę Biggara.

– To by było na tyle – rzekł. – Życzę szczęścia i do widzenia.

Ruszył szybko przez hol, przemierzył salonik, bibliotekę, będącą zarazem pokojem wypoczynkowym i dotarł do kuchni znajdującej się na tyłach domu. Poczul w nozdrzach zapach świeżego wosku, którym nasmarowana była dębowa podłoga i stojących w wazonie na kuchennym stole szkarłatnych róż. Mijając je, rozkoszował się ich zapachem i barwą, gdyż przywodziły mu na myśl stare dobre czasy. Jakże przykre jest to, że życie zmienia się tak szybko i najczęściej wtedy, gdy najmniej się tego spodziewamy. Dobrze jednak, że jestem przewidujący, stwierdził. Miał to szczęście, iż faktycznie takim był.

– Więc dokąd się udajemy? – spytał Biggar, podlatując do niego ze świadomością, iż ryzykuje następny cios. – Masz przecież jakiś plan.

Horris spojrział na niego wzrokiem, który zmroziłby nawet brzdąca pochłoniętego zabawą w samym środku lata.

– Oczywiście, że mam plan. Jakkolwiek nie obejmuje on twojej osoby.

– To nie fair, Horris. Poza tym jesteś nieuprzejmy. – Biggar uniósł się w powietrze i zatoczył koło na drugim końcu kuchni. – To naprawdę niegrzeczne z twojej strony.

– Mało co może być teraz z mojej strony grzeczne – stwierdził Horris. – Szczególnie jeśli chodzi o ciebie.

Skierował się w stronę spiżarni, otworzył drzwi i wszedł do środka. Przesunął dźwignię w tylnej ścianie i cofnął się, czekając, aż otworzy się przejście. Trwało to dobrą chwilę, ponieważ ukryte wrota były wykonane z metalu.

Biggar rzucił się w dół i wylądował na uchylonych drzwiach spiżarni.

– Jestem twoim dzieckiem, Horris – zgrywał się, lamentując. – Jestem dla ciebie jak syn. Nie możesz mnie porzucić. Horris spojrzał na niego.

– Wyrzekam się ciebie. Wydziedziczam cię i zabraniam ci się pokazywać przed moimi oczami.

Z frontu domu dobiegało dudnienie pięści uderzających w drzwi; odgłos ten szybko zamienił się w brzęk tłuczonego szkła. Horris nerwowo miętosił ucho. Nie, z tą hołotą nie można się po ludzku obchodzić. Wierni stali się po prostu bandą furiatów. Głupcy, którzy odkryli u siebie brak siódmej klepki, znani są z tego, że mądrzej nie do poznania. Może więc i ci będą przygnębieni, ale mądrzejsi i bogatsi o to jedno doświadczenie? – zastanawiał się. Czy może jednak pozostaną już do końca idiotami. Ale co go to obchodziło.

Musiał się schylić, przestępując tajemne przejście, gdyż miało wysokość znacznie mniejszą niż metr osiemdziesiąt. Pozostałe drzwi w dworku podczas renowacji kazał powiększyć. Wmawiał wszystkim, że Skat Mandu potrzebuje przestrzeni.

Za ukrytym przejściem znajdowały się schody prowadzące w dół do piwnicy. Ponownie przechylił dźwignię i ciężka metalowa ścianka powróciła powoli na swoje miejsce. Biggar zdążył się wślizgnąć do środka, zanim zatrzasnęły się wrota, i sfrunął szybko w dół za Horrisem.

– On tam był. Stał tuż za tobą, rozumiesz? – wycedził, przelatując blisko Horrisa i muskając go końcem lotek. Ten próbował odgonić go ręką, ale cios okazał się chybiony. – Przez moment on tam był.

– Pewnie, że był – wymamrotał Horris, wciąż jeszcze zaskoczony całym tym zdarzeniem i wściekły, że znowu się mu o tym przypomina.

Biggar nie dawał jednak za wygraną i z uporem wracał do przeszłości.

– Na nic ci się nie zda obarczanie mnie błędami, które ty popełniłeś. Poza tym jestem ci niezbędny!

Horris, zszedłszy ze schodów, usiłował po omacku znaleźć na ścianie przełącznik światła.

– Niezbędny? Mianowicie do czego?

– Do czegokolwiek, co zamierzasz zrobić. – Biggar rzucił się w ciemność, dumny, iż ma dziesięć razy lepszy wzrok niż Horris.

– I ty oczywiście jesteś o tym całkowicie przekonany, prawda? – zasyczał cicho pod

nosem, natykając się palcem na drzazgę.

– No jeśli nie do wszystkiego, to jestem ci potrzebny chociażby jako klakier... Spójrzmy prawdzie w oczy, Horris. Ty nie potrafisz żyć bez audytorium. Niezbędny jest ktoś, kto by podziwiał twoją mądrość, oklaskiwał twoje nowe projekty – rozbrzmiewał w ciemności głos Biggara. – Czy ma więc jakkolwiek sens wymyślanie nowego wspianego planu, jeśli nie będzie nikogo, kto mógłby docenić jego doskonałość? Jakże małosłowne jest zwycięstwo, jeśli nikt nie próbuje nam w nim przeszkodzić. – Ptak odchrząknął. – To oczywiste, że jestem niezbędnym elementem twojego nowego projektu. W takim razie powiedz, co zaplanowałaś?

Horris znalazł wreszcie przełącznik i przekręcił go. Światło oślepiło go na moment.

– Mój plan to przede wszystkim znaleźć się od ciebie najdalej, jak to tylko możliwe.

Piwnica była rozległa, lecz znajdował się w niej las drewnianych belek, podtrzymujących stropy zabytkowego dworku. Cienie stempli przecinały rozlewające się żółtawe światło. Horris przyspieszył, słysząc za sobą dobiegające z góry walenie w metalowe wrota. Ciekawe jak sobie z nimi poradzą, szydził w myślach. Przemykał między rzędami kolumn, zbliżając się do ciemnego korytarza. Przekręcił następny przełącznik i w tunelu rozbrzmiał rząd zawieszonych u sufitu świateł. Schylił się, gdyż sklepienie było niskie, i podążył naprzód.

Biggar – szybki czarny cień – ponownie go wyprzedził.

– Należymy do siebie, Horris. Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny. No, powiedz mi, dokąd idziemy.

– Nie.

– W porządku. To tajemnica. Ale przyznasz, że wciąż jesteśmy współnikami, zgadza się?

– Nie.

– Ty i ja, Horrisie. Jak długo jesteśmy już razem? Pomyśl o tym wszystkim, co razem przeszliśmy.

Horris zamyślił się, oczywiście nad sobą. Przyjmując pozycję kraba, posuwał się naprzód w wąskim, mrocznym tunelu, na przygiętych nogach i rękach, przecinając nosem zbutwiałe, pełne kurzu powietrze. Wachlując uszami jak słoń, zastanawiał się nad drogą, którą przebył w swoim życiu i nad sytuacją, w jakiej się teraz znajdował. Tunel był kręty, pełen wybojów i nagłych załamań terenu, śliski, wymyty przez śnieg JE deszczem, a przebliski światła słonecznego raz po raz rozjaśniały jego mrok.

Horris posiadał wiele cech, które były w życiu bardzo przytulne, ale żadnej z nich nie potrafił dobrze spożytkować. Był dość sprytny, ale gdy trzeba było podjąć decyzję, prawie zawsze stawało mu na przeszkodzie coś, czego nie przewidział. Potrafił dobrze przemyśleć sprawę, ale najczęściej wyciągał zbyt pochopne wnioski. Posiadał nadzwyczajną pamięć, gdy jednak chciał ją wykorzystać, zdawał się zawsze zapominać, co tak naprawdę się liczy.

W pewnym sensie był magiem – nie kuglarzem wyciągającym z kapelusza króliki, ale jednym z niewielu na ziemi, którzy naprawdę potrafią dokonywać cudów. A to przede wszystkim dlatego, że nie był dzieckiem naszej ziemi, mimo iż starał się o tym nie myśleć. Jego umiejętności były bowiem czymś zupełnie odmiennym, gdyby porównywać je z tym, czym wykazywali się jego koledzy po fachu.

Horris przede wszystkim był oportunistą. Każdy oportunista musi umieć oceniać swoje możliwości, a on był w tym najlepszy. Zawsze zastanawiał się, jak obrócić sprawę na swoją korzyść. Był święcie przekonany, że całe bogactwo naszego świata – i każdego innego – zostało stworzone specjalnie po to, by on mógł mieć z tego jakiś pożytek. Czas i miejsce nie miały większego znaczenia; w końcu i tak wszystko należało do niego. Miał o sobie wysokie mniemanie. Jak nikt inny opanował trudną sztukę wyzyskiwania bliźnich. Potrafił sam zanalizować słabości wszystkich osobników i obmyśleć sposób, w jaki może się nimi posłużyć. Był pewien, że potrafi wyciągać wnioski, a jego życiową misją było bogacenie się kosztem innych. Pasjami wykorzystywał ludzi i sytuacje, nie przejmował się ani trochę nieszczęściami innych, zasadami moralnymi, szlachetnymi celami, ekologią, zabłąkanymi psami i kotami czy małymi dziećmi. To charakteryzowało istoty niższe. Interesowała go wyłącznie własna osoba, własne wygodny, kierowanie rzeczami tak, by przynosiło to korzyści, oraz plany, które by go umacniały w przekonaniu, iż wszystkie inne żywe istoty są niemilosierne głupie i naiwne.

Stąd wziął się pomysł Skat Mandu, narodził się kult i znalazły się rzesze gorliwych wyznawców, którzy uwierzyli w przekazywane przez majnę przesłania dwudziestotysięcletniego mędrca.

Nawet teraz Horris uśmiechał się na tę myśl.

Horris przyznawał się tylko do jednej słabości własnego charakteru: nie potrafił kontrolować interesów, które dopiero udało mu się rozkręcić. Najbardziej dopracowane i przemyślane przez niego posunięcia w pewnym momencie zaczynały funkcjonować według własnych reguł, stawiając swojego twórcę w trudnej sytuacji finansowej, gdzieś na bocznym torze. Mimo iż nie było w tym nigdy ani krzty jego winy, w jakiś nie wyjaśniony sposób zawsze stawał się kozłem ofiarnym. Doszedł do końca korytarza i znalazł się w pomieszczeniu mierzącym trzydzieści stóp kwadratowych, zawalonym stosami składanych stołów i krzeseł oraz stertami broszur i innych materiałów o Skat Mandu. Były to narzędzia jego pracy – starczyło by tego na niemałe ognisko.

Skierował wzrok na ledwie widoczne zza stosów rupieci pojedyncze drzwi w głębi pomieszczenia, i ciężko westchnął. Za drzwiami znajdował się tunel, długi prawie na milę; ciągnął się pod całym kompleksem budynków, prowadząc do garażu – jedyne bezpiecznego miejsca, a zarazem do srebrno-czarnego land cruisera z napędem na cztery koła. Kiedy sprawy przyjmują zły obrót – a tak właśnie się działo – człowiek przewidujący nigdy nie powinien znaleźć się w sytuacji bez wyjścia. Nie przypuszczał, że tak szybko to go spotka, ale po raz kolejny wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Skrzywił się. Z pewnością dobrze jest być zawsze przygotowanym na najgorsze, ale czasem wszystko mogłoby się potoczyć inaczej; jest przecież tak wiele szczęśliwszych dróg, którymi możemy podążać.

Spojrzał z wściekłością na Biggara, który usadowił się – jak zwykle w bezpiecznej odległości – na kracie.

– Ile razy ostrzegałem cię, byś nie ulegał aktom sumienia, Biggarze?

– Dość często – wyznał ptak, przewracając oczami.

– Jak widać, bez skutku.

– Przepraszam. Jestem jedynie zwykłym ptaszyskiem. Horris wyraźnie uznał to za okoliczności łagodzące.

– Przypuszczam, że oczekujesz ode mnie jeszcze jednej szansy, mam rację?

Biggar spuścił głowę, by nie parsknąć śmiechem.

– Byłbym ci naprawdę wdzięczny, Horrisie. Horris Kew pochylił się nagle do przodu tak, że jego pokraczna sylwetka przypominała teraz skulonego wilka.

– Ale niech mi to będzie ostatni raz, Biggar, kiedy słyszę o Skat Mandu. Ostatni. Masz zerwać wszelkie stosunki łączące cię z naszym byłym przyjacielem, i to natychmiast. Żadnych widzeń i prywatnych audiencji. Żadnych głosów z zamierzchłej przeszłości. Od tego momentu masz słuchać wyłącznie mnie. Zrozumiano?

Ptak westchnął. Horris niczego nie pojmował, ale nie było najmniejszego sensu uświadamiać mu tego.

– Zrozumiałem i zastosuję się do twoich poleceń. Horris skinął głową.

– Dobrze. Bo jeśli nie, to cię wypatroszę i wypcham.

Jego zimne, szare oczy wyraźnie potwierdzały tę groźbę. Biggar zamknął więc dziób, powstrzymując się od ciętej riposty.

Z głębi piwnicy dobiegł przeraźliwy odgłos łamanego drewna. Horrisa zamurowało. Wierni zrywali parkiet! Metalowe wrota nie zniechęciły ich, tak jak się tego spodziewał.

Sam, zamiast pędzić w kierunku drzwi do tunelu, zaczął się przedzierać między kratami i meblami w stronę ściany, na której wisiało kilka obrazów. Gdy zasapany znalazł się wreszcie przy kopii Degasa, dotknął dwóch ozdobnych gwoździ w złoczonej ramie obrazu i szarpnął nią. Obraz okazał się drzwiczkami osadzonymi na ukrytych zawiasach; dalej znajdował się sejf. Horris gorączkowo wystukał szyfr, wsłuchując się po raz kolejny w odgłosy rozwścieczonego tłumu. Gdy blokada puściła, otworzył okute stałą drzwiczki.

Sięgnął do środka i wyjął misternie rzeźbione, drewniane pudełko.

– Nadzieja jest nieśmiertelna – dobiegł go chichot Biggara.

Tak, na pewno, pomyślał, przynajmniej w tej sytuacji. Szkatuła była jego największym skarbem – ale nie miał zielonego pojęcia, co znajduje się w środku. Wyczarował ją zaraz po tym, jak znalazł się na ziemi. Było to jedno z tych przypadkowych zrządeń losu, które zdarzają się podczas odprawiania czarów. Od razu wiedział, że ma ona dużą wartość. Była wytworem prawdziwej magii – starożytną rzeźbą naznaczoną czarami, która kryła w sobie tajemnicę. Coś, co znajdowało się w środku, musiało mieć wielką

moc. Nazywał ją kabałową szkatułą, gdyż wielkie wrażenie wywarły na nim sploty różnych symboli i znaków, pokrywające jej powierzchnię. Nie można było znaleźć na niej żadnego spojenia, szwu ani wieczka - i to strzegło jej tajemnicy. Od czasu do czasu wydawało mu się, iż znaki na pudełku szeptem przemawiają do niego. Mimo usilnych starań Horrisa, szkatuła nie miała zamiaru ujawnić swojej zawartości.

Była najcenniejszym i najpiękniejszym skarbem, jaki dał mu świat i nie mógł pozostawić jej na pastwę tych kretynów, którzy właśnie się zbliżali.

Wcisnął kabałową szkatułę pod ramię i popędził naprzód w kierunku korytarza, balansując między porzuconymi meblami i stertami nikomu już nie potrzebnej literatury. Zatrzymał się przed drzwiami i wystukał kod na tarczy znajdującej się obok dźwigni, która stanowiła element dodatkowego zabezpieczenia. Zamki puściły, ale dźwignia nie drgnęła.

Horris Kew wykrzywił się, a jego twarz przypominała oblicze przyłapanego za murami szkoły wagarowicza. Wystukał ponownie tę samą kombinację. Dźwignia ani drgnęła. Horris pocił się coraz bardziej, słysząc dochodzące z oddali wrzaski wiernych i trzaski zrywanego parkietu. Spróbował znowu. Za każdym razem wyraźnie słyszał, jak puszczają zamki. Dźwignia odmawiała jednak posłuszeństwa.

W końcu, gdy był już bardzo zdenerwowany, cofnął się kilka kroków i zaczął z wściekłością kopać w drzwi. Biggar patrzył niewzruszony. Horris przeklinał, tupiąc z wściekłością. Po kolejnej daremnej próbie odblokowania dźwigni, poddając się zrezygnowany, usiadł pod drzwiami.

- Nie mogę tego zrozumieć - mruczał bez wyrazu. - Prawie codziennie własnoręcznie sprawdzałem ten mechanizm. A teraz nie chce działać. Dlaczego?

Biggar odchrząknął.

- Musisz pamiętać, że cię ostrzegałem.

- Ostrzegałeś mnie? Przed czym?

- Przed tym, że możesz się narazić na nieprzyjemności; ma to związek z tobą i Skat Mandu. Mówiłem ci przecież, iż był niezadowolony.

Horris wpatrywał się w niego.

- Coś cię opętało, Biggarze.

Ptak pokiwał głową, nastroszył pióra i westchnął.

- Dobra, Horrisie, skończmy z tą zabawą w kotka i myszkę. Chcesz się stąd wydostać czy nie?

- Chcę się stąd wydostać - wyznał ponuro Horris Kew. - Ale...

Biggar przerwał mu nerwowym ruchem skrzydła.

- Posłuchaj mnie. Nie przerywaj i nie odzywaj się. Tylko słuchaj. Czy ci się to podoba, czy też nie, naprawdę utrzymuję kontakt ze Skat Mandu. Jak ci już mówiłem, miałem wizję. Udało mi się nawiązać kontakt z innym wymiarem, z duchem mędrca i wojownika

innej czasoprzestrzeni, i to on jest właśnie tym, którego my nazwaliśmy Skat Mandu.

– Na Boga, Biggarze! – Horris nie wytrzymał.

– Posłuchaj mnie. On nie przybył do nas bez celu. Istnieje jakiś istotny powód, którego na razie nie chce mi zdradzić. Wiem jedynie, iż jeśli chcemy się wydostać z tej piwnicy i nie dać się złapać rozjuszonemu tłumowi, musimy zrobić tak, jak Skat Mandu sobie tego życzy. To nie jest wcale takie trudne. Kilka magicznych słów zaklęcia i po wszystkim. Ale to ty musisz je wypowiedzieć, Horrisie.

Horris otarł skronie, zastanawiając się nad obłędem, który zakorzenił się w doświadczeniach ludzkości. Teraz chyba zaczął panować nad światem. Odezwał się jadownicie.

– Co muszę powiedzieć, wasza wysokość?

– Opuść sobie ten sarkazm. Na mnie to nie działa. Musisz wypowiedzieć te słowa: Rashun, oblat, surena! Larin, kestel, maneta! Ruhn!

Horris już miał się sprzeciwić, ale nagle jedno czy nawet dwa z tych słów wydały mu się na swój sposób znajome. Zaiste posiadały one magiczną moc. Co do reszty, to nigdy ich nie słyszał, ale wydały mu się równie magiczne. Przycisnął kabałową szkatułę do piersi i utkwiał wzrok w ptaszysku. Wsłuchiwał się w coraz bliższe odgłosy napierającego tłumy, który zdążył już zerwać podłogę i przedrzeć się do piwnicy. Czas uciekał.

Strach rzeźbił w jego chudym obliczu coraz głębsze bruzdy. W końcu jego opór się skruszył.

– Dobrze. – Wstał i wyprostował się. – Dlaczego by nie! – Odchrząknął. – Rashun, oblat, sur...

– Zaczekaj! – przerwał mu Biggar, trzepiąc nerwowo [^]Skrzydłami. – Odłóż swoją szkatułę!

– Co?

– Kabałową szkatułę! Odłóż ją natychmiast!

Horris nagle zrozumiał tajemnicę pudełka. Był zafascynowany, a zarazem przerażony. Mógł rzucić szkatułę w kąt i ratować swoje życie w inny sposób, jeśliby takowy istniał. Mógł zignorować wydawane przez Biggara komendy, ale nie było innych, którym mógłby się podporządkować. W innych okolicznościach postąpiłby inaczej, teraz jednak nie miał wyboru. Horris, trzymając szkatułę przed sobą, zaintonował:

– Rashun, oblat, surena! Larin, kestel, maneta! Ruhn!

Coś szepnęło Horrisowi Kewowi do ucha. Coś, jakby długi, powolny podmuch satysfakcji połączonej z tłumioną pasją pił gniewem oraz postanowieniem cichego odwetu. Nagle światło w pomieszczeniu zmieniło barwę z białą złotą na bladzieloną. Odcienie zaczęły pulsować, stwarzając wokoło wrażenie prastarego lasu, w którym leciwe rośliny dzierżą władzę, a te uzbrojone w kolce, uparcie strzegą każdego centymetra swego odwiecznego królestwa. Horris wypuściłby z rąk kabałową szkatułę, gdyby ręce były mu posłuszne, ale te z nie wyjaśnionych przyczyn znieruchomiały. Palce wpiły się

jak pazury w jej rzeźbione ornamenty, a zakończenia ich włókien nerwowych nagle przejęły puls innego życia, znajdującego się w środku pudełka. Górna jego część po chwili po prostu zniknęła, a z wnętrza wyłoniło się coś, czego Horris Kew nie spodziewał się już nigdy zobaczyć.

Czarodziejskie mgły.

Uniosły się wstęgą i osiadły na metalowych drzwiach, które zamykały drogę do tunelu, pokryły je jak farba, po czym wchłonęły całkowicie tak, iż pozostała jedynie cienka smuga cienia na tle czarnej głębi korytarza.

– Pospiesz się! – Biggar szepnął w locie Horrisowi do ucha. – Dalej! Zanim się ponownie zamkną!

Ptako szybko zniknął w ciemnościach. Horris rzucił się w ślad za nim, taszcząc z sobą wyczarowaną szkatułę. Wreszcie miał okazję zobaczyć, co znajduje się w środku. Nie miała już górnej części, z łatwością mógł więc zerknąć i dowiedzieć się, co kryła. Tym razem jednak się nie ośmielił.

Przedarł się przez delikatny jak pajęczka sieć welon czarodziejskich mgielek, które w nie wyjaśniony sposób przybyły z jego przeszłości. Z szeroko otwartymi oczami, wpatrzonymi w dal, zastanawiał się nad tym, co może się stać i czego powinien się teraz spodziewać. Przez chwilę wydawało mu się, iż widzi znikające złote monety i zapadające się pałacowe posadzki – gorzki symbol pięciu ostatnich lat. Nagle obraz rozplynął się, a Horris znalazł się w korytarzu bez ścian, podłogi i sufitu. Tunel wydawał się ciasnym okiem w sieci, z której złowiona ryba chce się wydostać na wolność. Wokół niego panował bezruch i martwa cisza. Czas i przestrzeń zdawały się nie istnieć. Był tylko tunel i zatrważające przeświadczenie, iż każdy ruch może go zgubić.

Co ja takiego zrobiłem?! – pytał siebie przerażony i skonsternowany.

Odpowiedź nie nadchodziła. Miotał się jak człowiek pokryty przyschniętym błotem, którego zimno nocy przeniknęło do szpiku kości. Czuł chłód własnego losu, a jakaś dziwna pewność szeptała mu bezlitośnie do ucha coś o straconej nadziei. Pomyślał, że dobrze byłoby dojrzeć gdzieś Biggara, usłyszeć jego paraliżujący skrzek i nabrać otuchy, wyobrażając sobie, iż to nędzne ptaszysko cierpi o wiele bardziej niż on. W pewnej chwili mgielki zniknęły i uwolniły jego oczy od paraliżującego światła. Nastąpiła noc ciemna jak aksamit, a ciepłe powietrze kryło w sobie przyjemne zapachy i uspakajające dźwięki. Dookoła niego rozciągał się dywan traw, delikatnie i przyjemnie oplatających jego stopy i kostki. Poruszany przez wiatr, falował jak ocean, którego wody z uporem dążą ku odległemu górskiemu szczytom. Spojrzał w górę. Na niebie jaśniało osiem księżyców – purpurowy, brzoskwiniowy, ciemnoróżowy, nefrytowy, berylowy, morski, turkusowy i biały. Kolory te mieszały się, a ich światło spływało na rozległą, uspioną krainę.

To nie może być prawda!

Biggar, lecąc niepewnie, nagle wyłonił się gdzieś zza jego pleców. Po chwili usadowił się na najbliższej gałęzi, która okazała się małym dębowym wyrostkiem w kolorze jaskrawego błękitu. Otrząsnął się, poprawiając szybko pióra i rozejrzał się dokoła.

Kiedy zobaczył księżycę, podskoczył na równe nogi.

– Ajajaj! – zaskrzeczał, zapominając się na krótką chwilę. Splunął z niesmakiem i wzdrygnął się. – Horris? – wyszeptał. Jego oczy zrobiły się wielkie jak spodki, co nie zdarza się często ptakom. – Czy my jesteśmy tam, gdzie mi się wydaje, że jesteśmy?

Horris nie był w stanie ani odpowiedzieć, ani wydać z siebie głosu. Po prostu stał i patrzył raz w niebo, raz w dal na horyzont, raz pod nogi i na pokrytą runicznymi znakami kabałową szkatułę, która znów była zamknięta.

Landover! To znowu Landover!

– Witamy w domu, Horrisie Kew – sponad jego ramion dobiegł niski, syczący głos – zdradliwy, zimny i zatrważający jak śmierć.

Horris poczuł, jak serce ucieka mu do gardła. Tym razem wiedział na pewno, że jest za nim ktoś, kto czeka, by się obrócił.

DZIECKO

Ben Holiday rozbudzał się powoli, z uśmiechem na ustach. Czuł obok siebie Willow, która jak zwykle nie odzywała się ani słowem. Nie patrząc w jej stronę, wiedział, iż go obserwuje. Był tego tak samo pewny jak tego, że kocha ją nad życie. Obrócony do niej plecami, leżał przodem do okna, przez które blade światło poranka wpadało do pogrążonej w mroku sypialni, malując na ścianach srebrne pasy. Przysunął się do niej tyłem i poczuł jej palce blisko swojej dłoni. Wziął głęboki oddech; letnie, świeże powietrze było przepojone zapachem lasu, traw i kwiatów. Ben pomyślał o tym, jak bardzo jest szczęśliwy.

– Dzień dobry – wyszeptał.

– Dzień dobry – odpowiedziała.

Otworzył oczy, po czym przewrócił się na drugą stronę i podparł na łokciu. Oczy Willow wydawały się ogromne w bladym, porannym świetle, jej szmaragdowe włosy opadały na twarz, na ramiona, a jej skóra była delikatna i gładka, jak gdyby nie istniał dla niej czas. Jej uroda zawsze go urzekała – sylfida zrodzona z leśnej nimfy i wodnego elfa, stworzenie nieznane w świecie, z którego przybył, a tu w Landover – po prostu cudowna, naga prawda.

– Obserwowałaś mnie – rzekł do niej.

– Tak, obserwowałam. Patrzyłam, jak śpisz. Wsłuchiwałam się w twój oddech.

Jej bladozielona cera wydawała się ciemna i nieco egzotyczna w porannym świetle, a gdy przeciągała się pod pledem przypominała lśniącego i jedwabistego w dotyku kota. Zastanawiał się przez chwilę, jak długo są już małżeństwem. Wciąż pozostawała

tajemniczą istotą. Uosabiała wszystko to, za co kochał świat – jego piękno, tajemnicę, magię i cudowność.

Kiedy budził się rano i spoglądał na nią, wydawało mu się, iż senne marzenia w jakiś sposób mieszają się z rzeczywistością.

Minęło już ponad dwa lata od dnia, w którym przybył do Landover, odbywając podróż między dwoma światami, dwoma różnymi przeznaczeniami, zrywając z przeszłością. Przybył zrozpaczony, głęboko rozczarowany życiem i spragniony lepszego jutra. Zamienił swoje mieszkanko w wieżowcu w Chicago na zamek zwany Sterling Silver. Porzucił kancelarię prawniczą, by móc się stać królem. Pochował wspomnienia o swej zmarłej żonie i nie narodzonym dziecku i znalazł Willow. Kupił magiczne królestwo na gwiazdkę w ramach sprzedaży katalogowej, nie wierząc, że naprawdę istnieje. Podświadomie miał jednak nikłą nadzieję, że tam jest inny świat. Ryzyko opłaciło się. Nic oczywiście nie przyszło mu łatwo. Zmiana świata, życia, swojego losu nie może być czymś prostym. Lecz Benowi Holidayowi udało się pokonać wszelkie przeszkody, które napotkał w trakcie podróży. Miał więc prawo przebywać w Landover, żądać, czego tylko chciał od życia, świata i przeznaczenia, i być królem miejsca, o jakim mógł kiedyś myśleć, że istnieje tylko w snach.

Stał się także mężem Willow, jej kochankiem i najlepszym przyjacielem, choć myślał, iż nigdy więcej się nie ożeni.

– Ben – odezwała się, zwracając wzrok w jego stronę. Było w nim coś więcej prócz ciepła, coś, czego nie potrafił określić. Oczekiwanie? Podniecenie? Nie był pewien.

Podciągnął się wyżej, oparty na łokciu, czując, jak jej dłoń zaciska się na jego ręce.

– Noszę w sobie twoje dziecko – powiedziała. Patrzył na nią. Nie wiedział, co chciał usłyszeć, ale z pewnością nie spodziewał się tego. Jej oczy lśniły.

– Podejrzewałam już od paru dni, ale dopiero wczoraj mogłam się tak naprawdę upewnić. Zrobiłam sobie test, jaki wykonują kobiety z krainy czarów, klęcząc o północy między dwoma orlikami ogrodowymi i dotykając ich pędów w oczekiwaniu, aż te dadzą znak. Gdy oba zwróciły się ku sobie i splotły się razem, już wiedziałam. Stało się dokładnie tak, jak przepowiedziała Matka Ziemia.

Ben pamiętał ów dzień. Oboje poszukiwali wtedy czarnego jednoroźca, a każde z nich udało się po poradę w tej kwestii do Matki Ziemi. Powiedziała im, że oboje są dla niej bardzo ważni; Benowi zaś dało do zrozumienia, iż powinien troszczyć się o Willow. Gdy poszukiwania zakończyły się sukcesem, a sekret jednoroźca został odkryty, Willow wyjawiała Benowi tajemnicę, jaką powierzyła jej Matka Ziemia – pewnego dnia będą mieli dziecko. Wtedy Ben nie wiedział, co o tym sądzić. Wciąż bowiem nawiedzał go duch Annie i nie był pewny swej przyszłości z Willow. Później zapomniał o przepowiedni Matki Ziemi, gdyż miał na głowie wiele spraw związanych z wypełnianiem królewskich powinności; przede wszystkim musiał się zająć sprawą Michela Ard Rhi, syna starego króla. Niewiele brakowało, by niewdzięczny książę zdobył medalion, dzięki któremu Ben miał władzę nad Paladynem, królewskim szermierzem. Bez Paladyna Ben nie mógłby być królem Landover. A bez medalionu Ben mógłby szybko zginąć.

To wszystko na szczęście należało już do przeszłości. Wszelkie niebezpieczeństwa związane z jednorożcem i Michelem Ard Rhi zostały zażegnane, a przepowiednia Matki Ziemi, będąca fragmentem tej historii, właśnie miała się spełnić. Dokonywała się jeszcze jedna zmiana w jego życiu.

Ben potrząsnął głową.

– Nie bardzo wiem, co powiedzieć. – Po chwili poprawił się jednak, przewracając oczami: – Wiem, co powiedzieć. To najszcześniejsza wiadomość, jaką mógłbym usłyszeć. Po śmierci Annie myślałem, że już nigdy nie będę miał dzieci. Dałem za wygraną. Ale znalazłem ciebie... I teraz słyszę, że...-Uśmiechnął się szeroko, jak gdyby do samego siebie. – Może jednak nie wiem, co powinienem powiedzieć. Willow zareagowała promiennym uśmiechem.

– Dobrze wiesz co, Ben. Można to wyczytać z twoich oczu. Przysunął się bliżej i przyciągnął ją do siebie.

– Jestem bardzo szczęśliwy.

Przez moment zastanawiał się nad tym, jak to jest być ojcem i mieć dziecko, które należy wychować. Kiedyś już o tym myślał, ale był zmuszony o tym zapomnieć. Teraz ponownie miał okazję na podobne przemyślenia. Przyływ obowiązków, które sobie wyobraził, przyprawił go o zawrót głowy. To będzie trudne, zdawał sobie z tego sprawę. Ale przede wszystkim to będzie cudowne...

– Ben – odezwała się cicho, odchylając nieco głowę, by móc zobaczyć jego twarz. – Posłuchaj mnie przez moment. Są pewne rzeczy, które musisz zrozumieć. Ty nie żyjesz w swoim świecie. Tu wszystko jest inne. Nasze dziecko także będzie inne. Nie będzie takie, jak się spodziewasz...

– Chwileczkę – przerwał jej. – O czym ty mówisz? Spuściła wzrok, lecz po chwili podniosła oczy i spojrzała na niego z pewnym wysiłkiem.

– Pochodzimy z dwóch różnych światów, Ben, nasze życie jest całkiem inne, a nasze dziecko będzie musiało połączyć w sobie te różnice. Tego jeszcze nikt nie doświadczył.

– Czy dziecku grozi jakieś niebezpieczeństwo? – spytał rozgorączkowany.

– Nie.

– Więc nie ma się czym przejmować. Ono będzie nasze, bez względu na to, jak pomiesza się w nim krew i historia. Będzie wspanialsze niż my dwoje.

Willow pokręciła głową.

– Ale każdy z naszych światów pozostaje w jakiś sposób tajemnicą: mój dla ciebie, twój dla mnie. Tych różnic nie da się tak łatwo zrozumieć.

Położył palec na jej ustach.

– Poradzimy sobie. Ze wszystkim.

Był stanowczy i uparty. Kierowany euforią źle odczytywał naturę jej obaw.

– Kochanie! Willow! Muszę się z kimś podzielić tą nowiną. Chcę, by wszyscy o tym

wiedzieli. Chodź! Wstajemy!

W mgnieniu oka wyskoczył z łóżka i szybko się ubrał. Z radości zawył głośno przez okno, w końcu podszedł do niej i zaczął ją całować.

– Kocham cię – stwierdził. – I zawsze będę cię kochać. Zanim zdążyła się podnieść z łóżka, był już ubrany i znajdował się za drzwiami. Słowa, które miał wtedy usłyszeć, pozostały na zawsze niewypowiedziane.

Zbiegł po pałacowych schodach, przeskakując co drugi, jak gdyby sam nagle stał się dzieckiem, nucąc i mrużąc coś pod nosem. Gwiżdżąc, unosił się radośnie jak płynący po wodzie korek. Był mężczyzną przeciętnego wzrostu o orlim nosie i błękitnych oczach. Jego płowo brązowe włosy powoli zaczynały się przerzedzać, ale jego dłonie i twarz wciąż zachowywały młodzieńczy wygląd. Kiedyś był bokserem i nawet teraz trenował regularnie. Miał smukłą, wysportowaną sylwetkę i zwinnie się poruszał. Gdy przybył do Landover, zbliżał się do czterdziestki, ale teraz zagubił się w rachunkach. Czasami wydawało mu się, że po prostu przestał się starzeć. Ten ranek był dla niego najlepszym dowodem. Wyczuwał pod stopami żyjący Sterling Silver, bicie jego serca, jego duszę, pulsującą w nim krew. Czuł ciepło jego kamiennych ścian i posadzki, w tle świeżego podmuchu porannego powietrza wyczuwał jego oddech. On żył; posiadłość władców Landover, budowla tak magiczna, iż istniała sama dla siebie, potrzebując jedynie pana, by żyć pełnią życia. Gdy Ben po raz pierwszy do niej przybył, zastał zapomnianą od dwudziestu lat i pozbawioną jakiegokolwiek blasku ruinę. Teraz lśniła, odnowiona i odrestaurowana, tętniąca nowym życiem tak, iż znał jej myśli jak swoje własne i czuł się bezpiecznie w jej murach. Gdy tak przeskakiwał ze schodka na schodek, śpiesząc się do komnaty jadalnej, wydawało mu się, że ona także cieszy się jego szczęściem. Miał wrażenie, iż słyszy płynące z jej serca życzenia dla jego nie narodzonego dziecka, życzenia pomyślnego i długiego życia.

Dziecko – powtarzał w myślach. – Moje dziecko. Przyzwyczajał się do owej myśli o wiele szybciej, niżby się tego spodziewał.

Gdy wszedł do komnaty jadalnej, której ściany ozdobione były gobelinami i w której stał długi, zastawiony stół przeznaczony dla królewskich dostojników, pomyślał, że z ogłoszeniem dobrej nowiny powinien poczekać na Willow. Me był pewien, czy mu się to uda.

Abernathy i Bunion siedzieli już przy stole. Abernathy, nadworny pisarz, był człowiekiem zamienionym w wheaten teriera – wybryk źle odprawionych czarów – którego nic już nie mogło odmienić. Odziany był we wspaniałe szaty, twarz miał kudłata, a przy tym ludzkie dłonie i stopy. Potrafił przemawiać lepiej niż niejeden człowiek. Bunion, posłaniec królewski, był zwykłym koboldem, o którym nikt nie słyszał, by wcześniej był kimś innym. Bunion miał małą, zniekształconą twarz, ostre kły i uśmiech, którego nie powstydziliby się żaden rozwścieczony rekin. Jediną ich wspólną cechą była wierność wobec Bena.

W chwili gdy ten pojawił się w drzwiach komnaty, zamarli obydwaj z podniesionymi do ust widelcami.

– Dzień dobry, dzień dobry! – rzekł Ben, promieniejąc. Widelce nie drgnęły. Na ich twarzach malowało się zdumienie i zainteresowanie. Dwie pary oczu przymrużyły się podejrzliwie.

Abernathy ocknął się pierwszy.

– Dzień dobry, wasza wysokość – przywitał się i zamilkł na moment. – Mam nadzieję, że spałeś dobrze.

Ben podeksycytowany zbliżył się do stołu. Porcelana i szkło lśniły, a znad srebrnych półmisek unosiły się kuszące zapachy gorących dań. Parsnip, kucharz, który również był koboldem, zdawał się przechodzić samego siebie. Tak przynajmniej w owej chwili postrzegał to Ben. Kierując się w stronę przeznaczonego mu miejsca, złapał w biegu jabłecznik i wcisnął go do ust. Rozglądał się wokoło w poszukiwaniu Questora Thewsa, lecz czarnoksiężnika nie było w pobliżu. Może powinienem jeszcze trochę poczekać, pomyślał. Nieobecność Questora umocniła go w tym przekonaniu. Poczekać na Questora i Willow. Przywołać Parsnipa z kuchni. To jednocześnie mogłoby być dobrym znakiem dla wszystkich pozostałych. Niezły pomysł. Trzeba chwilę poczekać. Nie miał innego wyjścia.

– Wiecie co? – zaczął.

Abernathy i Bunion wymienili szybkie spojrzenia.

– Przyznam się, wasza wysokość, że nie przepadam za zagadkami – odezwał się skryba. – A Bunion wręcz ich nie znosi.

– Ależ proszę, zapytajcie się chociaż!

– Niech będzie. – Abernathy westchnął głęboko z niechęcią. – Więc co? – zapytał posłusznie. Ben wstrzymał oddech.

– Na razie nie mogę wam powiedzieć. Ale to dobra nowina. Wręcz wspaniała!

Bunion zamamrotał coś pod nosem, ukazując kilka zębów. Abernathy powrócił do jedzenia.

– Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, daj nam znać, królu.

– Gdy tylko pojawi się Questor – odpowiedział Ben, zasiadając do stołu. – I Willow. I Parsnip. Gdy będą już wszyscy. Nie odchodźcie, dopóki nie będziemy w komplecie. Abernathy pokiwał głową.

– Jestem przykuty do krzesła, wasza wysokość. A przy okazji, mam nadzieję, że uda się nam usłyszeć ową nowinę przed zaplanowanym na dzisiejszy ranek spotkaniem z przedstawicielami Greenswardu i Krainy Rzek w sprawie użytkowania gruntów.

Ben złapał się za głowę.

– Byłbym zapomniał!

– A także przed południowym lunchem z nowo wybranymi sędziami okręgowymi, których wasza wysokość wyznaczył do pracy na północy kraju.

– O tym także byłbym zapomniał!

– I przed popołudniową konferencją z komisją, która ma właśnie zająć się nawadnianiem pustynnych rejonów na wschód od Greenswardu.

– O tym pamiętałem.

– To dobrze. A czy nie zapomniałeś, panie, o spotkaniu z pracownikami kuchni w sprawie wyjaśnienia problemu ciągłego znikania produktów ze spiżarni? Obawiam się, że staje się to coraz częstsze.

Ben strapiiony, zmarszczył brwi.

– A niech to! Dlaczego zaplanowałaś aż tyle na dzisiejszy dzień?

– To nie ja. To ty, panie. Jest początek tygodnia. Masz, królu, w zwyczaju rozpoczynać każdy tydzień, załatwiając tak wiele spraw, ile tylko jesteś w stanie. – Abernathy przyłożył serwetkę do ust. – Zbyt dużo spraw na raz. Ostrzegałem przed tym wcześniej.

– Dziękuję za przypomnienie. – Ben sięgnął po talerz i nałożył jedzenie z półmiska: chleb z dżemem, jajka i owoce. – Nie ma sprawy. Wszystko załatwimy. Mamy mnóstwo czasu. – Postawił talerz przed sobą i pograżył się w myślach. Dlaczego, na Boga, ktoś okrada spiżarnię? Nikomu przecież nie brakuje jedzenia. Jeśli Willow nie zjawi się w ciągu kilku minut, pójdę na górę i przyprowadzę ją. Bunion może w tym czasie poszukać Questora...

W tym momencie drzwi na drugim końcu komnaty, prowadzące do drugiego wyjścia na dziedziniec zamkowy, otworzyły się gwałtownie na całą szerokość i pojawił się w nich Questor Thews.

– Jeszcze tego brakowało! Tylko tego! – wykrzykiwał w furii.

Zbliżał się zamaszystymi krokami do stołu, nie zatrzymując się ani na chwilę, mamrotał coś zawzięcie pod nosem, przykuwając uwagę wszystkich zebranych. Czarodziej ubrany był jak zwykle w swoją szarą suknię, przyozdobioną łatami w jaskrawych kolorach, przepasaną szkarłatną szarfą. Przypominał obszarpanego stracha na wróble, był wysoki i chudy, cały oblepiony włosami wypadającymi mu z głowy i brody. Na pierwszy rzut oka było widać, iż powinien się ubierać czyściej i schludniej – przynajmniej jeśli chodzi o szaty i zapuszczone włosy nad uszami. Czasem delikatnie sugerował mu to Ben, ale Questor nie znajdował powodu, by cokolwiek zmieniać w swoim wyglądzie. Był na ogół spokojny i łagodny, nie ulegał łatwo napadom złości, wszyscy byli więc zdumieni, widząc go tak poruszonym.

W końcu zatrzymał się przed nimi, odrzucając spowijające go szaty do tyłu, jak gdyby próbował się pozbyć ciężaru czegoś, co wyprowadziło go z równowagi tego pięknego letniego poranka.

– On wrócił! – ogłosił dobitnie.

– Kto? – spytał Ben.

– Ośmielił się wrócić i to bez krzty skruchy, za to co uczynił! Nie ma za grosz wstydu! Pojawił się u zamkowych wrót tak po prostu, jakbyście panie sobie tego życzyli i

powiadomili wszystkich wokoło, że oto przybywa! – Twarz Questora przybierała coraz to głębszy odcień czerwieni, aż w końcu stała się niebezpiecznie purpurowa. – Miałem nadzieję, że dwadzieścia kilka lat temu widzieliśmy się po raz ostatni, ale on jak bumerang znowu powrócił!

– Questorze – Ben próbował dojść do głosu – o kim ty mówisz?

Questor patrzył z zawziętością.

– Mówię o Horrisie Kewie! Abernathy zerwał się na równe nogi.

– Ten oszust! Nie ośmieliłby się tego zrobić! Został wygnany! Questorze, chyba przebywanie na słońcu nie najlepiej ci służy!

– Zejdź na dół, a sam się przekonasz! – Questor uśmiechnął się z ironią. – Przybył jak syn marnotrawny, by prosić króla o przebaczenie. Chce, by kara została mu darowana. Chce powrócić do Landover!

– Nie! – sprzeciw Abernathy'ego prawie obrócił się w ryk. Zwrócił się do Bena, zirytowany. – Wasza wysokość, nie! Nie rozmawiaj z nim! Nie wpuszczaj go! Odeślij go natychmiast!

– Na twoim miejscu, królu, nie odsyłałbym go wcale! – warknął Questor, przesuając się do przodu, by móc stanąć koło psa. – Pojmałbym go i wtrącił do najgłębszego, najciemniejszego lochu, jaki bym znalazł! Zamknąłbym go tam i wyrzucił klucz!

W tym czasie Willow zdążyła zejść na dół i usadzić się obok Bena. Wpatrywała się w niego badawczo, przysłuchując się wszystkiemu, lecz ten był jedynie w stanie wzruszyć ramionami, by dać jej znak, iż nic z tego nie rozumie.

– Zamilknijcie choć na moment – przerwał w końcu. Jedynie Bunion nie wypowiedział się, co na ten temat sądzi. Siedział po drugiej stronie stołu z niezadowolonym wyrazem twarzy. – Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Kim jest Horris Kew?

– Najstraszniejszą senną zmorą! – skwitował krótko Abernathy, jakby to wszystko wyjaśniało.

Questor nie okazał się bardziej drobiazgowy.

– Powiem wam, kim on jest. Horris Kew jest człowiekiem, który sprawia tyle problemów, ile nikt inny na świecie. Jest magikiem najpodlejszego rodzaju. Potrafi tylko szkodzić. Myślałem, iż pozbyliśmy się go raz na zawsze, ale przeliczyłem się! Abernathy, pamiętasz tę sprawę z krowami?

– Z krowami? – powtórzył Ben.

Pochłonięty swoimi wywodami, Questor na nic nie zwracał uwagi.

– Horris uparł się, że nawiąże kontakt z krowami, by móc lepiej nadzorować oddawanie przez nie mleka, ale wszystko wymknęło mu się spod kontroli. Jego sztuczki doprowadziły te biedne stworzenia do szaleństwa. Rozbiegły się we wszystkie strony, tratując całe zasiewy pszenicy i niszcząc przy okazji kilka miasteczek. Podobnie było z kurami. Powinniście wiedzieć, jak to Horris próbował zakłócić naturalny proces ewolucji.

Kury fruwały jak ptaki, znosząc w locie jajka, które spadały gdzie popadnie.

Ben skrzywił się.

– Co takiego?

– Nie zapominaj o kotach! – wtrącił Abernathy. – Znalazł on jakiś cudowny sposób, by zorganizować je w stada łowne tak, by były w stanie wyłapać wszystkie myszy i szczury w całym królestwie. I ta próba spaliła na panewce, gdyż koty rozprawiły się krwawo z psami myśliwskimi! – Przeszły po nim dreszcze.

– Tak, to było okropne – przyznał Questor, kiwając znacząco głową do Bena. – Ale najgorszym czynem, jakiego się dopuścił i za co został wygnany z królestwa, było wyczarowanie szybko rosnącej rośliny, która rozmnażała się w ciągu jednej nocy i zamieniła teren wokół Sterling Silver w istną dżunglę w promieniu pięćdziesięciu mil! – Questor ostentacyjnie złożył ręce. – Tygodnie minęły, zanim zdołaliśmy utorować drogę przez zarośla! Przez ten czas, gdy wycinaliśmy rośliny, a król i cały jego dwór był uwięziony w zamku, demony Abaddonu skorzystały z okazji i napadły na pobliskie tereny. Najazd zniszczył kilkadziesiąt miasteczek, ferm i pozbawił życia wielu mieszkańców. Zapanował chaos.

– Czegoś tu nie rozumiem – stwierdził Ben. – Musiał być w tym wszystkim jakiś cel. Z tego, co powiedzieliście, wnioskuję, że miał dobre intencje.

– Dobre intencje? – Questor Thews zdawał się wściekły. – Wątpię! Chciał jedynie wyłudzić pieniądze! Krowy, kury, koty i rośliny były jedynie narzędziami, za pomocą których chciał pociągnąć za sakiewki zamożnych! Horris Kew nigdy nie przejmował się nikim poza własną osobą! Gdy tylko okazywało się, że plan nie spełnił pokładanych w nim nadziei, już w jego głowie lagł się nowy. Przepraszam za słowa.

– Ależ Questorze, to było ponad dwadzieścia lat temu, jak sam powiedziałeś. – Ben z ledwością powstrzymywał się od śmiechu.

– Widzicie? – Questor warknął zirytowany. Skrzywiony wyraz twarzy pozostałych nie umknął jego uwadze. – Horris Kew zawsze sprawia wrażenie niegroźnego, ot taki mały szkodnik. Nikt nie bierze go na serio. Nawet mój brat na początku go ignorował, aż do momentu, gdy wyniknęła ta sprawa z demonami. Wtedy i Meeks chciał się go pozbyć. Wydaje mi się, że niespodziewane pojawienie się demonów przeszkadzało w jakiś sposób mojemu bratu, więc w tym wypadku nie mógł pozostać obojętny.

Meeks – brat Questora, a zarazem poprzedni nadworny czarodziej, był tym, który sprawił, iż Ben przybył na Landover, a wkrótce potem stał się jego największym wrogiem. Odszedł, ale trudno było o nim zapomnieć. Ktoś taki jak on na pewno nie pozwoliłby Horrisowi Kewowi pokrzyć swoich planów.

– W każdym razie mój brat namówił starego króla, by ten skazał Horrisa na wygnanie, co też się stało – podsumował Questor.

– Taaak. – Ben podrapał się w brodę. – A dokąd? Questor poczuł się raczej nieswojo.

– Do waszego świata, wasza wysokość – odparł niechętnie.

– Na Ziemię? Na dwadzieścia lat? – Ben starał się spamiętać wszystko, co zostało powiedziane o kimś, kto nazywał się Horris Kew.

– Trudno wyobrazić sobie większe bagno dla odrzuconych i pomyłonych. Magia niewiele może pomóc w świecie, w którym tylko nieliczni wierzą w jej istnienie, czyż nie mam racji?

Abernathy przytaknął. Stali wpatrzeni w Bena, jakby już trochę zmęczeni, oczekując odpowiedzi. Ben zerknął na Willow, która zajęta jedzeniem nie odwzajemniła jego spojrzenia, i przypomniał sobie, że miał powiedzieć swoim przyjaciółom o dziecku. Stwierdził, że powinien jeszcze poczekać.

– Dlaczego nie mielibyśmy się spytać jego, co ma do powiedzenia? – zasugerował, wyraźnie zainteresowany osobnikiem, któremu udało się wyprowadzić z równowagi niewzruszonego przeważnie Abernathy'ego. – Być może się zmienił.

Twarz Questora zmieniła się z purpurowego na płomienny szkarłat.

– Zmienił? A od kiedy to krowy zmieniają poglądy! – zamilkł na moment, najwyraźniej zastanawiając się, co nie-przekonywającego było w jego argumentach, skoro Ben nie podzielał jeszcze jego zdania. – Nigdy, wasza wysokość! – dodał po chwili, by nadać sprawie końcowy wygląd. – Nie spotykaj się z nim! Nie pozwól, by choć jedną nogą przekroczył próg naszego zamku. Gdybym wiedział wcześniej, że przybywa, wysłałbym na spotkanie straż, by go odpowiednio powitała. Wciąż nie mogę uwierzyć, że miał czelność powrócić. – Tu ucichł, nagle zbity z tropu. – A właściwie w jaki sposób udało mu się wrócić?

– To nie ma znaczenia. Przyszedł prosić o łaskę – zauważył spokojnie Ben. – Nie mogę odesłać kogoś takiego, nie zamieniwszy z nim ani słowa. Jakby to wyglądało? Muszę z nim porozmawiać. Nie ma w tym przecież nic złego.

– Nie rozumiesz tego, królu – stwierdził Abernathy złowieszczo.

– Naprawdę nie rozumiesz – zgodził się z nim Questor.

– Należy się go natychmiast pozbyć.

– Niech się trzyma stąd z daleka, przynajmniej na milę!

Ben zagryzł usta. Nigdy dotąd nie widział swoich doradców tak stanowczych. Nie przeczuwał, że prosta rozmowa może stanowić dla niego jakiś problem, ale teraz nie chciał ignorować ich ostrzeżeń.

– Czy myślisz, że potrafiłbyś mu dorównać swoimi umiejętnościami? – spytał po chwili Questora. Questor wyprostował się.

– Nie tylko dorównać! Jednakże on jest bardzo przebiegłym człowiekiem. Ben przytaknął.

– Nie mogę go tak po prostu odesłać. Dlaczego więc nie mielibyśmy się wszyscy z nim spotkać. Wtedy mógłbyś mnie ostrzec, jeśli próbowałby wykonać jakiś niebezpieczny ruch. Co wy na to?

Abernathy usiadł bez słowa. Questor zeszywniał cały, lecz w końcu kiwnął głową, wyrażając zgodę.

– Panie, tylko później nie mówcie, że cię nie ostrzegałem – dodał szorstko i kiwnął na służącego, stojącego na drugim końcu sali.

Czekali w milczeniu. Ben chwycił Willo w za rękę i czule uścisnął. Uśmiechnęła się do niego. W drzwiach kuchennych w głębi komnaty pojawił się Parsnip, który po kilku słowach rzuconych na powitanie do pogrążonego w ciszy zgromadzenia zniknął ponownie. Ben rozważał możliwość wydalenia Horrisa Kewa i powrotu do zwykłego planu dnia. Myślał o tych wszystkich spotkaniach, które na ten dzień zaplanował, i o tym, co powinien w związku z tym uczynić. Kiedyś wydawało mu się, że nikt nie pracuje ciężiej od adwokata, teraz jednak wiedział, iż taką osobą jest na pewno król. Wciąż musiał podejmować decyzje, rozważać możliwości i rozwiązywać problemy. Tak wiele od niego zależało. Jego postępowanie ściśle się wiązało z losem innych ludzi. Lubił wyzwania, ale przerażał go ciężar odpowiedzialności. Czasem zastanawiał się nad okolicznościami, które sprawiły, że tu znalazł swoje miejsce w życiu, i nad tym, jak to wszystko mogło się zdarzyć. Był to dowód na to, iż nie ma rzeczy niemożliwych. Był świadomy tego, skąd przybył i wciąż wprawiało go to w zdumienie. Nigdy już nie zamieniłby obecnego życia na dawne.

– W każdej chwili, wasza wysokość, możecie zmienić zdanie – stwierdził spokojnie Questor, wyraźnie nie chcąc dopuścić, by sprawa ucichła.

Ben, pogrążony w myślach o swoim życiu, przyjął ową uwagę w milczeniu, choć nie podzielał zdania czarodzieja. Był człowiekiem, który odnalazł sens życia dzięki odważnej decyzji, więc nie uważał zmiany swojego stanowiska za stosowne. Już niedługo zostanie ojcem, myślał i wciąż nie mógł w to uwierzyć. Co miało to oznaczać dla czterdziestoletniego mężczyzny, który do tej pory nie miał jeszcze potomka? Dla człowieka, który tak długo żył bez rodziny? Pragnął tego dziecka, lecz przyznawał się do tego, iż nie wie, czy jest na to gotowy.

Z końca komnaty dobiegły nagle ciężkie odgłosy butów, a po chwili pojawił się człowiek. Był wysoki, pokraczny – ogólnie wyglądał dziwnie. Ręce i nogi miał wykrzywione, a nos, uszy i jabłko Adama sterczały jak części ucharakteryzowanego ziemniaka. Odziany był w szare pokutne szaty, które wcześniej mogły z powodzeniem służyć za ściółkę w stajni. Nogi miał gołe i brudne, dłonie błagalnie złożone przed sobą, a całe ciało zgarbione. Poruszał się powoli i z wysiłkiem, włączając nogi za sobą i trzęsąc głową. Ptak z czarnymi piórami, białym grzebieniem i lśniąco-czarnymi oczami siedział mu na ramieniu i rozglądał się uważnie dookoła.

– Wasza wysokość. – Horris Kew padł na kolana. – Dziękuję, że zgodziłeś się mnie zobaczyć.

Ben powstał, myśląc sobie, iż nie widział jeszcze nigdy tak niewinnie wyglądającego potencjalnego wroga.

– Wstań! – rozkazał. – Posłuchajmy, co masz nam do powiedzenia. Wiem, że opinii masz nie najlepszą.

Horris powstał. Na jego poranej twarzy i w spojrzeniu malował się ból. Miał ostry tik – mrugał okiem jak człowiek próbujący uniknąć ciosu.

– Wyznam wszystko, wasza wysokość. Dopuszciliem się tego, o co mnie posadzono. Przyznaję się do wszelakich win, o których na pewno wspominali ci Questor i Abernathy. Nie chcę niczemu zaprzeczać. Błagam tylko o przebaczenie.

Questor parsknął.

– Co ty knujesz, Horrisie Kew?

– A! Biggar jest lepszy! – zaskrzeczał ptak.

– Ten ptak wydaje mi się znajomy – stwierdził Abernathy, patrząc z ukosa na Biggara.

– To zwykła majna, mój kompan w podróży. – Tik w oku Horrisa powtórzył się dwa razy. Abernathy zmarszczył brwi.

– Przypuszczam, że już nauczyłeś go atakować psy?

– A! Pchły! Pchły! – zawołał ptak. Ben obszedł stół dookoła, by znaleźć się między Abernathym i ptakiem.

– Czy ty czasami nie powinienesz znajdować się na wygnaniu, Horrisie? Co cię tu przygnało?

– Wasza wysokość, chciałbym móc jeszcze raz spróbować. – Kanciaste oblicze Horrisa Kewa wyrażało prawdziwą skruchę. – Pokutowałem przez dwadzieścia lat, miałem czas, by się zastanowić nad moimi występkami i rozważyć popełnione błędy. Byłem szczęśliwy, że mogłem żywy opuścić Landover, co może potwierdzić Questor. Teraz jednak pragnę powrócić do domu i zacząć wszystko od nowa. Czy to jest możliwe?

Ben przyjrzał mu się uważnie.

– Nie wiem.

– Nie czyn tego, królu – nie omieszkał ostrzec Questor.

– Nawet o tym nie myśl, panie – dodał Abernathy.

– A! Hura, Horris! Hura, Horris! – ogłosił ptak.

– Dziękuję, Biggar! – Horris poklepał ptaka z czułością i ponownie spojrzął na Bena. – Mam pewien plan, wasza wysokość, jeśli tylko pozwolicie mi tu zostać. O nic was ani nikogo innego nie proszę. Chcę tylko zostać sam. Powinienem przeżyć resztę mojego życia jako pustelnik, nie wadząc nikomu. Ale jeśli by zaszła taka potrzeba, jestem gotowy służyć w każdej sytuacji. Znam się trochę na czarach, co może się kiedyś przydać. Polecam swe usługi, jeśli tylko będziesz chciał z nich skorzystać. Możesz na mnie polegać panie; stawię się na każde twoje wezwanie.

– Czyż to właśnie nie twoje sztuczki wpędziły cię wtedy w kłopoty? – zauważył delikatnie Ben.

– Tak, tak, to prawda. Ale nie będę się więcej mieszał w sprawy królestwa i jego

mieszkańców – zadeklarował Horris, mrugając chorym okiem. – Jeśli złamię daną ci obietnicę, skaz mnie na wygnanie.

– Nie – sprzeciwił się Questor.

– Nie – powtórzył jak echo Abernathy.

Ben próbował powstrzymać uśmiech. Być może powinienem brać całą tę sprawę bardziej poważnie, pomyślał, ale nie potrafił przejąć się człowiekiem tak wyglądającym, którego największą winą było to, że kury nauczył latać, a krowy buntować się przeciwko farmerom.

– A! Piękna pani – odezwał się nagle ptak. Willow uśmiechnęła się i spojrzała na Bena, który przypomniał sobie o dziecku.

– Zastanowię się nad tym i dam ci odpowiedź w ciągu kilku dni – oznajmił Ben, ignorując pomruki niezadowolenia Questora i Abernathy'ego. – Wtedy możesz się tu pojawić.

– Niech ci się szczęści, wasza wysokość – rzekł Horris Kew i uklonił się nisko. – Dziękuję, dziękuję bardzo. Mam u ciebie, królu, dług wdzięczności.

Ruszył do wyjścia, a za nim strażnicy. Ben zastanawiał się, jakiego gatunku jest Biggar i ile słów potrafi powiedzieć.

– Taaak, to była niewyobrażalnie głupia decyzja! – warknął gniewnie Questor – jeśli wolno mi coś zauważyć, panie!

– Masz prawo do własnego zdania – powiedział Ben, skoro i tak zostało to powiedziane.

– Skąd ja znam tego ptaka – mruzczał Abernathy.

– To, że człowiek wygląda niewinnie, nie znaczy wcale, iż taki jest – nie dawał za wygraną Questor. – Jeśli chodzi o Horrisa Kewa, aparycja jest nie tylko myląca, jest wręcz wierutnym kłamstwem!

Ben był już wyraźnie zmęczony tą sprawą, złożył więc ręce w błagalnym geście.

– Panowie – wezwał przyjaciół do porządku. Oczekiwał zakłopotanych spojrzeń, lecz musiał się zadowolić złowrogim milczeniem. Westchnął. Nie zawsze wszystko musi iść po naszej myśli, zaryzykował stwierdzenie. Dlatego tak wiele spraw wymaga kompromisu. – Porozmawiamy o tym później, dobrze?

Willow podniosła się również. Uśmiechnął się, gdy wtuliła się w jego ramię.

– Parsnip! – krzyknął, a gdy kucharz pojawił się przy czarnoksiężniku skrybie i posłańcu, zapytał: – Co sądzisz o powiększeniu naszej rodziny o jeszcze jednego członka?

POTWÓR

Horris Kew opuścił Sterling Silver jak zbieg w środku nocy, spiesząc się na tyle, na ile pozwalały mu duma i okoliczności. Na każdym kroku rozglądał się nerwowo. Szedł pochylony prawie do ziemi, na szeroko rozstawionych nogach, a jego długa i pokraczna sylwetka kołysała się na boki – dziwna postać w niezwyklej krainie. Tik w kąciku oka, który niespodziewanie się nasilił, sprawiał, iż powieka zaczęła mu podskakiwać, jak złapany w pułapkę pasikonik. Biggar siedział mu na ramieniu niczym omen.

– Naprawdę nie znoszę tego psa – mamrotał ptak, strosząc pióra dla podkreślenia swej niechęci. Horris Kew zacisnął usta.

– Nie wspominaj mi o psie.

– Ale on prawie mnie rozpoznał. Zauważyłeś? Wcześniej czy później w końcu sobie przypomni, weź to pod uwagę.

– Biore – odparł Horris. Przechodzili właśnie przez most łączący wyspę z lądem, kierując się ku zachodnim lasom. – A nawet jeśli cię rozpozna, to co z tego? Meeks nie żyje.

Biggar należał kiedyś do czarnoksiężnika. To właśnie Meeks odprawił nad nim czary, by podnieść poziom jego inteligencji. Chciał, żeby ptak posłużył mu za szpiega w walce z wrogami. Ale Biggar był nieznośny i wygadany, jak zresztą teraz, w końcu więc i Meeks miał go dość. Gdy Horris Kew został zesłany na Ziemię przez starego króla, Meeks podarował mu ptaka, by ten był mu towarzyszem podróży.

Biggar skulił się, przyjmując kształt czarnej, pierzastej piłeczki.

– Jeśli ten pies skojarzy mnie z Meeksem, możesz się pożegnać z myślą o powrocie na zamek. Horris wydawał się spokojny.

– Jeśli tylko nie będzie nim Horris Kew – mruknął Questor i nie wydawał się w najmniejszym stopniu zakłopotany tym, co powiedział.

– Martwisz się nie wiadomo czym.

– Jest mi wszystko jedno. Nie podobał mi się tylko sposób, w jaki ten pies na mnie patrzył. Właściwie oni wszyscy mi się nie spodobali.

Horris nie podzielił głośno jego zdania, ale w głębi duszy nie był pewien, czy ktokolwiek z nich mu się podobał. Od momentu, kiedy to wypowiedział: rashun, oblat, surena i tak dalej, i kiedy to coś wyłoniło się z kabałowej szkatuły, nic nie układało się po jego myśli. Na samo wspomnienie przechodziły po nim dreszcze. Przypomniawszy sobie chwilę, w której obrócił się na głos powitania i zobaczył owo coś. Wyobrażał sobie, że ono wciąż gdzieś na nich czeka. Było najwstrętniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek spotkał.

A teraz to c o ś sprawowało nadzór nad jego życiem, rozkazywało mu, jak gdyby był marnym sługą, mówiąc mu, gdzie ma się udać i jak postąpić. Było największą zmorą, która pojawiła się w jego życiu, ale Horris Kew bał się nawet pomyśleć, iż byłoby lepiej, gdyby spróbował się od niej uwolnić.

– Dlaczego ono wysłało nas do króla? – zapytał niespodziewanie Biggar, jakby czytał

w jego myślach. Minęli wzgórze i wkroczyli na łąki, skąd widać było już skraj lasu.

Horris westchnął zmęczony.

– Dlaczego ja miałbym to wiedzieć? Kazało mi tam pójść i tak właśnie zachować się przed Holidayem, więc to zrobiłem. Postąpiłem tak, jak powiedziało. Myślałeś, że mam zamiar się sprzeciwić?

Biggar nie miał nic do powiedzenia, i to już od momentu, kiedy po wydarzeniach ostatnich dwudziestu czterech godzin zirytywanie Horrisa Kewa sięgnęło zenitu. To wszystko wina Biggara, myślał Horris. Cały ten pomysł z pośrednictwem i stworzeniem Skat Mandu (Skat Mandu – też mi dowcip!), uwolnienie tego czegoś i powrót do Landover. Horris nie wiedział, w jakiej grze uczestniczą, ale był pewien, że jest niebezpieczna; znaleźli się z powrotem w Landover, który był ostatnim miejscem we wszechświecie, do którego powinni byli przybyć, i gdzie mogli się spodziewać ciepłego przyjęcia. Z małym wyjątkiem: stary król już nie żył, a nowy, Holiday, wydawał się w jakimś stopniu zainteresowany jego propozycją. Nieważne. Co oni tu robili? Wprawdzie była to jego ziemia ojczysta, ale nie wspominał jej dobrze. Czystym przypadkiem było to, że urodził się tutaj, wychował, wplątał w poważne kłopoty, został uznany za osobę niepożądaną i musiał opuścić królestwo. Był w pełni szczęśliwy w nowym świecie, krainie mlekiem i miodem płynącej, razem z wyznawcami Skat Mandu, którzy w każdej chwili gotowi byli mu płacić za wstęgę dymu czy błysk światła. Wiodło mu się dobrze, był zadowolony z siebie, otoczenia i widoków na przyszłość.

Co mu pozostało? Nic. I to wszystko z winy Biggara.

Oczywiście, wcale tak nie było. Wina była obopólna, i to właśnie doprowadzało go do wściekłości.

Co miało mu się teraz przydarzyć? Co zaplanował stary, dobry Skat Mandu?

– Ten pies naprawdę mi się nie podoba – powtórzył Biggar i zamilkł.

Szli cały ranek, a gdy minęło południe, dotarli do Serca. Była to święta ziemia, niewyczerpane źródło magicznej mocy Landover i jego życia. To tu odbywały się koronacje wszystkich królów, także Bena Holidaya. Polana znajdowała się w środku lasu olbrzymich drzew o szerokich liściach, jej brzegi porastały bonnie blues. Była wyścielona dywanem zielonych, złotych i purpurowych traw. Pośrodku znajdował się podest zrobiony z błyszczących, białych pni dębowych, umocowanych w ziemi przy pomocy wypolerowanych, srebrnych słupów, w których umieszczono potężne świece. Dokoła podestu stały maszty, na których powiewały mieniące się morzem żywych kolorów flagi królów Landover. Flaga Bena Holidaya przedstawiała wagę na zielonym polu, co było jawnym ukłonem w stronę przeszłości, kiedy był prawnikiem. Dokoła podestu i na obrzeżach polanki ustawione były szeregi białych, aksamitnych klęczników i ław.

Wszystko było utrzymane w nienaganej czystości, jak gdyby czekało już na następną koronację.

Horris Kew przekroczył granicę Serca i rozejrzał się wokół z powagą. Dzieje królestwa zdawały się spoglądać na niego z każdego wypolerowanego pnia i każdej belki.

– Czapki z głów, Biggar – zaintonował. – Jesteśmy w świątyni.

Biggar rozejrzył się bystrym wzrokiem.

– Kogo na tym świecie obchodzi to miejsce? – rzucił z powątpiewaniem.

Horris spojrzał na niego i westchnął.

– Ależ z ciebie prostak!

Biggar sfrunął z jego ramienia, sadowiąc się na jednej z aksamitnych poduszek.

– Widzę, że uciekasz się do nazywania rzeczy po imieniu, Horrisie. To takie patetyczne.

Mówiąc to, umyślnie rozłożył się na białej poduszce.

Horris zeszywniał na moment, po czym jego chude ciało wygięło się, wijąc jak wąż, a długie kończyny rozhuśtały się jak patyki przyszyte do szmacianej lalki.

– Właściwie to nie jesteś mi już do niczego potrzebny, Biggar. Co byś powiedział, gdybym ukreślił ci ten nic niewarty łeb?

– A co byś ty powiedział, gdybym wydziobał ci oczy, Horrisie?

– Ty niedorozwinięta kawko!

– Ty upośledzony pawianie!

Patrzyli na siebie z wściekłością – Horris z palcami rozpostartymi jak szpony, Biggar z nastroszonymi piórami i rozłożonymi skrzydłami. Złość rozpaliała ich wnętrza, po chwili jednak zmaląła, ulatniając się w końcu jak woda z rozgrzanego w południowym słońcu kamienia. Napięcie powoli spadało, rozluźniając ich ciała. Ich twarze wyrażały teraz zdumienie i zakłopotanie z powodu wcześniejszego zachowania.

– To c o ś jest odpowiedzialne za tę całą głupotę – stwierdził spokojnie Horris. – Dobry, stary Skat Mandu.

– Przyznaję, że on nie jest tym, czego się spodziewałem – odparł poważnie ptak.

– Nie zasługuje na miano on, to jest raczej coś.

– Robak.

– Wąż.

Biggar zamknął oczy.

– Horrisie – odezwał się. W jego ptasim głosie brzmiała nuta tęsknoty. – Co my tu robimy? Zaczekaj, nie mów nic, dopóki nie skończę. Wiem, w jaki sposób się tu znaleźliśmy. Rozumiem cały ten mechanizm. Uwolniliśmy to c o ś z kabałowej szkatuły, w której było zamknięte razem z czarodziejską mgiełką. Ono posłużyło się nią, by otworzyć nam drzwi do Landover. To jest jasne. Ale co my tu tak naprawdę robimy? Co? Pomyśl o tym przez chwilę. To miejsce nie jest dla nas bezpieczne.

– Wiem, wiem – westchnął Horris.

– A zatem w porządku. Dlaczego więc nie mielibyśmy udać się gdzieś indziej? Gdzieś,

gdzie nie jest tak niebezpiecznie. Dlaczego nie? Może ono wtedy też przyjęłoby propozycję przeniesienia się. Może chociaż zdecydowałoby się nam pomóc, gdyby samo chciało tu pozostać. Bo właściwie do czego jesteśmy temu potrzebni?

Horris utkwiał w nim surowe spojrzenie.

– Gdzie mielibyśmy pójść, Biggarze? Może wrócić tam, skąd przybyliśmy, gdzie czekają na nas wierni, gotowi nas rozszarpać? Ściśle mówiąc, to w końcu ty ponosisz odpowiedzialność za tę sytuację.

– Nie ja, Horrisie. Już ci to mówiłem. To Skat Mandu! Czy cokolwiek to było. – Biggar przeskoczył na bliższą poduszkę. – Wiesz, gdzie możemy się udać? Jest wiele możliwości. Czytałem o kilku. Co powiesz na krainę z drogami wyłożonymi żółtą cegłą i szmaragdowym miastem, pełnym małych, biegających ludzików, Chruptaków, czy jakoś tak?

Horris spojrział na ptaka i westchnął ponownie.

– Biggar, naprawdę nie ma takiego miejsca. To tylko książka.

Biggar próbował się oburzyć, lecz mu się nie udawało.

– Nie. Ona istnieje naprawdę.

– Nie, Biggar. Znowu ci się coś pomieszało w przewodach. To była kraina Oz. Nie ma takiej w rzeczywistości. Została wymyślona.

– Czarnoksiężnik i reszta? Czarownice i latające małpy? To nie była bajka. To było prawdziwe!

– To była bajka, Biggar! Bajka!

– W porządku, Horrisie. Niech będzie! To była bajka! – ptak zaklekotał dobitnie. Zamyślił się przez chwilę – Dobrze. A może udalibyśmy się do krainy karłów o kudłatych stopach? Horris poczerwieniał na twarzy.

– Po co? – syknął gniewnie. Przymaszerował obok Biggara, nie zwracając na niego uwagi, i skierował się ku drzewom. – Lepiej chodźmy go zawiadomić i miejmy to z głowy!

Kroczył dalej, ginąc w gęstwinie drzew, oddalając się powoli od Serca. Po chwili przyłączył się do niego Biggar. Pozostawili za sobą zalaną słońcem polankę i wkroczyli do lasu, w którym nawet w południe panował półmrok i chłód, a cienie malowały wokoło zawile wzory, podobne do pajęczyn. Nie odzywali się do siebie, Horris szedł zdecydowanym krokiem, Biggar przeskakiwał z gałęzi na gałąź, podfruwając do przodu i zwracając. Pograżony w rozmyślaniach Horris całkowicie go ignorował.

Gdy byli nie dalej niż milę od Serca i gdy światło przestało przedzierać się już przez gęste korony drzew, znaleźli się na stromej skarpie, której podnóże porośnięte było zaroślami, umacniającymi wiszącą nad nimi skałę. Powoli weszli na ogromny, płaski kamień, który pokryty był wykutymi na powierzchni symbolami. Horris wpatrywał się w kamień, westchnął najmocniej jak mógł, pochylił się i w odpowiedniej kolejności przesuwając ręką po znakach. Cofnął się szybko, gdy kamień zaczął się odsuwać, wydając przeraźliwy zgrzyt. Biggar usiadł mu na ramieniu i razem obserwowali, jak otwiera się

przed nimi ciemne wnętrza jaskini.

Z pewnym niezdecydowaniem weszli do środka. Kamienne wieko zatrzęsło się za nimi ze zgrzytem.

Skalne ściany jaskini miały właściwości fluorescencyjne. Lśniły jak rudy srebra, rozsypując cienkie promienie światła, które rozjaśniały półmrok i pozwalały na bezpieczną podróż w głąb grotu. Było gorąco. Lepkie ciepło powodowało, że skóra stawała się wilgotna i świerzbiąca. W powietrzu wyczuwało się nieprzyjemny zapach. Horris i Biggar rozpoznali go od razu, domyślając się, skąd się unosi.

Po chwili znaleźli się w najgłębiej położonych częściach jaskini, gdzie światło było ostrzejsze, panował większy upał, a smród stawał się bardziej dokuczliwy. Grota zrobiła się nagle szersza i wyższa o mniej więcej dwadzieścia stóp, ze stropu zwisały stalaktyty, które przypominały średniowieczną pułapkę zrobioną z dzid. Komnata była pusta, z wyjątkiem znajdującego się po jednej stronie zdezelowanego drewnianego łoża i równie starego, drewnianego stołu, na którym stała metalowa miednica do mycia. Łoże było nie pościelone, a miska nie opróżniona.

Obok niej znajdowała się kabałowa szkatuła.

Z najgłębszego zaułka jaskini dobiegały odgłosy krzątania.

– Czy zrobiliście to, co wam nakazałem? – zasyczał groźnie głos.

Horris odezwał się, próbując wdychać jak najmniejszą ilość przepelnionego odorem powietrza.

– Tak jak rozkazałeś.

– I jaka była odpowiedź?

– Powiedział, że to przemyśli. Lecz zarówno czarnoksiężnik, jak i pisarz robili, co mogli, by przekonać go, iż nie powinienem tu zostawać.

Rozmówca roześmiał się. Poruszył się w ciemności, podnosząc swoje ciało i rozprostowując kończyny. W rzeczywistości ciężko było stwierdzić, co się tam działo; było to w każdym razie deprymujące. Horris wrócił pamięcią do pamiętnego, pierwszego razu, kiedy to jego oczy spoczęły na owym c z y m ś, i zdał sobie sprawę, że wtedy tak naprawdę nie wiedział, co zobaczył. To coś, czym okazał się Skat Mandu, ukazywało zaledwie jakąś swoją część, kawałek ciała, nogi, ręki czy głowy – nigdy twarzy, tak że nawet jego kolor czy kształt był trudny do uchwycenia. To, co pozostawało w pamięci na dłużej, było raczej rodzajem pewnej świadomości, że istnieje, ale nie jest określonym obrazem. Pozostawało także na pewno jakieś niemiłe, przykre i budzące odrazę wrażenie.

– Czy ja cię przerażam? – łagodnie zapytał głos. W mroku spowitym dymem zamigotało coś wściekłą zielenią.

Horris pożałował nagle, że zdecydował się tu wrócić. Zastanawiał się, czy Biggar nie miał tym razem racji. To było szaleństwo – wplątywać się w uwolnienie potwora. Siedział uwięziony w kabałowej szkatule i podstępem zmusił ich, by go wypuścili. Posłużył się Biggarem jako łącznikiem, a Horrisem jako magikiem, tak jakby byli narzędziami

służącymi do zerwania krępujących go więzów. Horris Kew w głębi serca zrozumiał, że wszystko, co uczynił w związku ze stworzeniem Skat Mandu, nie było tak naprawdę jego pomysłem. Kierowało nim owo coś, zamknięte w kabałowej szkatule razem z czarodziejskimi mgłami, skazane na wygnanie.

– Co my tu robimy? – pisnął nagle zeszywniały ze strachu Biggar.

– Zrobicie to, co wam powiem – odparł głos.

Skat Mandu wyłonił się z mroku, unosząc się jak chmura dymu, która przybiera powoli znajomy, aczkolwiek jeszcze niezbyt wyraźny kształt. Jego zapach odrzucił Horrisa i Big-gara krok do tyłu. Roześmiał się niskim, zadowolonym głosem. Poruszając się, falował jak cuchnąca woda, a gdy panowała cisza, słychać było, jak świszczę, oddychając. Był potężny, tłusty i przytłaczający; wyczuwało się w nim coś dawnego i przerażającego.

– Nazywają mnie Gorse – wyszeptał niespodziewanie potwór. – Zamieszkiwałem razem z ludźmi w czarodziejskich mgłach i byłem od nich niezależny dopóty, dopóki przed wiekami mnie nie złapali i nie zamknęli w kabałowej szkatule na resztę życia. Jako czarnoksiężnik posiadałem wielką moc. Niedługo ją odzyskam, ale wy mi w tym musicie pomóc.

Horris Kew odchrząknął.

– Nie widzę nic, co moglibyśmy dla ciebie zrobić. Gorse roześmiał się.

– Więc ja będę twoim wzrokiem, Horrisie Kew. Rozumiem cię lepiej niż ty sam. Jesteś zły, że straciłeś to, do czego doszedłeś w tamtym świecie. Ale tak naprawdę to, czego najbardziej pragniesz, znajduje się tutaj. Przeraża cię własny los, ale brak odwagi nie jest żadnym problemem, gdyż to ja ci jej dodam. Tak, ja tobą manipulowałem. Byłeś moim kocim pazurem. I znowu nim będziesz, ty i ten twój ptak. Taka jest kolej rzeczy. Ludzie z czarodziejskich mgieł uwięzili mnie w kabałowej szkatule, rzucili na nią czar, którego nie można było cofnąć, siedząc w jej wnętrzu. Ktoś z zewnątrz musiał wypowiedzieć zaklęcie i wybrałem ciebie. Sprawilem, że zrodziło

się ono w twojej głowie. Kierowałem każdym twoim magicznym posunięciem. Krok po kroku wypowiadałeś zaklęcia Skat Mandu. Krok po kroku zrywałeś kłódki z łańcuchów, które mnie więziły. Kiedy byłem już przygotowany na to, by wyjść, sprawilem, by ptak wyznał, iż Skat Mandu jest jednym wielkim oszustwem. Tym samym zmusiłem cię do ucieczki, która jednak mogła się powieść pod warunkiem uczynienia mnie wolnym. Nie rozpaczaj. Stało się tak, jak się miało stać. Los złączył nas z sobą.

Horris nie był pewien, czy podobało mu się to, co słyszał. Z drugiej jednak strony, wbrew samemu sobie, intrygowała go możliwość zdobycia czegoś dla siebie.

– Masz jakiś plan związany z nami? – zapytał ostrożnie.

– Bardzo ciekawy plan – wyszeptał Gorse. – Znam wasze losy. Ty, Horrisie, zostałeś skazany na wygnanie za własną wizję czarów. Ptak zaś za bycie czymś więcej niż tym, czego spodziewał się jego stwórca.

Co dziwne, Horris i Biggar nagle zdali sobie sprawę, iż dzielają jego zdanie –

Biggarowi nie przeszkadzało nawet ciągle określanie go mianem „ptak”.

– Stanowiliście kłopot i problem dla ludzi, którzy udawali, że są waszymi sprzymierzeńcami, a którzy w rzeczywistości bali się was i zazdrościli wam. – Gorse osunął się ociężale po skalnej ścianie, zatapiając się w mroku i dymie. Poruszając się, wydawał dźwięki podobne do odgłosu noża przesuwanego po rybich łuskach. Gdyby naprawdę był czymś niematerialnym, byłoby niemożliwym usłyszeć cokolwiek. – Czy nie mielibyście ochoty zrewanżować się w jakimś stopniu tym głupcom? – zaproponował Gorse.

Horris i Biggar oczywiście nie pragnęli bardziej niczego innego. Lecz ich dystans wobec Gorse'a utrzymywał się nadal, mimo zapewnień z jego strony. Nie podobał im się ten potwór, nie mogli znieść jego widoku ani zapachu, nie potrafili psie do niego przekonać. Cały czas ich umysły zaprzętała myśl, iż najlepiej by było, gdyby mogli powrócić tam, skąd przybyli. Ale mieli na tyle rozważli, by na razie o tym nie wspominać. Chcieli się dowiedzieć czegoś więcej.

W jaskini niespodziewanie ściemniło się jak w trumnie, w której zamknięto wieko – Gorse rozciągnął się w cieniu, kradnąc światło.

– Ja będę sprawował pieczę nad czarodziejskimi mgłami, z których pochodzę, i nad zamieszkującymi je istotami. Staną się moimi niewolnikami, a kiedy mi się sprzykrzą, zamknę ich w takich ciemnościach, iż będą się bezskutecznie domagać śmierci, która mogłaby ich wyzwolić.

Horris Kew z trudem przełknął ślinę. Nie przyszło mu nawet do głowy, że może swobodnie cofnąć się o kilka kroków. Biggar wpił się pazurami w jego ramię tak mocno, iż Horris poczuł ból.

– A wam – Gorse zasyczał cicho. – Warn podaruję Landover: cały kraj wraz z jego mieszkańcami, i będziecie mogli z nim zrobić, co wam się żywnie podoba.

W jaskini zapanowała martwa cisza. Horris stwierdził nagle, iż nie potrafi normalnie myśleć. Landover? Co niby miałby z nim zrobić? Próbował się odezwać, lecz nie mógł. Próbował przełknąć ślinę, lecz także nie mógł. Był wysuszony od stóp do głów, a cały jego czarnoksiężski żywot wydał się nagle mglistym wspomnieniem ulotnym jak dym.

– Chcesz nam dać Landover? – pisnął niespodziewanie Biggar, jak gdyby nie dosłyszał.

Gorse roześmiał się chrapliwie i nieprzyjemnie.

– Nawet Skat Mandu nie był w stanie uczynić dla ciebie tak wiele, prawda? Ale by zasłużyć na ten dar, musisz zrobić to, co rozkażę. Rozumiesz?

Horris Kew skinął głową. Biggar również.

– Powiedz to! – syknął ostro Gorse.

– Tak! – wydusili jednocześnie, czując na gardle jakieś niewidzialne palce. Palce zaciskały się przez dłuższą chwilę, po czym puściły. Horris i Biggar, pogrążeni w ciszy, dławiąc się, próbowali zaczerpnąć powietrza.

Gorse cofnął się, a jego odór wydał się przez moment tak paraliżujący, iż nie można było oddychać. Horris Kew padł na kolana, zwijając się z bólu żołądka, przerażony do tego stopnia, iż byłby w stanie uczynić wszystko, byle nie poczuć się gorzej. Białe grzebienie na głowie Biggara sterczały pionowo, powieki miał zaciśnięte, a całym jego ciałem wstrząsały dreszcze.

– Mamy wrogów, którzy mogą próbować nas przestraszyć – wyszeptał Gorse głosem szeleszczącym niczym papier ścierny przesuwany po drewnie. – Musimy usunąć ich z drogi, jeśli ma się nam powieść. I wy mi w tym pomożecie.

Horris bez słowa kiwnął głową, nawet się nie zastanawiając, co mógłby powiedzieć. Żałował, że nie nauczył się wcześniej trzymać za zębami swego obdarzonego magiczną mocą języka.

– Napiszesz trzy listy, Horrisie Kew – syczał potwór. – Napiszesz je teraz. – Cień, który rzucał, przesunął się w bok, a jego wzrok lub coś co go przypominało spoczęło na Biggarze. – A kiedy on skończy, ty je zaniesiesz.

Nad Sterling Silver zapadał zmierzch, słońce skryło się za horyzontem, malując niebo na ciemny szkarłat i fiolet. Promienie kolorowego światła rysowały pasy na kłębiących się chmurach podążających na wschód. Cienie wydłużały się, stając się coraz ciemniejsze i padając na lśniąca powierzchnię murów zamkowych i jeziora, którego wody strzegły dostępu do wrót twierdzy, aż w końcu zginęły w jasnym świetle wszystkich ośmiu księżyców widocznych o tej porze roku na nieboskłonie.

Trzymając Willow pod ramię, Ben Holiday szedł po schodach do sypialni i raz po raz uśmiechał się do siebie, wciąż jeszcze powodowany radością z nowiny, iż będą mieli dziecko. Dziecko! Wydawało mu się, że zbyt rzadko wypowiada to słowo. Przyprawiało go ono o zawrót głowy, czuł się cudownie, a zarazem nieswojo. Wszyscy na zamku wiedzieli już o dziecku. Nawet Abernathy, który nieczęsto okazywał jakiegokolwiek emocje, uściskał mocno Willow na tę wiadomość. Questor od razu zaczął snuć plany związane z jego wychowaniem i edukacją w najbliższej dekadzie. Nikt nie wydał się ani trochę zdziwiony, iż oto narodzi się nowa istota, jak gdyby w Landover było to zwykłą koleją rzeczy.

Ben potrząsnął głową. Czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka? A może dwoje naraz? Może Willow już wie? Może powinien ją o to zapytać? Pragnął wiedzieć, co mógłby jeszcze uczynić oprócz ciągłego zapewniania, jak bardzo jest szczęśliwy.

Gdy dotarli na półpiętro, które przechodziło w taras, Willow pchnęła go do przodu tak, że znalazł się na zewnątrz, pod osłoną gwiazdzistego nieba. Wyszli na wieżę strzelniczą, spoglądając w dół na zatopiony w ciemnościach ład. Stañeli, nie mówiąc ani słowa, trzymając się za ręce, a cisza zbliżała ich do siebie.

– Muszę na pewien czas odejść – powiedziała szeptem Willow. Było to tak niespodziewane, iż myślał, że źle usłyszał. Nie spojrziała na niego, ale jej dłoń zacisnęła się znacząco. – Pozwól mi skończyć, zanim cokolwiek powiesz. Muszę zawiadomić moją matkę o dziecku. Musi o tym wiedzieć, by mogła wykonać dla mnie taniec. Pamiętasz, jak kiedyś mówiłam ci, że nasze wspólne życie zostało przepowiedziane przez kwiaty,

które splatając się, utworzyły symbol poczęcia? To było tej nocy, kiedy ujrzałam cię po raz pierwszy nad Irrylyn. Wiedziałam od razu, że będziesz moim jedynym. Właśnie taniec mojej matki był początkiem narodzin tej przepowiedni. – Spojrzała na niego ogromnymi oczami, które niczego nie ukrywały. – Byłe wróżki widzą przyszłość w terażniejszości, na podstawie tego, co jest teraz, potrafią wyczytać, co się stanie. To sztuka, którą potrafi każda z nas, Ben, a mojej matce przyszłość objawia się najczęściej w tańcu. Tak się zresztą stało, kiedy udałam się do niej w sprawie jednoroźca. I tak ma się stać teraz.

Wydawało się, że powiedziała już wszystko.

– Czy jej taniec powie nam coś o przyszłości naszego dziecka? – spytał zdziwiony.

Willow, wpatrując się w niego, skinęła powoli głową, a jej doskonale rysy stały się jeszcze bardziej wyraziste w świetle gwiazd.

– Nie nam, Ben. Mnie. Ona powie tylko mnie. Zatańczy wyłącznie dla mnie, a nie dla kogoś, kto nie należy do jej rodziny. Proszę, nie bądź na mnie zły. Muszę pójść tam sama.

Uśmiechnął się dziwnie.

– Mogę cię odprowadzić. Przynajmniej do starych sosen. Zaprzeczyła głową.

– Nie. Spróbuj to zrozumieć. To ma być moja podróż, nie twoja. To podróż nie tylko do krainy rzek, ale również podróż w głąb siebie samej i dlatego jest moją wędrówką. Odbędę ją jako matka naszego dziecka i jako córka istoty ongiś czarodziejskiej. Czekają nas jeszcze wiele podróży, w których będziesz mógł uczestniczyć. Teraz pójdę sama. – Dostrzegła powątpiewanie w jego oczach i zawahała się. – Wiem, że to trudno zrozumieć. To dotyczy tego, o czym próbowałam powiedzieć ci wcześniej. Noszenie dziecka i wydanie go na świat jest w Landover zupełnie czymś innym niż w twoim świecie. Te różnice wynikają z magii, na której opiera się nasza kraina i która daje życie nam, a w szczególności istotom ongiś czarodziejskim. Przebywamy w Landover po to, by się nim opiekować i leczyć go. To nasza spuścizna i nasz obowiązek.

Ben przytaknął, lecz poczuł, że coś się w nim załamało.

– Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego nie mogę z tobą pójść. Zobaczył, że coś ścisną jej gardło, a jej oczy zachodzą łzami.

– Wiem. Próbowałam znaleźć odpowiednie słowa, by ci to wyjaśnić. Ale teraz wiem, że po prostu muszę cię poprosić,

abyś mi zaufał.

– Ufam ci. Zawsze. Ale to takie trudne do ogarnięcia.

Nawet więcej. Niepokoiło go to. Nigdy nie był o nią spokojny podczas rozłąki, od czasu wspólnej podróży na Ziemię w poszukiwaniu medalionu i Abernathy'ego, kiedy to prawie umarła. Odżyły w nim wtedy wszystkie lęki związane ze śmiercią Annie, ze śmiercią ich nie narodzonego dziecka i z utratą pewnej części siebie samego, która łączyła się z tymi wydarzeniami. Za każdym razem, kiedy dane mu było się rozstać z Willow, nawet z konieczności, nawet na krótko, strach powracał. Podobnie działo się

teraz. To uczucie było jednak mocniejsze, gdyż przyczyna rozłąki była dla niego trudna do uchwycenia.

– Kiedy musisz wyruszyć? – spytał, wciąż próbując zrozumieć dlaczego. Cała jego wcześniejsza radość zdawała się z niego uchodzić.

– Jutro — odpowiedziała. – O wschodzie słońca. Jego rozpacz przybrała na sile.

– Weź chociaż Buniona ze sobą. Weź kogoś, by cię chronił!

– Ben. – Trzymała jego dłonie w swoich i przysunęła się tak blisko, iż widział swą twarz w jej oczach. – Nikt ze mną nie pójdzie. Idę sama. Nie musisz się martwić. Będę bezpieczna. Nie potrzebuję opieki. Wiesz o tym. Istoty pochodzące z czarodziejskiego świata mają swoje sposoby, by się chronić tu, w Landover. Będę przecież pośród swoich.

Potrząsnął głową ze złości.

– Nie rozumiem, jak możesz być tego taka pewna! I wciąż nie widzę przyczyny, dla której masz się tam udać sama!

Ben starał się zachować spokój, ale jego głos unosił się, przybierając ton na granicy gniewu. Odsunął się od niej, próbując tym samym złagodzić opanowujące go uczucie. Ona jednak nie miała zamiaru puścić jego dłoni.

– To dziecko jest dla nas ważne – stwierdziła łagodnie.

– Wiem o tym!

– Ciii... Matka Ziemia mówiła nam o jego znaczeniu, pamiętasz?

Odetchnął głęboko.

– Pamiętam.

– Więc zrozum, iż nasze potrzeby muszą ustąpić miejsca potrzebom dziecka – wyszeptała. – Nawet jeśli sprawiają nam ból, nawet jeśli nie są dla nas jasne, musimy się nauczyć je akceptować i zaspokajać – przerwała na chwilę. – Pragnę tego samego, czego i ty pragniesz. Wierzysz mi?

Poczuł się bezpieczniej. Wydało mu się, że i ona nie jest zbyt chętna do podróży.

– Tak, wierzę – wyznał w końcu.

– Poszedłbyś ze mną, gdyby tylko było to możliwe. Nigdy nie opuściłabym cię ani na chwilę, gdyby tak mogło być. Ale tak nie jest. Taka jest już natura naszego życia, że nie jest nam dane być razem zawsze i wszędzie.

Czekała, aż coś powie. Patrzył na nią bez słowa przez długi czas, rozmyślając. W końcu odezwał się.

– Myślę, że masz rację.

– Będzie dobrze – zapewniła.

Objęła go ramieniem i przytuliła. Wtulił twarz w jej szmaragdowe włosy i poczuł ból, że go opuszcza. Jego strach był jak czarna chmura zapędzona przez wiatr w kąt jego serca.

W Zrozumiał ponownie, jak bardzo się różnią, on – człowiek, ona – sylfida, i jak niewiele o niej wie.

– Będzie dobrze – powtórzyła.

Nie protestował, gdyż wiedział, iż nie było najmniejszego sensu. Ale nie mógł się oprzeć myśli, że powinien jeszcze raz spróbować.

KORZENIE

W drodze ze Sterling Silver Willow nie przydarzyło się nic wyjątkowego. Wyjechała pod osłoną nocy, wymykając się z zamku przez nikogo nie zauważona. Być może nocni strażnicy w jakiś sposób wyczuwali jej obecność, ale szybko dali spokój tym niepokojom, albowiem posiadała jeszcze na tyle czarodziejskiej mocy, by rozplynać się w mroku niczym cień w pełnym świetle. Używając tylnych schodów, Willow zeszła na dół i przechodząc przez puste zamkowe komnaty, minęła kolejne ciemne mury wewnętrznych dziedzińców. Następnie przeszła przez główną bramę twierdzy, której krata w czasach pokoju była zawsze podniesiona do góry, zapraszając spóźnionych podróżnych i petentów do skorzystania z pewnego i przyjaznego schronienia wewnątrz. Porzuciła myśl, żeby skorzystać z łodzi i zamiast tego przeszła przez most zbudowany przez Bena, kiedy monarchia odzyskała swoją dawną świetność, a podróżnicy ponownie zaczęli odwiedzać centrum władzy krainy. Zaczekała, aż chmury zasłonią jaskrawe światło księżyców, a strażnicy odwrócą się, aby porozmawiać o rzeczach nie mających wiele wspólnego z wyznaczonymi im zadaniami i w mgnieniu oka zniknęła.

Wychodząc z komnaty, zdecydowała się nie budzić Bena. Przez jakiś czas stała w mroku, patrząc, jak śpi, i zastanawiała się nad swoją miłością do niego. Chciała uniknąć sytuacji, w której znowu mogłyby paść jakieś przykre słowa. Będzie lepiej, gdy teraz odejdzie. Kochał ją, ale był tworem świata, w którym nie przyjmowano do wiadomości istnienia czarodziejskich istot – sam wciąż uczył się w nie wierzyć. To dlatego nie powiedziała mu wcześniej wszystkiego. Nie mogła tego zrobić.

Przez pozostałą część nocy i cały następny dzień szła, wybierając mniej uczęszczane ścieżki, nie spiesząc się ani nie zmieniając tempa marszu, starając się pozostać nie zauważona. Mijała wieśniaków na polach, którzy orali, leżeli w trawie bądź żniwowali. Widziała kupców i właścicieli obwoźnych kramów poruszających się między skupiskami ludzi na południu i wschodzie. Spotykała też komiwojażerów wracających z niegdyś zaczarowanej krainy oraz z zachodnich wzgórz, po których włóczyli się traperzy i myśliwi. Mijała też całe rodziny na wozach załadowanych dobytkiem, udające się do swoich nowych domów. Wszędzie panował ruch i krzątanie. Letnia pora wyzwalała energię i sprzyjała realizacji planów zrodzonych zimową porą. Cieszyło ją to wszystko. Twarz rozjaśnił uśmiech. Dała się prowadzić falistym wzgórzom porośniętym lasami,

niesiona niczym mały ruchomy punkcik na przeogromnym morzu zieleni, które marszczyło się na tle horyzontu jak fale tworzące się pod wpływem orzeźwiającej bryzy. Żywiła się lodygami bonnie blues, najobficiej występującym w Landover źródłem jedzenia i picia, i cicho śpiewała, gdy była pewna, że tylko ptaki i zwierzęta mogą ją usłyszeć. Miała czas, żeby przemyśleć wiele rzeczy. Zastanawiała się, czy słusznie postąpiła. Zdawała sobie sprawę, że Bena bardzo tym zmartwiła, a nawet przeraziła. Jej działanie powodowane było jednak wyższą koniecznością i nie było tu miejsca, żeby się zastanawiać, co wypada, a co nie. Musi urodzić to dziecko w sposób, jaki żąda od niej natura, a to zostało już ustalone przed wielu pokoleniami, kiedy ludzie nawet jeszcze nie istnieli. Tak czy inaczej proces narodzin czarodziejskich istot jest bez porównania bardziej złożony od narodzin ludzi, inny pod każdym względem, specyficzny dla różnych gatunków, zależny od fizycznych właściwości danej istoty i materiału genetycznego, który uczestniczył w powołaniu jej do życia. Mogła porozmawiać o tym z Benem wcześniej, kiedy jeszcze narodziny dziecka nie były sprawą nie cierpiącą zwłoki, a czasu było wystarczająco dużo, żeby uzyskać jego zgodę. Nie zrobiła tego, a teraz było już za późno. Poza tym zbyt dobrze go znała, aby wiedzieć, że jego reakcja na to, co miała mu do powiedzenia, w równym stopniu może zaszkodzić, co pomóc. Choć był królem Landover, wciąż pod wieloma względami pozostawał człowiekiem z innego świata i trudno mu było pogodzić się z rzeczami, które postrzegał jako dziwne i obce. Najtrudniej było mu, gdy w grę wchodziła ona, ponieważ kochał ją nad życie, kochał ją taką, jaka była. Wiedziała o tym i starała się, jak mogła, aby ułatwić mu nie zakończoną jeszcze przemianę.

Ostatecznie na podjęcie decyzji wpłynął sen o Matce Ziemi. Był to nie tyle sen, co widzenie, a nawet doświadczenie sensu istnienia. Czarodziejskie istoty rozmawiają z sobą w ten sposób. Często przychodzą do siebie podczas snu, aby udzielać rad lub ostrzeżeń. Ich głos dochodzący z dala podróżuje na grzbiecie chyżych wiatrów i dociera do słuchacza jako szept pośród ciszy, jasność w ciemności. Willow rozmawiała czasami w ten sposób z matką, która będąc nimfą drzew, miała tak dziką naturę, że nic nie mogło do niej dotrzeć, jeśli ona sobie tego nie życzyła. Nawet istota ongiś czarodziejska, taka jak Willow, nie potrafiła jej wytropić. Sylfida odsunęła się od swojego dawnego życia, odkąd rozpoczęła nowe u boku Bena, ale co jakiś czas to stare znajdowało sposoby, aby ją niepokoić. Przybycie Matki Ziemi było ostatnim tego rodzaju wydarzeniem.

Matka Ziemia była najpotężniejszym w Landover duchem, istotą posiadającą ogromną moc magiczną. Była tak wiekowa, jak sama kraina, stanowiła ucieleśnienie jej ducha. Niektórzy nawet wierzyli, że była stwórczynią tej krainy, lecz zdaniem Willow była ona za bardzo zasadnicza w sprawach etyki i zbyt pochłonięta pracą, aby mogło to być prawdą. Tak czy inaczej była istotą, której należało uważnie słuchać. Ben i Willow poszli do niej oboje w trakcie poszukiwań czarnego jednorożca i wtedy im powiedziała, że są kimś ważnym dla niej i że będą mieć dziecko, które stanie się kimś wyjątkowym. Nigdy więcej nie usłyszeli żadnego wyjaśnienia i wkrótce przestali o tym myśleć. Przez cały ten czas Willow nie miała żadnych wieści od Matki Ziemi.

Teraz jednak nieoczekiwanie została wezwana, w środku snu. Matka Ziemia przyszła do niej dwa razy, nakazując jej przybyć do krainy jezior, do Elderew, do ongiś

zaczarowanej krainy, gdzie duchy zjawiały się najczęściej. Miała się niezwłocznie stawić, dlatego też zdecydowała, że odejdzie, nie próbując wyjaśniać Benowi szczegółów. Bardziej ton głosu Matki Ziemi niż same słowa zmusiły ją do tego, aby porzucić rozważania i natychmiast zacząć działać.

Tę noc spędziła na brzegu jeziora Irrylyn, niedaleko zatoczki, gdzie po raz pierwszy spotkała Bena i gdzie dowiedziała się w sposób właściwy tylko istotom czarodziejskim, że są sobie przeznaczeni. Mimo braku apetytu zjadła coś, gdyż jej dziecko potrzebowało sił. Następnie ściągnęła z siebie ubranie i zanurzyła się w wody Irrylyn. Jezioro było kojąco ciepłe i wciągnęło ją w swoje objęcia. Zaczęła się unosić na powierzchni w nocnej ciszy, pod czystym niebem rozświetlonym kolorowymi księżycami i srebrnymi gwiazdami i pozwoliła osaczyć się wspomnieniom o Benie. Wciąż czuła to podniecenie, jakie wypełniło ją wówczas na jego widok. Wciąż czuła pewność, z jaką ta miłość do niej przemawiała. Byli dla siebie stworzeni i aż do śmierci mieli pozostać razem. Dostrzegła wtedy fragment ich przyszłości, gdyż był to dar (lub przekleństwo) istot ongiś czarodziejskich, i wiedziała, że ich życie zmieni się nieodwracalnie.

Tak się rzeczywiście stało. Ben, zmuszony do pozostania w Landover, porzucił swój dawny styl życia. Wiele rzeczy określało jego nowe życie, ale nic w takim samym stopniu, jak jego miłość do niej. Pozostał tu jako król i stał się przywódcą, który posiada siłę i wizję, i chociaż czasami zadreślał się, że nie jest w stanie podołać obowiązkom spoczywającym na władcy, to jednak nieprzerwanie wypełniał sumiennie swoje powinności. Większość postrzegала go jako człowieka uczciwego i skutecznego. Tylko nieliczni wciąż przechowywali wątpliwości, głównie rywale, którym się marzyła siła, którą zapewnia moc magiczna królestwa. Jednym z nich był jej ojciec, przywódca istot ongiś czarodziejskich, który sam był w posiadaniu znacznej mocy magicznej. Władca Rzek wolałby pewnie całkowicie panować nad siłami magicznymi królestwa, lecz nie był głupcem i potrafił docenić zalety rządów Bena Holidaya. Król był siłą stabilizującą, inteligentnym żonglerem przeciwnych interesów i przywódcą, który nie obawia się podejmowania ryzykownych decyzji. Chociaż sporadycznie okazywał Benowi brak zaufania jako osobie z zewnątrz, to jednak szanował go zawsze jako człowieka.

Życie Willow w krainie jezior nie należało do najszcześniejszych. Będąc córką Władcy Rzek, owocem związku, który trwał zaledwie jedną noc, ciągle przypominała wodnikowi kobietę, którą kiedyś kochał, ale której nie mógł przy sobie zatrzymać. Willow, poczęta w ciągu krótkiej znajomości, została pozostawiona przez matkę na wychowanie ojcu, gdyż nimfa drzew była zbyt dzika, aby przywiązać się do kogokolwiek, nawet do dziecka. Jej ojciec uczynił dla niej wiele, ale nie wszystko; miał dużo dzieci i większość z nich kochał bardziej niż ją. Przybycie Bena otworzyło jej drzwi do życia, o którym od dawna wiedziała, że na nią czeka i bez wahania przestąpiła ten próg. On na początku nie był przekonany, czy powinni z sobą być, a nawet – czy ją kocha. Willow natomiast nigdy nie miała wątpliwości. Z całą powagą podchodziła do przepowiedni mówiącej o ich związku. Ostatecznie to, co zostało obiecane w momencie jej narodzin, zdarzyło się. Teraz przyszedł czas na dziecko.

Wyszła z wody i stanęła na brzegu. Gładka, zielona skóra ociekała wodą, osuszana

chłodnym nocnym powietrzem. Nie była do końca szczerą z Benem. Chciała, aby matka zatańczyła dla niej, lecz zaraz potem miała zamiar szybko odejść. Nie chciała w ogóle widzieć swego ojca. Nie spodziewała się pomocy z ich strony przy narodzinach tego dziecka. Może i tego pragnęła, lecz wiedziała, że nie powinna oczekiwać od nich zbyt wiele. Powróciła do krainy jezior, aby spotkać się z Matką Ziemią, która może wejrzeć w jej duszę i pomóc jej. To zresztą wyszeptał głos we śnie, kiedy została wezwana. Musiała zatem tam podażyć, wysłuchać wszystkiego, a potem sama urodzić dziecko.

Spała długo i dobrze tej nocy, a kiedy się obudziła, zobaczyła przyglądającą się jej salamandrę.

– Cześć, mała – przywitała ją ciepło, podnosząc się na kolana.

Salamandra spoglądała na nią wielkimi, maślanymi oczami. Było to niskie, długie stworzenie o bobrowatym pyszczku, dużych, obwisłych uszach i jaszczurzym ogonie. Miało z salamandrą, która była jej przewodnikiem. Dzień był ciepły, słoneczny, a powietrze w lesie aż gęste od zapachu traw i polnych kwiatów. Po drodze mijali jeziora i rzeki, których wody połyskiwały między drzewami niczym klejnoty, a przelatujące nad ich powierzchnią czaple i żurawie były jedynie białymi plamkami światła. Szli przez cały ranek. Koło południa zbliżyli się do Elderew. Wówczas Gwizdek skręcił na wschód, by ominąć miasto Władcy Rzek, i weszli do lasu pełnego wiekowych drzew. Pnące rośliny i mchy oblepiały korę lśniącymi paskami i łatanami. Owady płały we wszystkich kierunkach, ptaki o jaskrawym upierzeniu fruwały żywo pod baldachimem drzew, a małe, puszyste gryzonie pojawiały się niczym widma i w mgnieniu oka znikwały. Bastiony kurzu unosiły się w serpentynach słonecznego światła, leniwie i bezładnie.

Willow, zbliżając się do kryjówki Matki Ziemi, przyłapała się na tym, iż ciągle zastanawia się, dlaczego duch ziemi interesuje się jej osobą. Zadowolona z tego, że ma towarzystwo i znajduje się pod czyjąś opieką, nigdy nie zapytała o to jako dziecko. Kiedy dorosła, przyjęła zapewnienia Matki Ziemi, że los wyznaczył jej ważną rolę i nie rozwijała tego tematu. Duchy często posiadały umiejętność odczytywania przyszłości, więc Willow nie miała wątpliwości, że Matka Ziemia potrafi widzieć rzeczy, które mają się zdarzyć, rzeczy ukryte przed nią. Było to dość niepokojące, że ktoś inny wie, co ci jest przeznaczone i nie chce wyjawić szczegółów. Przy niejednej już okazji miała chęć zapytać o swoją przyszłość, ale gdy przyszło co do czego, nigdy nie potrafiła się na to zdobyć. Być może był to lęk przed Matką Ziemią, która ma pieczę nad całą krainą. A może jakaś część jej samej nie chciała poznać swojej przyszłości?

Lecz teraz, gdy moment narodzin dziecka stawał się coraz bliższy, uważała, że musi wiedzieć i postanowiła, iż mimo szacunku jakim darzy Matkę Ziemię, zapyta ją o to.

Gwizdek prowadził ją przez gęstniejący las. Zostawiali w tyle zalane słońcem polany, zanurzając się coraz głębiej w półmrok matecznika, aż w końcu dotarli tam, gdzie panowała kompletna cisza, nie zakłócona przez żaden odgłos życia. Salamandra zatrzymała się wreszcie na skraju szerokiej, pustej polany. Jej środek wypełniały wody stawu, które napływały z wszystkich okolicznych strumieni – nieruchoma, czarna tafla, odbijająca baldachim pradawnych drzew.

Salamandra ociągała się jeszcze przez chwilę, patrząc do tyłu cielecym wzrokiem, po czym zniknęła w leśnej gęstwie. Willow czekała w ciszy.

Po niedługiej chwili wody stawu się zmaciły i wynurzyła się z nich Matka Ziemia. Ociekając śliskim błotem, nabierała rzeczywistych kształtów.

– Witaj, Willow – powitała sylfidę. – Jak się masz, moje dziecko?

– Dobrze – odpowiedziała Willow. – A ty, Matko Ziemio?

– U mnie bez zmian. Od czasu przybycia Bena Holidaya w kraju panuje równowaga i spokój. To znacznie ułatwia moją pracę. – Wykonała nieznaczny ruch ręką i na wodzie zamigotało nagle światelko. – Czy dobrze się wszystko układa między wami, czy wasza miłość wciąż trwa?

– Oczywiście, Matko Ziemio.

– Bardzo cieszę się twoimi słowami. Teraz będziecie mieć dziecko i dlatego cię wezwałam. Są rzeczy, o których powinnaś wiedzieć, a nie chciałam ci o nich mówić podczas snu. Przyszłaś zatem sama? Bez króla?

– Uważałam, że tak będzie lepiej. – Willow odwróciła na moment wzrok. – Niełatwo się pogodzić z rzeczami, które wydają mi się dziwne.

– Nie powiedziałaś mu o swoim porodzie? O cyklach życia, okresach wzrostu i zwyczajach czarodziejskich istot? Willow westchnęła.

– Nie potrafię chyba znaleźć sposobu, jak to zrobić. Miałam zamiar mu powiedzieć, ale kiedy pojawiłaś się we śnie, pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli z tym zaczekam.

Matka Ziemia skinęła głową.

– Może masz rację. – Jej młoda i rześka twarz musiała budzić zdumienie u każdego, kto zdawał sobie sprawę, że ona jest tak stara jak ta kraina. – Powiesz mu, kiedy będziesz uważała to za stosowne. Na razie, musimy się skupić na porodzie. Wiesz, że zbliża się jego moment?

– Czuję to, Matko Ziemio. Dziecko zaczęło się we mnie poruszać, chciałoby już wyjść. To niedługo potrwa. – Zastanowiła się. – U ludzi wygląda to inaczej. Ben oczekuje, że nasze dziecko będzie się rozwijało we mnie przez wiele miesięcy tak jak u kobiet z jego świata. Nie powiedział tego, ale potrafię to wyczytać z jego twarzy. Sądzi, że dziecko, skoro jest jego, to będzie takie jak on. Ale się myli. Ja już to czuję i nie wiem, jak mu o tym powiedzieć. – Była bliska płaczu. – Co się stanie, jeśli nie zaakceptuje tego dziecka? Co będzie, jeśli wyda mu się odrażające?

Uśmiech Matki Ziemi przepojony był życzliwością.

– Nie, Willow, tak się nie zdarzy. To dziecko należy do was obojga i zostało poczęte z waszej miłości. Poświęcił się tobie i dziecku. Nie będzie czuł do niego odrazy. Nie będzie zresztą miał powodu. Ono będzie piękne.

Oczy Willow rozblęły radością.

– Czy takie są wróżby, Matko Ziemio? Czy potrafisz to wyczytać z mojej przyszłości?

Matka Ziemia zrobiła ruch dłońmi tuż przed twarzą sylfidy i pytanie utonęło w zapomnieniu.

– Porozmawiajmy teraz o tym, co musisz zrobić, aby się przygotować do urodzenia dziecka. Okoliczności mogą cię zaskoczyć. Nie urodzisz dziecka, gdy będziesz w ludzkiej postaci. Przyjdzie na świat podczas twojego cyklu przemiany w formę duchową.

– Gdy będę wierzba – powiedziała sylfida. – Przeczuwałam, że tak może się stać. To był jeden z powodów, które powstrzymywały mnie od wyznania wszystkiego Benowi. Uważałam, że nie jest w stanie pojąć czegoś takiego.

– Nie kłopotuj się już więcej o Bena Holidaya, moje dziecko. Najważniejszą rzeczą jest teraz skupić się na tym, co musisz zrobić, aby poród się powiódł. Słuchaj uważnie. Kiedy będziesz zapuszczała korzenie, aby powić maleństwo, musisz mieć mieszankę ziemi z trzech światów. Gleba musi pochodzić z Landover, z Ziemi i z krainy czarodziejskich mgieł. Ziemie te będą odzwierciedlały dziedzictwo dziecka, mieszankę jego krwi. To dziecko jest produktem każdego z tych światów, zrodzone z połączenia istoty ludzkiej z czarodziejską.

Nieczęsto się to zdarza. To rzadkie i wyjątkowe wydarzenie. Matka Ziemia przerwała i uniosła jedną dłoń w dziwnym i zniewalającym geście. – Ziemie te muszą zostać zebrane przez ciebie, sylfido. Nikt inny nie może tego zrobić. Musisz je zgromadzić, wymieszać i zapuścić w nich korzenie, kiedy przyjdzie czas rozwiązania. Ziemie muszą pochodzić ze specjalnych miejsc na każdym ze światów, gdyż mają odzwierciedlać ich charakter, łącząc w sobie to, co najlepsze i najgorsze w istotach je zamieszkujących. W twoim dziecku znajdują się części każdego z tych trzech światów: trochę Landover, trochę Ziemi i trochę krainy czarodziejskich mgieł. Jeśli dziecko ma wyrosnąć na silne i zdrowe, jeśli ma zdobyć mądrość i rozum, jeśli ma umieć oddzielać dobro od zła, musi istnieć w nim wrodzona równowaga możliwości. Ziemia 2 tych miejsc ofiaruje tę równowagę. Ofiaruje magię, która będzie czymś trwałym i zapewniającym bezpieczeństwo.

– Magię istot czarodziejskich? – zapytała z niedowierzaniem Willow.

– Tę i każdą inną. Linia dziedzictwa tego dziecka jest długa i złożona. W jego żyłach płynie krew tych mieszkańców krainy jezior, którzy niegdyś należeli do zaczarowanego świata. Skoro w tobie jest ta krew, to musi być również w twoim dziecku.

Napięta twarz Willow wyrażała przerażenie.

– Czy muszę udawać się do tych światów, aby zdobyć ziemię, Matko Ziemi? Nie jestem w stanie tego dokonać. Nie mogę wstępować do krainy czarodziejskich mgieł ani nawet wyjechać z Landover do świata Bena, jeśli on mnie tam nie zabierze. Potrzebny byłby królewski medalion. Musiałabym więc przenieść się wraz z Benem.

– Nie, sylfido, on nie może się zabrać z tobą na tę wyprawę. Sama to powiedziałaś, pamiętasz? – Oblicze ducha ziemi wyrażało jednocześnie uprzejmość, smutek, zaciętość i zdecydowanie. Była to tak dziwna mieszanka emocji, że Willow aż się cofnęła. – Wysłuchaj uważnie tego, co ci teraz powiem. To będzie trudne, ale możesz liczyć na pomoc. Dzieją się tutaj rzeczy, których nawet ja do końca nie rozumiem. Jedno jest jednak pewne: twoje dziecko musi mieć ziemię, którą opisałam. Musisz zrobić tak, jak ci

powiedziałam. Sama. Twój lęk nie może cię powstrzymać. Musisz być dzielna i wierzyć w siebie. Od tego zależy życie twojego dziecka.

Willow nagle zbladła, przerażona ogromem zadania, które przed nią stało. Ben nie mógł jej pomóc. Któż zatem mógł?

– Rozpoczniesz przy starych sosnach, gdzie chodzisz patrzeć, jak tańczy twoja matka – mówiła półgłosem Matka Ziemia. W ciszy panującej na polanie jej głos rozchodził się szmerem nad bagnistym rozlewiskiem, w którym stała. – Dopilnuję, żebyś tam bezpiecznie dotarła. Pierwsza ziemia ma pochodzić z krainy jezior, gdzie w pojedynczym ziarenku można znaleźć to, co najlepsze i co najgorsze w Landover. Z polany, na której tańczy twoja matka, weź woreczek ziemi. Kiedy skończysz, spotkasz kogoś, kto będzie twoim przewodnikiem w wyprawie do świata Bena.

– Kogo tam spotkam, Matko Ziemi? – zapytała łagodnie Willow. – Kto to będzie?

– Nie jest mi jeszcze dane to widzieć – brzmiała odpowiedź. – Na razie tylko tyle mogę ci powiedzieć. Twój przewodnik będzie pochodził ze społeczności czarodziejskich istot, którym również bardzo zależy na bezpiecznych narodzinach twego dziecka. Odwiedzałam ich w snach i dowiedziałam się, że tak właśnie jest. To dziecko, pierworodny królewskiej pary – człowieka i istoty czarodziejskiej – również dla nich jest kimś wyjątkowym i uczynią wszystko, aby je ochronić. Dlatego też oddadzą jednego spośród siebie jako przewodnika, kogoś, kogo czary pozwolą ci bezpiecznie przejść najpierw do świata Bena Holidaya, a następnie do ich własnego. Twój przewodnik będzie wiedział, gdzie cię zaprowadzić, abys znalazła ziemię, której potrzebujesz. Lecz, dziecko moje, przyjmij ostrzeżenie – dodała szybko, zmieniając głos, który brzmiał teraz tajemniczo. – Ludzie z czarodziejskiej krainy, cokolwiek robią, zawsze trzymają coś w sekrecie i jeśli chodzi o nich, nic nie jest naprawdę takie, na jakie wygląda. Będą mieli swoje powody dla udzielenia tobie pomocy, inne od tych, które wyjawia. Nie przyjmuj wszystkiego bezkrytycznie. Nie sądź, że znasz już całą prawdę. Bądź roztropna. Udziela ci pomocy, której obiecali; tego możesz być pewna. Dopilnują, aby dziecko urodziło się bezpiecznie. Cała reszta stoi jednak pod znakiem zapytania, więc działaj ostrożnie.

– Nie możesz mi wyjawiać niczego więcej?

– Powiedziałam ci wszystko.

– Tak wiele jest rzeczy niepewnych w tej podróży, Matko Ziemi – wyszeptała sylfida.
– Boję się.

Matka Ziemia westchnęła i dotarł do nich odgłos wieczornego wiatru, szumiącego wysoko w drzewach.

– Ja też się boję o ciebie, moje dziecko.

– Muszę zatem iść?

– Jeśli chcesz bezpiecznie urodzić dziecko, to musisz. Willow skinęła z rezygnacją głową.

– Bardzo tego chcę. – Spojrzała na drzewa, jakby spodziewając się, że zobaczy tam coś, co jest przed nią ukryte. – Ile mam czasu na całą podróż?

– Nie wiem.

– A dziecko? Ile czasu zostało do narodzin dziecka?

– Tego też nie wiem. Jedynie dziecko wie. Ono zdecyduje, kiedy jest właściwy dla niego czas. Musisz być gotowa, gdy ta chwila nadejdzie.

Nagle sylfida poczuła, jak rozpacz ściska jej gardło.

– Czy potrafisz przewidzieć miejsce rozwiązania? Czy możesz powiedzieć mi przynajmniej tyle?

– Nawet tego nie — odpowiedziała ze smutkiem Matka Ziemia. – Dziecko wybierze również miejsce swych urodzin. Willow walczyła z przepełniającym ją uczuciem rozpacz.

– Wygląda na to, że o niewielu rzeczach będę mogła decydować. Wszystkie decyzje będą podejmowane przez innych. – Nie była w stanie ukryć goryczy w głosie. – Jestem matką tego dziecka. Noszę je w sobie. To ja mam dać mu życie. Nie mam jednak prawie nic do powiedzenia w sprawie jego urodzin.

Matka Ziemia nie odpowiadała. Stały naprzeciw siebie na cichej polanie. Słońce zaczynało się powoli staczać z równoważni południa ku zachodowi, a wody stawu pomiędzy nimi odbijały ich kształty jak w źle wydmuchanym szkłe. Willow zaczęła się nagle zastanawiać, czyjej własne przyjście na świat było tak skomplikowane. Czy to właśnie nie przyczyniło się tuliło decyzji matki o zostawieniu jej ojcu, do porzucenia troski o nią, do zrzeczenia się bólu związanego z wychowaniem, jeśli ból przy samych narodzinach był straszny? Nie było oczywiście sposobu, żeby poznać prawdę. Jej matka nigdy tego nie robi. Zaraz potem przypomniało jej się, jak zostawiła Bena, wymykając się bez pożegnania, i teraz żałowała, że go wtedy nie obudziła.

Wyprostowała się. Trudno. Druga okazja może się nie nadarzyć tak szybko, więc lepiej się nad tym dłużej nie zastanawiać.

– Żegnaj, Matko Ziemi — powiedziała, bo nic innego nie mogła powiedzieć. – Będę pamiętała o tym, co mi powiedziałaś.

– Żegnaj, Willow. Bądź dzielna, moje dziecko. Wszystko pójdzie dobrze.

Prawie tych samych słów użyła sama, zwracając się do Bena. Wszystko pójdzie dobrze. Słowa dopadły ją, aby z niej zakpić. Willow uśmiechnęła się blado i ironicznie. Odwróciła się i odeszła.

Kiedy na skraju polany się odwróciła, Matki Ziemi już nie było.

W SZPONACH MAGII

Kiedy Ben Holiday obudził się tego ranka i odkrył, że Willow nie ma, był niezadowolony. Oczywiście mówiła mu wcześniej, że będzie musiała odejść, więc jej

nieobecność nie zaskoczyła go. Nawet rozumiał, dlaczego odeszła bez pożegnania; prawdopodobnie obawiała się jego reakcji. Mimo tych wszystkich wyjaśnień, nie poczuł się wcale lepiej. Po prostu nie lubił się z nią rozstawać, nawet z ważnych powodów, a nie był pewien, czy te odwiedziny są jednym z nich. Wtedy, gdy mu wyjaśniała, co zamierza zrobić, wysłuchał jej uważnie i starał się spojrzeć na wszystko bez uprzedzeń, lecz w końcu i tak z tego wszystkiego niczego nie rozumiał. Dlaczego musi iść sama? Dlaczego musi iść właśnie teraz?

Nie opuszczało go wrażenie, iż coś przed nim ukrywa.

Mógł tak siedzieć nawet cały tydzień i zmagać się z myślami, gdyby nie to, że znowu cały dzień miał wypełniony spotkaniami, nie ustawał bowiem w swoich próbach znalezienia sposobu na bycie dobrym królem. Nie było to takie proste, jak się wydawało. Po pierwsze, jego zarządzanie Landover wiązało się z rewolucją kulturową. W magicznym królestwie ustrój feudalny funkcjonował od wieków (według pieczołowicie sporządzanych zapisów historycznych Abernathy'ego), podczas gdy Ben Holiday został ukształtowany przez coś, co w jego świecie uchodziło za demokrację. Od pierwszego dnia niemalże instynktownie szukał takiego sposobu rządzenia, który znał i w który wierzył. Mieszkający w jego duszy prawnik chciał, by prawo i porządek stanowiły kamienie węgielne rządów i żeby została zagwarantowana sprawiedliwość ludzi, dla ludzi i przez ludzi. Przybywając jednak do obcego kraju, nie można tak po prostu narzucić nowego systemu. Byłaby to szybka i pewna droga do anarchii. Tam, skąd przybył, z upodobaniem powtarzało się, że trzeba funkcjonować w obrębie systemu.

Ben zabrał się zatem wcześniej do pracy nad budową życzliwej dyktatury (wciąż nie brzmiało to zbyt dobrze, ale i tak było to najlepsze określenie, które mógł wymyślić). Oczywiście akcent miał padać na pierwszy człon określenia. Sztuka polegała na tym, aby wprowadzić zmiany, na których mu zależało, tak aby to nie zwróciło niczyjej uwagi. Ludzie chętniej przyjmują zmiany, kiedy nie są ich świadkami. Stąd też Ben Holiday musiał nieustannie balansować na linie. Rzecz jasna po dwóch latach radził sobie z tym całkiem nieźle.

Proces ten był tak zawily, że tylko Questor i Abernathy naprawdę wiedzieli, co się dzieje. Jako najbliżsi doradcy monarchy (nie licząc Willow), byli wtajemniczeni właściwie we wszystkie sprawy królestwa. Większość pomysłów Bena popierali, choć zależało im na tym, aby te nieco rewolucyjne zmiany wprowadzać z większą ostrożnością i umiarem. Odkąd Ben został zaakceptowany i zyskał opinię prężnego króla, którego nie tak łatwo usunąć, kolejnym krokiem musiało być doprowadzenie wojujących frakcji do zawarcia jakiejś zgody. To oznaczało wymuszenie przynajmniej pozorów współpracy od tak odmiennych populacji, jak przybysze z krainy czarodziejskich istot, ludzie, koboldy czy skalne trolle, nie wspominając różnych mniejszych grup, z których każda chciała się rządzić swoimi prawami. Łącząc groźby, obietnice i przekupstwa, Ben zdawał się odnosić sukcesy w tych zabiegach. Król musiał być swego rodzaju czarodziejem – z całym szacunkiem dla Questora Thewsa – i wielu rzeczy się uczyć w trakcie pracy. Dlatego czasem warto było stać twardo przy własnym zdaniu, aby innym razem pójść na kompromis. Trzeba wiedzieć, kiedy się nagiąć, a kiedy nie wolno ustąpić ani na krok.

Ben lubił mawiać, że praktyka prawnicza jest dobrym przygotowaniem do posady króla.

Tak w obecnej chwili miały się sprawy pod panowaniem Bena Holidaya, ostatniego króla Landover, w miejscu, o którym każdy rozsądny człowiek, widząc je pierwszy raz, powiedziałby, że nie może w żaden sposób istnieć. Król wciąż miał decydujący głos we wszystkich sprawach, zwłaszcza

w sporach pomiędzy mniejszymi władcami i przywódcami różnych ludów królestwa. Jako że Ben zdołał ostatecznie zyskać solidne poparcie w całym kraju oraz że miał za sobą potęgę oręża Paladyna, prawie nikt nie próbował nawet myśleć o zbrojnym wystąpieniu przeciw niemu. Z drugiej jednak strony musiał uważać, aby w żadnym z lordów nie wywołać poczucia zagrożenia. Stąd też tam, gdzie było to uzasadnione i sensowne, należało pozwolić im rządzić. Specjalny rodzaj królewskiej magii był angażowany tam, gdzie trzeba było wymóc na nich działania, jakich sobie życzył.

Ben dosyć wcześnie powołał do życia serię komitetów doradczych, które miały nadzorować takie dziedziny gospodarki, jak zarządzanie zasobami naturalnymi (ziemia, woda, powietrzem i magią – bo to magiczne królestwo!), handel i transport, wymiana walut, prace publiczne (budowa i naprawa dróg oraz zarządzanie terenami królewskimi), a także rewizje sądowe (powtórne rozpatrywanie sporów cywilnych i wykroczeń przeciwko prawu karnemu). W każdej części królestwa wyznaczył urzędników administracji państwowej, których zadaniem było nadzorowanie funkcjonowania tego wszystkiego. Co jakiś czas wzywał ich do Sterling Silver w celu zdania relacji z ich działalności oraz wyrażenia opinii na temat tego, jak taki system rządzenia można wzmocnić. System ten nie był idealny, obywatele Landover – niezależnie od tego, czy byli tego świadomi, czy nie – uczyło się uczestniczyć w rządzeniu państwem. Ten proces wymagał czasu, lecz zdaniem Bena sam mógł się rozwijać. Jeszcze do niedawna ludy z krainy jezior i z Greenswardu nie chciały mieć z sobą nic wspólnego, a dzisiaj pracują razem, rozwiązując wspólne problemy związane z zachowaniem i ochroną zasobów wodnych oraz efektywnym wykorzystaniem terenów rolnych. Nakłonił ich do wzajemnej wymiany wiedzy i doświadczeń oraz zdołał przekonać, aby się zastanowili nad wzajemnymi uprzedzeniami. Sprawił, że ich postępowanie było tak dobre, jak nigdy wcześniej.

Porównując wszystko z tym, co było na Ziemi, to pod wieloma względami wyglądało to bardzo prymitywnie. Patrząc z innego punktu widzenia, sukcesem było samo rozpoczęcie wprowadzania zmian po tak długim okresie upadku. Ben był bardzo ostrożny przy doborze wiedzy, jaką chciał przeszczepić ze swojego starego świata. Ograniczał się właściwie do podstawowych rzeczy, na przykład zasad higieny i nowych technik uprawy roli i hodowli zwierząt. Trzymał się z daleka od rzeczy, które mogły prowadzić do drastycznych zmian, a nawet mogły wyrządzać zło – myślał tu o wynalazkach rewolucji przemysłowej czy prochu strzelniczym. O niektórych rzeczach wiedział za mało, aby móc je wprowadzić, i to ograniczało jego możliwości wyboru. W duszy był jednak prawnikiem – nie inżynierem, chemikiem, lekarzem czy przedsiębiorcą. Być może – myślał sobie czasami – dobrze się stało, że jestem właśnie nim.

Poza tym na Landover było coś cennego, czego nie było w jego starym świecie, a co należało uwzględnić w równaniu. Landover posiadało magię. Prawdziwą magię, taką, która zmienia świat równie skutecznie, jak elektryczność. Landover był nią przepojony. Wielu jego mieszkańców praktykowało ją w takiej czy innej formie, a jej wykorzystywanie redukowało potrzebę istnienia wielu spośród tych rzeczy, które na starym świecie Bena wprowadziła kiedyś nauka. Nie było zatem rzeczą prostą, jak to na początku się wydawało, określić i pokategoryzować plusy i minusy królestwa Landover, wszystkie jego za i przeciw, dobre i złe strony.

Tak czy owak program zajęć Bena Holidaya podczas pierwszego dnia nieobecności Willow był tak napięty, że nie pozwolił mu roztkliwiać się nad sobą z powodu jej odejścia i dopiero po późnej kolacji, kiedy mógł wreszcie odpocząć w sypialni, jeszcze raz stawiał czoło demonom swego niezadowolenia. Wyszedł na balkon komnaty i wpatrywał się przez dłuższy czas w oświetlony gwiazdami krajobraz, próbując zdecydować, jak ma się zachować w tej sytuacji. Oczywiście mógł się za nią udać. Bunion był prawdopodobnie w stanie wytropić ją w każdej chwili. Wiedział jednak, jak tylko zaczął rozważać ten pomysł, że nigdy nie zrobiłby czegoś, czego Willow sobie nie życzy. Zastanawiał się, czy nie skorzystać z krainoglądu, dziwnego urządzenia, które pozwalało mu się udać w podróż nad Landover i znaleźć wszystkich i wszystko, co tylko można było znaleźć, nie opuszczając zamku. Nieraz używał go, aby zobaczyć, co się dzieje na odległych terenach kraju. Kusilo go to, ale w końcu poniechał tego. Użycie krainoglądu w tej sytuacji za bardzo by przypominało szpiegowanie. Co się stanie, jeśli zobaczy coś, czego nie powinien widzieć, coś, co ona wolałaby ukryć przed nim? Kiedy się kogoś kocha, to nie ucieka się do podstępów.

W końcu poszedł spać, ale przez większą część nocy leżał w łóżku, myśląc o niej.

Drugi dzień minął bardzo podobnie do pierwszego, z wyjątkiem tego, że musiał spędzić dużo czasu z delegacją skalnych trolli, przekonując ich do pomysłu wywożenia części rud poza teren Melchoru i sprzedaży ich innym. Trolle upierały się przy wykuwaniu wszystkiego we własnych piecach i chciały decydować o rodzaju asortymentu, który ma być kupowany. Skutkiem tego kolacja wypadła jeszcze później i w rezultacie poszedł spać dopiero po północy. Kiedy w końcu wczółgał się pod pościel, był tak zmęczony, że prawie już spał, kiedy przewracając się po raz ostatni, natrafił ręką na kartkę papieru wetkniętą pod poduszkę.

Poderwał się natychmiast i usiadł. Nie wiedział dlaczego, ale był natychmiast pewien, że to coś ważnego. Zapalił jedną z lamp przy łóżku, dotykając jej ręką – zamek czuwał, nawet gdy on spał, i był gotów odpowiedzieć na każde jego życzenie. Przesunął papier w obręb koła tworzonego przez nikły płomień lampy. Kartka była złożona na czworo. Rozłożył ją ostrożnie i przeczytał:

Holiday,

jeślibyś chciał się czegoś dowiedzieć o magii, której zgubna moc zawisła nad Landmer, magii tak groźnej dla naszego kraju, że nawet mnie samego to przeraża, spotkaj się ze

mną w Sercu za dwa dni, w noc poprzedzającą now księżycą. Przybądź sam, tak jak i ja to uczynię. Gwarantuję ci bezpieczne przejście i rękę, że nie spotka cię nic złego.

Strabo

Ben wytrzeszczył oczy. W głowie kłębiło mu się od przypuszczeń. Smok Strabo potrafi pisać? Jak się tutaj dostał? Przecież smok nie zdołałby precyzyjnie się przez okno komnaty. Opanował się i spróbował jeszcze raz się zastanowić. Smok nie mógł tego napisać. Ani dostarczyć. Ktoś inny musiał to zrobić za niego. Oczywiście, jeśli ten list był naprawdę od niego. Jeśli to nie był jakiś dowcip. Najprawdopodobniej tak właśnie było. Strabo nigdy przedtem do niego nie pisał, nawet się z nim nie kontaktował. Strabo, ostatni smok w Landover, samotnik, melancholik i zrzęda, który zamieszkiwał leżące daleko na wschodzie pustkowiec zwane Ognistymi Źródłami; on nawet nie lubił Bena Holidaya i przy niejednej okazji dał do zrozumienia, że nie posiadałby się z radości, gdyby już do końca życia mógł nie oglądać go na oczy. Cóż zatem miał znaczyć ten list?

Ben przeczytał go jeszcze dwa razy, próbując wyobrazić sobie smoka mówiącego te słowa. Nie było to takie trudne. List był napisany w jego stylu. Jeśli smok rzeczywiście chce się z nim spotkać, to zagrożenie, przed którym ostrzega, musi być naprawdę poważne. Ben odrzucił możliwość ataku na jego osobę. Strabo nie miał interesu szkodzić mu, a nawet gdyby miał, to nie zwracałby sobie głowy wysyłaniem kartki, aby go wywabić, lecz zwyczajnie poderwałby się do lotu i ruszył przeciw niemu. To, że prosił Bena, aby przyszedł sam, zgadzało się z jego charakterem. Strabo ogólnie nie przepadał za ludźmi i wolał, aby takie spotkanie było utrzymane w tajemnicy. Poza tym był dość honorowy na swój własny, osobliwy sposób i jeśli przyrzekał mu bezpieczne przejście, to danego słowa musiał dotrzymać.

Mimo wszystko cała ta sprawa napełniała Bena niepokojem.

Przyjść samemu? O północy?

Jeszcze raz przeczytał list i nie doszukał się niczego nowego. Usiadł, podparty o masywną, żelazną ramę łóżka, podsunął sobie pod plecy poduszki i zaczął analizować sytuację. Wiedział, co by powiedzieli Questor i Abernathy. Wiedział, co dyktuje rozsądek. Było jednak w tym liście coś, co nie pozwalało mu zlekceważyć go i przejść do porządku dziennego. Wiadomość ta niepokoiła go, wywoływała wrażenie, iż byłoby rzeczą nieostrożną zlekceważyć to ostrzeżenie. Szósty zmysł podpowiadał mu, że coś w tym musi być, że nie należy tego ignorować. Strabo nie działał bez powodu i jeśli czuł, że nad Landover zawisło jakieś niebezpieczeństwo, to prawdopodobnie miał rację.

Cóż zatem ma uczynić?

Poszedł w końcu spać, nie podjawszy decyzji. Myślał o liście cały następny dzień. Myślał o tej sprawie między spotkaniami i konferencjami, w czasie posiłków i podczas czytania dokumentów, a także wtedy, gdy późnym popołudniem przed kolacją biegł wokół zamku; nie zaniedbywał bowiem swoich treningów nawet teraz, mając jak zawsze Buniona za cichego, niewidzialnego opiekuna.

Tej trzeciej nocy od odejścia Willow udał się na spoczynek ze sprawą, która wciąż czekała na rozwiązanie.

Lecz raniem zdecydował się pójść. Musi podjąć ryzyko, jakie się z tym wiąże, bo a nuż list i ostrzeżenie mogą się okazać prawdziwe. Poza tym, przekonywał sam siebie, ryzyko nie jest aż takie wielkie. Serce było oddalone tylko kilka godzin jazdy konno. Weźmie do ochrony konny patrol straży królewskiej. Nikomu nic nie powie do czasu, gdy będzie gotowy do drogi. W ten sposób utrzyma Questora, Abernathy'ego i koboldy z dala od tej sprawy. Gdy dotrze do Serca, odeśle strażę, na polanę wyjdzie sam i spotka się ze Strabo, jeśli smok tam będzie, i zdąży wrócić jeszcze przed świtem. Nie było to trudne, a przy tym będzie mógł w ten sposób zająć się czymś, zamiast stać i zastanawiać się, co powinien zrobić!

W tym wszystkim istniał czynnik decydujący, chociaż nie lubił zbytnio podkreślać jego roli. Gdziekolwiek by się znalazł i jakiegokolwiek niebezpieczeństwo mogło mu zagrozić, zawsze był chroniony przez Paladyna. Królewski szermierz był najpotężniejszą istotą w państwie, a jedynym celem, dla którego istniał, było czuwanie nad bezpieczeństwem monarchii. W ciągu jednej chwili mógł go wezwać. Żeby się pojawił wystarczyło jedynie, aby chwycił za medalion, który zawsze nosił na szyi, medalion z wygrawerowanym wizerunkiem rycerza wyjeżdżającego konno o wschodzie słońca ze Sterling Silver. Chwycić za medalion, przywołać Paladyna, a rycerz duchów i cieni zjawiał się tam natychmiast.

Problem z Paladynem polegał na tym, że tym okutym w zbroję królewskim szermierzem tak naprawdę był sam król. A może raczej druga strona króla. Lub jeszcze dokładniej, druga strona tego, kto w danym momencie był królem. Oznaczało to, że Paladyn był w istocie drugą stroną Bena, ciemną, niszczącą stroną zrodzoną w jakiejś otchłani bytu, do której istnienia on sam wolałby się raczej nie przyznawać. Ona jednak istniała i unosiła się w powietrzu gdzieś na obrzeżach jego świadomości. Ben zmagał się z tą wiedzą od momentu odkrycia prawdy o Paladynie. Był on maszyną do zabijania, która służyła wszystkim królom Landover od samego początku istnienia monarchii, był tworem czarodziejskich istot mającym chronić władcę, którego wprowadzili na urząd, aby chronił przed intruzami bram do czarodziejskiego świata. Paladyn brał udział w każdej bitwie, w jakiej uczestniczyli liczni i jakże różni władcy, walczył w obronie każdej sprawy, stawiał opór każdemu napastnikowi. Wielokrotnie był wyzywany na pojedynek. Nigdy nie przegrał. Umierał tylko wtedy, gdy umierał król. Rodził się na nowo, gdy koronowano nowego króla. Był nieskończoną, wieczną istotą, która żyła tylko po to, aby walczyć, a walczyła, żeby zabijać.

I stanowił integralną część Bena Holidaya nie tylko jako króla, ale jako istoty, która jest zdolna do celowego i kontrolowanego niszczenia. Ben dość wcześnie odkrył, że wcielanie się w Paladyna, zlanie w jedną całość jest w takim samym stopniu zasługą ciemnej strony jego człowieczej natury, co efektem magicznych sztuczek czarodziejskich istot. Był Paladynem w sporej części, ponieważ Paladyn był w rzeczywistości drugą stroną jego samego, stroną, którą do czasu zostania królem Landover, trzymał ostrożnie pod kluczem.

Mógł więc być pewny, że w razie potrzeby Paladyn przybędzie na ratunek. Wzywanie mrocznego wojownika zawsze jednak przychodziło mu z ciężkim sercem. Było ostatnią deską ratunku, jak sobie ciągle powtarzał, lecz było czymś, co mógł zrobić, jeśli był do tego zmuszony. Nie wierzył, jak kiedyś, że nigdy więcej tego nie zrobi.

Czwartego dnia do wszystkich spraw podchodził z dystansem. Stał prawie cały czas obok siebie i obserwował Bena Holidaya w roli króla. Czuł się z powodu tego, co robi, dość dziwnie – nikomu nie powiedział o swoich planach na nadchodzącą noc. Ku swemu zdziwieniu nie wzbudził w przyjaciółach żadnych podejrzeń. Dla Questora Thewsa i Abernathy'ego jego zachowanie wydawało się normalne, nawet wówczas, gdy w ciągu dnia coś przebiegło niezgodnie z planem. Zdawało się, że nikt niczego nie podejrzewa. Wypełnił do końca swoje codzienne obowiązki, zjadł kolację, udał się do swojej komnaty, usiadł i czekał.

Gdy zrobiło się już prawie ciemno, zszedł na dół do stajni, kazał osiodłać Jurysdykcję, ulubionego wierzchowca, wielkiego, gniadego wałacha, następnie wezwał konwój złożony z sześciu ludzi i ruszył. Zrobił to po cichu, nie powiadamiając nikogo i udało mu się wysliznąć nie zauważonym. Patrole opuszczały Sterling Silver i powracały do niego cały czas; jeden więcej wyjazd o zmierzchu nie zwrócił szczególnej uwagi. Pewnie i Bunion udał się już na spoczynek, wiedząc o swoim porannym biegu z Benem. Noc była typowo letnia – leniwa, ciepła – i miało się wrażenie, że świat jest w jak najlepszym porządku i że sen jest tylko ziewnięciem i głębokim, powolnym wydechem. Ben i jadaça za nim po moście straż widzieli, jak Sterling Silver lśni w pełnym blasku światła gwiazd na tle rozmazanej ciemności. Jak migocze refleksami, które pozostawały wciąż widoczne, nawet gdy wspinali się na porośnięte lasami zachodnie wzniesienia, aż w końcu rozmywa się za zamykającą się za nimi ścianą drzew.

Jechali szybko, Ben wciąż zwiększał tempo, niespokojny o to, czy aby zdąży dotrzeć do Serca przed północą. Kierował się gwiazdami i własnym poczuciem upływu czasu. Od czasu przybycia na Landover nauczył się żyć bez zegarów i teraz potrafił podać czas starymi sposobami – odczytując znaki na niebie, patrząc na długość i pozycję cieni na ziemi, analizując ruch i temperaturę powietrza, czy badając rosę zgromadzoną na trawie. Odkrył, że jego zmysły stały się bardziej wyostrzone na tym świecie. Może zawdzięczał to temu, że tylko na nich mógł polegać. Miał na sobie czarne ubranie, wysokie buty i czarną kolczugę stworzoną przez Questora Thewsa z czarów i żelaza, aby była lekka jak światło, a jednocześnie bardzo wytrzymała. Nosił bezcenny medalion królów Landover oraz długi nóż. Z tyłu do pleców miał przymocowany pałasz, albowiem król winien w czasie nocnych wypadów i patroli być uzbrojony. Na dłoniach miał rękawice do konnej jazdy, a wokół szyi owinięty był ciemną chustą chroniącą go przed kurzem.

Na razie nie było wiatru, powietrze jakby zamarło, a noc była duszna i parna. Kiedy zwalniał, owady zaczynały brzęczeć wokół głowy, więc starał się jechać szybkim kłusem, a kiedy droga była dostatecznie oświetlona, nawet cwałem. Minał nów, pozbawiając krainę większości nocnego światła. (W Landover nowiem nazywano sytuację, kiedy kilka z jego ośmiu księżyców schowanych było poza linią horyzontu, a kilka innych wchodziło w swoje ciemne fazy. Ben nigdy dokładnie nie rozgryzł, jak to się działo, potrafił tylko

powiedzieć, czy już jest, czy nie, a zdarzało się to mniej więcej raz w miesiącu.) Jedynym źródłem światła były gwiazdy, które migotały na całym bezchmurnym niebie niby labirynt połyskujących szpilek, który, jak się zdawało, został tam umieszczony tylko po to, by rozbudzać marzenia u tych, którzy podnieśli do góry wzrok. Ben tak właśnie zrobił, gdy drzewa na tyle się przerzedziły, że stało się to możliwe, lecz jego myśli tej nocy były pochłonięte czekającym go spotkaniem.

Czas mijał szybko, wciąż jednak brakowało całej godziny do północy, gdy jeźdźcy zbliżyli się do Serca. Ben zatrzymał patrol, pozwolił straży zejść z koni i kazał im czekać na siebie w tym miejscu. Dalej pojechał sam. Gdy znalazł się w odległości około kilkuset metrów od miejsca przeznaczenia, zeskoczył z Jurysdykcji, zostawił konia, aby mógł się swobodnie paść, i dalej poszedł pieszo.

Idąc przez ciemny las, miał wrażenie, że jest zupełnie opustoszały i chociaż próbował przeniknąć grobową ciszę, nie usłyszał ani jednego znajomego dźwięku. Leśne zapachy, ostre i upajające, sprawiały, że myślni wędrował w inne miejsca i inny czas, powracał do wydarzeń, które kiedyś wydawały się doniosłe, a teraz były jedynie wspomnieniami cegiełek użytych do budowy jego życia. Szedł swobodnie, nie troszcząc się o swoje bezpieczeństwo; dziwne, ale nie czuł zagrożenia. Być może brało się to z uczucia spokoju, którym nastrojała go ta letnia noc. Może to obecność medalionu, który nieustannie przypominał o sile dziedziczonej przez królów Landover. A być może brało się to po prostu stąd, że nie było żadnego zagrożenia. Szedł w kierunku Serca, jak gdyby wybrał się na kolejny nocny spacer po swoich ogrodach, spacer, który miał się zakończyć pójściem do łóżka i powitaniem rano nowego dnia.

Dotarł do Serca tuż przed północą. Zatrzymał się na chwilę przy ustawionych rzędami białych kłęcznikach i ławach z oparciami obitymi aksamitem, patrząc w stronę jasnego, dębowego podestu i wypolerowanych, srebrnych masztów ze zwisającymi proporcami. Panowała cisza, a polana wydawała się pusta. Nic się nie poruszało; nie było słyhać nawet szmeru wiatru. Wspomnienia tego wszystkiego, co się tutaj kiedyś wydarzyło, przyszły i odeszły. Ben oglądał to jeszcze przez moment, po czym skierował się przejściem między ławkami w stronę podestu.

Podmuch wiatru musnął jego policzki i przepadł. Bądź ostrożny.

Był prawie przy scenie, kiedy na prawo od niego, zupełnie znikąd, pojawiła się ciemna postać, podnosząc się, jak mu się zdawało, prosto z ziemi. Zatrzymał się. Poczuł, jak zimny dreszcz przebiega mu wzdłuż kręgosłupa, a żołądkiem wstrząsa silny skurcz. Ciemną postać w długich szatach skrywał cień, który nie zdradzał jej wizerunku.

– Król-marionetka – przywitał go znajomy głos.

Nocny Cień!

Ben zamarł. Skąd Nocny Cień tutaj? Czarownica z Wielkiej Czeluści nie była bynajmniej jego przyjaciółką, a skoro się tutaj znalazła, to należało przypuszczać, że spotkanie jest jednak zasadzką.

Zbliżyła się kilka kroków, wysoka i władcza. Teraz światło ukazało jej rysy – szczupłą, zimną twarz bez jednej zmarszczki, kruczoczarne włosy z białym pasemkiem, wąskie

ramiona i długie, cienkie ręce.

– Dlaczego posłałeś po mnie? – syknęła na niego głosem zimnym i rozgniewanym. – Co to za magia, która zagraża mojemu domowi?

Ben wpatrywał się w nią, nie mogąc wydobyć głosu z gardła. Ja miałbym posłać po nią? O czym ona mówi? Znalazł się tutaj, ponieważ Strabb go wezwał! Jakaż grę ona prowadzi?

– Nie posyłałem po... – zaczął.

– Ty dokuczliwy... – chciała powiedzieć.

W tym momencie padł na nich cień z góry, a niebo zasłoniło ciemne cielsko Strabo. Smok ostrożnie wylądował tuż obok podestu, zwijając długie, gadzie ciało i składając skrzydła. Z czarnego jak smoła, pokrytego łuskami i wypolerowanego ogniem ciała uniosła się para, a powietrze wypełnił jego fetor. Nawet Nocny Cień cofnęła się ze wstrętem, gdy obracał swoją rogatą, przerażającą głowę, spoglądając raz na jedno, raz na drugie z nich.

– Co to ma być? – ryknął, a jego głęboki i nieprzyjemny głos przypominał dudnienie toczących się po ziemi kamieni. Na tle lasu rysowało się jego olbrzymie i niezgrabne cielsko. – Co robi tutaj Holiday, więdźmo? – zażądał odpowiedzi złowrogim tonem. – Co on ma wspólnego z twoją kartką?

– Moją kartką? – głos Nocnego Cienia ochryplł ze zdziwienia. – Nie wysyłałam ci żadnej kartki! Przybyłam tutaj wezwana pismem króla-marionetki!

– Głupia starucha – mruknął smok, niczym olbrzymi kot kontemplujący swój obiad. – Marnujesz tylko mój czas, zaprzeczając tak idiotycznie. To była kartka od ciebie, słowa jak najbardziej twoje. Jeśli chcesz się wymienić jakimś skarbem, to go pokaż i załatwmy sprawę.

Twarz Nocnego Cienia posiniała z wściekłości.

– Skarb?

W tym momencie Ben pojął, co się tutaj dzieje, zrozumiał cel tego wszystkiego i instynktownie wyczuł, że jest już za późno na ucieczkę. Oddzielne kartki, które otrzymali, zdawały się pochodzić od nich samych, gdy w rzeczywistości zostały wysłane przez kogoś zupełnie innego, kto chciał ich zwabić

do tego miejsca. Ale po co? Pytanie to grzmiało w jego głowie. Gdy ruszył do przodu, dostrzegł nagle kogoś, kto zdążył już coś zrobić – wysoka, niezdarna postać, jakby znajoma, cofała się od krawędzi podestu, gdzie pojawiło się otwarte pudełko. Zaczął się właśnie wydobywać z niego dym, mgła czy coś podobnego. Pudełko było mu nie znane, lecz tę postać już chyba gdzieś...

Horris Kew!

O co w tym całym szaleństwie chodzi?

– Zaczekajcie! – zdołał ryknąć, wskazując palcem na kształt przypominający stracha

na wróble. Pokryta łuskami głowa Strabo błyskawicznie obróciła się w tamtą stronę, a z paszczy buchnął ogień, gdy zasyczał ostrzegawczo. Nocny Cień uniosła ramiona w odstraszającym geście i moc magiczna zaczęła formować zygzaki groźnego zielonego światła na końcach jej palców. Nagle w powietrzu dał się słyszeć jakiś trzask. Dłoń Bena instynktownie powędrowała na medalion i wezwał na pomoc Paladyna.

Wszystko za późno. Nagle dokoła zamigotało światło, wydobywając się z mroku, ze wszystkich stron, jakby zostało w jakiś sposób wcześniej nagromadzone, a teraz niby za naciśnięciem spustu uwolnione. Pętla pułapki zacisnęła się ciasno wokół nich. Zostali rzućeni na siebie i wtłoczeni do pudełka, wszyscy troje, król, wiedźma i smok; nie mieli nawet chwili, aby zareagować. Światło chwyciło ich i poniosło wzdłuż aksamitnych ławek i zamknęło w węźle magii zawiązanym w okrutnym celu. Ogarnęła ich mgła i mrok, zjawiające się nagle, jakby już czekały na przyjęcie swoich ofiar. Naraz zaczęli zapadać się w głęboką, nieprzeniknioną próżnię, która otworzyła się pod nimi, zwiększając swoje rozmiary wraz z ich zbliżaniem się do jej wnętrza (a może to oni się kurczyli?), obszerna, pusta studnia, która nieubłaganie wsysała ich w dół.

Nie było to jednak wszystko. Cała trójka doświadczała dziwnego uczucia straty, jak gdyby jakaś istotna część tego, kim byli, była z nich odzierana warstwami. I wtedy na powierzchnię każdego z nich wypłynął demon, bezimienna, bezkształtna, potworna bestia, którą trzymali szczelnie w zamknięciu, a która teraz nagle i w nie wyjaśniony sposób została wypuszczona na wolność. Wszyscy troje zawyli z wściekłości i rozpacz.

Skąd u Horrisa Kewa taka moc? – było ostatnią, pełną rozpacz myśłą Bena.

Po czym stoczył się w dół wraz ze smokiem i wiedźmą, niemy i bezsilny, i zniknął we wnętrzu kabałowej szkatuły.

Kiedy zniknęli, z mroku na skraju drzew za podestem wychynał Gorse i syknął chłodno do Horrisa Kewa:

– Zabierz szkatułę.

Horris trząsł się tak bardzo, że nie mógł zrobić kroku. Stał ze splecionymi kurczowo dłońmi i czterdziestkami dziewiątkami wrytymi w ziemię. Był oszołomiony ogromem tego, co właśnie zobaczył: Holiday, Nocny Cień i Strabo poderwani do góry mocą magiczną niczym szmaciane lalki i ciśnięci w mroczne głębiny kabałowej szkatuły. Co za moc! O, tak, wiele wysiłku kosztowały Gorse'a przygotowania do wprowadzenia w czyn swojego planu, zarzucanie sieci czarów, wypowiedanie zaklęć, które miały w gotowości czekać na tamtych troje. A właściwie chodziło o skłonienie Horrisa do zrobienia tego wszystkiego, gdyż wciąż zdawało się, że Gorse nie jest w stanie działać samodzielnie. Horris już wtedy dostrzegł głębię mocy tej istoty, ostre ukłucia i rwania, którymi dźgał jego duszę, ale mimo to nie mógł wtedy wyobrazić sobie, że te wszystkie sztuczki magiczne mogą połączyć się z sobą i utworzyć pojedynczą, tak niszczycielską moc magiczną.

Gorse syknął znacząco.

– Szkatuła, Horrisie! – szepnął Biggar do ucha, ponaglając maga ze swojej grzędy na jego ramieniu.

Horris drgnął, jakby wyrwany z szoku, i potykając się, ruszył pośpiesznie w kierunku podestu. Zawiesił wzrok na wirującej, pokrytej mgłą powierzchni kabałowej szkatuły. Niczego już nie było widać. Pudełko zamknęło się.

Horris cofnął się o krok, pocąc się i z trudem oddychając. Wypuścił powoli powietrze. Stało się dokładnie tak, jak zaplanował Gorse. Gorse powiedział, że listy sprowadzą troje ich potencjalnie największych wrogów, jedynych, którzy mogliby im naprawdę zagrozić. Powiedział, że kartki będą tak zaczarowane, że nie będą potrafili się im oprzeć, nawet jeśli ich rozum i zdrowy rozsądek będą doradzać inaczej. Powiedział, że sztuczki magiczne, czary oraz symbole władzy, uszykowane i poustawiane w Sercu, chwycą w sidła niczego nie podejrzewające trio tak szybko, że nikt nie zdoła uciec. W końcu powiedział też, że kabałowa szkatuła będzie więzieniem, z którego nigdy się nie wydostaną.

Jednakże Horris tak czy inaczej nie mógł się powstrzymać i zapytał jeszcze raz:

– Co będzie, jeśli się wydostaną?

Gorse roześmiał się niskim, pozbawionym radości głosem, który odbił się echem w ciemności.

– Nigdy się nie wydostaną. Nigdy nie będą nawet wiedzieć tyle, aby chcieć się wydostać. Poczynilem pewne kroki, aby mieć pewność, że tak będzie. Na razie są bezradnymi więźniami. Nie wiedzą, kim są. Nie wiedzą, gdzie są. Są zagubieni pośród mgieł.

Biggar nastroszył swoje pióra.

– Dobrze im tak – skwitowało ptaszysko.

– Podnieś szkatułę – rozkazał ponownie Gorse.

Tym razem Horris szybciej zareagował. Chwycił posłusznie rzeźbione drewniane pudełko, starając się jednak trzymać je jak najdalej od siebie.

– Co teraz zrobimy? Gorse już ruszył.

– Zaniesiemy ją do jaskini i zaczekamy. – Głos miał spokojny i był najwyraźniej zadowolony z siebie. — Po pewnym czasie, gdy nieobecność króla wywoła odpowiednio wielką panikę, ty i ptak pójdziecie złożyć kolejną wizytę waszym przyjaciołom ze Sterling Silver.

Gorse oddalał się wolno w mrok niczym dym.

– Tylko tym razem zabierzecie dla nich niewielką niespodziankę.

LABIRYNT

Rycerz przebudził się zaskoczony obcym otoczeniem, rozglądając się czujnie dokoła. Poderwał się z ziemi, jakby został nagle podniesiony do pionu przez niewidzialne sznurki. Przed chwilą jeszcze śnił i choć sam sen poszedł już w niepamięć, to pozostało po nim wspomnienie. Czuł łomotanie serca w piersi i przyspieszony oddech, jak gdyby we śnie przebiegł spory odcinek drogi. Gorąca wilgoć rozlewała się po całym ciele i na czole. Czuł, że znalazł się tam, gdzie coś się musi zaraz wydarzyć.

Niespokojnie wodził oczami w mroku. Znajdował się w lesie, wśród olbrzymich, ciemnych drzew, pnących się do góry niczym kolumny podtrzymujące niebo. Różnica polegała jednak na tym, że nieba nie było widać, a jedynie mgłę, snującą się nad głowami i rozmywającą wszystko, nawet najniższe gałęzie. Panujący w lesie półmrok przypominał zmierzch, który godził z sobą dzień i noc, poranek i wieczór. Nie wyglądało to realnie, a jednak król instynktownie zdał sobie sprawę, że jest to jedyna rzeczywistość. Gdzie się znajduje?

– Nie wiedział. Nie potrafił sobie przypomnieć. Byli tutaj też inni. Ale gdzie?

Szybko podniósł się na nogi, czując ciężar przewieszzonego przez plecy pałasza, przytroczonego do pasa noża i kolczugi osłaniającej pierś i plecy. Odziany był w czarne, luźne szaty przewiązane rzemieniem, nosił wysokie buty i rękawice. Czuł na sobie pancerz, choć go nie widział. Zbroja zawsze się na nim pojawiała, kiedy jej potrzebował. Nie wiedział jednak, dlaczego tak się dzieje. Na piersi, pod tuniką, wisiał medalion. Wydobył go stamtąd i zaczął mu się przyglądać. Przedstawiał wyobrażenie jego samego wyjeżdżającego na koniu z zamku o wschodzie słońca. Był mu znajomy, a mimo to odnosił wrażenie, że widzi go po raz pierwszy. Cóż to wszystko znaczy?

Odsunął od siebie zakłopotanie i cisnął je w otaczający mrok. Na końcu polany coś się poruszyło; szybko ruszył w tamtą stronę. Gdy się zbliżał, kształt, który leżał zwinięty na ziemi, wyprostował się i energicznie poderwał do góry, wyciągając przed siebie ramiona. Długie, czarne włosy z białym pasemkiem pośrodku opadały na twarz i ramiona, a suknia spływała aż do ziemi niczym płynny cień.

To ta kobieta. Wciąż z nim była. Nie uciekła, kiedy spał, a przecież wiedział, że uciekłyby, gdyby się tylko nadarzyła okazja. Widząc, że nadchodzi, uniosła głowę, a szczupłą dłońią zagarnęła do tyłu krucze włosy. Na jego widok jej piękne, blade rysy twarzy stężały, a z ust doleciało pełne złości i niepokoju syknięcie.

– To ty – powiedziała, i to wystarczyło, żeby wyrazić głęboki uraz, jaki czuła do niego za to, co jej zrobił.

Nie próbował podejść bliżej. Rycerz wiedział, co czuła do niego, wiedział, że obarczała go winą za to, co się jej przytrafiło. Nic nie mógł na to poradzić. Odwrócił się i obiegł wzrokiem pozostałą część polany, na której się znajdowali. Była mała, szczelnie otoczona lasem i nic na niej nie zdradzało przyczyny, dla której się tam znaleźli. Wiedział, że przybyli do tego miejsca wcześniej. Przybyli tutaj, uciekając w popłochu przed czymś, czego nie potrafił opisać. Wziął ze sobą tę kobietę i kogoś jeszcze i uciekł przed bestią, która chciała pochłonąć ich wszystkich.

Potrząsnął głową. Przy każdej próbie spojrzenia w przeszłość czuł nasilający się ból

głowy. Była tak mglista i mroczna, jak teraźniejszość, jak ten las, w którym się znalazł.

– Zabierz mnie do domu! – szepnęła nagle kobieta. – Nie masz prawa!

Odwrócił się i zobaczył, że stoi z zaciśniętymi dłońmi na biodrach. Dziwne czerwone oczy kipiały wściekłością, a wargi odsłoniły zęby, tak jak to robią zwierzęta. Mówiło się, że potrafi czynić czary, że posiada niewiarygodną moc. Mówiło się też, że nie należy mieć w niej wroga. Ale rycerz już nim był.

Nie miał pewności, jak to się stało, ale było już za późno, żeby to zmienić. Zabrał tę kobietę z jej domu, z jej rajy na ziemi i przeniósł do tego lasu. Był szermierzem króla i istniał tylko po to, aby wykonywać królewskie rozkazy. Król musiał go wysłać, aby sprowadził tę kobietę – czuł to, chociaż tego nie pamiętał.

– Rycerzu czarnych myśli i czynów! – zawołała pogardliwie. – Tchórze ukryty za pancerzem i bronią! Zabierz mnie do domu!

Może to była groźba z jej strony, może czyniła przygotowania do użycia czarów przeciwko niemu? Nie sądził, aby tak miało być. Magia, którą kiedyś posiadała, teraz wydawała się bezużyteczna. Przeszedł już spory kawałek, a ona go nie zaatakowała. Gdyby była w stanie to zrobić, spróbowałaby tego już dawno. Dla niego i tak nie miało to żadnego znaczenia. Był bronią z żelaza. Był bardziej maszyną niż człowiekiem. Czary nie działały na niego bardziej niż piasek sypnięty w oczy; nie zajmowały w jego życiu żadnego miejsca. Jego życie to proste i ciasne reguły. Nie bał się niczego. Rycerz nie mógł sobie pozwolić na strach. W jego profesji śmierć była zawsze tak samo blisko, jak życie. Walka była wszystkim, co potrafił, a boje, które staczał, mogły się zakończyć jedynie na dwa sposoby: albo on zabije wroga, albo wróg zabije jego. Mając za sobą tysiąc bitew, wciąż żył. Nie wierzył, aby kiedykolwiek mógł zostać zabity. Wierzył, że będzie żył wiecznie. Odsunął od siebie te rozważania – myśli niepożądane.

– Znajdujesz się w drodze do nowego domu – powiedział, pozwalając, aby jej złość odbiła się od niego niczym liście rzucone pod wiatr.

Zatrzęsa się od niepohamowanej furii, uniosła zaciśnięte pięści, a ścięgnięta na szyi napięły się niczym powrozy.

– Nigdzie z tobą nie pójde – wyszeptwała, kręcąc głową. – Nie zrobię ani kroku!

Skinał głową dyplomatycznie, chcąc uniknąć słownej sprzeczki, gdyż czuł, że nie nadaje się do tego. Odwrócił się jeszcze raz, przeszedł na drugi koniec polany i zaczął się bacznie wpatrywać w otaczający mrok. Drzewa były zbite jak pęki gigantycznych patyków, odcinając dostęp światła i zasłaniając wszelki widok. W którą stronę iść? Gdzie się udać? Wiedział, że król będzie czekał na niego. Zawsze tak było. Lecz która droga prowadziła do domu?

Obrócił się w momencie, gdy kobieta szła na niego z nożem, który wcześniej trzymała w ukryciu. Ujrzał czarne ostrze śliskie od trucizny. Krzyknęła, gdy chwycił ją za nadgarstek i odsunął od siebie nóż, a potem wyrwał go z jej uścisku. Biła i kopała go zawzięcie, starając się uwolnić, ale był znacznie silniejszy, odporny na jej furię i bez trudu ją ujarzmił. Upadła na ziemię, ciężko oddychając. Była pewnie bliska płaczu, lecz

powstrzymała łyzy. Podniósł nóż i cisnął go daleko w mrok.

– Uważaj, gdzie rzucasz, rycerzu – ostrzegł go nowy, gardłowy głos.

Wtedy ujrzał gargulca siedzącego nieopodal na tylnych łapach. Wyszedł z lasu cicho jak duch o północy. Żółte, głęboko osadzone oczy stworzenia przyglądały mu się, lecz w ich gadziej głębi nie było niczego, nawet najdrobniejszej wskazówki, która by zdradzała, o czym teraz może myśleć.

– Zdecydowałeś się zostać – powiedział spokojnie rycerz. Gargulec zaśmiał się.

– Zdecydowałem? Dziwne słowo jak na te okoliczności, nie sądzisz? Jestem tutaj, ponieważ nigdzie indziej nie można pójść.

Gargulec był ohydny. Jego ciało było niekształtne i sękate, ręce i nogi pałakowate i dziwnie powykrzywiane. Cały tułów był płataniną ścięgien i mięśni, a między potężnymi barkami tkwiła głęboko zatopiona głowa. Płetwiaste łapy i stopy miał zakończone pazurami, a całe ciało pokrywała najeżona, ciemna szczecina. Twarz miał pomarszczoną jak wysuszony owoc, a jej rysy były ściśnięte jak u naduszonej gumowej lalki. Spod grubych warg wystawały kły, nad którymi lśnił wilgotny i brudny nos.

Na przygarbionych ramionach lekko trzepotały skrzydła, skórzane klapki, zbyt drobne, aby mogły do czegośkolwiek służyć, akcesoria zdające się być dziwnie nie na miejscu. Wyglądało na to, że jego przodkowie byli latającymi stworzeniami, a młodsze ich pokolenia z czasem utraciły tę zdolność.

Widok odrzucał rycerza, lecz nie odwrócił wzroku. Brzydota również stanowiła część jego życia.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytał gargulca. – Rozejrzałeś się już dokoła?

– Jesteśmy w labiryncie – odpowiedział, jak gdyby to cokolwiek wyjaśniało.

Gargulec spojrzał na kobietę, która podniosła głowę, gdy tylko usłyszała jego głos.

– Nie patrz na mnie! – syknęła natychmiast i odwróciła się.

– W jakiej części naszej krainy znajduje się labirynt? – nalegał rycerz, którego nie zadowolila poprzednia odpowiedź. Gargulec znowu się roześmiał.

– W każdej. – Ukazał swoje żółte zęby i czarny jęzor. – We wszystkich częściach każdej części wszystkiego. Leży na północy, południu, wschodzie i zachodzie, a nawet w centrum. Jest tam, gdzie my jesteśmy, gdzie byśmy poszli i gdzie zawsze będziemy.

– To szalenie – szepnęła natychmiast kobieta. – Każ mu zamilknąć.

Rycerz poprawił ciężki pałasz na swoich plecach i rozejrzał się dokoła.

– Z każdego labiryntu jest wyjście – oświadczył. – Znajdziemy wyjście i z tego.

Gargulec zatarł łapy, jakby chciał się rozgrzać.

– Jak tego dokonasz, panie rycerzu? – zapytał lekceważąco.

– Na pewno nie zostając tutaj – powiedział rycerz. – Idziesz z nami czy zostajesz?

– Zostaw go! – syknęła kobieta, podnosząc się nagle na nogi i dokładniej się otulając

ciemnymi szatami. – On nie należy do nas! Nie miało go z nami być!

– Z nami? – powtórzył chytrze gargulec. – Jesteście teraz związani z sobą, moja pani? Jesteś koleżanką i towarzyszką tego rycerza? Jakież to nieoczekiwane.

Kobieta wykrzywiła szyderczo wargi do stworzenia i odwróciła się.

– Nie jestem związana z żadnym z was. Wolałabym raczej umrzeć.

– Ja również wolałabym, żebyś teraz umarła – zgodził się gargulec.

Kobieta jeszcze raz odwróciła się w jego stronę.

– Jesteś szkaradną bestią, gargulcu. Gdybym miała lustro, podsunęłabym ci je przed twarz, abyś się mógł przekonać, jak bardzo szkaradną!

Gargulec obruszył się na jej słowa i syknął w odpowiedzi:

– A ty potrzebujesz lustro wewnątrz samej siebie, aby ujrzeć brzydotę, która zawładnęła twoją duszą!

– Przestańcie! – zagrział rycerz i stanął między nimi. Jego wygląd zmienił się momentalnie, człowiek w ciemnych szatach i kolczudze stał się nagle jeszcze ciemniejszy. Wyglądało to tak, jakby coś wysssało światło wokół niego, jakby został opancerzony cieniami.

– Przestańcie – powtórzył tym razem łagodniej i zaraz potem ciemna chmura otaczająca jego postać zniknęła i znowu był sobą.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, gdy wszyscy troje przyglądali się sobie. Wtedy kobieta powiedziała do rycerza:

– Nie boję się ciebie.

Rycerz przeniósł wzrok na ciemności, jak gdyby nie słyszał jej słów. W jego oczach pojawiło się to odległe, zagubione spojrzenie, w którym odbijały się wspomnienia nie wykorzystanych okazji i straconych szans.

– Pójdziemy tędy – powiedział rycerz i ruszył.

Szli przez pozostałą część dnia, lecz las, którym był labirynt, się nie zmieniał. Mrok nie ustępował, mgła wciąż się utrzymywała, drzewa nie przerzedzały się, wyjątek stanowiły nieliczne polany – charakter świata się nie odmieniał. Rycerz prowadził ich pieszo – gdzie się podział jego wierzchowiec? Starał się iść na wprost, żywiąc nadzieję, że w którymś miejscu las się skończy i pojawią się łąki oraz wzniesienia, które z pewnością na nich tam czekają i doradzą mu, gdzie się udać dalej. Stawiając każdy kolejny krok, zastanawiał się nad nielogicznością swojej pamięci. Starał się odpowiedzieć na pytania: co tutaj robił i co go sprowadziło do tego przepastnego miejsca? Próbował sobie przypomnieć, jak to się stało, że kobieta i gargulec byli razem z nim. Starał się przedrzeć myślą przez mgłę, która spowijała prawie całą jego przeszłość. Był rycerzem w służbie króla, szermierzem w niezliczonych bitwach, i to właściwie było wszystko, co wiedział.

Trzymał się tego kurczowo, i to pozwoliło mu uniknąć szaleństwa, do którego mogło

go zawieść ciągle zastanawianie się nad tym.

Znajdowali strumienie, mogli więc zgasić pragnienie, lecz nie znaleźli niczego do jedzenia. Nie odczuwali jednak głodu. Nie chodziło o to, że czuli sytość, ale jakby uczucie głodu w ogóle ich nie dotyczyło. Intrygowało to rycerza, lecz nie rozmawiał o tym. Szli przez cały dzień, a także po zmierzchu, który tylko nieznacznie cokolwiek zmienił, a kiedy zapadł całkowity mrok, zatrzymali się.

Znajdowali się na innej polanie – polanie, która wyglądała bardzo podobnie do pierwszej. Otaczający ich las nie zmienił się. Usiedli razem w pogłębiającym się mroku i wpatrywali się w ciemności. Rycerzowi nie przyszło do głowy, aby rozpaścić ognisko. Nie było im zimno, nie byli głodni ani nie potrzebowali światła. Dobrze widzieli w ciemności; słyszeli dźwięki, które nie wiadomo skąd pochodziły. Gargulec usiadł trochę na uboczu, nie mając ochoty ponownie znosić szyderstw kobiety. Nie miał żadnego poczucia przynależności do nich. Rycerz czuł, jak stwór dystansuje się od nich, nawet podczas wspólnej wędrówki, jak gdyby gargulec rozumiał, że między nimi zawsze będzie istniał mur. Stworzenie przykucnęło w półmroku, potem rozciągnęło swoje niekształtne ciało i zdawało się, że wsiąka w ziemię.

Kobieta usiadła, zwrócona twarzą do rycerza.

– Nie lubię ciebie – powiedziała do niego. – Chciałabym zobaczyć cię martwym.

Skinął beznamiętnie głową.

– Wiem.

Przez cały dzień była cicha i pochłonięta własnymi myślami, wędrowała z nimi posłusznie, lecz bez zainteresowania. Od czasu do czasu szermierz rzucał jej przelotne spojrzenie; niekiedy otwarcie okazywała mu wrogość, innym znowu razem wydawała się tak samo zagubiona i pochłonięta szukaniem wyjścia, jak on sam. Wyglądała, jakby była zakuta w pancerz: wysoka, prosta, nie obawiająca się niczego. Jednocześnie dało się dostrzec w niej jakąś słabość, której nie potrafiła ukryć i której chyba do końca nie rozumiała, jak gdyby była zaskoczona samą sobą.

– Dlaczego mnie zwyczajnie nie odstawisz z powrotem? – zapytała z nagłą niecierpliwością w głosie. – Jakie to ma dla ciebie znaczenie? Nie masz tutaj wrogów, z którymi miałbyś walczyć. Nie ma bitwy, którą można wygrać. Dlaczego to robisz? Czy ja jestem twoim wrogiem?

– Sama tak powiedziałaś.

– Tylko dlatego, że wykradłeś mnie z mojego domu! – krzyknęła z rozpaczą w głosie. – Tylko dlatego! – Posuwała się wolno do przodu, aż znalazła się tuż przy nim. – Dlaczego mnie zabrałeś?

Nie potrafił odpowiedzieć. Nie wiedział dlaczego.

– Twój król rozkazał ci tak zrobić? Dlaczego? Nie pamiętał.

– Czego on ode mnie chce? Nigdy nie będzie miał ze mnie żadnego pożytku! Nie zostanę ani jego żoną ani partnerem! Będę jego największym wrogiem aż do mojej

śmierci!

Rycerz wciągnął do płuc leśne powietrze, czując świeżość liści i traw, piźmową wilgoć ziemi i cierpką woń suchej kory i starego drewna. Jak brzmiały odpowiedzi na jej pytania? Dlaczego ich nie pamiętał? Zamknął się w sobie, próbując odnaleźć spokój. Pocieszał się tym, że wie, kim jest i co zrobił. Uspokajała go własna siła i umiejętności, ciężar broni na ciele i dobrze dopasowana odzież bitewna.

Zbroi jednak wciąż nie było. Czuł jej obecność, gdy musiał stanąć między kobietą a gargulcem, ale zbroja jako taka nie pokazała się. Dlaczego tak się dzieje? Oferowała mu swoją pomoc, lecz pozostawała w ukryciu, jakby bawiła się z nim w kotka i myszkę. Jego zbroja była czymś paradoksalnym: z jednej strony – martwa, a z drugiej – jakby prowadząca swój własny żywot. Podobnie jak medalion, który nosił na szyi, była częścią tego, kim był i co znaczył. Dlaczego zatem nie mógł sobie przypomnieć, skąd się brała?

Kobieta stała naprzeciwko, niczym milcząca rzeźba z kości słoniowej. Przyglądała mu się bacznie i czuł, że pragnie wyjść z samej siebie, ale nie jest w stanie tego dokonać. Co ona przed nim ukrywa? Coś przerażającego. Jakieś głęboko skrywane, tajemnicze wyznanie.

Splotła szczupłe dłonie na kolanach, a twarz ponownie przybrała pełen wzgardy wyraz.

– Jesteś bezsilny – oświadczyła gorzko. – Nie posiadasz własnej woli, niezależnego ducha, który by ci pozwalał działać. Jesteś narzędziem w rękach tego, kto nosi koronę. Jakież to smutne.

– Jestem sługą tej korony.

– Jesteś jej niewolnikiem. – Lekko zadarła do góry głowę i jej kruczoczarne włosy załśniły. Utkwiła w nim wzrok. – Nie możesz podjąć żadnej decyzji, która stałaby w sprzeczności z rozkazami twego pana. Nie możesz mieć własnych opinii. Zabrałeś mnie, nie pytając o powód. Trzymasz mnie, nie zastanawiając się nad celem. Robisz to, co ci kazano, i nic cię nie obchodzą przyczyny tych działań.

Nie lubił się z nią kłócić. Żadne z nich nic w ten sposób nie zyskiwało. Nie był zbyt wyrobiony w sztuce mówienia. Ona nie była obdarzona jego poczuciem honoru i posłuszeństwa. Należeli do dwóch różnych światów.

– Kim jest ten król, który chciałby posiąść mnie na własność? – zapytała sarkastycznie. – Wymów jego imię.

Tak jak wcześniej – nie potrafił. Wpatrywał się w nią, jakby był schwytyany w potrzask.

– Czy jesteś aż takim ignorantem, żeby tego nie wiedzieć? – naciskała go, okraszając swoją złość ironią. – Czy też boisz się je zdradzić? Które z dwojga?

Wciąż milczał. Nie potrafił jednak odwrócić wzroku.

Pokręciła wolno głową. Srogiej i kamiennej twarzy dodawały wyrazu ciemne włosy i biała skóra do pary z ułożeniem szczęki i błyskiem w oku. Mimo to była piękna. Była tak

doskonała, jak czułe wspomnienie wyszlifowane miłością, wszelka szorstkość została wytarta, wszystkie skazy usunięte. Oczarowała go, nie starając się o to, nie mając takiego zamiaru, odciągnęła go od swojej złości i rozpacz, przenosząc go z tego, co było, do tego, czego nigdy nie będzie.

– Cokolwiek ci powiem – zmusił się do mówienia – nie będzie miało żadnego znaczenia.

– Przynajmniej spróbuj! – powiedziała do niego półgłosem, w którym zabrzmiała nagle łagodna nuta. – Daj mi coś!

On jednak nie potrafił. Nic nie miał do podarowania. Miał tylko siebie, ale ona nie tego chciała. Chciała poznać motywy i znaleźć wytłumaczenie, a on nie mógł jej pomóc ani w jednym, ani w drugim. Był tak samo zdezorientowany jak ona, rzucony w miejsce, którego nie znał, okoliczności, których nie rozumiał. Labirynt był tajemnicą, której nie potrafił zgłębić. Żeby tego dokonać, należało wprawdzie z niego uciec. To jednak, wyczuwał instynktownie, nie będzie łatwe.

– Czy nie przejawiasz żadnych uczuć wobec mnie? – zapytała płacząco, lecz tym razem fałsz w jej głosie zdradził ją natychmiast.

– W tym, co robię, nie ma miejsca na uczucia. Robię to, czego się ode mnie wymaga.

– Czego się wymaga! – wrzasnęła, ponownie wściekła i złośliwa, odrzucając pretensjonalną słabość. — Robisz to, po co cię wysłano, ty żałosna istoto! Czego się od ciebie wymaga? Wolałabym raczej zapaść się w najgłębszą studnię, jaka istnieje na tej ziemi, niż stracić choćby jedną chwilę mego życia na to, aby troszczyć się o to, czego inni żądają ode mnie!

Uśmiechnął się mimowolnie.

– I tam się właśnie znalazłaś – powiedział jej. – Bo gdzież indziej możemy być, jeśli nie tam?

Cofnęła się od niego, milcząca i zdeprymowana. Siedzieli tak długi czas. Gargulec spał, oddychając nierówno przez nos. Jego wykrzywione kończyny drgały, jak gdyby ktoś szturchał je rozpalonym żelazem. Kobieta spojrzała na niego, po czym odwróciła wzrok. Nie spojrzała na rycerza. Wpatrywała się w ziemię jakieś dwa metry na prawo od niej, gdzie cień krył zwiedniętą trawę i popękana ziemię, która zamieniła się w kurz. Siedziała w ten sposób przez dłuższy czas. Rycerz obserwował ją bez specjalnej ochoty, nie mogąc jednak nic na to poradzić. Wyglądała na prawdziwie nieszczęśliwą, lecz źródło jej udręki tkwiło nie w tym, o czym mu powiedziała. Było mocno i szczelnie chronione i przekraczało jego skromne możliwości pojmowania.

Czuł w sobie dziwny niepokój. Powinien coś powiedzieć, aby ulżyć jej w bólu. Powinien coś zrobić, aby nie musiała sama dźwigać takiego ciężaru. Nie wiedział jednak co. Zastanawiał się nad słowami, które wypowiedziała do niego, nad rzuconymi oskarżeniami. Tkwiła w nich prawda. Był na służbie u kogoś innego, obarczony czyimiś życzeniami, związany ze sprawami kogoś innego. Na tym polegała istota bycia królewskim szermierzem. Jego tożsamość sprowadzała się do bycia rycerzem zakutym w

zbroję, którego broń i siła rozwiązuje wszystkie spory. Kiedy się nad tym zastanowić, to nie był to wielki dobytek. To go definiowało, ale ta definicja wyczerpywała się w jednym zwrocie. Czy do tego sprowadzało się jego życie? Czy nie było w nim nic więcej? Kim był?

– Czy wiesz, co mi uczyniłeś? – nagle zapytała kobieta.

Spojrzał na nią od razu. Nie patrzyła na niego. Wciąż wpatrywała się w ten sam skrawek ziemi. Jej policzki pokryły się mokrymi liniami, zaczynającymi swoją drogę od zimnych, pustych oczu.

– Czy wiesz? – szepnęła rozpaczliwie.

Nocne ciemności okryły płaszczem cieni również Landover. Wszystkie osiem księżyców tonęło poza linią horyzontu, chmury zasnuły grubą warstwą niebo i przesłoniły gwiazdy. Było ciemno, choć oko wykol. Powietrze po całodziennym upale było wilgotne, a cała kraina leżała omdlała w bezwietrznej ciszy.

Gorse nie mógł narzekać na złe samopoczucie. Właśnie opuszczał swoją kryjówkę w jaskini i kierował się w stronę lasu. Był istotą czarodziejską, zawsze w zgodzie z naturą, niezależnie od jej stanu. Z ukrycia wyszedł w postaci kłębu ciemnej mgły, do której zredukowało go długie uwięzienie w kabałowej szkatule. Ta pozbawiona substancji forma zaczęła już jednak przybierać na nowo kształt, wolność przywracała jej twarz i ciało, które niegdyś posiadała. Już wkrótce jedno i drugie zostanie odbudowane. Będzie wtedy gotów szukać zemsty na tych, którzy wyrządzili mu krzywdę, zemsty, której tak rozpaczliwie łaknął.

Przez całe wieki o niczym innym nie myślał. Niegdyś był istotą czarodziejską, posiadającą ogromną siłę, stworzeniem, którego magiczna moc budziła lęk. Swoją magią posługiwał się w sposób, który napełnił wstrętem i do tego stopnia rozwścieczył cały jego ród – wszystkie istoty z krainy czarodziejskich mgieł – że połączono wszystkie siły, pojmano go, gdy się tego nie spodziewał i uwięziono go w postaci mgły w kabałowej szkatule. Skonstruowali ją za pomocą czarów tak, że nie można było z niej uciec. Zamki umieszczono na zewnątrz pudełka, gdzie Gorse nie mógł ich osiągnąć.

Chciano go w ten sposób wyczerpać, złamać jego wolę, doprowadzić do tego, aby o wszystkim zapomniał. Miało go to zredukować do prochu. Wysilek nie powiódł się. Przebywał w pułapce bardzo długi czas, pamięci nie stracił, a jego nienawiść do odpowiedzialnych za taki los niepomniernie wzrosła.

Rozrosła się do niewiarygodnych rozmiarów.

Gorse z łatwością poruszał się nocą. Niewiele czasu potrzebował, żeby dotrzeć do miejsca przeznaczenia, więc się nie spieszył. Zaczekał, aż Horris Kew i ptak zasnęli. Nie chciał, aby odkryli jego prawdziwe zamiary. Wolał, aby wciąż wierzyli, że jest ich przyjacielem. Oczywiście nim nie był. Mężczyzna i ptak służyli mu jako narzędzia, których używał stosownie do swoich potrzeb. Jeśli sądzili inaczej, jeśli zdecydowali się współdziałać ze względu na swoją chciwość i głupotę, to było dokładnie tak, jak miało być. Był to naturalny porządek rzeczy. Byli istotami śmiertelnymi i jako takie nie mieli takiego znaczenia, jak Gorse. Byli zużywalni.

Wspiął się na wzniesienie i znalazł się na skraju Serca. Zatrzymał się, aby rozesać macki wzroku, słuchu, smaku i zapachu, lecz nie wykrył żadnego zagrożenia. Objął wzrokiem rzędy białych, pokrytych aksamitem ław, wypolerowany podest z jego sztandarami oraz otaczające go zarośla bon-nie blues. Delektował się obecnością magii, która unosiła się z ziemi, tutaj, ze źródła życia tej krainy. Potęga tej magii była niesłychana, lecz Gorse nie był jeszcze gotowy zająć się nią. Dzisiejszej nocy chciał zająć się czymś innym. Wielka magia może służyć jako parawan do użycia magii pośledniego gatunku. Właśnie teraz zabierał się do dzieła.

Gorse skupił się w sobie i wypowiedział wcześniej przygotowane wezwanie. Strumienie ognia, który ani nie palił, ani nie dymił, przesyły powietrze i zniknęły w ziemi. Odpowiedź nadeszła natychmiast – zgrzytliwe, szorstkie dudnienie, jęk walącego się kamiennego muru. Po chwili huk skonał w oddalającym się echu i powróciła cisza.

Gorse czekał.

Wtem powietrze przed nim pękło, jak gdyby uformowane było z materiału; najpierw zaczęło się rozdzierać, a po chwili przepołowiło na całej długości. Ze szczeliny huknął grzmot, głęboki i złowieszczy. Dziura rozwarła się. Rozległy się szczęki i zgrzyty jeźdźców zakutych w zbroje oraz prychnanie i sapanie wierzchowców. Odgłosy nasilały się wraz z tym, jak jeźdźcy nabierali prędkości. Gwałtowny wiatr zerwał się w Sercu, szarpiąc flagami na masztach i wyjąc między drzewami z tyłu.

Gorse stał twardo na swoim miejscu.

W pędzie wiatru i pośród zgiełku, ci, których wezwał, zmaterializowali się, wydostając z zakrzywienia czasu i przestrzeni. Odziani w zbroję z blachy i kolców, naszpikowani bronią, jechali na koszmarnych stworzeniach, których nie sposób było zidentyfikować. Pięć masywnych, ciemnych postaci, parujących mimo wilgoci nocnego powietrza, sapało, chrapliwie świszcząc przez przyłbice hełmów. Były szczupłe i zwiewne niczym cienie duchów, a od ich ciał roznosił się nieznośny fetor.

Przybyły demony Abaddonu.

Na czele podążał ten, którego zwano Markiem. Był ogromnym, kanciastym potworem. Zbroję miał ozdobioną węzami, a szyję oplatały mu korale wykonane z głów jego wrogów. Skinął na pozostałych, a ci rozsunęli się na dwie strony, trzymając broń w pogotowiu. Jak jeden mąż ruszyli naprzeciw Gorse'owi.

Gorse pozwolił im się zbliżyć. Kiedy znaleźli się na wyciągnięcie miecza, zniknął sprzed ich oczu w błysku zielonego ognia, po czym pojawił się jako jeden z nich, zniknął drugi raz i znowu pojawił się w postaci węża. Wyślizgiwał się pod ich zbroje i czule lizał, pokazując, że są pokrewnymi duchami. Wyczarowywał przerażające obrazy, ukazujące rzeczy, których kiedyś dokonał na swoich współplemieńcach i pozwolił demonom sycić się ich złem.

Kiedy przekonał ich, że jest jednym z nich, że jest równie potężny jak oni i że wezwał ich, mając konkretny powód ku temu, miękko syknął, aby nadstawili uszu i wysłuchali tego, co ma im do powiedzenia. W końcu przemówił:

– Co byście powiedzieli, gdybym przygotował wam bezpieczny powrót do Landover? – Przerwał, wsłuchując się w ich pełne wyczekiwania pomruki. To było zbyt proste. – Co byście powiedzieli, gdyby Landover i jego mieszkańców oddano wam na wieczne czasy ?

To było naprawdę zbyt proste.

WIZJA

Rozstawszy się z Matką Ziemią, Willow, pogrążona w myślach, szła przez jakiś czas lasem w kierunku Elderew. Dzień był jasny i słoneczny, przepelniony zapachami polnych kwiatów i trawy, a w całym lesie rozbrzmiewały ptasie śpiewy. Pod baldachimem wielkich liściastych drzew było pięknie i ciepło, wszystko podnosiło na duchu, lecz Willow pozostawała na to obojętna. Szła, nieświadoma tego, co ją otacza, zatopiona głęboko w sobie, zastanawiając się cały czas nad tym, co Matka Ziemia powiedziała jej o dziecku.

Słowa nie dawały jej spokoju. Musi zgromadzić ziemię z tego świata, ze świata Bena i z krainy czarodziejskich mgieł. Musi je zmieszać i zapuścić w nich korzenie, aby dziecko mogło bezpiecznie przyjść na świat. Nie wiedziała, ile ma czasu na zrobienie tego wszystkiego. Nie wiedziała, kiedy dziecko się urodzi. Nie wiedziała gdzie. Nie wolno jej prosić nikogo innego, aby zdobył tę ziemię za nią; musi zrobić to sama. Ben nie mógł się z nią udać. Nie mógł jej pomóc. Nikt nie mógł.

Właściwie prawie nikt. Przewodnik, wybrany spośród czarodziejskich istot, poprowadzi ją przez dwa ostatnie etapy podróży. Któż to będzie?

Mimo ciepłego dnia jej ciało przenikał chłód. Gdy jeden, jedyny raz odwiedziła świat Bena, omal nie straciła tam życia, więc jej wspomnienia o nim nie mogły być miłe. Czarodziejskie mgły były nawet jeszcze gorsze ze względu na swoją tajemniczość; przerażało ją to, co może jej się tam przytrafić. Istota ongiś czarodziejska była jeszcze mniej odporna na ich zdradliwość niż człowiek. Mgły potrafiły tak oszołomić i wytrawić z rozumu i siły i tak zmienić, że zupełnie nie poznawało się samego siebie. Wydobywały z człowieka ciemne lęki skrywane gdzieś głęboko, dając im pożywkę w postaci siły wystarczająco dużej, aby go zniszczyć. Życie pośród mgieł miało charakter eteryczny, było tworem umysłu i wyobraźni. Było zaczarowane i nieustannie zmieniające się. Rzeczywistość stawała się taka, jaką chciało się ją widzieć, była trzęsawiskiem, które mogło człowieka pochłonać, nie pozostawiając po nim żadnego śladu.

Obawy Willow przed czarodziejskim światem były dziedzictwem przekazanym jej przez przodków, tych, którzy ongiś byli istotami czarodziejskimi i którzy później opuścili mgły. Oczywiście nie wszyscy przodkowie opuścili mgły; niektórzy pozostali zadowoleni ze swojej nieśmiertelności. Niekiedy słyszała we śnie ich głosy, przywołujące ją, namawiające, aby powróciła do ich

sposobu życia. Minęły już setki lat, odkąd istoty ongiś czarodziejskie opuściły mgły, lecz ciche wołanie o powrót nigdy nie zostało przerwane.

Był to element jej rzeczywistości, tak jak i tych wszystkich, którzy kiedyś byli istotami czarodziejskimi. Tylko że teraz będzie musiała wrócić wbrew ostrzeżeniom, żeby tego nie robić, wbrew przestrogom starannie przekazywanym z pokolenia na pokolenie przez wszystkie istoty ongiś czarodziejskie. Nie wolno się tam udawać. Stamtąd się nigdy nie wraca. Ona jednak musi to zrobić. Musi zaryzykować i postawić na szale swoją poczytalność i swoje życie, bo tego wymaga dobro dziecka. Potrzeby jej samej kontra potrzeby dziecka – konflikt, który mógł rozerwać ją na kawałki.

Szła dalej, roztrzásając wszystko kolejny raz, prowadząc spór sama z sobą. Las zaczął się zmieniać, drzewa wznosiły się wyżej, krajobraz subtelnie się odmienił i zobaczyła, że zbliża się do Elderew. Nie miała zamiaru wchodzić do miasta. Był tam jej ojciec, Władca Rzek, przywódca istot ongiś czarodziejskich i pan krainy jezior. Nie chciała go spotkać. Ich związek nigdy nie był zbyt bliski, a po tym, jak postąpiła wbrew jego woli i odeszła do Bena Holidaya, gdy ten pojawił się w Landpver, stał się jeszcze dalszy. Wiedziała, że jest przeznaczona Benowi, a on jej, że będą dzielić z sobą życie, więc postanowiła, iż bez względu na konsekwencje musi z nim być. Z pewnością nie wpłynęło na polepszenie jej stosunków z ojcem to, że Ben został królem wbrew tym wszystkim – łącznie z jej ojcem – którzy sami łaknęli władzy nad Landover. Nie wpłynęło również pozytywnie to, że związała swoje życie z człowiekiem i opuściła swoją społeczność. Jej związek z ojcem cierpiał też z powodu bliskości, jaka łączyła ją z matką. Władca Rzek wciąż kochał się w matce Willow, w jedynej kobiecie, której pożądał i której nie mógł zdobyć. Spłodził Willow tej jedynej nocy, kiedy byli z sobą. Potem matka Willow, dzika nimfa drzew, nie potrafiąca żyć nigdzie indziej, jak tylko głęboko w lesie, powróciła do swego dawnego życia. Władca Rzek szukał jej wielokrotnie, a przy dwóch okazjach był nawet bliski schwytania jej, lecz wszystkie wysiłki kończyły się ostatecznie na niczym. Matka Willow nie chciała do niego powrócić. Władcy Rzek było trudno się pogodzić z tym, że pojawiała się od czasu do czasu Willow i że tańczyła dla niej, dzieląc się emocjami i snami, których słowa nie mogły wyrazić. Miał wiele żon i jeszcze więcej dzieci. Powinien być zadowolony. Ale nie był. Willow sądziła, iż bez jej matki u swego boku nigdy nie będzie szczęśliwy.

Ruszyła wolno aleją wielkich białych dębów i drzew hikory o kosmatej korze prowadzącą do srebrnej wstążki rzeki zasilającej Irrylyn, kierując się ku starym sosnom, dokąd przychodziła jej matka po zapadnięciu zmroku. Myślała o swoim życiu przed laty, kiedy jeszcze nie знаła Bena, tutaj, w krainie jezior, jako dziecko Władcy Rzek. Większość czasu była samotna i nigdy nie czuła, że jest kochana. Czerpała siłę z niewzruszonej wiary w to, że któregoś dnia coś się zdarzy, że spotka Bena i zacznie z nim wspólne życie. Tak jej obiecała Matka Ziemia, kiedy była jeszcze małym dzieckiem. Długo musiała czekać na realizację tego marzenia, pomyślała, lecz warto było czekać.

Dotarła do strumienia, poszukała płycizny i przeszła na drugą stronę. Wtedy po raz pierwszy poczuła na sobie spojrzenie i zatrzymała się. Było zuchwałe i silne. Obróciła się w stronę, skąd mogło pochodzić, ale zniknęło. Pewnie jest to jakaś istota ongiś czarodziejska, jak ona sama, na usługach jej ojca. Powinna wiedzieć, że nie uda jej się

wejść do krainy jezior nie zauważoną. Powinna wiedzieć, że jej ojciec na to nie pozwoli.

Westchnęła. Teraz, skoro już wiedział, że tu jest, będzie nalegał, żeby z nim porozmawiała.

Odwróciła się z powrotem w stronę strumienia i nachyliła, aby się napić. Woda była czysta i smaczna. Spojrzała na swoje odbicie w połyskującej powierzchni zmarszczonej wody – nieduża, wiotka kobieta, niewiele różniąca się od dziewczynki, o dużych i wyrazistych oczach, włosach gęstych, spływających w dół aż po łydki, lecz tak cienkich i delikatnych, jak nici babiego lata, całe ciało ubarwione różnymi odcieniami zieleni. Była tym, co pokazywał obraz odbity w wodzie strumienia, ale nie tylko; w regularnych odstępach czasu ulegała przeobrażeniu w drzewo, od którego wzięło się jej imię, konsekwencja posiadanej struktury genetycznej, a teraz także przyczyna wyprawy, na którą została wysłana. Przez moment zastanawiała się, jak by wszystko wyglądało, gdyby płynęła w niej inna krew, gdyby została zrodzona z innych rodziców. Wystarczyła jednak tylko chwila dumania na ten temat. Równie dobrze mogłaby rozmyślać nad tym, co by było, gdyby urodziła się człowiekiem.

Podniosła się i zobaczyła przed sobą Władcę Rzek. Wysoki i szczupły, o skórze podobnej do srebrnego odlewu, łuskowatej i lśniącej, włosach czarnych i gęstych. Nieokreślonego wyglądu leśny kostium spływał luźno, ściśnięty jedynie pasem w talii. Na głowie nosił wąski srebrny diadem, oznakę zajmowanego urzędu. Rysy twarzy ostre i drobne, nos prawie niewidoczny, a usta zaznaczone jedynie wąską kreską, z której niczego nie można było odczytać.

– Szybko, nawet jak na ciebie – przywitała go.

– Musiałem być szybki – odpowiedział – skoro moja córka, jak się wydaje, nie zamierzała mnie odwiedzić.

Głos jego był głęboki i równy. Był sam, ale wiedziała, że jego świta jest niedaleko, ukryta pośród drzew w takiej odległości, aby mogła go usłyszeć i szybko zareagować na wezwanie.

– To prawda – powiedziała. – Nie miałam takiego zamiaru. Jej uczciwość spowodowała, że nie odezwał się od razu.

– Śmiałe słowa jak na dziecko zwracające się do swego ojca. Uważasz się teraz za coś lepszego ode mnie jako żona króla? – w jego głosie zabrzmiała nutka złości. – Zapomniałaś już o swoich korzeniach, Willow? Aluzja nie uszła jej uwagi.

– O niczym nie zapomniałam. Raczej pamiętam wszystko zbyt dobrze. Nie czuję, ojcze, abym była tutaj pożądanym gościem. Myślę, że spotkanie się ze mną nie jest dla ciebie całkiem miłe.

Wpatrywał się w nią przez krótką chwilę, po czym skinął głową.

– Przypuszczasz, że to z powodu twojej matki? Z powodu tego, co do niej czuję? Może rzeczywiście tak jest, Willow, ale nauczyłem się, że uczucia te należy zostawiać z boku. Doszedłem do wniosku, że muszę tak uczynić. Przyszłaś zatem się z nią spotkać, czy tak?

– Tak.

– W sprawie dziecka, którego się spodziewasz?

Uśmiechnęła się mimowolnie. Szpiedzy Władcy Rzek są wszędzie; nie starali się utrzymywać nowiny o dziecku w tajemnicy.

– Tak – odpowiedziała.

– Dziecka Holidaya, dziedzica tronu. – Kamienna twarz ojca pozostała niewzruszona, lecz jego głos nieco zdradzał jego prawdziwe uczucia. – Musisz być zadowolona, Willow.

– A ty nie jesteś? – zapytała miękko.

– To dziecko jest półczłowiekiem, a zatem nie należy do istot ongiś czarodziejskich, nie jest jednym z nas. To nie jest to, czego bym sobie życzył.

Pokręciła głową.

– Na wszystko patrzysz pod kątem własnej korzyści, ojczu. To dziecko jest potomkiem Bena Holidaya, a tym samym kolejną przeszkodą w twoich próbach zdobycia kontroli nad tronem Landover. Teraz nie możesz go zwyczajnie przeczekać. Musisz rozwiązać również problem jego dziecka. Czyż nie o tym myślisz?

Władca Rzek zbliżył się i stanął tuż przed nią.

– Nie będę się z tobą kłócił. Przykro mi, że nie zamierzałaś powiedzieć mi o narodzinach mojego wnuka. Chciałaś powiedzieć swojej matce, lecz mnie zmusiłaś do tego, abym dowiedział się o tym w inny sposób.

– Nie było to aż takie trudne, prawda? – zapytała. – Na pewno nie wtedy, gdy się ma takich szpiegów, jakich ty masz.

Zapadła chwila kłopotliwej ciszy. Patrzyli na siebie, sylfi-da i wodnik, córka i ojciec, oddzieleni od siebie przestrzenią, której nigdy nie będzie można zmierzyć.

Władca Rzek odwrócił wzrok. Słońce odbijało się od jego srebrnej skóry, gdy patrzył w półmrok lasu porośniętego wysokimi drzewami.

– To jest mój kraj. To są moi ludzie. Rzeczą najważniejszą dla mnie, jest mieć przede wszystkim ich na względzie. Zapomniałaś, co to znaczy. Patrzymy na świat w różny sposób, Willow. Zawsze tak było. Nigdy nie zbliżyłem się do ciebie na tyle, aby nauczyć cię tego samego. Częściowo to moja wina. Nasza więź została zniszczona przez twoją matkę, która nie chciała ze mną żyć. Nie potrafiłem patrzeć na ciebie, nie widząc jednocześnie jej.

Wzruszył ramionami, powoli, z rozmysłem, jakby odsuwał w przeszłość to, co i tak było nieosiągalne.

– Kochałem cię jednak, moje dziecko. Wciąż cię kocham. – Ponownie spojrzął na nią. – Nie wierzysz mi, prawda? Nie chcesz tego przyjać.

Poczuła, jak coś w niej słabo drgnęło, wspomnienie czasów, kiedy takie słowa wystarczyłyby jej do szczęścia.

– Jeśli mnie kochasz – powiedziała ostrożnie – to daj mi swoje słowo, że zawsze będziesz chronił moje dziecko.

Patrzył na nią długo i surowo, jak gdyby zobaczył kogoś innego. Potem położył jedną rękę na piersi. Zaskoczyło ją to, jak bardzo się pomarszczyła. Władca Rzek starzał się.

– Obiecuję – powiedział. – W zakresie, na jaki mnie stać, obiecuję dbać o bezpieczeństwo mojego wnuka. – Zrobił pauzę. – Nie musiałaś mnie prosić o dawanie słowa w tej sprawie.

Willow wytrzymała jego spojrzenie.

– Myślę, że jednak musiałam.

Ręka Władcy Rzek bezwolnie opadła.

– Jesteś zbyt surowa wobec mnie. Ale ja to rozumiem. – Spojrzał w niebo. – Chcesz iść teraz do swojej matki, czy pójdziesz ze mną do miasta, do mojego domu? Twoja matka – dodał szybko – nie przyjdzie przed zmrokiem.

Willow zawahała się i przez chwilę myślała, że może przyjmie jego zaproszenie, gdyż czuła, że zaproponował je z dobrego serca i bez fałszywej obłudy. Po chwili jednak pokręciła głową.

– Nie, będę już szła – powiedziała. – Chcę... pobyć sama, zanim spotkam się z matką.

Ojciec skinął głową, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Czy sądzisz, że ona...? – zaczął, ale przerwał, nie będąc w stanie kontynuować. Willow czekała. Spojrzał gdzieś w bok, potem z powrotem na nią. – Myślisz, że zatańczyłaby także dla mnie?

Willow zrobiło się nagle żal ojca. Niełatwo mu przyszło zadać to pytanie.

– Nie, sądzę, że chyba nie. Nie pojawiłaby się, gdybyś poszedł ze mną.

Ponownie skinął głową, również spodziewając się takiej odpowiedzi. Wtedy wyciągnęła rękę i chwyciła jego dłoń.

– Zapytam ją jednak, czy nie zatańczy dla ciebie przy innej okazji.

Jego dłoń zacisnęła się na jej dłoni. Stali tak złączeni przez dłuższą chwilę. W końcu Władca Rzek powiedział:

– Powiem ci coś, Willow. To twoja sprawa, czy mi uwierzysz, czy nie, ale moje sny są niezawodne, a wizja prawdziwa i spośród istot ongiś czarodziejskich ja jestem najpotężniejszy i najstarszy. Traktuj zatem poważnie to, co mówię. Jeszcze zanim poinformowano mnie o narodzinach, wiedziałem już o dziecku. Śniłem o nim wcześniej. Sny mi to pokazały. To dziecko nada kierunek twemu życiu. Musicie być oboje mocni, aby sprostać zmianom, jakie ono niesie – zarówno ty jak i król.

Willow zdusiła w sobie nagły lęk.

– Czy widziałeś twarz mojego dziecka? Widziałeś coś, co możesz mi powiedzieć?

Władca Rzek powoli pokręcił głową.

– Nie, Willow. Moje sny o dziecku były zbyt ogólne. Nie znam szczegółów, które pragniesz poznać. Moje sny są jedynie cieniem i światłem nad drogą życia i niczym więcej. Jeśli chcesz poznać szczegóły, musisz porozmawiać z Matką Ziemią. Być może jej widzenie jest wyraźniejsze od mojego.

Willow skinęła głową. Nie wiedział, że już rozmawiała z duchem ziemi. Matka Ziemia nie dopuściła do tego.

– Zrobię, jak radzisz. Dziękuję.

Uwolniła swoją dłoń i zrobiła krok do tyłu. Chwilę później ruszyła w stronę lasu.

– Nie będziesz próbował za mną iść? – Spojrzała za siebie z obawą.

Ojciec jeszcze raz pokręcił głową.

– Nie, jeśli nie zapomnisz zapytać się jej o taniec. Odwróciła się.

– Nie zapomnę.

Ruszyła przed siebie i już się nie oglądała do tyłu.

Pozostała część dnia minęła przy leniwym szmerze delikatnych podmuchów wiatru i wydłużających się cieniach. Słońce przesunęło się po bezchmurnym niebie coraz bardziej na zachód, aż w końcu zniknęło poza linią horyzontu w rozległym morzu purpury. Willow usiadła na skraju polany pośród starych sosen, czekając na zapadnięcie zmroku i przyjście matki. Przybyła wcześniej i spędzała czas, zastanawiając się nad kierunkiem, jaki przybrało jej życie. Czuła silną potrzebę, żeby zrobić to teraz.

Kiedy była mała, często przychodziła do starych sosen, żeby znaleźć swoją matkę. Miała potrzebę jej poznania, czuła bowiem, że dzięki temu lepiej pozna siebie. Matka Ziemia ostrzegała ją, że jej matka może przez długi czas nie przychodzić, że może być niechętna, a nawet obawiać się spotkania z córką, którą kiedyś porzuciła. Willow była jednak zdecydowana, bardziej stanowcza niż można się było tego po niej spodziewać.

Zresztą nigdy nie było wiadomo, czego się po niej można było spodziewać. Jako dziecko była małą, nieśmiałą, zamkniętą w sobie dziewczynką, niezbyt ładną, której nie dane było czerpać korzyści z przewodnictwa matki czy choćby zainteresowania ze strony ojca i dlatego nikt nie miał powodu przypuszczać, aby kiedykolwiek stała się kim innym. Jednakże zaskoczyła wszystkich. Matka Ziemia pomogła jej, zachęcając do wszystkiego i ucząc, ale głównie determinacja samej Willow pozwoliła jej się przeobrazić. Z początku była skromna i nie rozgłaszała tego. Ponieważ przez większą część czasu była zostawiona samej sobie, szybko odkryła, że jeśli czegoś naprawdę chce, to musi wstać i zdobyć to bez niczyjej pomocy. Nauczyła się uporczywości, podwijania rękawów, ciężkiej pracy i cierpliwości. Nauczyła się, że jeśli się czegoś pragnie z całych sił, to musi się znaleźć sposób, aby to osiągnąć. Psychiczenie była silna zawsze; reszta przyszła później. Stała się piękną dziewczyną, choć nigdy tak o sobie nie myślała. Inni ją podziwiali; sama sobie wydawała się zbyt egzotyczna. Ponieważ musiała robić wiele rzeczy sama, nauczyło ją to pewności siebie i bezpośredniości. Nauczyła się, że nie należy nikogo i niczego się bać. Rozwinęła swoje zdolności i wiedzę z taką samą dziką determinacją, z jaką do wszystkiego podchodziła. Była taka nie dlatego, że bała się niepowodzenia; nigdy jej nie

przyszło do głowy, że może się jej nie powieść. Była taka, ponieważ to był jedyny styl życia, jaki знаła.

Ostatecznie na przyjście matki musiała czekać prawie trzy lata. Chodziła do starych sosen co najmniej raz w tygodniu. Czekala całe dni, a czasem i noce. Czekanie nie było łatwe, ale nie było nie do zniesienia. Choć nigdy nie widziała matki, czasami czuła jej obecność. Przychodziło to wraz z szelestem liści, odgłosem małego zwierzęcia, szeptem wiatru czy wonią nowych kwiatów. Nigdy nie było takie samo, ale zawsze dawało się rozpoznać. Potem opowiadała o tyrry Matce Ziemi, zachęcona przez nią, a ta kiwała głową i mówiła: „Tak, to była twoja matka. Obserwuje cię. Osądza cię. Być może pokaże ci się któregoś dnia”.

I któregoś dnia pokazała się. O pomocy, w środku lata, pojawiła się w nikłym świetle księżyca, wirując i wyskakując spomiędzy drzew na polanę, aby tańczyć dla dziecka, które tak długo czekało, żeby ją zobaczyć. W jej tańcu było coś magicznego i Willow już wiedziała, że jej życie będzie odtąd wyjątkowe i cudowne.

Teraz, po tylu latach i tylu wizytach przy starych sosnach, przyszła jeszcze raz. Przyszła, aby powiadomić matkę o dziecku, które nosi, o drodze, która ją czeka i o ostrzeżeniach, których jej udzielono. Przeżywała konflikt emocjonalny. Z jednej strony była dumna, że urodzi dziecko swoje i Bena; z drugiej strony zniechęcała ją perspektywa podróży i przerażały ostrzeżenia, których udzielili jej Matka Ziemia i ojciec. To drugie martwiło ją najbardziej – przestrogi od dwóch najpotężniejszych i najbardziej czarodziejskich istot w Landover. Oboje ostrzegli ją, że tak oczekiwane przez nią dziecko zmieni wszystko w jej życiu.

Czekając na zapadnięcie zmroku, próbowała uporządkować swoje emocje. Ponownie zastanawiała się nad przestrogi, których jej udzielono. Do niczego nowego jednak nie doszła. Zysk z tej gimnastyki umysłowej był taki, że zdołała się pogodzić z tym, co wypełniało jej myśli i uczucia. Gdyby był tutaj Ben, to z nim by mogła o tym porozmawiać. Ponieważ go nie było, musiała robić to, co pomagało jej, kiedy była mała, samotnie dorastającą dziewczynką.

Przede wszystkim liczyła na to, że matka będzie mogła jej pomóc. Nimfa drzew porozumie się z nią, tak jak zawsze, poprzez taniec. Taniec wykreuje wizję, która dostarczy im wiedzy. Tak się już działo przy wielu okazjach. Willow wierzyła, że teraz również tak będzie.

Zmrok pogłębiał się i pojawiły się gwiazdy. Na północnym niebie widoczne już były dwa księżyce, nisko nad horyzontem, jeden fioletoworóżowy, drugi brzoskwiniowy. Nocne powietrze wypełniała woń sosnowych igieł i dzikich kwiatów, a polana tonęła w ciszy. Willow siedziała, myśląc o Benie. Żałowała, że nie ma go przy niej. Gdyby tutaj był, wszystko byłoby o wiele łatwiejsze. Nie lubiła się z nim rozstawać. Czuła się wtedy niekompletna.

Zbliżała się północ, kiedy przyszła jej matka. Wskoczyła spomiędzy drzew, przemykając od jednego skrawka mroku do drugiego. Drobna, efemeryczna istota o długich srebrnych włosach, bladozielonej cerze jak Willow i figurze dziecka. Nie miała na

sobie żadnego ubrania. Obiegła w pędzie obrzeże polany, jakby sprawdzała wody jeziora wypełnionego światłem księżyca, po czym zniknęła między drzewami.

Willow czekała niecierpliwie.

Matka wróciła, połyskując srebrną skórą, wirując w zawrotnym tempie obok niej. Willow poczuła na swoich policzkach muśnięcie jej palców niczym delikatne dotknięcie aksamitu. Po chwili znowu jej nie było.

– Matko! – zawołała za nią łagodnie Willow.

Chwilę później matka wyskoczyła płasem ze swojego ukrycia i znalazła się w samym centrum światła gwiazd, spływającego kaskadami przez ciężkie konary drzew. Zakręciła się, zawirowała i podskoczyła w promieniującej łunie jasności, poruszając płynnie ramionami i wyciągając je do córki. Willow uniosła swoje ręce w odpowiedzi. Nie dotykały się nawzajem, lecz między nimi zaczęły płynąć słowa-obrazy zrodzone z myśli.

Willow przypomniała sobie obietnicę, jaką dała ojcu i najpierw powiedziała o jego pragnieniu, chce ją zobaczyć, jak tańczy. Matka cofnęła się momentalnie. Postanowiła zatem nie wracać już do tej sprawy. Następnie opowiedziała jej o Benie i swoim życiu w Sterling Silver. Tym razem w jej reakcji czuło się zadowolenie, choć umiarkowane i wyważone, gdyż matka nie potrafiła pojąć życia toczącego się poza lasem, pozbawionego tańca, życia, które nie było jej życiem. Na swój sposób cieszyła się szczęściem Willow; nie była zdolna pokazać tego w inny sposób. Willow nauczyła się już, że musi brać od matki to, co ta jej oferuje i jak najlepiej starać się z tego skorzystać.

Pozwoliła matce wypowiedzieć się tańcem i podzielić się radością, którą odczuwała. Kiedyś ta radość poruszała Willow. Teraz nie. Wydawała się jej pustym i próżnym szczęściem sprowadzającym się do pobłażania samej sobie, zaspokajania własnych namiętności, całkowicie pozbawionym zainteresowania czy troski o innych, czymś smutnym i wprawiającym ją w skrajne zakłopotanie. Willow wiedziała, że żadna z nich nie jest tak naprawdę w stanie poznać tej drugiej. Staraly jednak się dzielić tym, czym mogły, wzajemnie się wspierając, okazując wdzięczność i zapewniając się o trwałości więzi, która je łączyła.

Potem Willow powiedziała matce o dziecku i o podróży, która zaprowadzi ją z Landover na Ziemię, następnie do krainy czarodziejskich mgieł i z powrotem.

Reakcja matki była natychmiastowa. Taniec stał się bardziej szalony i dziki. Zapadła jeszcze głębsza cisza, a świat kryjący się poza oświetloną gwiazdami polaną cofnął się jeszcze dalej w mrok. Istniały tylko matka, córka i taniec, który splatał je z sobą. Willow patrzyła, porażona wdziękiem matki, jej pięknem, siłą, z jaką zaznacza swoją obecność oraz jej instynktowną reakcją na wyjątkowe potrzeby córki.

Nagle z tych dziwnych, nieprawdopodobnych wręcz obrotów i zawirowań tańca pojawił się obraz, na który Willow czekała. Wzniósł się do światła i wypełnił sobą przestrzeń między nimi.

Obraz nie dotyczył jednak jej dziecka, lecz Bena. Był zagubiony – tak czuła – zagubiony w sposób, którego nie potrafiła zrozumieć. Wciąż był sobą, ale jednocześnie

kimś innym. Nie był sam. Wraz z nim były jeszcze dwie postacie. Drgnęła, gdy rozpoznała je. Wiedźma Nocny Cień i smok Strabo. Wszyscy troje brnęli przez grzędawisko mgieł i szarego światła, które emanowało zarówno z samego miejsca, jak i z zewnątrz. Szli przed siebie zdesperowani, szukając czegoś, czego nie potrafiła dostrzec, miotając się rozpaczliwie w daremnym wysiłku znalezienia tego czegoś.

Wtem ujrzała samą siebie, pochłoniętą przez identyczny skrawek mgły i szarości, zagubioną tak jak tamci, również czegoś szukającą. Znajdowała się blisko nich, a jednak daleko, blisko na tyle, aby ich dotykać, choć nie była widoczna. Tańczyła i wirowała w świetle rozszczepionym przez pryzmat. Nie była w stanie się zatrzymać.

Było coś jeszcze. Przez subtelny zmianę dźwięku i światła obraz ujawnił ostatnią okropność. Jej oczom odsłoniły się sceny, w których Ben zapomina o niej, a ona o nim. Widziała, jak dzieje się to w ciemnościach i mroku; odwracali się od siebie. Już nigdy nie znajdą siebie nawzajem.

– B e n – usłyszała siebie, jak krzyczy w rozpacz. – B e n!

Gdy obraz się rozplynął, zobaczyła, że jest sama. Polana stała pusta, a matka zniknęła. Usiadła, zapatrzona w przestrzeń, gdzie tańczyła jej matka i starała się zrozumieć to, co zobaczyła. Nie było niczego ojej dziecku; wszystko było o Benie. Dlaczego? Przecież Ben był bezpieczny w Sterling Silver, a nie zagubiony w mglistych ciemnościach. I jakież to splot wydarzeń mógł go połączyć z Nocnym Cieniem i ze Strabo, jego największymi wrogami?

To wszystko nie miało sensu.

Znalazła się teraz w wyjątkowo kłopotliwym położeniu. Chciała zawrócić i natychmiast udać się do Sterling Silver, aby się upewnić, czy Benowi nic się nie stało. Impuls był tak silny, że bliska była wyruszyć bez ponownego przemyślenia tej sprawy.

Wiedziała jednak, że nie może tego uczynić. Jej celem było teraz dziecko i wypełnienie zadania, które miało zapewnić bezpieczny poród. Nie mogła brać na swe barki innych trosk, bez względu na to, kogo one dotyczyły, bez względu na to, jak były ważne, aż do czasu, gdy wypełni zadanie postawione przez Matkę Ziemię. Ben z pewnością zgodziłby się z nią. Prawdę mówiąc, nalegałby na to. Na razie musi zignorować objawiony jej obraz. Musi pozwolić wydarzeniom toczyć się własnym torem do czasu, gdy będzie mogła cokolwiek w tej sprawie zrobić.

Podniosła się, bardziej zmęczona, niż przypuszczała, wykończona wydarzeniami całego dnia i przeszła na środek zalanej światłem gwiazd polany. Schyliła się w miejscu, gdzie tańczyła jej matka i zaczęła ryć rękoma w ziemi. Nie było to trudne; gleba była pulchna i łatwo dawała się nabierać. Zgarnęła kilka garści i wsypała ją do woreczka, w którym trzymała zapasową żywność. Pierwsza porcja magii potrzebnej dziecku była już w środku. Zasznurowała dokładnie woreczek, zważyła go na dłoni i z powrotem przywiązała do pasa.

Spojrzała na wschód. Niebo zaczynało się rozjaśniać. Taniec trwał większą część nocy.

Po raz ostatni spojrzała na polanę. Było pusto i cicho, stare sosny stały niczym poważni świadkowie, którzy nigdy nie wyjawiają tego, co widzieli. Tyle rzeczy się tutaj wydarzyło przez te lata, wiele z nich stało się niezatartą częścią jej życia. Teraz i to.

– Zegnaj, mamó – powiedziała łagodnie, kierując te słowa głównie do samej siebie. – Szkoda, że nie możesz pójść ze mną.

Stała tak sama, ponownie rozpamiętując w myślach obraz. Zamknęła oczy, żeby uciec przed uczuciem niepokoju. Co z Benem? A jeśli obraz pokazywał prawdę? Mocniej ścisnęła oczy, aby odsunąć pytanie.

Kiedy znowu je otworzyła, myślała już o tym, co ją czekało. Ziemia, świat Bena, do którego droga wiodła gdzieś przez czarodziejskie mgły. Kolejne miejsce, skąd ma wziąć porcję ziemi. Ale w jakiej części jego świata ma to być? Dokąd ma się udać? Jaki rodzaj ziemi jest potrzebny, aby wypełnić zobowiązanie? Jaki rodzaj magii?

A jej przewodnik...?

Wtedy zobaczyła kota siedzącego bokiem na kłocu drewna, liżącego swoją przednią łapę. Miał srebrną sierść, a łapki, mordkę i ogon czarne. Był wiotki, zadbany i nie sprawiał wrażenia dzikiego. Przestał lizać łapę i popatrzył na nią swoimi szmaragdowymi oczami, tak lśnącymi, jak jej własne. Miała dziwne uczucie, że czekał na nią.

Znam tego kota – dotarło do niej nagle.

– To prawda – powiedział kot.

Willow pokiwała głową bez słowa. Powinna była się domyślić. Czarodziejskie istoty przysłały jej Dirka ze Skraju Lasu.

KRYSTAŁY MARZEN

Słońce stało w zenicie. Horris Kew posuwał się ciężkimi krokami drogą do Sterling Silver, nerwowo pogwizdując. Jeszcze kilka mil, najwyżej dwie lub trzy i wtedy zobaczą. Oczekiwanie mieszało się z niepokojem i wywoływało bolesne palenie w żołądku. Pot się z niego lał, nie tylko z powodu upału. Tik w oku był nie do opanowania. Wyglądał, jakby żonglował niewidzialnymi piłeczkami.

Obejrzał się niespokojnie przez ramię. W porządku, wszystko było na miejscu. Juczny muł uwiązany do drugiego końca liny, którą trzymał w rękę, posłusznie posuwał się za nim. Bliźniacze skrzynie, mocno przywiązane do stelaża, były na swoim miejscu. Na ich szczycie siedział Biggar.

– Patrz na drogę, Horris! – zawołała majna.

– Tylko sprawdzam – odpowiedział ze złością.

– Niepotrzebnie. Po to ja tu jestem. Ty po prostu idź. Stawiaj tylko jedną stopę przed

drugą. Staraj się nie upaść na twarz.

Horris Kew poczerwieniał. Staraj się nie upaść na twarz! Cha! Cha! Świetny dowcip!

Spojrzał przez ramię i otworzył usta, chcąc powiedzieć ptakowi, żeby się zamknął, wtem potknął się i upadł na twarz. Droga była piaszczysta i wysuszona, wyorał w niej nosem sporą bruzdę, a w usta nabrał pełno piachu. Dźwignął się na nogi i splunął ze złością.

– Nic nie mów, Biggar! – rzucił i zaczął się otrzępywać. Ciało stracha na wróble wykonało kilka dzikich akrobacji, starając się oczyścić z kurzu. – To była koleina! Koleina! Gdybyś mnie nie rozpraszał, to bym ją zauważył i nic by mi się nie stało!

Biggar westchnął ciężko.

– Dlaczego zwyczajnie nie wyczarujesz dla nas powozu, którym byśmy dojechali do pałacu? Albo konia. Koń by wystarczył.

– Konia? Świetny pomysł, koń! – Horris zacisnął w złości dłonie. – Mamy być pokutnikami, ty idioto! Biednymi, nędznymi pokutnikami! Pamiętasz plan?

Muł ziewnął i głośno zaryczał.

– Zamknij się! – wrzasnął z wściekłością Horris.

Biggar mrugnął oczami i z zadumą odchylił głowę do tyłu.

– Chwileczkę. Niech pomyślę. Plan. Ach tak, plan. Teraz pamiętam. Ten, który ma się nie powieść.

– Nie mów tak!

– Nie mówić jak? Że plan się nie uda?

– Ciii! – uciszył go z zapamiętaniem Horris, kuląc ze strachu głowę w ramiona i rozglądając się pośpiesznie dokoła. Oczy skakały mu niespokojnie. – On może słuchać tego!

– Kto, Gorse? Tutaj, za dnia, w pełnym słońcu, na jakimś pustkowiu? – Biggar prychnął pogardliwie. – Wątpię. Jest istotą nocną i nie może przez dłuższy czas przebywać w świetle słonecznym. Jest na to nazwa: wampiryzm.

Horris popatrzył na niego groźnie.

– Jesteś nielicho odważny, kiedy nie ma go w pobliżu, co?

– Chciałem tylko coś wyjaśnić.

– Nie zauważyłem, abyś to robił ostatnim razem. Nie zauważyłem, abyś powiedział, że plan się nie powiedzie, kiedy nam go objaśniał.

– Więc ty, Horrisie, uważasz, że ten plan jest dobry? Tak uważasz? Myślisz, że się uda?

Horris zacisnął wyzywająco szczękę, stanął na środku drogi twarzą do muła i ptaka i wziął się pod boki. Wyglądał jak bokser, który idzie do ataku z wysuniętym podbródkiem.

– Oczywiście, że się powiedzie! – oświadczył. Biggar prychnął z nie ukrywaną pogardą.

– Oto cały ty. Poddaję się. Po cóż mam dyskutować z tą istotą, z tym Gorse'em, skoro ty będziesz stał i zgadzał się z każdym podejrzanym pomysłem, który przyjdzie mu do głowy? Co ja mam, Horrisie, robić? Nie mogę ochronić ciebie przed samym tobą. W takich sytuacjach nie słuchasz nikogo, a z całą pewnością nie mnie. Jestem przecież tylko twoim ptakiem-maskotką.

Horris zazgrzytał zębami.

– Ptaki-maskotki powinny odnosić się do swoich panów z należnym szacunkiem, Biggarze. Jak myślisz, kiedy mógłbyś zacząć to robić?

– Pewnie wtedy, kiedy spotkam pana, który będzie wart tego wysiłku!

Horris wypuścił z sykiem powietrze.

– To nie jest moja wina! Za nic, co się stało, nie odpowiadam! To dzięki tobie Gorse jest tutaj! To ty przecież go wezwałeś!

Biggar zaklekotał dziobem.

– To ty wypowiedziałeś zaklęcie, jeśli sobie dobrze przypominam!

– Ty mi podpowiedziałeś słowa, które należało wyrecytować!

– Tak, ale nie musiałeś ich wypowiadać!

Horris rzucił sznur muła na ziemię. Cały się trząsł. Gorąco było tak stać w letnim słońcu w samo południe, z dala od dających cień drzew lasu, na wyschniętej, pokrytej kurzem drodze. Pokutnicze szaty, które miał na sobie, były szorstkie, przepocone i cuchnęły. Wyruszył w drogę zaraz po północy, gdyż Gorse chciał, aby u bram Sterling Silver znalazł się dzisiaj tuż przed końcem dnia, aby pozwolono mu wejść do zamku i spędzić tam noc. Był zdruzgotany, głodny (żadnego jedzenia, jeśli się jest pokutnikiem, chyba że się miało ochotę zatrzymać i jeść te obrzydliwe bonnie blues), a jego cierpliwość była na wykończeniu.

– Słuchaj, Biggarze – zwrócił się do ptaka najłagodniej, jak tylko potrafił. – Mam już dość klócenia się z tobą. Miałeś okazję odezwać się wcześniej, ale tego nie zrobiłeś. Więc teraz posłuchaj. Plan się powiedzie, kapujesz? Powiedzie! Może ty sądzisz inaczej i może ja też, ale skoro Gorse mówi, że się uda, to znaczy, że się uda! – Nachylił się do przodu jak cienkie drzewo w czasie silnego wiatru. – Czy widziałeś jak łatwo pozbył się Holidaya? A Strabo i Nocny Cień? Ot tak, zwyczajnie! – Strzelił teatralnie palcami. – On posiada wielką moc, na wypadek gdybyś tego nie zauważył. Król, wiedźma i smok zniknęli – kto mu się teraz przeciwstawi? Dlatego też sądzę, że plan się powiedzie. Dlatego też nie zamierzam zadawać żadnych głupich pytań!

Ptak rzucił mu wyzywające spojrzenie.

– Powinieneś posłuchać samego siebie, Horrisie. Naprawdę powinieneś. Pozbył się Holidaya, wiedźmy i Strabo, ot tak, czyż nie? – Klęknął, dziobem imitując gest tamtego. – Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że równie łatwo mógłby pozbyć się nas? Zastanów się:

do czego my jesteśmy mu potrzebni? Zadawałeś sobie to pytanie? Jesteśmy chłopcami na posyłki, Horrisie. Niczym więcej. Biegamy, robiąc rzeczy, których on sam nie potrafi wykonać, ale kiedy to już zrobimy, to co wtedy? Jeśli ten tak zwany plan się powiedzie, to do czego będziemy mu później potrzebni?

Horris Kew poczuł nagle ucisk w żołądku. Może Biggar ma raq'ę. Wciąż widział, jak Holiday, wiedźma i smok są wsysani przez kabałową szkatułę. Wciąż widział, jak próbują się uwolnić tuż przed zniknięciem we mgle. Kiedy podniósł szkatułę, to zdawało się, że czuje, jak rzucają się w środku niczym ćmy schwywane w pułapkę. Zastanawiał się, co Gorse zrobił z pudełkiem, po tym jak Horris zaniósł je do jaskini. Zastanawiał się, czy w środku jest jeszcze miejsce dla innych więźniów.

Horris przełknął z trudem ślinę.

– Nie martw się. Gorse nas potrzebuje – obstawał przy swoim, lecz jego głos nie brzmiał już tak pewnie.

– Do czego? – warknął Biggar.

– Do czego?

– Nie powtarzaj po mnie, Horris. Już ci na to zwracałem uwagę. Właśnie: do czego? Skoro już jesteśmy przy tym, to zadaj sobie lepiej jeszcze jedno pytanie. Jeśli Gorse chce dać nam całe Landover, to co sam zamierza wziąć? Tylko nie mów mi, że robi to, nie myśląc o swojej korzyści. Nie mów mi, że to czysta filantropia. To wszystko do czegoś zmierza, ale jeszcze nam nie powiedział do czego!

– Dobrze! Dobrze! — Horris przeszedł do defensywy. — Może i jest w tym wszystkim coś jeszcze oprócz tego, co nam już powiedział. Jasne, dlaczego nie. Słuchaj. Mam pomysł. Dlaczego go o to nie zapytasz, Biggarze? Jeśli tak cię to martwi, to dlaczego po prostu go o to nie zapytasz?

– Z takiego samego powodu, z jakiego ty tego nie robisz, Horris! Nie mam ochoty zostać wyprawionym jak Holiday i pozostali!

– A to, że ja ryzykuję cały czas, to jest w porządku?

– Dopóki cię potrzebuje – tak! Rusz głową, Horris! On nie zrobi ci niczego, dopóki cię potrzebuje! Musisz się zacząć martwić o to, co będzie później!

Horris tupnął z wściekłością. Po wąskiej, spiczastej twarzy spływały stróżki potu.

– Nie na wiele nam się to zda tutaj, na drodze, prawie u bram królewskiego zamku, prawda?! – ryknął wściekle. – Masz jeszcze jakieś inne dobre propozycje?

Biggar ponownie nastroszył pióra, ciemne oczy pozostały zimne i nieustępliwe.

– Właściwie to mam. Cały plan zależy od tego, czy magia, którą nam dał, będzie działała. Jeśli nie, czarodziej i pies wrzucą nas do najciemniejszego lochu, jaki tylko znajdą. Kiedy byliśmy tam ostatnim razem, Holiday był naszym jedynym sprzymierzeńcem, ale jego już nie ma. Nikt nie będzie w zbyt dobrym nastroju, skoro go nie ma. Co zatem się stanie, jeśli magia nie zadziała?

Horris Kew spojrzał gniewnie.

– Zaczyna mnie to już męczyć. Szczerze mówiąc, to mam już cię dość.

Na Biggarze nie zrobiło to wrażenia.

– Twierdzę, że przed wejściem do klatki lwa powinniśmy wypróbować tę magię.

– Gorse przestrzegał nas przed tego rodzaju próbami. – Mars na czole Horrisa pogłębił się. – Pamiętasz? Powiedział to wyraźnie.

– Co z tego? – ptak obstawał przy swoim. – To nie Gorse bierze na siebie całe ryzyko.

– Powiedział przecież, że cokolwiek by się działo, to nie możemy jej używać! Szczególnie nas na to uczuła, o ile sobie dobrze przypominam! – W tym momencie Horris już krzyczał. – Biggar, a jeśli on nie żartował?! A jeśli, przypuśćmy choć na chwilę, on dobrze wie, o czym mówi?! W końcu czyja to magia, ty idioto?!

– Jesteś głupszy, niż można to sobie wyobrazić. – Biggar splunął, a nie jest to łatwe dla ptaka. – Jesteś bardziej krótkowzroczny od kreta, nadto, nawet jak na człowieka, wyjątkowo tchórzliwy!

Horris nie wytrzymał dłużej. Z wściekłością rzucił się w jego stronę. Rycząc jak rozwścieczony lew, szedł na Biggara z zamiarem oderwania mu skrzydeł. Lecz Biggar był ptakiem, a ptaki potrafią uciec ludziom, po prostu podrywając się do lotu. To właśnie Biggar zrobił – leniwie, jakby od niechcienia uniósł się w górę i kołował tuż nad podskakującym i próbującym go złapać rzekomym czarodziejem. Horrisowi powiodło się natomiast w czym innym: zdołał śmiertelnie wystraszyć jucznego muła, tak że zwierzę z dzikim rykiem przerażenia pognęło w stronę lasu i zniknęło w tumanach kurzu.

– A niech to, a niech to licho! – mamrotał Horris, przeplatając to innymi mniej cenzuralnymi słowami, aż w końcu uspokoił się na tyle, by zdać sobie sprawę z tego, co narobił.

Nawet z pomocą Biggara potrzebował godziny, aby wytropić muła, który przecież miał na grzbiecie cenne skrzynie. Wykończeni, w złych humorach i jeszcze bez żadnego planu czarodziej i ptak kontynuowali swoją wędrówkę.

Zbliżał się już zachód słońca, kiedy w końcu przybyli do bram Sterling Silver.

Questor Thews odchodził od zmysłów. Minęły trzy dni, odkąd Ben Holiday zniknął i wciąż nie było o nim żadnej wiadomości. Straż, która towarzyszyła królowi do Serca, powróciła do zamku zaraz po tym, jak zniknął i Questor prawie natychmiast rozesłał oddziały poszukiwawcze. Te przetrząsnęły cały rejon Serca, a potem tereny przylegające. Wciąż żadnego śladu króla. Jego wierzchowca znaleziono pasącego się tam, gdzie widocznie zostawił go Holiday, i to było wszystko. W Sereu widoczne były ślady jakichś zajęć – kilka wystrzępionych sztandarów, kilka przypalonych siedzeń i oparc, trochę poruszonej ziemi – ale nic takiego, co by wskazywało na sprawcę i nic, co mogłoby pomóc wyjaśnić, gdzie się podział Holiday. Questor sam się tam wybrał, aby przyjrzeć się wszystkiemu osobiście. Czuł w powietrzu obecność użytej magii, ale tyle jej się tam koncentrowało, że trudno było stwierdzić, co znaczą te dziwne ślady.

Tak czy inaczej Bena Holidaya nie znaleźli. Questor zaczął szybko działać, aby utrzymać ten fakt w tajemnicy i zakazał straży oraz oddziałom poszukiwawczym mówienia o tym z kimkolwiek. Było to jednak jak wkładanie palca w przeciekającą tamę, jak zdążył zauważyć Abernathy. Tego rodzaju wiadomości nie można utrzymać w tajemnicy przez dłuższy czas. Ktoś na pewno się wygada, a jeśli raz informacja o tym, że król przepadł, wydostanie się na zewnątrz, to na pewno pojawią się kłopoty. Jeśli nie za sprawą Władcy Rzek, to z pewnością władców Greenswardu, zwłaszcza lorda Kallendbora z Rhyndweiru, najpotężniejszego z nich i nieprzejednanego wroga Bena Holidaya. Kallendbor, bardziej niż jakikolwiek inny z panów i przywódców w Landover, był oburzony z powodu utraty potęgi, co nastąpiło po koronacji Holidaya. Na pozór uznawał zwierzchnictwo Holidaya i był posłuszny jego rozkazom. W głębi kipiał gniewem. Także innych ucieszyłaby wiadomość o usunięciu Bena Holidaya. Questor wiedział, że musi coś zrobić, aby natychmiast uciszyć plotki.

Wpadł na dość ciekawy pomysł, którym podzielił się tylko z Abernathym i koboldami, ograniczając liczbę osób, które znały prawdę, do czterech. Kazał Abernathy'emu odwołać poszukiwania i ogłosić, że król bezpiecznie powrócił. Aby przekonać tych, którzy byli zakwaterowani w zamku, że jest to wiadomość prawdziwa, a nie kolejna pogłoska, posłużył się magią i wyczarował wizerunek Bena Holidaya przechadzającego się po murach obronnych zamku w samo południe, gdy był wyraźnie widoczny przez ludzi z dołu. Wydawało się, że ich pozdrawia ręką. Powtórzył tę sztuczkę kilkakrotnie, dbając o to, żeby za każdym razem było wielu świadków. Wiadomość o tym rozeszła się, oczywiście, lotem błyskawicy. Tymczasem Questor poświęcał każdą wolną minutę na wykorzystanie czarodziejskich możliwości szybkiego podróżowania za pomocą krainogłędu i przeszukiwał królestwo w nadziei, iż znajdzie władcę. Wysiłki nie przyniosły pożądanego rezultatu. Po Holidayu nie było śladu.

Naturalnie, życie w Sterling Silver toczyło się dalej, z Holidayem czy bez. Najważniejsze było to, żeby dopełnić wszystkich innych obowiązków i załatwić bieżące sprawy, tak jak robił to sam Holiday. Było to o wiele trudniejsze do zrealizowania niż wyczarowanie jednej czy dwóch zjaw. Ponieważ nieobecny Holiday nie mógł spotkać się z nikim spośród wielkiej liczby przedstawicieli i urzędników przybyłych z różnych regionów królestwa, Questor Thews i Abernathy musieli spotykać się z nimi zamiast niego i udawać, że zostali o to poproszeni. Niektórzy goście przebyli wielkie odległości, aby zobaczyć króla. Niektórych wezwano. Nikt nie był zadowolony, że się go zbywa. Questor uciekał się do niewiarygodnie rozpaczliwych wysiłków, aby zdusić jakiekolwiek podejrzenia. Na rozkazach fałszował podpis króla. Rozdawał prezenty. Przyznawał nagrody i udzielał pochwał. Spróbował nawet użyć swoich czarów i sprawić, aby zza zasłony dochodził głos króla. Niestety w efekcie usłyszano kobiecy głos, na którego brzmienie wszyscy zgromadzeni spojrzeli po sobie pytającym wzrokiem: kim jest ta kobieta tam z tyłu z naszym królem? Questor musiał ratować sytuację, twierdząc, że jest to służka, która przez pomyłkę wzięła Holidaya za intruza. Nad niektórymi ze swoich zaklęć musiał jeszcze popracować.

Dochodziła jeszcze sprawa nieobecności Willow, czego nawet król, jeszcze przed swoim zniknięciem, nie potrafił wytłumaczyć. Brakowało zatem nie jednej, ale dwóch

osób. Skoro jednak Holiday nie wykazywał zbytniego zainteresowania faktem zniknięcia Willow, Questor zdecydował, że on również nie musi, przynajmniej na razie. W rzeczy samej, ponieważ nie należało się martwić o jej bezpieczeństwo, jedynym właściwym powodem do odszukania jej było to, żeby ją powiadomić o zniknięciu Holidaya. Questor doszedł do wniosku, że niepotrzebna jest mu ta dodatkowa komplikacja w życiu. Gdyby sylfida wróciła, a Holiday wciąż nie został odnaleziony, to wtedy Questor przekaze jej nowiny. Co więcej mógł zrobić?

Na razie było to i tak wystarczająco dużo. Próby dzielenia czasu między obowiązki urzędu a przygotowywanie machinacji zaczynało już zbierać swoje żniwo. Nie miał na pewno humoru, aby wysłuchiwać takich wiadomości, z jakimi przybył Abernathy, pojawiając się w drzwiach jego gabinetu trzeciego dnia tuż przed zachodem słońca.

– Horris Kew wrócił ze swoim ptakiem – oznajmił bez entuzjazmu skryba.

Questor podniósł wzrok znad sterty papierów, które spadły na niego pod nieobecność króla i jęknął:

– Znowu? Czego tym razem chce ten darmozjad? Abernathy wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Mimo iż był psem, widać było, że jest przybity.

– Życzy sobie rozmawiać z królem, a cóż innego? Czy to nie jest główny powód, dla którego wszyscy zdają się ostatnio żyć? Tylko mi nie mów, żebym go odesłał. Zrobiłbym to z przyjemnością, ale nie mogę. Ma na sobie szaty pokutnicze; muszę pozwolić mu wejść.

Questor przytknął palce do czoła, masując skronie.

– Czy nie powiedział przypadkiem, czego chce?

– Powiedział, że to ważne, nic więcej. Nie wspomniał o swoim wygnaniu, jeśli o to pytasz.

– Prawdę mówiąc, to nie wiem, o co pytam! Już prawie nie wiem, co w ogóle robię! – Czarodziej wyglądał, jak gdyby próbował wydrzeć sobie brodę. – Wiesz co, Abernathy. Bardzo lubię naszego króla. Bardzo. Sam go zwerbowałem, jak sobie przypominasz. Dojrzałem w nim coś wyjątkowego i nie pomyliłem się. Był królem, na którego wszyscy czekaliśmy, królem, którego Landover potrzebowało, aby stać się ponownie jedną całością. – Podniósł się. – Lecz naprawdę nie chciałbym, aby tak często znikał! Ileż razy już to robił? Nie wiem, jak może nam okazywać taki brak szacunku. Wyjechał w środku nocy, bez słowa, zostawiając nas, abyśmy go kryli do czasu swego powrotu. Muszę ci powiedzieć, że jest to dla mnie niezmiernie denerwujące!

Abernathy odwrócił wzrok i chrząknął.

– Z całym szacunkiem, Questorze Thewsie, ale nie za każdym razem król znikał z własnej winy. Jestem całkiem pewien, że wolałby, aby to się nigdy nie zdarzało.

– Tak, tak, wiem. Mój brat i wszystko inne. Czarny jednorożec. – Questor odsunął od siebie te wyjaśnienia. – Jednak król ma obowiązki i nie powinno się ich traktować lekko. Król powinien konsultować ze swoimi doradcami takie sprawy. Po to są dorad... – Przerwał raptownie. – Czy myślisz, że został porwany? Czy nie powinniśmy już do tej

pory otrzymać żądania okupu? Chyba że ma go Nocny Cień. Ona nie zawracałaby sobie głowy okupem. Najzwyczajniej by z nim skończyła! Ale dlaczego Paladyn nie obronił go przed nią? Dlaczego Paladyn nie przybył mu na ratunek...

– Questorze – Abernathy spróbował mu przerwać.

– ...bez względu na rodzaj zagrożenia? Co to za obrońca, który zostawia swego pana...

– Czarodzieju! – warknął poirytowany pies. Questor podskoczył.

– Co? Co się stało?

– Przestań już, na miłość boską! To nie ma sensu. Nie mamy pojęcia, co się stało z królem, ale z pewnością nie pomoże nam, jeśli zaczniemy tracić głowy. Musimy zachować spokój. Musimy zachowywać się dalej tak, jak gdyby tutaj był, i żywić nadzieję, że się pokaże. – Abernathy wziął głęboki oddech. – Odkryłeś coś w krainogładzie?

Questor, w porę uspokojony, pokręcił głową.

– Nie, nic.

– Może powinienes wysłać Buniona, aby się rozejrzał. Kobold może sprawdzić większy teren niż dwadzieścia oddziałów poszukiwawczych i nie wywoływać tyle zamieszania. Bunion potrafi wyśledzić każdego. Może powinienes pozwolić mu iść śladem Holidaya.

– Tak. – Questor skinął głową w zamyśleniu. – Tak, może rzeczywiście.

– Co zamierzasz zrobić z Horrsem Kew? – ciągnął Abernathy, powstrzymując się od chęci podrapania tylną łapą dolnej części swego ciała.

Questor ponownie przycisnął palce do skroni, jak gdyby przypomniawsobie o bólu głowy.

– O rany. Jeszcze tamten. Cóż, na pewno nie może się spotkać z królem. Niech go diabli wezmą! Dlaczego musi kogokolwiek widzieć?

– Nie musi – odpowiedział Abernathy – ale jeśli dobrze odczytuję jego determinację, to będzie próbował, aż do skutku. Nie sądzę, aby tak zwyczajnie odszedł.

Questor westchnął.

– Nie, nie sądzę, aby to zrobił. – Przerwał, zastanawiając się nad czymś. – Abernathy, czy uważasz, że jestem cokolwiek podobny do niego?

Abernathy wytrzeszczył oczy.

– Cóż za dziwne pytanie.

– Martwię się tym, że mógłbym. Wiesz, obaj jesteśmy związani z czarami, a czasami się mówi, że wszyscy czarodzieje wyglądają podobnie. Słyszałeś o tym, prawda? Poza tym, obaj jesteśmy raczej wysocy i szczupłej budowy i czasami dziwni, i obaj mamy raczej wydatne nosy i... ostre rysy...

Abernathy podniósł z rozmysłem jedną łapę.

– Jesteś tak samo podobny do Horrisa, jak ja do jego ptaka. Proszę, daj już z tym spokój. Po prostu zdecyduj, czy mamy ich przyjąć dzisiaj wieczorem, czy nie. Ja

proponuję, abyśmy tego nie odkładali.

Questor skinął głową.

– Zgadzam się. Będziemy mieli to za sobą.

Wyszli z komnaty na korytarz, potem zeszli schodami dwa piętra do pomieszczenia, gdzie przebywali goście oczekujący na swoją audiencję. Stanowili we dwóch dziwną parę – siwowłosa, tyczkowaty czarodziej w szatach upstrzonych kolorowymi łatami i pies o miękkiej sierści w wymyślnym kostiumie. Przez całą drogę Questor utyskiwał, czepiał się jednej rzeczy, oplakiwał inną, wprowadzając takie napięcie, że w końcu Abernathy nie wytrzymał i w raczej mało wybredny sposób poprosił go, aby zamilkł. Dwaj przyjaciele, których dzieje złączyły ich losy, znali się jak łyse konie i potrafili przewidzieć swoje kolejne życiowe kroki, jakby ich drogi leżały tuż przed oczami.

– Wiesz co, Abernathy? – powiedział w zaufaniu czarodziej, gdy dotarli na parter zamku i mieli skręcić do głównego holu. – Gdybym nie znał go lepiej, to pomyślałbym, że

Horris Kew ma coś wspólnego ze zniknięciem Holidaya. Jego niezrównoważona magia mogłaby doprowadzić do czegoś takiego, choćby nawet niechcący. Lecz on nie posiada takiej mocy! – Zastanowił się nad tym. – Poza tym ma również za mało rozumu na to.

Abernathy prychnął pogardliwie.

– Nie trzeba rozumu, żeby być niebezpiecznym.

Przeszli głównym holem do poczekalni, w której mieli czekać Horris Kew i jego ptak, i weszli do środka.

Horris Kew podniósł się z ławki. Ptak, ugrzeczniony, przycupnął na oparciu ławki, spoglądając chytrze. Obok nich na podłodze stały dwa drewniane kufry okute żelazem.

– Questorze Thews, Abernathy! – zawołał Horris Kew przesadnie uradowany. – Dobry wieczór! Dziękuję, że tak szybko przyszliście się ze mną spotkać. Jestem naprawdę wdzięczny.

– Horris, darujmy sobie te uprzejmości, dobrze? Co ty znowu tutaj robisz? O ile mnie pamięć nie myli, to powiedziano ci jasno, że możesz tu przychodzić tylko wtedy, kiedy król po ciebie pośle. Czyżby zrobił to bez mojej wiedzy?

Magik uśmiechnął się bojaźliwie.

– Nie, niestety, nie zrobił tego. Wciąż żyję pełen nadziei i wyczekiwania. – Twarz mu się rozjaśniła. – Ale nie dlatego tutaj jestem, Questorze. Przyszedłem z zupełnie innego powodu. Pragnę podzielić się niezmiernie ekscytującymi wiadomościami. – Przerwał i popatrzył na nich z nadzieją. – Nie myślę się, że króla nie ma w pobliżu?

Na twarzy Questora pojawił się grymas niezadowolenia.

– W tej chwili nie. Co to za wiadomości, które przynosisz? Ufam, że nic, co miałoby związek ze zwierzętami hodowlanymi?

– Nie, nie – odpowiedział tamten pośpiesznie. – Pamiętam o mojej obietnicy i nie złamię jej. Żadnych czarów. Nie, to jest coś zupełnie innego. – Ponownie przerwał. – Czy

mogę powierzyć to wam obu, nadwornemu czarodziejowi i skrybie, skoro król zajęty jest czymś innym?

Questor rzekł coś w odpowiedzi, a Abernathy patrzył na ptaka. Myliły go zmysły, czy też rzeczywiście usłyszał, jak ptak zachichotał? Utkwił wzrok w majnie, lecz ptak jedynie stroszył z obojętnością pióra i patrzył w inną stronę.

– Zatem, dobrze – rozpoczął Horris Kew i odchrząknął. – Są chwile, nie tak znowu rzadkie, kiedy stres spowodowany pracą oraz ciężar naszych obowiązków wyczerpują nas i potrzebujemy jakiejś rozrywki albo odmiany, aby odpocząć. Jestem pewny, że zgodzicie się ze mną. Mówię teraz nie tylko o dobrze urodzonych, ale o zwykłych ludziach, tych pracujących na polu i w warsztacie, na targowiskach i w sklepach, na naszych folwarkach i w miastach. Mówię o każdym mężczyźnie i kobiecie, każdym chłopaku i dziewczynie, wszystkich, którzy codziennie zmagają się z trudami, aby uczynić swoje życie lepszym i bardziej wydajnym.

– Do rzeczy, Horrisie – przerwał mu znużony Questor. – Mieliśmy ciężki dzień.

Horris odczekał chwilę, uśmiechnął się i wzdrygnął.

– Racja. Potrzebujemy zatem odmiany. Czegoś, co pozwoli nam zapomnieć o stresie przez kilka godzin. Sądzę, że znalazłem coś, co przyniesie tę ulgę.

– To bardzo chwalebne – warknął Abernathy – ale odkryto to już dość dawno temu. Nazwano to grą. Są gry zespołowe i indywidualne. Jest ich niezliczona liczba. Czyżbyś odkrył nową grę? Czy to cię właśnie tutaj sprowadza?

Horris Kew zaśmiał się uprzejmie, chociaż odnosiło się wrażenie, że robi to przez zaciśnięte zęby.

– Och, nie, nie chodzi o gry. To coś zupełnie innego. – Przerwał i zaraz nachylił się konspiracyjnie. – Kryształ marzeń! – wyszeptał ochryplym głosem.

– Co takiego? – zapytał Questor, marszcząc brwi.

– Kryształ marzeń – powtórzył tamten wyraźnie. – Wiesz coś o tym, panie?

Questor nie wiedział, ale nie miał zamiaru przyznawać się przed Horrisem Kewem do jakiegokolwiek ignorancji.

– Może co nieco wiem. – Wydał wargi. – Ale powiedz mi o tym tak czy inaczej.

– Kryształ – powiedział Horris, podnosząc do góry palec. – Kryształ, w który patrzysz jak w lustro. Kiedy to robisz, pokazuje ci obrazy przeszłości i przyszłości, obrazy ciebie samego i tych, których kochasz. Obrazy te są ci mile, chętnie je oglądasz i pozwalają ci przez jakiś czas zapomnieć o kłopotach. Idealna odskocznia od twoich trosk. – Zatarł dłoń. – Zaraz wam pokażę.

Sięgnął w głąb swoich szat pokutnika i wyciągnął kryształ. Był on mniej więcej rozmiarów przeciętnego kciuka, pięciościenny, z jednej strony spiczasty, z drugiej płaski i na tyle przejrzysty, aby móc przez niego spoglądać.

– Chciałbyś spróbować? – zapytał Questora Thewsa i wyciągnął rękę, żeby czarodziej

go wziął.

– Chwileczkę. – Abernathy w jednej chwili znalazł się między nimi. – To jest magiczny przedmiot, czy tak? Horris skinął spokojnie głową.

– Owszem.

– Wydawało mi się, że powiedziano ci, abys przestał się zajmować magią, chyba że się ciebie o to znowu poprosi. Przysiągłeś naszemu władcy, że przestaniesz się tym zajmować. Horrisie, co się stało z twoim przyrzeczeniem? Skąd się wziął ten kryształ, skoro go nie wyczarowałeś?

Horris Kew uniósł ręce, chcąc go uspokoić.

– Nie złamałem mego przyrzeczenia, Abernathy. To – po raz drugi wyciągnął przed siebie kryształ – ukazało mi się we śnie. Spałem w środku lasu... ee... – zawahał się – na północy. Było to zaraz po moich odwiedzinach tutaj. Spałem, wykończony całym dniem postu i kontemplowania pomyłek i błędów mego życia, i śniłem. We śnie ukazał mi się kryształ marzeń. Objawienie to miało wielką siłę. Usłyszałem o kryształach i dowiedziałem się, gdzie mogę go znaleźć. Kazano mi go odnaleźć. Kiedy się obudziłem, czułem nieodparty przymus zrobienia tego. Poszedłem więc i znalazłem go, tak jak było przyrzeczone we śnie. Wiedząc, że stale ciąży na mnie kara banicji, czułem, że muszę przynieść to wam. – Przerwał, patrząc na swoje stopy. — Przyznaję, że miałem nadzieję, iż może to w jakimś minimalnym stopniu wpłynąć na was, żebyście przyjęli mnie z powrotem.

Na Abernathym nie zrobiło to wrażenia. Nie zmienił swego zdania. Twarz pozostała niewzruszona, a oczy czujne. Za tym wszystkim kryło się kłamstwo, był tego pewien.

– Ani razu przez całe swoje życie nie posłużyłeś się magią tak, aby nie zakończyło się to źle dla każdego, kto wszedł z nią w kontakt. Nie potrafię uwierzyć, że z tym kryształem marzeń może być inaczej.

– Ale ja nie jestem już tym samym człowiekiem! – zaprotestował Horris Kew, wykonując rozpaczliwy gest. – Ja się zmieniłem, Abernathy. Żałuję mego wcześniejszego życia i postanowiłem wstąpić na inną drogę. Ten kryształ jest pierwszym krokiem w tym kierunku. – Wyprostował się. – Wiesz co? A może ty byś spróbował pierwszy zamiast Questora Thewsa? W ten sposób, jeśli pojawi się jakiś problem, Questor będzie mógł posłużyć się swoją potężną magią i zrobi ze mną, co będzie chciał. Z pewnością zgodzisz się, że nie mam przy nim żadnych szans, gdyby się okazało, iż jest to jakaś sztuczka. A poza tym, dlaczego miałbym ryzykować robienie czegoś tak głupiego, będąc tak blisko lochów, do których, jak już to pokazaliście, chętnie byście mnie wtrącili?

To miało sens. Abernathy wahał się.

– Ty, Horrisie, jesteś zdolny do wszystkiego – mruknął.

– Brawa dla Horrisa, brawa dla Horrisa! – zakrakał nagle ptak i zaklekotał dziobem.

Abernathy przeszył ptaka wzrokiem pełnym wściekłości.

– Co ty o tym myślisz, Questorze? – zapytał i ponownie spojrzął na tamtego.

Czarodziej ułożył usta w wąską kreskę.

– Wszędzie dokoła są strażę. Jeśli coś przebiegnie nie po mojej myśli, Horris trafi do wieży i tam już pozostanie. Ja mogę czuwać na wypadek, gdyby zaszła konieczność zmierzenia się z jakąś magią. – Potrząsnął głową. – To zależy od ciebie, Abernathy.

– Nie będziesz żałował – powiedział Horris, podsuwając kryształ jeszcze kilka centymetrów w stronę pisarza. – Obiecuję ci.

Abernathy westchnął.

– No dobrze. Zróbmy to i idźmy spać. Co mam robić? Horris promieniował szczęściem.

– Wystarczy, że weźmiesz kryształ w dłoń, spojrzysz w niego i pomyślisz o czymś miłym. Abernathy wykrzywił twarz.

– No dobrze. Daj mi go.

Wyciągnął dłoń, wziął od tamtego kryształ, uniósł go przed oczy i spojrzał w niego. Nic się nie działo. To było do przewidzenia, pomyślał z lekceważeniem Abernathy. Chwileczkę. Miał pomyśleć o czymś miłym. Spróbował wyobrazić sobie coś, co sprawiłoby mu przyjemność i stworzył obraz Horrisa z ptakiem zamkniętych w więziennym lochu. Od razu poczuł się lepiej i mimowolnie zaczął się uśmiechać do samego siebie.

Chwilę później kryształ się rozjaśnił i zamknął go w sobie, pochłaniając jego spojrzenie w głębinach swoich ścian, wyciągając go z jego cielesności i zanurzając w swoim niespodziewanie jaskrawym świetle. Zdziwienie zaparło mu dech. Co to było? Coś tam było, coś cudownego, coś znajomego...

Po chwili Abernathy widział to już wyraźnie. Zobaczył mężczyznę w świetle słońca, wychodzącego spokojnym, długim krokiem z domu, aby powitać nowy dzień. Pozdrowiał ręką przyjaciół, wołał wesoło do przechodniów. Niósł naręcze książek i był w drodze do swojej codziennej pracy. Nosił okulary i był odziany w uroczysty strój nadwornego skryby.

Nie!

Mężczyzną tym był Abernathy, ten sprzed lat. Abernathy w ludzkiej postaci. Abernathy w czasach, zanim został zamieniony w psa. Jeszcze jeden raz był sobą.

Nagła radość wypełniła ciało psa, przepelniło go szczęście, jakiego nie doznał od lat. W kryształowym obrazie ponownie stał się sobą! Odzyskał swój kształt! Było to największe życzenie jego życia – znowu stać się człowiekiem – życzenie, którego nie śmiał nawet przywoływać, odkąd dowiedział się, że Questor Thews, zamieniwszy go w psa, nie może przywrócić mu dawnej postaci. Nie powiodły się niezliczone próby naprawienia tej sytuacji i Abernathy stracił całą nadzieję. Lecz teraz, tutaj, w tym kryształowym obrazie, miał okazję odczuwać ponownie, co to znaczy być człowiekiem! Mógł odczuwać ciało tamtego, jak swoje własne. Od nowa mógł doświadczać tego, co znaczy być człowiekiem.

Emocje wywołane przez magię były zbyt silne, aby je znieść wszystkie na raz.

Zacisnął dłoń wokół kryształu i odpędził od siebie wizję. Z trudem mógł oddychać.

– Jak to zrobiłeś? – wyszeptał z niedowierzaniem.

– Niczego nie zrobiłem – odpowiedział z miejsca Horris Kew. – Poza tym nie widzieliśmy tego, co ty widziałeś. Jedyne osoba trzymająca kryształ może widzieć obraz. Jest to jej osobiste objawienie, prywatne i nietykalne. Czy rozumiesz teraz, do czego może służyć taka magia?

Abernathy skinął głową, myśląc o tym, jak byłoby cudownie przywoływać obraz samego siebie za każdym razem, gdy tylko zechciałby przypomnieć sobie życie, jakie kiedyś prowadził.

– Tak, rozumiem – odpowiedział łagodnie. Teraz Questor wysunął się do przodu.

– Czy to działa? – zapytał, obracając przyjaciela i dostrzegając dziwny – wyraz jego oczu. – Cóż, widzę, że chyba tak. Nic ci się nie stało?

Abernathy pokręcił głową, nie będąc w stanie wypowiedzieć słowa, znowu myśląc o obrazie, który ujrzał, o sobie jako człowieku. Niełatwo mu było zachować spokój i nie okazywać, co czuł.

Żaden z nich nie zauważył krótkiego spojrzenia, które wymienili między sobą Horris Kew i Biggar. Ich wzrok mówił: nieźle!

– Czy zdajecie sobie sprawę, jaki potencjał tkwi w tej magii? – zapytał pośpiesznie Horris. – Jeśli posiadacie kryształ marzeń, wystarczy chwila i jesteście z dala od harówki i stresów życia codziennego. Nie potrzeba innych ludzi, nie potrzeba żadnego sprzętu ani czasu. Z kryształu można skorzystać w czasie przerwy w pracy, a potem wrócić wypoczęty do zajęć! – Uśmiechnął się życzliwie. – Czy nie jesteś szczęśliwy i wypoczęty, Abernathy? – zapytał.

Abernathy przełknął ślinę.

– Tak – zgodził się. – Jestem.

– Sami zatem widzicie! – uradował się Horris. – Abernathy, ten kryształ jest już twój. Chcę, żebyś go wziął. To podarunek za to, że dałeś mi szansę na spełnienie moich nadziei.

– Dziękuję, Horrisie – odpowiedział Abernathy, szczerze zadowolony, już sobie wyobrażając moment, gdy ponownie wejrzy w światło kryształu. Szybko zapomniał, że podejrzewał magika o podstęp. – Dziękuję bardzo.

– Musicie wiedzieć – ciągnął Horris, uprzedzając Questora, który miał właśnie zgłosić kolejne zastrzeżenie – że mam ich jeszcze trochę do rozdania. Właściwie to jest ich całkiem sporo.

Odwrócił się do jednego z okutych żelazem kufrów, zwolnił zatrask i odrzucił wieko. Kufer po brzegi wypełniony był kryształami marzeń.

– Mam ich tysiące – powiedział, robiąc zamaszysty gest ręką. – W moim objawieniu widziałem tylko jeden, lecz gdy dotarłem do miejsca, gdzie był ukryty, odkryłem je

wszystkie. Dwa pełne kufry, Questorze. Przyniosłem je oba. Chcę, żebyście je zatrzymali. Niech to będzie taka mała pokuta za moje wcześniejsze przewinienia. Nie potrafię pojąć, dlaczego to ja zostałem wybrany, aby je znaleźć, lecz jestem wdzięczny, że tak się stało i postanowiłem przyjąć odpowiedzialność za właściwe ich wykorzystanie. Powierzam je zatem wam. Mój prezent dla Landover. Rozdajcie je ludziom, aby się radowali obrazami, które znajdują w ich wnętrzu. Trochę szczęścia, żeby przytłumić gorycz bardziej bolesnych chwil w życiu.

Questor Thews i Abernathy patrzyli z otwartymi ustami na kufry pełne kryształów.

– Może dzięki kryształom, które zajmą ludziom wolny czas, będzie mniej przemocy – ciągnął w zamyśleniu Horris Kew, spoglądając gdzieś na krokwie pod dachem, jakby tam miał znaleźć wyższą prawdę. – Może będzie mniej wojen i zabijania z powodu różnych błahostek, kiedy będzie bardziej przyjemny i nieszkodliwy sposób, żeby zaznać odmianę. Może mniej czasu będzie się poświęcało na rozsiewanie plotek, które prowadzą do niezgody. – Spojrzał ukradkiem na czarodzieja i psa. Nie uszło jego uwagi spojrzenie, które wymienili między sobą, gdy wypowiadał te słowa. – Ludzie nie będą tak mełli ozorami o tym, czy sprawy Landover są załatwiane tak, jak powinny, i czy przywódcy rządzą tak, jak należy.

– Hmm. – Questor skubał swoją brodę w zamyśleniu. – Kto wie. Może rzeczywiście. Czy to naprawdę działa? – zapytał jeszcze raz, patrząc Abernathy'emu prosto w oczy i biorąc go za rękę, w której znajdował się kryształ.

Abernathy odsunął kryształ, mocniej zaciskając na nim dłoń.

– Oczywiście. Dla ciebie też mam, Questorze – szybko wtrącił Horris. Sięgnął ręką do tyłu i zamknął wieko kufra. – One wszystkie należą teraz do ciebie. – Ziewnął szeroko. – Chyba już wystarczy tego gadania. Obaj powinniście być już w łóżkach, żeby nabrać sił przed wyzwaniem jutrzejszego dnia. Jestem pewien, że wymęczyłem was tym wszystkim. Gdybyście pozwolili mi się przespać na jakimś sienniku, byłbym bardzo wdzięczny. Rano znowu opuszczę zamek, czekając na... – Przerwał. – Chyba że – ciągnął dalej, jak gdyby dopiero teraz o tym pomyślał – chyba żebyście doszli do wniosku, że będę mógł wam trochę pomóc w rozdawaniu kryształów.

Uśmiechnął się do nich, ożywiony nadzieją, i czekał na odpowiedź.

GREENWICH

Przez dwa dni Willow wędrowała z Dirkiem ze Skraju Lasu na zachód przez krainę jezior, kierując się w stronę czarodziejskich mgieł oraz niewidocznej ścieżki, która miała ich wyprowadzić z Landover i zawieść do świata Bena. Dirk wskazywał drogę, chociaż wyglądało tak, jakby tego wcale nie robił, zadowolony, że dotrzymuje jej kroku. Czasem nawet podążał za nią, wysuwając się do przodu tylko wtedy, gdy chciała pójść nie tą ścieżką, którą on wybrał. Posuwali się spacerowym krokiem, nie śpiesząc się,

zachowując się tak, jakby czas nie miał znaczenia, a ich wędrówka była niczym więcej niż przechadzką po parku w słoneczne popołudnie.

Willow spotkała wcześniej Dirka ze Skraju Lasu tylko raz i prawie wszystko, co o nim wiedziała, usłyszała od Bena. Dirk towarzyszył Benowi podczas jego wędrówki w poszukiwaniu czarnego jednorożca wówczas, gdy Meeks, starszy brat Questora Thewsa i uprzedni nadworny czarodziej w królestwie Landover, użył podstępu, każąc Benowi wierzyć, że zgubił medalion dający mu siłę i władzę – to, co niezbędne, by być królem. Pozbawiony swojej tożsamości, odtracony przez przyjaciół, którzy wzięli go za oszusta i zastąpiony na tronie przez Meeksa, Ben został wygnany na pustkowia, na pewną śmierć. Jednakże istoty czarodziejskie, z powodów sobie tylko znanych, wysłały Dirka ze Skraju Lasu, by pomógł mu odkryć prawdę o tym, co się wydarzyło. Dirk towarzyszył mu w jego włóczędze, oferując enigmatyczne kocie rady, którymi miał się kierować były król. Ben poszukiwał Willow, która z kolei tropiła czarnego jednorożca. Sprawy osiągnęły punkt kulminacyjny w gwałtownym starciu między Dirkiem i Meeksem, które pozwoliło Benowi odzyskać utraconą pozycję.

Działo się to prawie dwa lata temu. Nikt od tego czasu nie widział ani nie słyszał o Dirku ze Skraju Lasu. Teraz pojawił się ponownie, przysłany przez istoty czarodziejskie. I tak jak wcześniej nikt oprócz nich nie wiedział dlaczego.

Dirk ze Skraju Lasu, choć był istotą czarodziejską, należał do tych bardziej niezależnych. Jego kocia natura często dochodziła do głosu, stąd też z upodobaniem robił to, na co miał ochotę, trudno więc było określić jego zamiary. Dowiódł tego ponad wszelką wątpliwość w czasie wędrówki z Benem. Dirk był kotem przyrządem, stworzeniem posiadającym bardzo rzadki rodzaj mocy magicznej. Potrafił przekształcać swoje ciało w kryształ twardszy niż żelazo, pochłaniający światło i zamieniający je w śmiertcionośny ogień. Korzystał z tej władzy wstrzemięźliwie, lecz z dużą pewnością siebie. Mimo iż Dirk mógł sprawiać wrażenie zimnego, pełnego rezerwy kota, który nie angażuje się w nic, co się dzieje wokół niego, to jednak nie należało wchodzić mu w drogę.

Willow mogła się zatem czuć w jego towarzystwie dość bezpiecznie, wiedząc, że jeśli znajdą się w niebezpieczeństwie, to Dirk prawdopodobnie sobie z nim poradzi. Wolałaby mieć przy sobie Bena, ale ta ewentualność została już wykluczona przez Matkę Ziemię. Czasem trzeba brać to, co jest. Zbyt wiele niepewności towarzyszyło jej w tym przedsięwzięciu, aby nie być wdzięczną za jakąkolwiek kompanię.

Oczywiście Dirk całej tej sprawie okazywał zupełną obojętność.

– Czy wysłano cię z powodu Bena? – zapytała go pierwszej nocy. Siedzieli przy małym ognisku, które Dirk chciał koniecznie rozpalić, aby ochronić się przed rzekomym chłodem. Ona zgromadziła suche drewno, a on rozniecił ogień. Początki ich wspólnego partnerstwa, pomyślała.

Dirk lizał pracowicie swoją łapę.

– Nie wysłano mnie. Mnie się nigdy nie wysyła. Idę tam, gdzie mam ochotę.

– Wybacz mi – przeprosiła. – Dlaczego zatem miałeś ochotę tu przyjść?

– Już nie pamiętam– odparł, nie przerywając lizania.–Chyba zdawało mi się, że to dobry pomysł.

– Możesz mi powiedzieć, dokąd idziemy?

– Na zachód – rzekł kot, wciąż zajęty swoją łapą.

– Wiem, ale...

Dirk przestał gładzić futro i obdarzył ją jednym z tych kocich spojrzeń, które wyrażają zarówno szelmowskie rozbawienie, głębokie zrozumienie, poważne zatroskanie, jak i absolutne zdziwienie.

– Przepraszam, jedną chwilę. Musiałaś mnie nie dosłyszeć. Nie wiesz, dokąd idziemy?

– Nie, niezupełnie – pokręciła głową z zakłopotaniem. Patrzył na nią zadumany.

– Ojej – powiedział. – Cóż, myślę, że będziemy musieli postarać się znaleźć naszą drogę. – I powrócił do czyszczenia swego futra.

Niedługo później nabrała na tyle odwagi, aby mu znowu zadać pytanie, przyjmując tym razem trochę inną taktykę.

– Pojutrze powinniśmy dotrzeć do krainy czarodziejskich mgieł – rozpoczęła ostrożnie.

– Jak już tam będziemy, to co zrobimy?

Dirk zakończył już swoją toaletę i leżał teraz na skrawku trawy nieopodal ogniska, podwinawszy pod siebie łapy i zmrużywszy oczy.

Oczy uchyliły się, tworząc szparki.

– Przedostaniemy się przez mgły do świata Bena. – Oczy zamknęły się.

– Jak to zrobimy?

Oczy otworzyły się ponownie, trochę szerzej.

– Co to za pytanie? Muszę stwierdzić, że chyba nigdy nie zrozumieć ludzi.

– Jestem sylfida.

– Ani sylfid.

Willow zacisnęła wargi.

– Ja się po prostu martwię o moje dziecko. Jestem zmuszona robić te rzeczy, aby zapewnić mu pomyślne przyjsie na świat, ale nie wiem, jak to mam zrobić.

Dirk obserwował ją z prawdziwym zainteresowaniem.

– Koty szybko się uczą, że martwienie się do niczego nie prowadzi. Koty wiedzą również, że sprawy potrafią się rozwiązywać, nawet wtedy, gdy nie mamy wiedzy o tym, jak się to dzieje. Najlepiej jest zajmować się tymi sprawami, które się pojawiają i pozwolić, by przyszłość zatroszczyła się sama o siebie.

– To dość krótkowzroczne myślenie – odważyła się zauważyć.

Dirk niby wzruszył ramionami, ale trudno było to stwierdzić.

– Ja jestem kotem – oświadczył, jakby to miało wszystko wyjaśniać.

Nocą i przez cały następny dzień nie wracała już w rozmowie z nim do tej sprawy. Kiedy wyszli z krainy jezior i tuż przed zapadnięciem zmroku zbliżyli się do podnóża gór na granicy krainy czarodziejskich mgieł, Dirk sam, bez zachęty z jej strony, jeszcze raz poruszył ten temat. To ją zaskoczyło.

– Jutro rano przeprowadzę cię przez mgły – oznajmił, kiedy pracowała przy układaniu niezbędnego wieczornego ogniska. Nieopodal rozłożyła na ziemi swój płaszcz i Dirk ułożył się na nim wygodnie. Spojrzała na niego.

– Potrafisz to zrobić? – zapytała.

– Oczywiście, że potrafię – odpowiedział trochę obrażonym tonem. – Zapomniałaś, że ja tam mieszkam? Znam wszystkie ścieżki i przejścia.

– Wiem, ale nie byłam pewna, co potrafisz robić, a czego nie. – Usiadła na piętach. – Nie wiedziałam, że istoty czarodziejskie mogą wychodzić z mgieł w każdym miejscu i przechodzić do każdej krainy. Sądziłam, iż nie możecie pewnych rzeczy dokonać.

Dirk ziewnął.

– Źle myślałaś. Koty mogą chodzić wszędzie. To nic nowego.

– Czy wiesz, gdzie wyjdziemy? – nie ustępowała. Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Chyba w jakimś mieście. Czy to ma znaczenie? Czuła rozdrażnienie, że ciągle zbywa jej pytania.

– Owszem, ma. Udaję się do świata, w którym już raz nieomal umarłam. Robię to wbrew mojej woli, jedynie dla dobra dziecka. Chcę się tam znaleźć, zrobić co do mnie należy i niezwłocznie wracać. Jak obliczasz szansę na to, że mi się powiedzie?

Dirk podniósł się, wyciągnął i usiadł.

– Nie mam najmniejszego pojęcia. – Przyglądał się jej z uroczystą powagą. – Myślę, że to wszystko zależy od ciebie.

– Zgoda, ale ja nie wiem, dokąd się udajemy – obstawała przy swoim. – Wiem, że mam zabrać ziemię ze świata Bena, ale nie wiem, gdzie mam ją znaleźć. To dość duży świat, jak wiesz.

– Nie, nie wiem – powiedział kot. – Nigdy tam nie byłem, lecz dla kota wszędzie jest mniej więcej tak samo. Jestem prawie pewien, że znajdziemy to, co mamy znaleźć bez zbytniego szukania. Mam talent do znajdowania sekretnych rzeczy.

Powróciła do układania ogniska. Kiedy skończyła, zrobiła krok do tyłu i popatrzyła na niego.

– Ile znasz sekretów, Dirk? – zapytała cicho. – Znasz sekrety dotyczące mnie? Kot przymrużył oczy.

– Oczywiście.

– A Bena?

– Holidaya? Owszem, kilka.

– Czy możesz mi je wyjawić?

– Jeśli zechcę. – Dirk zaczął się myć. – Koty są jednak z natury skryte i mówią niewiele o tym, co wiedzą. Dzieje się tak, ponieważ najczęściej nikt nas nie słucha. Mówiłem o tym często Holidayowi, kiedy wędrowałem z nim ostatnim razem. Zachowywał się jak wszyscy inni. Opowiadałem mu o różnych rzeczach, ale on nie słuchał. Ostrzegałem go, że popełnia błąd, mówiłem, że koty wiedzą o wielu sprawach, na które nikt nie zwraca uwagi. Przestrzegałem go, że to błąd i że on powinien go uniknąć.

– Będę cię słuchała, jeśli mi coś powiesz – zaproponowała Willow. – Powiedz mi cokolwiek, Dirk. Jakikolwiek z twoich sekretów. Tak niewiele rozumiem z tego, co się dzieje, że chętnie dowiem się czegokolwiek. Powiesz mi coś?

Dirk spojrział na nią i zaczął się myć. Lizał się pod włos, potem z włosom, przerywając od czasu do czasu, żeby zobaczyć, czy Willow wciąż czeka na odpowiedź. Nie spieszył się ze swoim zajęciem, lecz Willow czekała cierpliwie, nie okazując zdenerwowania. W końcu Dirk skończył i obrócił na nią swoje szmaragdowe oczy.

– Urodzisz dziecko – oznajmił. – Jednak sprawy nie ułożą się tak, jak ty czy Holiday tego oczekujecie. Niebezpiecznie jest bowiem, gdy rodzice żywią jakieś oczekiwania. Koty ich nie mają i jest im z tym dobrze.

Skinęła głową.

– Nic na to nie możemy poradzić, podobnie jak na to, że nie słuchamy kotów.

– To chyba prawda – zgodził się Dirk. – Szkoda.

– Powiedz mi coś jeszcze. Dirk zmrużył oczy.

– Jesteś pewna, że chcesz usłyszeć to, co mam do powiedzenia?

Zawahała się.

– Tak, chcę usłyszeć.

– Zatem dobrze. – Odczekał chwilę. – Ty i Holiday będziecie przez jakiś czas dla siebie straceni. Właściwie to już jesteście dla siebie straceni. Wiedziałaś o tym?

– Wizja – powiedziała miękko. – Ujrzałam to w wizji wytańczonej przez moją matkę.

Dirk odwrócił wzrok w kierunku pogłębiających się ciemności.

– Nie sądzisz, że spędzasz zbyt wiele czasu na zastanawianiu się, kim jesteś? Chodzisz w kółko, potykając się, szukając swojej tożsamości, podczas gdy ona przez większą część czasu wcale się nie ukrywa. Zastanawiasz się, co trzeba zrobić i jaki jest tego cel, a zapominasz, że odpowiedzi należy szukać głównie w sobie. – Znowu przerwał. – Kotów nie należy brać tutaj pod uwagę. Koty nie marnują czasu, zastanawiając się nad takimi sprawami. Koty po prostu żyją.

– Czy to widzenie jest zatem prawdziwe? – zapytała, próbując ukryć narastające uczucie rozpacz i wrażenie, że Benowi przytrafiło się coś okropnego, coś, nad czym nie można zapanować.

Dirk przymrużył oczy.

– Jakie widzenie?

– Czy Ben jest w niebezpieczeństwie? – nie ustępowała.

– Skąd mam to wiedzieć? – mruknął Dirk, przeciągając się kolejny raz. – Lepiej odsuń się od suchego drewna.

Zrobiła to. Dirk zaiskrzył się i zamienił w kryształ, przeszedł od ciała i krwi do ciekłego szkła, wsysając ostatnie pobłyski zachodzącego słońca, blask wczesnych księżyców i nielicznych gwiazd i posłał ze szmaragdowych oczu strugę ognia w kierunku drewna. Płomień zatańczył żywo i pryzmatyczny kot powrócił do swej poprzedniej postaci, usadowił się na płaszczu Willow, zamknął oczy i momentalnie zasnął.

Willow obserwowała go przez pewien czas, po czym również zasnęła.

Spała niespokojnie. Przez całą noc niepokoiły ją sny o Benie i ich dziecku. Śniła, że oplatają ich jakieś niewidzialne dłonie i odciągają od niej coraz dalej, aż nie pozostało nic z wyjątkiem echa jej głosu wołającego za nimi. Sen sugerował, że to ona jest w jakiś sposób winna tego, co im się przytrafiło, że w jakiś sposób zawiodła ich wtedy, gdy jej najbardziej potrzebowali.

Nie miała ochoty na śniadanie, a ponieważ Dirk nigdy nie okazywał zainteresowania jedzeniem, wymyli się i tuż po wschodzie słońca byli w drodze do krainy czarodziejskich mgieł.

Poranek był gorący i bezwietrzny, letnie powietrze przywarło do ziemi niczym koc. Rosa utworzyła na jej powierzchni gładką błonę, lśniąca w zamglonym świetle wczesnych godzin rannych. Przez pozostałą część drogi wspinali się pod górę, znaleźli przesmyk, który prowadził do przełęcz i poszli w kierunku szarego mroku mgieł.

Dotarli do celu w niecałą godzinę i rozpoczęli przeprawę. Nie zamienili z sobą przy tym ani słowa. Prowadził teraz Dirk, nie zostawiając już spraw na łaskę losu. Szedł bezpośrednio przed sylfidą, wybierając ostrożnie drogę, omijając koleiny i kamienie, przemierzając gołą ziemię, ponieważ ledwie docierało tu światło słoneczne, nie urosła nawet trawa. Weszli w mgielkę, podążając cały czas szlakiem aż do momentu, gdy przestał być widoczny, a światło wschodzącego słońca zniknęło. Była już tylko mgła wirująca wokół nich z nieubłaganą stanowczością, zakręcając to w jedną, to w drugą stronę, i odbierając im wszelki zmysł orientacji. Nie można już było dostrzec ścieżki, którą mieli podążać. Willow starała się skupić całą uwagę na Dirku, który szedł wolnym krokiem z typową dla siebie obojętnością, jakby odnalezienie drogi było tyleż sprawą przypadku, co założonego planu. Nie spoglądał ani w lewo, ani w prawo i nie odwracał się, żeby sprawdzić, czy sylfida za nim idzie. Od czasu do czasu wciągał nosem powietrze, lecz poza tym nie okazywał żadnego zainteresowania otoczeniem.

Mijały minuty, lecz Willow nie potrafiła stwierdzić, jak długo idą w ten sposób. Czas i

przestrzeń straciły swoje znaczenie i wszystko stało się niepokojąco jednostajne. Na początku panowała cisza, głęboka i paraliżująca, potem dało się słyszeć szereg słabych dźwięków, takich jak szmer leśnych zwierząt w zaroślach czy trzepot ptasich skrzydeł. Po jakimś czasie hałasy przybrały na sile i zaczęły sugerować obecność czegoś jeszcze. Gdzieś na granicy jej wzroku zaczęły się pojawiać twarze, migały w przelocie i rozplywały się. Były to chude oblicza o ostrych rysach, spiczastych uszach i nastroszonych brwiach, o włosach niczym plujący się mech lub stercząca słoma. Ich przenikliwe, sowe oczy obserwowały każdy jej krok. Istoty czarodziejskie przysły ją obejrzeć i być może pozwolić jej przejść. Nie patrzyła na nie, wzrok skupiła na Dirku ze Skraju Lasu i koncentrowała się na każdym swoim kroku. Nie patrzyła na nie z obawy, że w chwili, gdy to zrobi, będzie zgubiona.

Coś musnęło jej policzki, a oczy napełniły się łzami. Coś otarło się o jej dłoń i poczuła, jak nagła fala gorąca wypełnia jej ciało. Skóra ścierpła, a w ustach poczuła suchość. Nie obracaj się, powiedziała do samej siebie. Nie oglądaj się na to. Parła naprzód, podążając pilnie za Dirkiem, myśląc o dziecku, które nosiła w sobie, o Benie czekającym gdzieś na nią, znieczulając serce na wypełniający ją strach...

Aż w końcu mgły zaczęły rzednąć i mogła dostrzec przed sobą konkretne kształty. Szara ciemność otulała kamienny mur, a z ołowianego nieba siąpił deszcz. Dochodziły ich dziwne, mechaniczne dźwięki i przytłumione krzyki. Ściana wznosiła się wysoko ponad ich głowy i ginęła w mroku. Mgły za nią cofnęły się i odkryła, że stoi w deszczu w jakiejś bocznej uliczce, która przebiegała głęboką szczeliną pomiędzy dwoma niebotycznymi budynkami. Chmury przesłaniały niebo, ocierając się o szczyty drapaczy. Cienie spływały kaskadą ze ścian wprost do kałuż pod ich stopami. Z popękanej kamiennej powierzchni, na której stali, unosiły się ostre i cuchnące zapachy.

– Gdzie my jesteśmy – wyszeptała z przerażeniem. Z boku coś się poruszyło. Jakiś mężczyzna w łachmanach leżał zwinięty w kłębek w zagłębieniu drzwi i spał. Był owinięty strzępami kartonów mających go chronić przed wiatrem i deszczem. W dłoni trzymał kurczowo pustą butelkę.

Dirk wciągnął powietrze od strony mężczyzny i odwrócił się. Popatrzył w prawo, potem w lewo. Po jednej stronie uliczka kończyła się ścianą, po drugiej – otwierała się na hałaśliwą drogę. Skierował się ku jej wylotowi. Stapał delikatnie między śmieciami wysypanymi z przewróconego pojemnika, wzdrygając się ze wstrętem. Willow podążyła za nim.

Zbliżali się do końca przejścia, patrząc, jak ulica nabiera ostrości w padającym deszczu, zaczyna być widoczny ruch, a hałas przybiera na sile. Mijał ich nierówny potok samochodów i autobusów przy akompaniamencie klaksonów i pisku opon. Willow знаła to ze swojej ostatniej wizyty na Ziemi. To, co zapamiętała, nie było miłe. Już teraz kuliła się w sobie od wstrząsu, jaki wywołały zgiełk i zapachy. Deszcz z błotem spływał spod jej butów do rynsztoków pełnych odpadków. Dokoła migotało rozbite szkło.

Dotarli do wyjazdu i wyjrzeli na ulicę. Samochody i autobusy ściśnięte jeden obok drugiego w mroku i mżawce wlokły się w jednym kierunku w stronę następnej linii pojazdów poruszających się prostopadle. Z linii rozciągniętych nad głowami mrugały

czerwone i zielone światła. Żółtym światłem rozbłyskały uliczne latarnie i wnętrza budynków, z których odpadała farba i popękany tynk.

I wszędzie było pełno ludzi, większość z nich w długich płaszczach, niektórzy w wysokich butach. Szli z pochylonymi głowami i nieśli dziwne przyrządy (Willow nie znała ich właściwej nazwy) do ochrony przed deszczem. Poruszali się szybko, jakby mieli coś pilnego do załatwienia. Kilka osób spojrzało przelotnie w jej kierunku, ale szybko odwracali wzrok. Pakowali się do autobusów i samochodów, wchodzili i wychodzili z budynków. Niektórzy rozmawiali, lecz większość z tego, co mówili, było wykrzyczane w złości do drugich.

Dirk wciągnął nosem powietrze i rozejrzał się, najwidoczniej nie zaniepokojony tym wszystkim. Ruszył chodnikiem w lewo. Willow za nim. Strumień ludzkich ciał porwał ich i powiódł z sobą. Willow owinęła się szczelniej płaszczem, z odrazą odnosząc się do bliskości ludzi i zapachu, który wydzielali. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak Ben mógł mieszkać na takim świecie.

Dotarli do rogu ulicy i zatrzymali się wraz ze wszystkimi innymi. Kilka śmiałych spojrzeń zwróciło się w jej stronę, ale zignorowała je. Przyglądała się budynkom; niektóre były monstrualnymi monolitami z kamienia i szkła, wznosiły się aż po chmury, wszystkie były podobne do siebie i sprawiały wrażenie niedostępnych. Czy ludzie mieszkali w nich? – zastanawiała się. W jakim celu zostały zbudowane?

Ku jej zaskoczeniu zorientowała się, że rozumie, co ludzie wokół niej mówią. Nie powinna była ich rozumieć, jeśli nie mówili w językach Landover, a jednak rozumiała. Spojrzała na tabliczkę z nazwą ulicy umieszczoną na rogu, tuż obok niej. Potrafiła ją przeczytać. Tabliczka informowała, że znajdowali się na Greenwich Avenue.

Światło nad głową Willow zmieniło się i ludzie zaczęli przechodzić przez ulicę. Podążyła za Dirkiem.

Po drugiej stronie kobieta z kolczykiem w nosie próbowała kopnąć Dirka, kiedy przechodził obok niej. Kopniak powinien trafić w cel, ale jakimś sposobem chybił i stopa uderzyła w żelazną balustradę przed niskim oknem. Kobieta straciła równowagę i upadła. Wrzasnęła z wściekłością i posłała wiązaną przekleństw za Dirkiem, lecz kot minał kobietę, nie oglądając się na nią. Willow zrobiła to samo.

– Hej, panienko, proszę co łaska! – zawołał brodaty mężczyzna o długich włosach i ziemistej cerze. Potrząsnęła głową i szła dalej. – Trochę za późno jak na dzień świętego Patryka, co nie? – zawołał za nią i zaśmiał się. Nachyliła się nad Dirkiem.

– Czy my rozumiemy ich język? – zapytała z zaciekawieniem.

– Tak – odparł Dirk. – Odrobina magii pozwala nam na to.

Szli przez jakiś czas w tłumie. Deszcz osłabł i niebo przejaśniało. Samochody i autobusy zaczynały nabierać prędkości. Na skrzyżowaniach zrobiło się niebezpieczniej. Tłum nieco się przerzedził i zmienił swój charakter. Mężczyźni i kobiety w eleganckich ubraniach ustępowali drogi grupkom ludzi odzianym niechlujniej i bardziej eklektycznie. Spotykali osoby w skórach, łańcuchach i podkutych butach, które poruszały się

ociężałe, wykonywały przesadne gesty lub opierały się o ściany budynków; byli ludzie w długich, pomarańczowych sukniach o ogolonych głowach i szczerych spojrzeniach na twarzy rozdający ulotki; ludzie w łachmanach z psami, kotami i małymi dziećmi trzymający wykonane przez siebie karteczki z napisami typu: PROSZĘ O POMOC lub JESTEM GŁODNY; ludzie maszerujący z torbami pełnymi zakupów, trzymanymi kurczowo przy piersi; ludzie różnych rodzajów, wszyscy owładnięci tym samym niepokojem, o czujnym spojrzeniu, oczach rozbieganych i ciągle czegoś szukający, wyglądający na takich, którzy w każdej chwili gotowi są bądź podjąć walkę, bądź zacząć uciekać.

Przechodnie otwarcie robili uwagi pod adresem Willow, niektóre były bezczelne i obraźliwe, inne żartobliwe i pełne zainteresowania dla jej wyglądu. Kilka osób próbowało ją zatrzymać, na co zwyczajnie ich mijała, podążając chodnikiem za Dirkiem.

Doszli do szczególnie ruchliwego skrzyżowania i Dirk zatrzymał się. Tabliczka z nazwą ulicy informowała, że znaleźli się na Avenue of the Americas. Dirk spojrzał na Willow, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz?” Willow nie widziała. Nie rozumiała, gdzie się znajdowali i dlaczego. Wiedziała tylko, że chce się dostać do miejsca, do którego szli, i zaraz potem je opuścić. Wszystko tutaj było nieprzyjemne i niegościnnie.

Chciała się zapytać Dirka, czy w ogóle wie, dokąd idzie, lecz pomyślała, że pewnie nie chce, aby rozmawiała z nim przy tych wszystkich ludziach. Poza tym musi wiedzieć; idzie tak zdecydowanie, że na pewno wie.

– Zgubiłaś się? – zapytała ją stojąca obok niej młoda kobieta. Kobieta miała ciemną skórę. Na ręku trzymała małe dziecko.

– Nie – Willow odpowiedziała bez zastanowienia i w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że potrafi mówić językiem ze świata Bena równie dobrze, jak czytać i rozumieć go. Widocznie Dirk musi czuwać nad swoją magią.

– Na pewno? Wyglądasz na zagubioną. – Uśmiechnęła się. – Dość łatwo jest się zgubić w takim mieście, jak to.

– Dziękuję, ale dam sobie radę – powiedziała Willow.

Światło zmieniło się i kobieta odeszła. Kot i sylfida przeszli na nową ulicę, która się nazywała West 8th. Wszędzie byli ludzie. Wystawy sklepowe były otwarte na chodnik. Znajdowały się tu małe targowiska z owocami i warzywami, sklepy z dziełami sztuki, biżuterią i barwną odzieżą, wejścia prowadzące do sklepów z jedzeniem, napojami i wszystkimi innymi produktami. Wzdłuż ulicy poustawiane były stoły z książkami i biżuterią. Sprzedawcy wołali za nią. Może kupi pani to, proszę spojrzeć na tamto. Niektórzy uśmiechali się i ona odpowiadała im uśmiechem, potrząsając głową.

– Wspaniale wyglądasz! – powiedział ktoś i odwróciła się. Obok niej stał młody mężczyzna w długim, ciemnym płaszczu, wysokich butach, z jasną brodą i skórzaną aktówką pod pachą. Stał i spoglądał na nią. – Chyba nie jesteś aktorką, co?

– Nie. – Pokręciła głową. Dirk wciąż szedł ulicą. – Muszę iść.

– Zaczekaj! – Zaczął iść razem z nią. – Eee, posłuchaj, myślałem, że... skoro jesteś pomalowana na zielono, to... i że jesteś przebrana, to może jesteś aktorką lub kimś takim. Jak z musicalu *Cats*. Wybacz mi. Nie chciałem być niegrzeczny.

Uśmiechnęła się.

– Nic się nie stało.

– Mam na imię Tony. Tony Paolo. Mieszkam kilka bloków stąd. Uczę się, żeby zostać aktorem. Jestem na drugim roku

Akademii Filmowej. Studiowałaś na niej? Dustin Hoffman tam studiował. Danny DeYito. Mnóstwo ludzi. Właśnie wracam z przesłuchania do roli w sztuce na Broadwayu. Komedia Neila Simona. Zobacz, to moje portfolio, zdjęcia i inne materiały. – Wskazał na aktówkę. – To mała rola, tylko kilka linijek. Ale to dopiero początek.

Skinęła głową i szła dalej. Zupełnie nie miała pojęcia, o czym on mówi.

– Słuchaj, czy mogę ci zaproponować kawę lub coś takiego? Jeśli masz trochę czasu.

Idący przed nią Dirk odwrócił się i cofnął. Stanął między jej nogami i spojrzał do góry na Tony'ego.

– To twój kot? – zapytał Tony. – Cześć, kiciusiu.

– Trzymaj ręce przy sobie – rzucił Dirk, gdy Tony nachylał się, aby go pogłaskać.

Tony natychmiast się wyprostował. Wybałuszył oczy na Willow.

– Hej, to całkiem niezłe! Jak to zrobiłaś? – Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu. – Pierwszy raz słyszę coś tak dobrego. Zrób coś jeszcze.

– Moglibyśmy gdzieś wstąpić i coś zjeść – powiedział Dirk.

– Dziewczyno, ty nawet nie poruszasz wargami! – oświadczył osłupiały Tony. – To się nazywa talent! Chcesz coś przegryźć, tak? Okay, dlaczego nie? Tu niedaleko za rogiem jest mały bar. Znasz Yillage? Mieszkasz gdzieś tutaj? Jesteś stąd?

Poprowadził ich przez tłum do małego pomieszczenia z okrągłymi stolikami pokrytymi ceratą w kratkę oraz metalowymi krzesłami o prostych oparciach i pasującymi do obrusu siedzeniami w kratkę. Tony pomachał do kogoś za barem i zajął stolik blisko wyjścia. Willow i Dirk usiedli razem z nim.

– Co chcecie? – zapytał Tony. Miał proste, brązowe włosy, ciemne oczy i *żywy*, bezpretensjonalny uśmiech.

– Ty wybieraj – odezwał się Dirk.

Tony zamówił jedzenie dla siebie i Willow oraz spodek mleka dla Dirka. Kiedy przyniesiono jedzenie, Willow okazała się bardziej głodna, niż myślała. Zjadła wszystko, nie zastanawiając się, czy jej to smakuje, czy nie. Tony jadł z nią, rozmawiając o tym, jak dobrze wydobywa z siebie głos oraz o swoim życiu studenta-aktora. Dirk siedział przed mlekiem i nie zwracał na nie uwagi.

– Słuchaj, zapomniałem zapytać się o twoje imię – powiedział Tony z pełnymi ustami.

– Willow – odpowiedziała.

– Naprawdę? Świetne imię. Więc jesteś brzuchomówcą na pełnym etacie, czy masz też jeszcze jakąś inną pracę? Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć?

– W porządku, nie musisz odpowiadać. Nie jesteś jednak aktorka, mam rację?

– Nie, nie jestem.

Kiedy skończyli, Tony zapytał ją jeszcze raz:

– Mieszkasz gdzieś w pobliżu?

Spojrzała na Dirka, który wyglądał przez drzwi gotowy do wyjścia.

– Nie, jestem przejazdem.

– Skąd przyjechałaś?

– Z Landover. – Powiedziała to, zanim zdążyła się ugryźć w język.

– Ach, to w Maryland, prawda? Znam Landover. U kogo się tutaj zatrzymałaś? Masz przyjaciół albo kogoś takiego? Pokręciła głową.

– Muszę już iść, Tony. Dziękuję za posiłek. Mam nadzieję, że zostaniesz aktorem.

Wstała i ruszyła do drzwi. Dirk był już na chodniku.

– Hej, zaczekaj! – zawołał Tony, rzucając jakieś pieniądze na stół i wybiegając za nią. Dogonił ją na zewnątrz. – Czy mogę się kiedyś z tobą spotkać?

Potrząsnęła głową i poszła przed siebie, zastanawiając się, jak z tego wybrnąć. Tony siedł razem z nią.

– Wiem, że to trochę szybko, ale... wiesz, naprawdę chciałbym zabrać cię na kolację albo do teatru czy coś takiego. Nawet jeśli bym musiał pojechać do Landover...

– Ona jest zameżna – oznajmił Dirk. – Szczęśliwie. Tony stanął w miejscu.

– Och, przepraszam. Nie wiedziałem...

Przeszli na drugą stronę ulicy porwani przez tłum i zostawili go oniemiałego i szukającego jakichś słów. Odprowadzał ich uważnie wzrokiem.

Zaczęło się zmierzchać. Powróciły chmury i niebo nagle pociemniało. Światło zbladło i zapaliły się miejskie latarnie. Willow i Dirk siedzieli na ławce w parku z dużym marmurowym łukiem. Był to Washington Square. Jeszcze parę minut temu było tutaj pełno ludzi czytających gazety czy spacerujących z psami i bawiących się dzieci, lecz wraz z zachodem słońca miejsce opustoszało. Zostało tylko kilku staruszków siedzących na ławkach i garstka chłopców stłoczonych pod drzewem w drugim końcu parku. Na rogu ulicy stał mężczyzna w łachmanach z psem, trzymający w wyciągniętej dłoni metalowy kubek.

Minęło tylko kilka godzin od czasu, gdy Dirk i Willow przybyli z Landover, gdzie był wczesny ranek, a to znaczyło, że czas w tych dwóch światach nie upływał w tym samym

tempie. Czy przechodzenie z jednego świata na drugi miało wpływ na starzenie się? – zastanawiała się Willow. Czy starzała się inaczej niż Ben? Patrzyła w mrok, obserwując, jak ozywają światła miasta za parkiem. Dirk siedział obok niej z łapami podciągniętymi pod siebie i z zamkniętymi oczami. Kiedy byli sami, powiedział jej, że muszą *zaczekać* na noc, aż park będzie pusty, żeby nikt im nie przeszkadzał. Wyglądało na to, że znaleźli się w miejscu, z którego miała wziąć potrzebną dla siebie ziemię, lecz Dirk nie raczył dodać z własnej woli żadnych szczegółów. Rzadko zresztą to czynił.

Zrobiło się ciemniej, mijały godziny, a oni wciąż siedzieli na ławce i czekali. Willow była cierpliwa i czekanie nie przeszkadzało jej. Zrozumiała teraz, dlaczego Dirk chciał, aby coś zjadła. Ona mogła wytrzymać długo bez jedzenia, lecz jej dziecko potrzebowało pożywienia, nawet jeśli ona tego nie czuła. Kot to rozumiał. Spojrzała w dół na niego i zastanowiła się, na ile jego obojętność jest udawana.

Wkrótce zostali sami z wyjątkiem przypadkowych przechodniów. Minęła północ, lecz miasto nie przejawiało oznak zmęczenia. Sklepy z towarami były zamknięte, ale miejsca, gdzie serwowano jedzenie i napoje pozostały otwarte. Na ulicach wciąż byli ludzie, całe tłumy, chodzący we wszystkich kierunkach, nawołując się, śmiejąc i krzycząc. Wydawało się, że nikt nie ma ochoty iść spać. Nikomu nie zależało, żeby iść do domu.

Willow patrzyła na ludzi i światła w oddali i próbowała sobie wyobrazić, jak to jest mieszkać tutaj. Kamień, tynk i szkło wszędzie, gdzie tylko spojrzysz, budynki niczym długie szeregi maszerujących żołnierzy, płaskie i nie kończące się drogi, natura zredukowana do niewielkich skrawków zniszczonej zieleni, jak na przykład ten park – dla niej był to koszmar. Nic nie było prawdziwe; wszystko wyprodukowane. Zapach, smak, wygląd i dotyk tego wszystkiego atakowały ją na każdym kroku i groziły połknięciem jej jak drobinki światła w ogromie ciemności.

Ktoś przeszedł z chodnika po drugiej stronie ulicy i zbliżył się – znajomy kształt w długim płaszczu, wysokich butach, prostych włosach i uśmiechem na twarzy. Willow zeszywniała.

– Wciąż tutaj, jak widzę – powiedział Tony, gdy podszedł i zatrzymał się przed nią. – Powiedz mi szczerze, Willow. Masz gdzie spać? Szedłem za tobą i wydaje mi się, że nie masz dokąd pójść.

Utkwiła w nim swoje szmaragdowe oczy.

– Idź do domu, Tony.

– Nie masz, prawda? – nie ustępował. – Przychodziłem tutaj kilka razy, żeby zobaczyć, czy wciąż jesteś i oczywiście byłaś. Nie siedziałabyś w parku o tak późnej porze, gdybyś miała dokąd pójść. Słuchaj, martwię się o ciebie. Chcesz się gdzieś przekimnąć?

Wytrzeszczyła oczy.

– Co?

– Przespać się. — Przyłożył złożone dłonie do policzka. – Zrozum, ja nie próbuję ciebie wyhaczyć.

– Wyhaczyć?

– Powiedziałaś, że masz męża, tak? Gdzie jest więc twoja obrączka? Myślę, że wymyśliłaś to wszystko, ale to nie szkodzi. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że nie chodzi mi o twoje ciało czy coś takiego. Lubię cię, to wszystko. Nie chcę, aby ci się coś przytrafiło. To niebezpieczne miasto.

Dirk podniósł się, przeciągnął i ziewnął. Bez słowa zszedł z ławki i zaczął iść w poprzek parku. Willow spojrzała krótko na Tony'ego, po czym wstała i poszła śladem kota. Dirk przemierzał park z północy na południe, nie spiesząc się, z zadowoleniem wachając różne miejsca, sprawiając wrażenie, jakby robił to bez żadnego zamierzonego celu.

– Tutaj może być niebezpiecznie – powtórzył Tony, idąc obok niej i rozglądając się dokoła. – Zwłaszcza w nocy. Potrząsnęła głową.

– Nic mi nie będzie.

– Nie mogę cię tak po prostu tutaj zostawić – oznajmił. – Słuchaj, dotrzymam ci towarzystwa, dobrze? I nie mów mi, żebym szedł do domu, bo tego nie zrobię.

Dirk doszedł do miejsca na końcu parku, gdzie rosło stare drzewo o rozległej koronie otoczone grupą krzewów klonowych. Ziemia tam była tak zniszczona i tak skryta w cieniu, że nie wyrosła na niej trawa. To tutaj siedziała matka z dzieckiem na kocu i czytała książkę, aż zrobiło się prawie zupełnie ciemno. Dirk powęszył trochę, potem siadł na zadzie i czekał, aż nadejdzie Willow.

– Tutaj – to było wszystko, co powiedział.

Willow skinęła głową. Uklękła, dotknęła ziemi i szybko cofnęła rękę, gdy poraziło jej czarodziejskie zmysły to, co tam znalazła.

– Wiele się wydarzyło w tym miejscu – powiedział cicho Dirk. – Powstawały wspaniałe pomysły i układano przerażające plany. Rodziły się nadzieje i pragnienia. Popelniano morderstwa, okaleczano zarówno winnych, jak i niewinnych. Raz urodziło się dziecko. Ukrywały się tutaj zwierzęta. Wypowiadano szeptem obietnice i spełniano akty miłości. – Spojrzał na nią. – Ziemia ta jest bogata we wspomnienia. Jest źródłem i epifanią życia wielu ludzi.

Tony przysunął się bliżej.

– O czym ty mówisz? A może kot to wszystko powiedział? O rany, oczywiście, że nie kot. To przecież niemożliwe, prawda? A jednak brzmiało to tak, jakby to on powiedział. Co tu się dzieje?

Willow zignorowała go i zaczęła kopać. Używała noża myśliwskiego, który nosiła pod płaszczem. Spulchniała nim ziemię i podnosiła ją do światła, chcąc wybrać najbardziej wiarygodną próbkę. Wspomnienia i krew innych ludzi potrzebne do wzmocnienia jej dziecka. Miały być balsamem, środkiem zapobiegawczym czy czymś zupełnie innym? Będą je uzdrawiały, czy pozbawią jego serce wrażliwości? Nie wiedziała. Wiedziała tylko, że uczynią je silnym, że będą chroniły, że wpoją mu prawdy, którymi żyje rodzaj ludzki.

Skończyła kopać i zaczęła nagarniać ziemię do tego samego skórzanego woreczka, który zawierał ziemię zebraną przy starych sosnach. Tony cały czas coś mówił, ale nie zwracała uwagi na jego słowa. Dirk odszedł w kierunku innego kota. Wypełniła woreczek do połowy i ponownie szczelnie go zawiązała. Następnie wstała i napotkała twarz Tony'ego.

– To niesamowite – mówił. – Skradać się po parku w środku nocy i wykopywać śmieci. Po co to wszystko? Słuchaj, czy ty jesteś wiedźmą lub kimś takim? Czy uprawiasz jakiś rodzaj... Przerwał raptownie, patrząc ponad jej ramieniem. Jego twarz wypełniało przerażenie. Odwróciła się. Za nią stała banda chłopaków, którzy im się przyglądali. Pojawili się znienacka, jakby wyrosli spod ziemi. Byli w różnym wieku i różnego wzrostu, wszyscy ubrani w koszulki z krótkim rękawem i niebieskie dżinsy. Niektórzy nosili wysokie buty, niektórzy skórzane kurtki. Na koszulkach i kurtkach widniały jakieś napisy, ale nie rozumiała ich treści. Jeden trzymał kij baseballowy, inny metalowy pręt. Kilku z nich wystawiało na pokaz swoje tatuaże. Mieli srogie oblicza starych ludzi oraz tępe, złe spojrzenia.

Natychmiast zaczęła szukać wzrokiem Dirka, ale pryzmatycznego kota nigdzie nie było widać.

– Co masz w worku, więdźmo Hazel? – zapytał jeden z nich, uśmiechając się głupio.

– Słuchaj, my nie szukamy żadnych kłopotów... – zaczął Tony, lecz mowiący wysunął się do przodu i uderzył go w twarz. Tony upadł na kolana, a z nosa i ust połała się krew.

– Pytałem, co masz w worku? – odezwał się ponownie chłopak i spróbował chwycić Willow.

Wymknęła się mu bez trudu i przesunęła, stając przed Tonym.

– Zostawcie mnie – ostrzegła ich.

Rozległ się śmiech. Jeden z nich zaproponował, aby dać jej nauczkę. Pozostali pomrukiem wyrazili zgodę.

Z półmroku wynurzył się Dirk ze Skrajaju Lasu i stanął z boku.

– Myślę, że nie powinniście już nic więcej mówić. Myślę, że powinniście już iść.

Chłopcy wybałuszili oczy ze zdziwienia. Wymienili uwagi i znowu się roześmiali. Gadający kot! Rozstawili się ostrożnie, otaczając Willow i Dirka przypartych do ściany drzew. Ten z kijem baseballowym ruszył do przodu.

– Hej, kotku! – zawołał. – Co powiesz na obiadek?

W następnej chwili Dirk zaczął się skrzyć. Członkowie bandy zawahali się, osłaniając oczy. Jarzenie stało się jaśniejsze i Dirk zaczął zmieniać kształt. Jego kocie „ja” zniknęło i zostało zastąpione przez coś tak przerażającego, że nawet Willow poczuła wstręt. Zrobił się olbrzymi i potworny, podnosząc się z ziemi niczym duch z Abaddonu, ukazując zęby i pazury. Łańcuszek napastników rozerwał się. Większość z nich uciekała, krzycząc na kompanów i przeklinając Dirka. Kilku zamarło w bezruchu, byli niezdecydowani – później mogli już tylko żałować swego wahania. Dirk syknął na nich z taką siłą, że zwalili

się z nóg i potoczyli około dziesięciu metrów, oszołomieni i posiniaczeni. Gdy zdołali się podnieść na nogi, uciekli w ślad za pozostałymi.

Po kilku sekundach park był znowu pusty.

Dirk przestał migotać i znowu zamienił się w kota. Wpatrywał się przez minutę w kierunku, w którym uciekli chłopcy, po czym ziewnął i zaczął się czyścić.

Willow pomogła Tony'emu stanąć na nogi.

– Dobrze się czujesz? – zapytała go.

Skinał głową, ale całą twarz miał zalaną krwią.

– Jak ten kot...? – Nie mógł dokończyć.

– Idź do domu. Tony – powiedziała do niego, otrzepując go i poprawiając mu płaszcz na ramionach – Idź już.

Tony wpatrywał się w nią. Nie podobało jej się to, co zobaczyła w jego oczach. Potem odwrócił się i potykając, odszedł w mrok. Patrzyła za nim, aż dotarł do ulicy i zniknął za rogiem budynku. Nie odwracał się. Nie sądziła, że go jeszcze kiedykolwiek spotka.

Odwróciła się znużona do Dirka. Było jej niedobrze. Wydawało się jej, że okropna chropowatość świata Bena znalazła sposób, aby wdrzeć się do jej duszy.

– Nie chcę tu zostać ani chwili dłużej. Czy możemy już iść?

Dirk zmrużył oczy. Zamigotało w nich szmaragdowe światło.

– Musiałaś tu przyjść. Nie było innego wyjścia – powiedział do niej.

– Tak, ale czy to już wszystko?

Dirk podniósł się gwałtownie i ruszył.

– Ależ jesteś niecierpliwa. Chodźmy zatem. Do czarodziejskich mgieł droga prowadzi tędy.

Poczuła nagły chłód przebiegający jej po karku. Czarodziejskie mgły. Zrobi to, co musi. Dla siebie, dla Bena, dla ich dziecka. Ostami etap podróży i znowu będzie w domu.

Z tym postanowieniem ruszyła w noc.

HAZE

Po trzech dniach wędrówki przez labirynt rycerz, kobieta i gargulec zbliżyli się do miasta.

Było późne popołudnie. Światło słabło w sposób prawie niedostrzegalny, gdyż jak już zdążyli się przekonać, otaczający ich półmrok nigdy nie stawał się jaśniejszy od zmierzchu. Szli spokojnym, równym krokiem. Niezmienny leśny krajobraz przesuwiał się

monotonnie, aż nieoczekiwanie, gdy wspięli się na niewielkie wzniesienie, przed ich oczami pojawiło się miasto. W kotlinie, z której usunięto wszystkie drzewa, przycupnęła grupka walących się, drewnianych budynków, między którymi ciągnęły się brudne i zniszczone drogi. Miejsce to, otoczone zewsząd lasem, przypominało wyspę, którą opływają wody rzeki. Nie dochodziły ani nie wychodziły stamtąd żadne drogi. Miasto było zamieszkane: rycerz widział, jak po jego ulicach poruszają się ludzie. Widzieli też zwierzęta, chociaż znajdowały się one w oplakanyim stanie i miały wygląd stworzeń solidnie znękanych przez życie. W kilku oknach paliły się światła i gdy wszyscy troje patrzyli w dół, zapalało się ich coraz więcej. Świeciły słabym, dziwnie beznadziejnym płomieniem, jak gdyby toczyły zaciętą walkę z nadchodzącą nocą i były już znużone powtarzaniem codziennie tych samych zmagają.

Nad ich głowami, tam, gdzie drzewa kierowały się ku niebu, nie było śladu księżyców czy gwiazd. Widoczna była jedynie nie kończąca się warstwa nieprzeniknionej mgły.

– Ludzie – powiedział gargulec. W jego głosie czuło się zarówno zdziwienie, jak i niechęć.

Rycerz nic nie powiedział. Myślał o tym, że jest znużony wędrówką przez tę posępną krainę, gdzie wszystko wyglądało tak samo i nic nie ulegało zmianie. Minione trzy dni ciągnęły się bez końca, wprawiając umysł w stan odrętwienia. Wypełnione były ciszą, ciemnością i nieubłaganym poczuciem beznadziejności. Kobieta dwukrotnie próbowała go zabić: raz – dodając truciznę do jego napoju, drugi raz – chcąc przebić go zaostrzonym kijem, kiedy myślała, że śpi. Jej wysiłki poszły na marne, gdyż wyczuwał wszystkie jej intencje. Odnosił wrażenie, że się z tym pogodziła. Gdy zabierała się do działania, to tak, jak gdyby niepowodzenie było z góry przesądzone, jak gdyby musiała podejmować próby, nawet jeśli ich wynik był już znany. Niemniej zdołała go zranić. Dotknęło go to, co ujrział w jej oczach. Był wojownikiem i potrafił stawić opór jej fizycznym napaściom. Trudniej jednak było poradzić sobie z jej spojrzeniami, pełnymi wściekłości, nienawiści i smutku, a od ich uporczywości robiło mu się ciężko na sercu.

Nienawidziła, oczywiście, również gargulca, lecz jej nienawiść do niego była wrodzona i bezosobowa, przez co łatwiejsza do zaakceptowania.

– Skąd tutaj miasto? – zapytał ich cicho.

Przez moment nikt nie odpowiadał. Rzeczywiście, skąd? Miasto pojawiające się znikąd, niczym materializująca się wizja, której nie można wytłumaczyć, istniejąca jakby w próżni. Gdzie był handel, który mógłby utrzymywać miasto? Skąd brali jedzenie, skoro nie było pól? Czy było to miasto myśliwych i traperów? Jeśli tak, to dokąd odstawiali swoje towary i skąd przychodziły dla nich zapasy? Przez trzy dni rycerz nie widział prawie żadnych zwierząt leśnych, a te nieliczne, które zobaczył, były małe i płochliwe i w jakiś naturalny sposób pasujące do mroku, istniejące dzięki niemu, ale nie wbrew jemu.

– Jakie to ma znaczenie, skąd się tutaj wzięło? – zapytała podenerwowanym głosem kobieta. – Jest tutaj i tylko to ma znaczenie. Mamy okazję ponownie odnaleźć drogę. Jaki sens zastanawiać się nad tym?

Gargulec wysunął się krok do przodu, zatrzymał i przykucnął pod swoim ciemnym

płaszczem, trzymając się jak zwykle półmroku.

– Nie podoba mi się to – powiedział. – Coś tu jest nie tak. Rycerz potwierdził skinieniem głowy. Też to czuł. Coś tu nie grało. Jednak miasto stało tutaj i nie mogli go zwyczajnie minąć. Ktoś z mieszkańców musi znać drogę wyjścia z labiryntu, ktoś musi coś wiedzieć o drodze prowadzącej do realnego świata.

– Zejdziemy w dół i zobaczymy, czego się można dowiedzieć. Musimy wykorzystać tę szansę. – Rycerz spojrział na tamtych dwoje.

– Jeśli mnie zobaczą, to mnie zabiją – powiedział gargulec.

– Zostań zatem z tyłu – rzuciła kobieta, nie wzruszona jego obawami.

– Ach, jak ja łaknę ich widoku – powiedział półgłosem gargulec, jakby się tego wstydził. – Na tym polega mój problem: wstrętem napawam tych, do których chciałbym się zbliżyć.

– Chciałbyś być jednym z nich – szydziła z niego. – Przyznaj się, ty żalosna istoto.

Gargulec jednak potrząsnął głową.

– O, nie, kobieto, za żadne skarby świata. Są istotami niezdecydowanymi, chwiejnymi i ograniczonymi krótkością swego życia. Ja natomiast jestem zdecydowany i posiadam dar nieśmiertelności. Nie mam tej skazy, jaką jest krótkie życie.

– Nie masz też ich urody. Łatwo bagatelizować tych, których życie się kończy, gdy dla ciebie śmierć jest czymś tak odległym, że nie potrzebujesz się zastanawiać, co ona znaczy. – Kobieta utkwiała w nim swoje zimne oczy. – Mogę żyć znacznie dłużej niż ludzie, gargulcu, lecz przywiązuję również wagę do piękna. Nie chciałabym być brzydka jak ty, nawet gdybym mogła żyć wiecznie.

– Twoja brzydota tkwi w twoim wnętrzu – wyszeptał gargulec.

– A twoja jest, i pozostanie po wsze czasy, wyraźnie wyciśnięta na tobie, aby nikt nie mógł się co do ciebie pomylić!

Rycerz ruszył i stanął przed kobietą, aby odwrócić jej surowe spojrzenie. Wzdrygnął się, gdy te zimne oczy spotkały się z jego oczami i gdy ujrzał w nich jej wizję siebie samego.

– Będziemy trzymać się blisko i nie odzywać, jeśli to nie będzie konieczne. Ty i ja, kobieto, poszukamy odpowiedzi, na których nam zależy. On – wskazał głową na przygarbioną, ukrytą pod płaszczem postać z tyłu – będzie milczał. Ostrzegam cię jednak, że jeśli spróbujesz jakichś sztuczek lub zdrady, to cię uciszę. Przyrzeknij, że niczego nie będziesz próbowała.

– Niczego ci nie przyrzeknę! – odparła, szydząc z niego otwarcie i pokazując swoją wyniosłość.

– Zostawię cię zatem tutaj z nim – powiedział łagodnie rycerz. – Idąc tam sam, będę bezpieczniejszy.

Kobieta zbladła, słysząc tę groźbę, a emanująca z niej wściekłość była niemal

namacalna.

– Nie możesz tego zrobić! – syknęła.

– Daj mi zatem słowo. Zatrzęsa się z gniewu.

– Dobrze, masz je, panie rycerzu. Oby urosło w tobie i strawiło twą duszę!

Rycerz odwrócił się. Upomniał gargulca, aby pozostał w ukryciu swego płaszcza i trzymał się z dala od światła.

– Niech cię nie kusi, żeby wziąć udział w rozmowach – ostrzegł. – Trzymaj się cały czas mnie.

Zeszli szybko na dół w słabnącym świetle; gęstniejący mrok zaczynał już pochłaniać miasto, a po budynkach pozostały tylko nikłe błyski światła, otoczone ramą okien, niczym obrazki zawieszona na czarnej, aksamitnej zasłonie. Przemykali się przez wszechogarniającą ciemność, schodząc wijącą się linią w dół stoku, niczym widma, które wyszły z lasu. Po kilku minutach dotarli do płaskiej kotliny i stanęli na rogatkach miasta. Gdy oczy przystosowały się do innego światła, ruszyli jedną z krótkich uliczek, która biegła przez centrum. Był to zryty koleinami skrawek zniszczonej ziemi, zaczynający się po jednej stronie kolonii budynków, a kończący po drugiej. W ciemności mijali ich mężczyźni i kobiety, ale nikt się nie odezwał. Drzwi i okna domów i warsztatów po obu stronach ulicy były pozamykane. Psy i koty grasowały wzdłuż ścian budynków w poszukiwaniu jedzenia i umykały pod chodniki w miejscach, gdzie te wypiętrzały się ponad ziemię. Głosy były przytłumione i trudne do odróżnienia. Rycerz słuchał tyleż sercem, co uszami, lecz nie usłyszał niczego, co przyniosłoby mu ulgę, żadnej pociechy. Miasto było trumną, czekającą na zabicie gwoździami.

W centrum miasta stała karczma. Tutaj drzwi stały otworem i ludzie swobodnie wchodzili i wychodzili. Czuć było zapach dymu i świeżo nalanego piwa, dochodził brzęk szkła, odgłosy szurania butami i surowej szczeroci śmiechu zrodzonego w momencie chwilowej ucieczki od posępności codziennego znoju. Rycerz ruszył w stronę drzwi, za nim podążyli kobieta i gargulec. Zwrócił uwagę na mglistą poświatę wnętrza, będącą mieszaniną dymu i słabego oświetlenia. Trudno było rozróżnić twarze; tym łatwiej przyjdzie im zachować anonimowość. Wszedł na werandę przed budynkiem i zobaczył, że mimo ścisku, wewnątrz wciąż były wolne stoły i siedzenia. Oczywiście zostaną rozpoznani jako obcy; rzecz nieunikniona w takim małym mieście. Jego zadaniem będzie ściągnąć uwagę na siebie, a nie na swoich podopiecznych.

Weszli w sam środek ochrypłych śmiechów, dochodzących z miejsca przy barze, gdzie pół tuzina robotników stało ściśniętych ramie w ramie nad szklankami i zwróconych twarzami do karczmarza. Rycerz ruszył między stolami na sam koniec sali, ciągnąc za sobą pozostałą dwójkę. Usiedli przy stole, nie mówiąc ani słowa. Gargulec usunął się w cień, przezorny i czujny, kobieta natomiast usiadła twarzą do sali, ze spojrzeniem zuchwałym niczym słowna groźba rzucona prosto w twarz, odrzucając na boki poły płaszcza i zdejmując kaptur. Oczy gości natychmiast zwróciły się w jej stronę. Niektóre z nich wypełnione były żądzą.

Usiadł też sam rycerz, starając się częściowo ją zasłonić. Było już za późno, by kazać

jej przysłonić twarz. Musi wziąć na siebie rolę jej obrońcy i mieć nadzieję, że to wystarczy.

Gdy tylko na sali zdano sobie sprawę z ich obecności, głosy przycichły i wszyscy obecni przerwali swoje zajęcia, aby im się przyjrzeć. Dziwne oczy kobiety przebiegły po sali, nie zatrzymując się nigdzie, uznając, że nie ma nikogo, kto byłby wart oglądania. Rycerz żałował, że pozwolił jej pójść ze sobą; lepiej by sobie poradził, zostawiając ją. Nie chciał jednak tracić jej z oczu; nie chciał ryzykować jej zniknięcia.

Wzrokiem przyciągnął uwagę karczmarza i dając mu znak, zamówił trzy kufle. Karczmarz skinął głową i pośpieszył do beczek.

Po chwili przestano na nich patrzeć i powrócono do rozmów. Salę wypełniali mężczyźni i kobiety, wszyscy odziani w nędzne ubrania, wszyscy o szorstkim, zniszczonym wyglądzie. Sprawiali wrażenie ludzi, których zmagania z życiem pozbawione są szczęścia, umiejętności czy pomocy innych. Mogli być kimkolwiek: rolnikami, myśliwymi bądź górnikami; rycerz nie potrafił tego stwierdzić. Na pewno na życie zarabiali rękami, lecz trudno było stwierdzić, czym się zajmowali. Byli w różnym wieku. Na sali siedzieli tak przemieszani, iż nie sposób było określić, kto komu towarzyszył. Wzajemne związki zdawały się nie mieć tutaj znaczenia, jak gdyby dopiero się tworzyły albo w ogóle nie były ważne. Od czasu do czasu ludzie wstawali i zmieniali stoły, lecz nigdy w parach bądź grupach. Było tak, jakby każdy mężczyzna i każda kobieta prowadzili osobne życie i byli jedynie pojedynczymi częściami składowymi społeczeństwa.

Nie było dzieci. Żadnego śladu, aby ktokolwiek, kto nie jest dorosły, mieszkał w mieście. Nie było nawet chłopca zamiatającego podłogę czy ścierającego kontuar.

Karczmarz podszedł z kufkami piwa i postawił je przed rycerzem. Obrzucił spojrzeniem broń rycerza i zatarł niespokojnie dłonie.

– Skąd przychodzicie? – zapytał, gdy rycerz zanurzył dłoń w sakiewce, szukając monet, nie będąc pewny, czy cokolwiek tam znajdzie. W końcu wyjął kawałek złota.

– Zgubiliśmy się – odpowiedział. – Gdzie teraz jesteśmy? Karczmarz sprawdził złoto zębami.

– W labiryncie, oczywiście. Właściwie to w samym jego sercu.

Karczmarz patrzył z zainteresowaniem na kobietę. Kobieta spojrzała na niego, jakby był powietrzem.

– Czy to miasto ma nazwę? – kontynuował rycerz. Karczmarz wzruszył ramionami.

– Nie ma. Nie ma takiej potrzeby. Przyszliście z północy? Rycerz nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Nie jestem pewien.

Karczmarz zniżył konspiracyjnie głos i lekko się nachylił, skupiając teraz uwagę na rycerzu.

– Czy widzieliście w lesie coś dziwnego?

– Dziwnego?

– Tak. – Mężczyzna zwilżył usta. Wydawało się, że nie ma ochoty wymówić nazwy tego czegoś, jak gdyby już samo to mogło w jakiś sposób sprowadzić obiekt jego zainteresowania do wnętrza karczmy.

– Niczego nie widzieliśmy – powiedział rycerz.

Karczmarz przyglądał mu się przez chwilę, jakby chciał się upewnić, czy nie kłamie, po czym skinął głową z widoczną ulgą na twarzy i odszedł.

Kobieta nachyliła się do niego i zapytała głosem chłodnym i wyważonym:

– O czym on mówił?

Rycerz potrząsnął głową. Nie wiedział. Siedzieli w ciszy i pili piwo z kufli, przysłuchując się rozmowom toczonym wokół nich. Rozmawiano o pracy, ale bardzo ogólnie. Wspomniano o pogodzie, porach roku czy o braku tego lub tamtego, lecz wszystko to było niejasne i nieuchwytnie.. Nikt nie mówił o szczegółach ani nie podawał dokładnych informacji ze swojego życia. Coś dziwnego kryło się w tych konwersacjach, coś w ich tonie, w modulacji głosu mówiących. Dopiero później rycerz domyślił się, że w te rozmowy wpleciona była jakaś dziwna atmosfera niespokojnego oczekiwania na coś nie wypowiedzianego, co ma się zdarzyć.

Stary mężczyzna przysunął się chyłkiem do stołu i zatrzymał.

– Przyszliście z daleka, co? – Słowa wymawiał niewyraźnie, zaczynał już bełkotać od nadmiaru spożytego piwa.

– Tak – odpowiedział rycerz, podnosząc wzrok. – A ty?

– O, nie, panie, ja nigdzie nie chodzę. Tu jest mój dom, to miasto. Teraz i na zawsze. Jestem tu już, uuu, całe lata. – Uśmiechnął się, odsłaniając bezzębną szczękę. – Już nigdzie nie można pójść, jak się raz tutaj trafiło.

Rycerz poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

– Co masz na myśli? Przecież możesz odejść, kiedy tylko zechcesz.

Starzec zarechotał.

– Tak myślisz? Że można odejść? Musisz być nowy, synu.

To jest labirynt. Nie można się stąd wydostać. Stąd się nikt nigdy nie wydostanie!

– Jeśli można wejść, to można też wyjść! – warknęła nagle kobieta, wybuchając złością.

– Chceta, to spróbujta! – odpowiedział starzec, nie przestając się śmiać. – Wielu próbowało przed wami, lecz zawsze wracali. To jest ich miejsce, od kiedy się tu znaleźli. Wasze też. Wasze też.

Odszedł chwiejnym krokiem, mamrocząc coś do samego siebie. Rycerz dał znak karczmarzowi, żeby podał jeszcze trzy kufle, a sam próbował zrozumieć sens w płataninie słów starca. Nie ma wyjścia, labirynt jest pułapką, z której nikt nie może się

wydostać, powtarzał słowa szumiące w jego głowie.

– Podać coś do jedzenia? – zapytał karczmarz, podchodząc z kuflami piwa. – Została panu jeszcze reszta z tego kawałka złota.

– Czy możecie narysować nam mapę? – zapytał od niechcienia rycerz.

Karczmarz odpowiedział typowym dla siebie wzruszeniem ramion.

– Mapę? Jaką mapę? Wszystkie drogi i tak prowadzą w końcu do tego samego miejsca, z powrotem tutaj.

– Potrzebuję mapy, która wskaże nam wyjście z labiryntu. Karczmarz uśmiechnął się.

– Nie jesteście, panie, jedynym, który jej potrzebuje. Kłopot w tym, że nikt jej nie zna. Niektórzy, jak ten stary facet, próbują od lat się stąd wydostać, lecz bez powodzenia. Nikt z nas nie potrafi. Próbujemy, lecz zawsze wracamy tutaj.

Rycerz wybałuszył na niego oczy, oszołomiony.

– Niech się waszmość tym nie martwi – ciągnął dalej tamten, przejęty wyrazem twarzy rycerza. – Przywykniecie, panie, do tego. Nie mamy tutaj zbyt wielu trosk, z wyjątkiem... – potrząsnął głową.

– Z wyjątkiem czego? O czym wy mówicie? – żądała odpowiedzi kobieta.

Karczmarz powoli nabrał powietrza. Kiedy ponownie przemówił, jego głos był ledwo słyszalny.

– O Haze.

Rycerz spojrzał szybko na swoich towarzyszy. Żadne z nich się nie odezwało. Odwrócił się znowu do karczmarza.

– Nie wiemy, co to jest.

Karczmarz pokrył się momentalnie potem, jak gdyby w sali zapanował południowy upał.

– Lepiej będzie, jeśli się nigdy nie dowiecie! – syknął. – Krażą różne opowieści. Żyje w lesie. Wychodzi, kiedy się tego najmniej spodziewasz, i pochłania wszystko! Potem nie ma już czego zbierać! – Twarz stała się jeszcze bardziej napięta. – Sam tego nigdy nie widziałem. Nikt tutaj nie widział. Ale czasami to słyszymy. Ostatnio coraz częściej, jakby się nam przyglądała. Mówi się, że jej nadejście jest zawsze poprzedzone pojawieniem się mitycznego i legendarnego potwora, bestii ze starego świata. – Pokręcił głową. – Już za dużo powiedziałem. Samo mówienie o tym może przynieść nieszczęście. Nie przychodzi zbyt często, ale kiedy przyjdzie...

Znowu potrząsnął głową, następnie obrócił się na pięcie i odszedł w pośpiechu. Rycerz odprowadzał go wzrokiem, po czym odwrócił się do swoich kompanów.

– Słyszeliście o czymś takim? – zapytał cicho.

– Słyszałem plotki – odezwał się gargulec. Jego głos brzmiał jak pozbawiony ciała pomruk, dochodzący spod naciągniętego kaptura. – Stara legenda, licząca sobie tysiące

lat. Ludzie widzą w Haze boską karę za swoje grzechy.

– Co za brednie! – odezwała się szyderczo kobieta. – Dajesz wiarę przesądom, w które wierzą ci prostytutki? Czy w ten sposób chcesz się z nimi utożsamiać?

Gargulec nic nie odpowiedział, trzymając wzrok utkwiony w rycerzu. Rycerz napił się piwa i spróbował zebrać myśli. Nikt nie znał drogi wyjścia z labiryntu. Twierdzono, że w jakimkolwiek kierunku się udasz i tak wrócisz w końcu do tego bezimiennego miasta. Czy było to przekonanie powszechnie uznawane przez tych ludzi, czy też był między nimi ktoś, kto myślał inaczej? Rycerz nie rozmawiał z nikim oprócz karczmarza i starca. A może powinien spróbować?

– Zostańcie tutaj – polecił.

Wstał z kuflem w dłoni i podszedł do szynkwasu. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że jego broń i lekka zbroja budzą zainteresowanie, nikt z mieszkańców miasteczka nie nosił bowiem ani jednego, ani drugiego. Zaczął zadawać pytania mężczyznom zgromadzonym przy barze. Czy ktoś z nich był kiedykolwiek poza labiryntem? Czy ktokolwiek z nich wiedział, jak się stąd wydostać? Czy był ktoś, kto mógł wiedzieć? Mężczyźni kręcili głowami i odwracali wzrok.

– Może Cyganie rzeczni wiedzą – powiedział jeden z nich. – Oni byli wszędzie, gdzie tylko można być. Tylko że najpierw musicie ich znaleźć.

Wybuchnęli salwą śmiechu; był to pewnie ich stary, dobrze sprawdzony żart. Rycerz spojrzął za siebie w kierunku stołu, przy którym zostawił kobietę i gargulca, i znieruchomiał. Dwaj mężczyźni zbliżyli się do niego i zajęli miejsca po obu stronach kobiety. Kobieta szczerzej owinęła się płaszczem i popatrzyła prosto przed siebie, podczas gdy tamci wymieniali uwagi i uśmiechali się do niej. Gargulec wcisnął się jeszcze głębiej w półmrok.

Rycerz odsunął się od baru i ruszył w poprzek sali. Było już jednak za późno. Jeden z mężczyzn dotknął kobiety, a ta z miejsca obróciła się ku niemu z paznokciami wymierzonymi w jego twarz. Zerwał się na równe nogi z rykiem i cofając się, wpadł na gargulca. Płaszcz otulający potwora spadł i odsłonił gargulca, na co drugi mężczyzna poderwał się na chwiejnych nogach i zaczął krzyczeć wniebogłosy. W jednej chwili sala zamieniła się w dom wariatów. Mężczyźni i kobiety, przepełnieni odrazą, wrzeszczeli z przerażenia, podczas gdy gargulec próbował się zasłonić. Błysnęły ostrza noży myśliwskich o długich rękojeściach oraz przeróżnych sztyletów. Walcząc o utrzymanie równowagi w rozszalałej bijatyce, rycerz zdołał przedrzeć się przez tłum oddzielający go od jego podopiecznych. Pod butami wałało się szkło z roztrzaskanych kufli. Po chwili zgasły światła i ludzie rzucili się do wyjścia.

– Zobacz, co zrobiłeś! – krzyknął bliski obłędu karczmarz, wskazując na rycerza. – Sprowadziłeś potwora do naszego miasta! Wydałeś na nas wyrok! Bądź przeklęty na wieki!

Rycerz dotarł do stołu, chwycił kobietę i zarzucił ją sobie na ramię. Wyciągnął pałasz i począł nim wymachiwać, mierząc w tych, którzy próbowali zastąpić mu drogę. Gargulec szedł za nim, kuląc się, trzepocząc z zaciekłością swymi kalekimi skrzydłami i sycząc

przez ostre zęby. Rycerz zamachnął się z całych sił pałaszem i rozłupał stojący przed nim stół. Ludzie cofnęli się natychmiast. Utorował sobie drogę do drzwi przytrzymując wrzeszczącą i wierzgającą mu na ramieniu kobietę. Tuż za nim, kryjąc się w cieniu jego pleców, szedł skulony gargulec. Jakiś mężczyzna próbował rzucić się na niego z tyłu, lecz pazury potwora rozorały mu ramię do kości.

Wyszli przez drzwi i z powrotem znaleźli się pod nocnym niebem. Wrzaski i wołania ściagały ich przez jakiś czas, lecz niedługo potem ulica opustoszała, gdyż ludzie rozpierzchli się i pochowali w swoich domach. Rycerz szedł szybko przez miasto, jego oczy przyzwyczajały się do mroku. Nie pozostało nic innego, jak tylko samemu znaleźć drogę. Przeklinał własny pech i głupotę ludzi z miasteczka.

U podnóża stoku postawił kobietę na nogi, ale chwycił ją za nadgarstek, aby mieć pewność, że nie spróbuje ucieczki.

– Puść mnie! – warknęła, odpychając się od niego. – Jak śmiesz mnie dotykać! – Plunęła na niego. – Nienawidzę cię! Dopilnuję, abyś został za to żywcem rozerwany na kawałki!

Zignorował ją i skierował się w stronę ciemności między drzewami, wspinając się po stoku, aby znaleźć schronienie w lesie. Zostawiali za sobą światła miasta palące się nikłym żarem w oknach budynków oraz cienie ludzi drepczących w ich promieniach. Rycerz popatrzył w dół tylko przez chwilę i skupił całą uwagę na gęstwinie drzew przed sobą. Nie można było wykluczyć możliwości pościgu.

Dotarli właśnie do skraju lasu, gdy gargulec obrócił się nagle i przysiadł w postawie obronnej.

– Coś się zbliża! – ostrzegł głosem ciekim i pozbawionym tchu.

W tej samej chwili w mieście rozległy się nowe krzyki przerażonych ludzi. Rycerz i kobieta również się obrócili, żeby popatrzeć. Po drugiej stronie kotliny między drzewami pojawiła się niebotyczna ściana złowrogiego zielonego światła. Przegryzając się przez niemy mrok, migotała jak ogień i syczała jak kwas. Poruszała się równomiernie do przodu i w miarę zbliżania się zdawała się zmieniać swój wygląd, przybierając postać ulewnego deszczu, gwałtownego strumienia złożonego z cieni i światła, który rozdziera bezlitośnie wszystko, co napotka na swojej drodze. Krzyki ludzi na dole przybrały na sile. – To Haze! Haze przybyła! Uciekajmy! Ratujmy się! Okazało się jednak, że nie ma dokąd uciec, a nawet gdyby było, to nie starczyłoby już na to czasu. Zielonkawy deszcz wyszedł spomiędzy drzew i stoczył się po pochyłości w kierunku miasta. Świat za nim zniknął. Nie zostawało ani drzewo, ani krzak, ani jakikolwiek inny ślad życia. Wszystko było pochłaniane przez deszcz. Haze dotarła do miasta i zaczęła wyszarpywać budynki. Jeden za drugim zostawały wciągnięte między jej dziwne zasłony. Znikała za nimi również ludność miasta, nie mając żadnych szans ucieczki. Haze pochłaniała ich, gdy próbowali zbiec i już się z niej nie wydostawali. W jej czeluściach tonęły nawet ich krzyki.

Na krawędzi kotliny stał rycerz i patrzył w napięciu, jak ostatni budynek i ostatni mieszkaniec bezimiennego miasta znika, a Haze zbliża się do nich. Nagle, bez żadnej widocznej przyczyny, zaczęła się cofać. W ciągu kilku sekund zawróciła niczym huragan,

który nagle zmienia kierunek pod wpływem zderzenia się z innym prądem powietrznym. Powoli, nie śpiesząc się, wspięła się z powrotem na szczyt stoku kotliny, wtopiła w drzewa i zniknęła.

Rycerz, kobieta i gargulec patrzyli w dół na pustą kotlinę. Miasta, z którego uciekli, nie było; żadnego budynku, żadnej żywej istoty, żadnej bestii, żadnego śladu, któryby świadczył, że tam cokolwiek kiedyś było. Została jedynie naga ziemia, parująca jak poparzone ciało. Haze wypaliła ją ze wszystkiego. Rycerz spojrział na gargulca. Wyglądało na to, że Haze była czymś więcej niż tylko legendą. Co jednak wyciągnęło ją z lasu tej właśnie nocy? Czy rzeczywiście potwór może zwiastować jej przybycie, tak jak ostrzegał karczmarz? Czy tym potworem był gargulec? Czy była jakaś nić wiążąca tych dwoje, straszny pakt, aby niszczyć życie i siać spustoszenie na ziemi, na której żyją? Gargulec był mimo wszystko potworem, który pochodził jeszcze z pradawnych czasów. Rycerz rozważał

różne możliwości. Również kobieta patrzyła na bestię, a w jej zimnych oczach widać było ślady lęku. Gargulec zapatrzył się w ciemność i nie odwzajemnił ich spojrzeń.

Rycerz odwrócił się. Wszyscy ci ludzie zginęli, pomyślał. W myślach odtwarzał jeszcze raz obrazy tego, jak znikają. Wciąż słyszał ich krzyki. Dźwięk przerażający, choć znajomy. Słyszał już kiedyś takie wrzaski. Słyszał je przez całe swoje życie. Były to wołania mężczyzn, z którymi walczył i których w walce zabił. Były to krzyki jego ofiar. Krzyki te utkwily mu w pamięci, niczym dusze schwymane w sieci. Wiedział, że będzie je w sobie nosił po wsze czasy.

Patrząc na przerażający efekt zniszczenia, którego był świadkiem, zastanawiał się, czy ciężar tych najświeższych krzyków ma również spoczywać na jego barkach.

CYGANIE RZECZNI

Szli całą noc, zbyt niespokojni, aby móc zasnąć. Nie rozmawiali z sobą o tym, co się stało, ale i tak wiedzieli, że pozostali myślą właśnie o tym. Ponownie ogarnął ich nie kończący się las, ogromny nieprzenikniony baldachim zamglonego nieba i obfitego listowia. Przed nimi znowu rozciągał się labirynt i po jakimś czasie zaczęli odnosić wrażenie, że miasta i jego mieszkańców nigdy nie było.

Kiedy zawitał poranek i ciemności przeszły w szarość, znaleźli polanę i trochę się przespali. Rycerz odpoczywał, pół-drzemiąc, czego wyuczył się już dawno temu. Był to rodzaj transu, w którym jakaś jego część, jakiś pojedynczy instynkt nie spał, zachowując czujność na wszelkie zagrożenie. Może śnił, ale prześladowały go krzyki tych, których widział, jak umierają, oraz niepokoila go własna niezdolność do uwolnienia się od nich. Cienie zmarłych – to wszystko, co zostało z tych, którzy kiedyś byli ludźmi. Żyli wciąż w nim, jak gdyby przywarli do niego i nie chcieli zwolnić uścisku do czasu, gdy śmierć

przyjdzie również po niego.

Kiedy nie drzemał, myślał o gargulcu, zastanawiając się, jaką rolę odegrało stworzenie w tym, co się przydarzyło miastu. Od nowa zaczęło go dręczyć to, iż nie potrafił sobie przypomnieć, jak to się stało, że gargulec był razem z nimi, dlaczego podróżowali razem. Nie potrafił sobie niczego przypomnieć o bestii. Skąd przybył gargulec? Jaki miał powód, aby być w labiryncie razem z rycerzem i kobietą? Może gargulec był stąd, wciąż zastanawiał się rycerz. Wiedział, że labirynt jest pułapką, z której nie ma wyjścia. Pierwszy powiedział to, co później usłyszeli od ludzi z miasta. Gargulec wiedział o Haze. Było tak wiele *rzeczy*, o których wiedział gargulec, a o których rycerz nie miał zielonego pojęcia. To było nie do zniesienia. Rycerz nie bał się stworzenia, ale nie ufał jego zamiarom. Bestia zdawała się rozumieć podstawowe pojęcie honoru i uczciwości, lecz mimo szczerych chęci rycerz nie potrafił jej zaufać.

Po przebudzeniu się poszli dalej. Wędrowali, bo cóż innego mogli robić? Gdyby tego nie robili, przyznaliby się do klęski. Rycerz nie mógł na to pozwolić. Czuł, że rzeczy wymykają mu się spod kontroli, że jego pewność siebie i świadomość celu powoli ulegają erozji. Stopniowo zaczynał dostrzegać, jak krucha jest jego pozycja w całym porządku rzeczy. Oto był pionkiem w grze losu, którego nie potrafił pojąć ani kontrolować. To, co znajdowało się w labiryncie, nie przywodziło mu na myśl niczego znanego, natomiast to, co pamiętał z wcześniejszego życia, przypominało sztukę teatralną odgrywaną przez cienie na tle odległej i niewyraźnej dekoracji. Próbował z całych sił się skupić i przypomnieć sobie cokolwiek, lecz nic z poprzedniego życia nie ukazywało mu się przed oczami. Było tak, jakby się tutaj urodził. Tylko obecność kobiety i po części gargulca utwierdzała go w przekonaniu, że musiało być coś, co się wydarzyło wcześniej.

Tego dnia kobieta rozmawiała z nim, jak gdyby czuła do tego nieodparty przymus. Nie prowadziła rozmowy jak koleżanka czy przyjaciółka, lecz zwyczajnie jako jego podopieczna i towarzyszka podróży. Często zadawała mu pytania, kim jest i co tutaj robi. Pytała go o to, co pamięta ze swojego poprzedniego życia. Chciała wiedzieć, dlaczego ją zabrał i kto za tym stoi. Unikał odpowiedzi, wymigując się od nich najzręczniejszym, jak tylko potrafił. Nie potrafił odpowiedzieć. Nie znał odpowiedzi. Nalegała tak długo, aż jej się to w końcu sprzykrzyło i ponownie zamilkła.

– Bawisz się mną – powiedziała. W jej głosie zamiast naturalnej złości brzmiał teraz smutek i złość. – Prowadzisz ze mną jakieś gry, ponieważ jestem twoim więźniem.

Potrząsnął głową i zapatrzył się w mgłę.

– To nieprawda. Nie mógłbym tak z tobą postępować.

– Powiedz mi zatem coś o sobie – błagała usilnie, poskramiając swój głos. – Powiedz mi coś, co upewni mnie, że nie kłamiesz.

Przez chwilę szedł, nie mówiąc ani słowa, po czym nachylił głowę.

– Nie podoba mi się, że tak to wszystko wygląda. Chciałbym, aby było inaczej. Przykro mi, że cię zabrałem, bez względu na to, co było tego przyczyną. Jeśli będzie okazja po temu, to wynagrodzę ci to jakoś.

Myślał, że natychmiast wybuchnie śmiechem na taką propozycję. Myślał, że najzwyczajniej wyszydzi go. Zaskoczyła go, bo niczego takiego nie uczyniła. Zamiast tego skinęła głową i szła dalej.

Było już dobrze po południu, kiedy dotarli do rzeki. Pojawiła się tak samo nieoczekiwanie, jak wcześniej miasto. Ukazała się ich oczom, gdy wspięli się na wzniesienie i rozstały się przed nimi drzewa. Była to szeroka rzeka o leniwym nurcie. Płynęła poprzecznie do ich ścieżki i zniknęła gdzieś we mgle. Na drugim brzegu dalej rozciągał się nieskończony labirynt lasu. Niebo nad ich głowami nadal było przesłonięte mgłą.

Zeszli nad brzeg i zatrzymali się, spoglądając najpierw na przeciwległą stronę, potem w górę jej biegu, a na koniec tam, gdzie odpływała. Żadnego śladu życia. Woda była mętna i spokojna w miejscach, gdzie progi i rozpadliny nie tworzyły kipieli między wystającymi skałami. Nic po niej nie płynęło, nie skoczyła ani jedna ryba, która zmaciłaby szklaną powierzchnię.

– Skoro jest rzeka, to gdzieś nad nią musi leżeć miasto – powiedziała kobieta z nadzieją w głosie.

– Ale czy leży ono w labiryncie, czy już poza nim? – zastanawiał się rycerz. Spojrzał na nią. – Pójdziemy wzdłuż jej biegu i zobaczymy. W którą stronę proponujesz pójść?

Jeszcze raz go zaskoczyła.

– Ty zdecyduj. Przecież to ty nas prowadzisz.

Zabrał ich w dół biegu rzeki. Jej brzeg był szeroki, porośnięty trawą i z łatwością mogli się po nim poruszać. Las był oddalony o jakieś sto metrów od niego, więc mieli dosyć miejsca do swobodnej wędrówki. Ubywało szarego światła dnia i zbliżał się zmrok. Mgła wysunęła się spośród drzew i zaległa nad powierzchnią rzeki i na jej brzegach. Podpełzła do cholewek butów, a potem jeszcze wyżej, do kolan. Zanim zapadł kompletny zmrok, sięgała już pasa i nie widzieli już brzegu rzeki.

Właśnie rycerz zdecydował, że wejdą na noc do lasu kiedy usłyszeli śpiew. Zatrzymali się jednocześnie i zaczęli nasłuchiwać. Dźwięk nadchodził trochę z przodu, z miejsca w pobliżu zakola rzeki, jakieś dwieście metrów od nich. Rycerz poprowadził ich na skraj lasu, aby uniknąć wpadnięcia do rzeki i stamtąd ruszyli dalej. Kiedy minęli zakole, zobaczyli światła kilku ognisk. To właśnie stamtąd dochodziły śpiewy. Ruszyli w kierunku ognisk, starając się przeniknąć wzrokiem mrok. Gdy się zbliżyli, dojrzelik kilka malowanych wozów. Nie opodal stały spętane muły oraz rozbite namioty z jaskrawego materiału przymocowane do masztów i tyłów wozów i usztywnione z boku sznurami. Śpiewających było ponad tuzin. Znajdowali się wśród nich zarówno mężczyźni, jak i kobiety, wszyscy odziani w kolorowe kostiumy ozdobione licznymi szarfami, w płaszczach i opaskach na głowach. Byli zgromadzeni wokół ognisk.

Rycerz i jego podopieczni zbliżyli się. Zauważono przybyszów, lecz nie przerwano śpiewania, jak gdyby ich pojawienie się nie miało znaczenia. Gargulec trzymał się z tyłu otulony płaszczem, aby nie zostać rozpoznany. Jeden ze śpiewających zaprosił ich skinieniem ręki, nie pozostawiając wątpliwości, że dotyczy to również bestii. Podeszli

powoli, zachowując ostrożność z przyzwyczajenia jak i ze względu na okoliczności, choć to towarzystwo wydawało się przyjazne.

– Witajcie w naszym obozie – przywitał ich ten, który kiwał na nich. – Zaśpiewacie z nami? Może zasłużycie na swoją kolację?

Był to ciężki mężczyzna o okrągłych kształtach z wielkimi, sękatymi dłońmi. Włosy i brodę miał gęste i czarne. Oprócz kilku złotych kolczyków zdobił go łańcuch z medalionem. Za szarfą opasującą wydumy brzuch wetkniętych miał parę sztyletów, jeszcze jeden wystawał z cholewy buta.

– Kim jesteście? – zapytał rycerz.

– O nie. Żadnych imion, przyjacielu – odpowiedział tamten. – Imiona są dla wrogów, których unikamy, nie dla przyjaciół. Przysiądźcie się do nas?

– Cyganie rzeczni – rzekł gargulec, nieruchomiejąc chwilę wcześniej. Rycerz szybko spojrział na niego. Wielki mężczyzna zaśmiał się.

– Tak, to my! Patrzcie, kogóż tu mamy: gargulec! Niewielu takich jak ty pozostało na świecie, a za mojego życia nie widziano żadnego z was w labiryncie. No chodź do światła. Nie wstydź się. Nie kryj się w mroku. Zapraszamy was wszystkich. Siadźcie z nami i śpiewajcie. Ogrzejcie się przy naszym ognisku.

Poprowadził ich do przodu, żeby siedli wraz z innymi. Zrobiono im miejsce, przyniesiono napoje i dalej śpiewano. Wymieniano uśmiechy za każdym razem, gdy rozpoczynano czy kończono piosenkę. Jeden z mężczyzn grał na jakimś instrumencie strunowym, a inny na flecie. Rycerz i jego towarzysze słuchali pieśni, lecz nie przyłączali się. Napili się wina, które im podano i patrzyli na to zgromadzenie, zastanawiając się, skąd się tutaj wzięli ci ludzie.

– Długo szliście? – zapytał po jakimś czasie barczysty mężczyzna, nachylając się do rycerza, aby go lepiej było słyszeć.

– Przez pięć dni – odpowiedział rycerz. – Zdaje się, że nie możemy znaleźć drogi powrotnej.

– To dość powszechny tutaj problem – odparł tamten, kiwając głową.

– A czy wy znacie drogę? – wypytywał rycerz. Tamten zaczął klaskać w dłonie w rytm piosenki.

– Być może. Być może.

Śpiewano jeszcze długo. Rycerz zaczął się robić senny. Kobieta wypila więcej od niego i już leżała rozciągnięta na trawie z zamkniętymi oczami. Gargulec siedział na tylnych łapach pod płaszczem. Niektórzy Cyganie zaczęli tańczyć, skacząc i wirując w świetle ognisk. Kobiety przymocowały do palców dzwoneczki i nad śpiewającymi rozległ się srebrzysty brzęk. Mężczyźni snuli za sobą chusty w kolorze purpury i złota. Pito obficie wino. Rycerz przypomniał sobie, że wcześniej wspomniano coś o jedzeniu, lecz niczego nie przyniesiono.

– Czy nie w ten sposób powinno się żyć? – zapytał niespodzianie Cygan, nachylając

się raz jeszcze. Uśmiechał się, a na twarzy miał już wypieki. – Nie myśl o dniu jutrzejszym, dopóki on nie przyjdzie. Nie martw się tym, czego nie możesz zmienić. Śpiewaj i tańcz. Śmieję się i pij. Odłóż swoje kłopoty na inny czas.

Rycerz pokręcił głową.

– Kłopoty mają swoje sposoby, żeby cię dopaść. Tamten się roześmiał.

– Co za pesymista! Popatrz na siebie! Nie śpiewasz ani nie tańczysz! Wypiłeś tak niewiele! Jak możesz się dobrze bawić? Musisz dać życiu szansę!

– Czy jest wyjście z labiryntu? – zapytał ponownie rycerz.

Cygan potrząsnął wesoło głową, podniósł się na nogi i wzruszył ramionami.

– Nie dzisiejszej nocy. Może jutro – odrzekł i podrygując mimo swoich rozmiarów, odszedł lekkim krokiem wzdłuż ognisk.

Rycerz opróżnił resztkę wina i spojrzął na swoich towarzyszy. Kobieta wciąż spała zdrowym snem. Gargulec zniknął. Rycerz rozglądał się za nim na próżno. Nie dostrzegł go nigdzie w tyle. Gdzieś przepadł.

Rycerz spróbował wstać i zauważył, że nie może. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, a ciało zdawało się być zamknięte w stalowym futerale. Zmagał się z ciężarem, który przykuwał go łańcuchem do ziemi. Już mu się prawie udało wstać, gdy się przewrócił. Cyganie rzeczni tańczyli i śpiewali wokół leżącego z zapamiętaniem. Kolory i kształty zawirowały wokół niego, po czym wszystko zaczęło ciemnieć. Coś było nie tak. Wietrzył w tym jakiś podstęp. Wciąż zastanawiał się, co spowodowało, że runął w mrok.

Kiedy się przebudził, był sam. Cyganie rzeczni zniknęli – mężczyźni, kobiety, wozy, muły, wszystko. Pozostały po nich tylko popioły ognisk, wciąż jeszcze tłące się słabo w mglistym świcie. Rycerz leżał rozciągnięty jak długi na trawie. Przekręcił się nieporadnie i podniósł na kolana. Głowa pulsowała mu od wina, a mięśnie zdrętwiały od snu. Po jego lewej stronie płynęła rzeka, gładka i cicha. Po prawej stronie wisiała ciemna zasłona lasu nasączona mgłą.

Rycerz podniósł się na nogi i czekał, aż miną zawroty głowy.

Kobiety również nie było.

Czuł, jak oddech staje się szybszy i pogłębia ból w piersiach ze złości i niedowierzania. Dokąd ona poszła? Rozglądał się dokoła, próbując znaleźć jakikolwiek jej ślad w porannym półmroku, ale niczego nie znalazł. Zniknęła.

Nie doszedł jeszcze do siebie, gdy z lasu wynurzył się gargulec i zbliżył do niego. Rycerz zdał sobie nagle sprawę, że nie ma przy nim również jego broni. Był bezbronny.

– Dobrze się spało? – zapytał gargulec z wyraźnym sarkazmem w głosie, gdy znalazł się przy rycerzu.

– Gdzie jest moja broń? – zapytał ze złością. – Co się stało z kobietą?

Gargulec przysiadł przed nim na zadzie.

– Cyganie rzeczni wzięli jedno i drugie. Wzięli je, gdy spałeś.

– Wzięli je? – Rycerza zamurowało. – Chcesz chyba powiedzieć, że je ukradli?

Gargulec zaśmiał się lekko.

– Cyganie nie patrzą na to w ten sposób. Dla nich broń i kobieta stanowiły zapłatę za przyjemności dostarczone ci poprzedniej nocy. Ich zdaniem to uczciwe. Uwolnili cię od tego, czego i tak nie potrzebujesz.

Rycerz spojrział groźnie.

– A ty nie zrobiłeś nic, aby ich powstrzymać? Gargulec wzruszył ramionami.

– A niby dlaczego powinienem? Co mnie obchodzi, co się stanie z kobietą i z twoją bronią? Nie dbam o jedno ani o drugie. Tak naprawdę, to będzie ci lepiej bez nich. W labiryncie nie potrzeba broni. Niezbędny jest jedynie rozum i cierpliwość. Kobieta była kamieniem młyńskim na naszych szyjach, strapieniem, którego żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie powinien znosić.

– Nie ty jesteś od podejmowania decyzji!

– Dlatego też nie podjąłem. – Gargulec zachowywał niewzruszony spokój. Przesunął lekko swoją brzydką mordę w stronę światła – żółte oczy były opanowane. – Pozwoliłem, aby wydarzenia potoczyły się własnym torem, nic więcej.

– Mogłeś mnie ostrzec!

– Sam mogłeś siebie ostrzec, gdybyś pomyślał wcześniej. Wszyscy wiedzą, jacy są Cyganie – wszędzie są tacy sami i zawsze takimi byli. Żyją według własnych zasad i jeśli decydujesz się pić i śpiewać z nimi, to akceptujesz to. Potraktuj to jako nauzkę, panie rycerzu, i nie myśl o tym dłużej.

Rycerz stłumił w sobie wściekłość. Zaraz pod nią czaił się lęk oraz uczucie, że traci kontrolę i że nie może zrobić nic, aby temu zaradzić. Kobieta i broń zniknęły, a on był bezsilny. Dlaczego nie przewidział, że coś takiego może się stać? Dlaczego nie był ostrożny?

Wciągnął głęboko powietrze i spojrział w górę i w dół rzeki.

– W którą stronę poszli? – Gargulec nie odpowiadał. Rycerz przypuścił atak. – Nie dawaj mi kolejnego powodu do tego, żebym ci jeszcze mniej ufał! – warknął.

Gargulec wytrzymał jego pełne wściekłości spojrzenie.

– Nigdy ci nie dawałem żadnych powodów.

– Czyżby? – Rycerz był gotowy przyjąć wyzwanie. – Kiedy obudziłem się w labiryncie, ty już tam byłeś. Wiedziałeś, gdzie jesteś; nazwałeś labirynt po imieniu. Powiedziałeś, że nie ma stąd wyjścia, zanim ktokolwiek nawet o tym wspomniał. Kiedy dotarliśmy do tamtego miasta i powiedziano nam o Haze, ty znałeś tę historię. Karczmarz rozpoznał cię jako potwora, który zwiastuje jej nadejście. Ostatniej nocy, kiedy natrafiliśmy na Cyganów rzecznych, ty wiedziałeś, kim są, kiedy ja i kobieta nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Wygląda na to, że sporo wiesz o miejscu, z którego, jak twierdzisz, nie pochodzisz. Nic nie mogę poradzić na to, że wciąż się zastanawiam, jaką masz w tym

wszystkim rolę.

Gargulec wpatrywał się w rycerza, lecz przez dłuższy czas nic nie mówił.

– Zgadzam się, że możesz mieć powody, aby żywić podejrzenia – odpowiedział w końcu z niechęcią. – Też bym był podejrzliwy na twoim miejscu. Wszystko wskazuje na to, że jestem dwulicowy. Ale tak nie jest. To, co wiem, bierze się stąd, że żyję już bardzo długo i byłem w wielu miejscach. Zdobyłem wiedzę, której źródeł nie potrafię określić. Pamiętam *rzeczy*, o których słyszałem lub które odkryłem w

temu. Jestem bardzo stary. Kiedyś, jak powiedział Cygan rzeczny, takich jak ja było wielu. Teraz jestem tylko ja jeden na całym świecie.

Przerwał, jakby się namyślając.

– To miejsce, ludzie, którzy tu żyją i *rzeczy*, które tu się dzieją, są mi znajome, znane z innego czasu, czasu, o którym pamięć się częściowo zatarła. Czuję również częściowo to, co nadejdzie. Znam to miejsce; rozpoznaję je. Odgaduję niektóre wydarzenia. Nie jestem jednak stąd i nie mam pewności, czy kiedykolwiek już tu byłem. – Gargulec popatrzył spode łba. – Dręczy mnie to, że tak jest. Moja pamięć jest fragmentaryczna i wyznaję, że nic z poprzedniego życia nie jest dla mnie wyraźne. Poza tym, że – dodał pośpiesznie – nie jestem już tym, kim byłem kiedyś.

Rycerz wolno skinął głową. Wyczuwał prawdę w słowach gargulca.

– Ja też nie. Przeszłość wydaje się taka odległa.

– Są jednak skojarzenia, które uruchamiają pamięć, tak jak było z Cyganami rzeczny zeszłej nocy – powiedział gargulec. – Znałem ich, choć ich wcześniej nie spotkałem. Wiedziałem, co knuli. Mogłem ci to powiedzieć, naprawdę. Nie zrobiłem tego. Chciałem, aby wzięli kobietę. Chciałem, żeby jej nie było. – Patrzył mu prosto w oczy. – Nie wstydzę się tego.

– Muszę im ją odebrać – powiedział rycerz.

– Dlaczego? Po co chcesz to robić? – Gargulec wydawał się szczerze zainteresowany.

Rycerz milczał. Splótł ze sobą ręce, gdy zmuszał się do mówienia.

– Ponieważ tak właśnie robiłem, zanim tu przybyłem. To jest jedyna pewna rzecz, którą posiadam. Bez niej jestem stracony. Tylko ona pozwala mi to wszystko dalej ciągnąć. Daje mi powód, dla którego mogę żyć. Istnieje dzięki niej. Rozumiesz?

Gargulec zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową.

– Myślę, że tak. Nie potrafisz przypomnieć sobie innego powodu istnienia poza tym, aby ją zabrać z powrotem do swego pana. Ale czy pamiętasz coś jeszcze oprócz tego, panie rycerzu?

Rycerz potrząsnął głową.

– To miejsce jakby okradło mnie z całej przeszłości.

– Mnie też. – Głos gargulca brzmiał gorzko. – Chciałbym powrócić do mego życia. Chciałbym odzyskać moją pamięć.

– Widziałeś, w którą stronę poszli? – powtórzył rycerz.

– Lepiej ci będzie bez niej – odpowiedział gargulec. Ze strony rycerza nie padła żadna odpowiedź, żadnej zmiany w wyrazie twarzy. Gargulec westchnął. – W górę rzeki, tam, skąd my przyszedliśmy. – Potrząsnął głową ze znużeniem. – Pójdę z tobą.

Wyruszyli natychmiast, posuwając się wzdłuż wstęgi o ziemistej barwie, przez wysokie trawy nad brzegiem rzeki, prosto w mglistą szarość. Prawie natychmiast natrafili na ślady; rycerz nie miałby zatem kłopotów z odkryciem, w którą stronę udali się Cyganie rzeczni. Na nowo zaczął snuć podejrzenia wobec roli, jaką gargulec grał w tych wydarzeniach; zwierzę mogło mu wskazać drogę tylko po to, żeby osiągnąć w ten sposób swój własny cel. Takie myślenie było jednak niesprawiedliwe wobec gargulca i rycerz nie czuł się z tym dobrze. Wierzył, że bestia jest w głębi istotą honorową. Nie wyczuwał kłamstwa w tym, co od niej usłyszał. Oboje przyszedli do tego świata z jakiegoś innego i ich los tutaj, podobnie jak i kobiety, niczym się nie różnił.

Posuwali się do przodu przez cały dzień, idąc w ślad za wozami, nie zatrzymując się zbyt często dla wypoczynku, gdyż mieli zamiar zakończyć swój pościg przed zachodem. Po pewnym czasie rzeka zrobiła się tak szeroka, że drugi brzeg stał się ledwie widoczną kreską na tle zachmurzonego nieba. Coraz bardziej przygnębiała rycerza nieustanna szarość, nieobecność słońca oraz przygniatająca niskość nieba nad ziemią. Tęsknił za ludźmi, zwierzętami i każdą inną formą życia. Wiedział, że kiedyś to właśnie dostarczało mu wiele radości. Najbardziej dotkliwie odczuwał utratę swojej tożsamości, ukrytą poza nieokreślonością jego obecnej egzystencji. Nie wystarczało, że czuł to, kim był kiedyś; potrzebne były również wspomnienia, wyraźne obrazy życia, jakie prowadził, a także zajęcia, którym się wtedy oddawał. Nie miał z tego prawie nic, na pewno mniej niż gargulec. Został rzucony na łaskę losu w głębiny otchłani, a wypełniająca go pustka zaczynała przyprawiać go o obłęd.

Było już po zachodzie słońca, kiedy ponownie natrafili na Cyganów rzecznych. Mieli szczęście, że ujrzeli światło ognisk na długo wcześniej, zanim sami mogli być zauważeni. Cyganie ponownie rozbili się na brzegu rzeki, a odgłosy ich śpiewu unosiły się z niedbałym lekceważeniem w ciszy przedwieczornej pory. Rycerz z gargulcem weszli między drzewa i posuwali się skrajem lasu, aż znaleźli się na tyle blisko, aby widzieć, co się dzieje. Nie zobaczyli niczego zaskakującego. Cyganie rzeczni siedzieli wokół ognisk, pijąc wino i pozwalając, aby noc otuliła ich swymi ramionami. Pośród nich siedziała kobieta. Wydawało się, że nie jest w żaden sposób skrzepowana. W jednej dłoni trzymała kubek i popijała z niego. Twarz miała zimną i bez wyrazu, nie sprawiała jednak wrażenia przestraszonej.

– Może ona chce z nimi zostać – powiedział szeptem gargulec. – Może z nimi czuje się bardziej wolna niż z tobą. Rycerz nie zwracał na niego uwagi.

– Muszę odzyskać mój miecz.

Gargulec potrząsnął z dezaprobatą głową.

– Jesteś zdecydowanym człowiekiem. Żadnych odchyłeń w twoim życiu. – Zaśmiał się głęboko i łagodnie. – Obaj jesteśmy podobnie skonstruowani; naszych postanowień nic

nie jest w stanie zmienić.

Podniósł się gwałtownie.

– Zaczekaj tu na mnie.

Rycerz czekał, obserwując obozowisko. Zapadała coraz głębsza ciemność, aż wszystko, czego nie obejmował żar ognisk, zniknęło. Pijatyka i śpiewy trwały z niesłabnącą siłą. Wszystkie inne dźwięki i ruchy utonęły w powszechnej wesołości. Czas mijał i rycerz zaczął się robić niespokojny.

Wtem obok niego stanął gargulec, trzymając pałasz i szczerząc ostre zęby, połyskujące w blasku ognia. Rycerz przyjął miecz, zważył go w dłoni, sprawdzając jego stan, po czym wsunął w pochwę przewieszoną przez plecy.

– Teraz poprosimy ich, aby oddali nam kobietę – powiedział, podnosząc się.

– Zaczekaj. – Zakończona pazurami ręka gargulca powstrzymała go. – Po co prosić, kiedy to nie konieczne? Poczekaj do rana, wtedy zejdź po cichu na dół i zabierz ją, kiedy będą spali. To chyba będzie łatwiejsze.

Rycerz zastanawiał się nad tym przez minutę i skinął głową.

– Zczekamy.

Siedzieli w ciszy pod osłoną lasu. Cyganie rzeczni zaczęli tańczyć i zabawa ciągnęła się dalej. Zakończyła się dopiero wtedy, gdy noc miała się ku końcowi, a ogniska były już prawie wypalone. Wtedy mężczyźni i kobiety zawinęli się w swoje koce i ucichli. Kobieta spała z nimi. Nie zmieniła miejsca, w którym siedziała; osunęła się jedynie na trawę. Mgła przesuwiała się chyłkiem między wozy i zwierzęta, nie powstrzymywana już dłużej przez żar płomieni i wkrótce przykryła wszystkich śpiących.

Rycerz z gargulcem podnieśli się i wysunęli spomiędzy drzew. W ciszy pokonali drogę do obozu, prowadzącą przez wysokie trawy. Szukali straży, lecz jej nie *znaleźli*. Kiedy dotarli do wozów, zatrzymali się, nasłuchując. Słysząc było tylko odgłosy śpiących cyganów oraz daleki szum wód rzeki, rozbijających się o brzeg. Powoli przesuwali się wzdłuż wozów, aż znaleźli się blisko miejsca, gdzie leżała kobieta. Dalej rycerz poszedł sam.

Znalazł ją, ukląkł blisko i zakrył jej usta ręką. Obudziła się od razu, patrząc na niego chłodnym, badawczym wzrokiem, wolnym od jakiegokolwiek strachu. Zaczął pomagać jej się podnieść na nogi, gdy wtem zobaczył łańcuch biegnący od klamry zaciśniętej na kostce do koła wozu.

Rycerz wstał, czując, jak wściekłość bierze nad nim władzę. Tego było zbyt wiele. Ruszył między śpiącymi, na nic nie zważając, aż znalazł tego, który mówił do niego tak nęcająco o odłożeniu trosk na następny dzień. Nachylił się, zatopił palce w koszuli mężczyzny i podciągnął go do góry, aż go postawił na nogach.

– Posiekam cię na kawałki, jeśli jej w tej chwili nie uwolnisz – syknął przez zaciśnięte zęby.

Mężczyzna spojrział mu w oczy i skinął bez słowa. Rycerz poprowadził go przez obóz z

powrotem do miejsca, gdzie czekała kobieta. Brodaty Cygan sięgnął do kieszeni, wyjął klucz, otworzył zamek i stanął z tyłu.

– Nie powinieneś być zły na nas – powiedział cicho. Rycerz zdjął obręcz z nogi kobiety i pomógł jej się podnieść. Nachyliła się, aby rozetrzeć kostkę, potem odwróciła się i odeszła w stronę lasu.

– Wino i rozrywka nie są za darmo – oznajmił Cygan. – Jesteś nam coś winien. Rycerz odwrócił się.

– Bądź wdzięczny, że cię nie zabiłem.

Cygan przyłożył palce do ust i zagwizdał, wydając ostry, przenikliwy dźwięk. W jednej chwili cały obóz się zbudził i dokoła stanęli uzbrojeni mężczyźni. Trzymali sztylety, krótkie miecze i siekiery. Metalowe ostrza połyskiwały wodą w wilgotnym powietrzu. Wystarczyło jedno spojrzenie, by mogli się zorientować w sytuacji, po czym wolno ruszyli na rycerza.

– Nie bądźcie głupcami – ostrzegł ich rycerz, opierając się plecami o najbliższy wóz.

– Myślę, że to ty raczej okazałeś się głupcem – odparł brodaty Cygan.

Naparli na niego gromada, lecz rozpedził ich zamaszystym łukiem swej klingi. Kolczuga ochroniła go przed sztyletami ciśniętymi w jego pierś. Odwrócił się i ruszył szybko obok wozów w stronę lasu. Gdzie się podziała jego ciężka zbroja? – zaczął się nagle zastanawiać. Gdzie był jego kirys, nagolenniki i hełm? Ponownie czuł, że są gdzieś blisko, lecz nie chciały do niego powrócić. To już drugi raz zmuszony jest walczyć bez nich. Nigdy wcześniej tego nie musiał robić. Zbroja zawsze była na miejscu, kiedy jej potrzebował. Dlaczego teraz jej nie było?

Cyganie znowu naparli na niego, tym razem został jednak zmuszony do obrony. Dwóch z nich powalił mieczem, trzeciego zranił, nie otrzymując żadnych ran. Usłyszał, jak woła go gargulec. Kiedy się obejrzał, zobaczył, że kobieta stoi na skraju lasu i obserwuje go.

Zalała go wściekłość z powodu głupoty Cyganów rzecznych. Przygotował się do następnego ataku.

Atak już nie nastąpił. Znajome, złowrogie zielone światło uniosło się znad rzeki niebotyczną zasłoną i zaczęło posuwać się w stronę obozu. Cyganie obrócili się w tamtą stronę i podnieśli wrzask, momentalnie je rozpoznając. Haze wysunęła się szerokim łukiem z mroku niczym potworny, syczący deszcz i zaczęła pożerać krajobraz. Korzystając z zamieszania i przerażenia Cyganów, rycerz odwrócił się i pobiegł w stronę lasu. Znalazł się w nim w chwili, gdy Haze dotarła do obozu. Pochłaniała wozy, zwierzęta i ludzi w takim tempie, że zniknęli w przeciągu paru sekund. Nawet krzyki nie trwały dłużej niż chwilę. Nikt nie zdołał się uratować.

Wkrótce było po wszystkim. Haze posuwała się tak długo, aż obóz został strawiony, po czym zawróciła. Tak jak w wypadku miasta wycofywała się przez wypaloną, gołą ziemię i zniknęła z widoku. Podobnie jak po ludziach z miasta, po Cyganach rzecznych nie pozostało ani śladu.

Ogołocony teren parował w porannym świetle. Rycerz patrzył na to spomiędzy drzew, nie mogąc się opanować. Z jednej jego strony stała kobieta, z drugiej gargulec. Nikt nic nie mówił. Rycerz zastanawiał się, jak to się stało, dlaczego Haze przyszła ponownie, jak się mogło stać, że pochłoneła jedynie obóz, a ich zostawiła nietkniętych. Co ją sprowadziło? Co ją powstrzymało od zniszczenia także ich? W tym wszystkim coś mu nie pasowało. W tym, co się tutaj wydarzyło, był jakiś element surrealistyczny – to, że odkryli bezimienne miasto, że napotkali Cyganów rzecznych, że w końcu nadciągnęła Haze. Rzeczywistość charakteryzowała się jakimś zakrzywieniem, któremu brakowało tożsamości, lecz na pewno nie formy. Choć nie znał jej źródła, miał wyraźną świadomość jej istnienia.

Gdzieś na obrzeżach świadomości zaczęło tworzyć się nieprzyjemne podejrzenie, tak straszliwe, że nie mógł pozwolić mu dojść do głosu. Skrył je głęboko w sobie z rozpaczą i niedowierzaniem .

– Cóż to za monstrualna rzecz — wyszeptała kobieta, wysuwając się krok do przodu, aby popatrzeć przez rzekę. – Czy podaży naszym śladem jak psy na polowaniu?

– Owszem – mruknął łagodnie gargulec. – Czuję jej głód.

Rycerz również go wyczuwał. I chociaż nie chciał tego powiedzieć, chociaż nie był w stanie wyrzucić z siebie tych słów, to wiedział, że jej głód nie został jeszcze zaspokojony.

DARMOWA PRZYJEMNOŚĆ

Dla postronnego widza z pewnością stanowią dziwny widok, pomyślał Abernathy, gdy zbliżali się do bram Rhyndweir, fortecy lorda Kallendbora, najpotężniejszego władcy Greenswardu. Długi, kościsty i nieporadny mężczyzna z ptakiem na ramieniu, niewielkie, żylaste zwierzę przypominające nieco zwariowaną małpę oraz pies o ludzkich rękach z okularami na nosie – Horris Kew, Biggar, Bunion i on sam. Posuwali się ociężale drogą przez miasto otaczające fortecę, niosąc (szczerze mówiąc, to Bunion niósł) sztandar aktualnie panującego i wciąż nieobecnego króla Landover. Za nimi szły gęsiego konie z pewnością wdzięczne, że pozbyły się jeźdźców, którzy i tak nie przejawiali zbytnej troski o zwierzęta. Razem z nimi mozolił się muł obładowany skrzyniami pełnymi kryształów marzeń. Dzień był upalny i duszny, powietrze nieruchome i wszyscy marzyli o kąpieli i zimnym napoju.

Ludzie z miasta wylegli, by przyglądać się ich wejściu, stojąc w cieniu drzwi i portyków, trącając się łokciami i szepcząc między sobą. Być może wiedzą, pomyślał Abernathy. Może do tej pory już wszyscy wiedzą.

Wyszli ze Sterling Silver trzy dni temu jako emisariusze króla, wysłani, by między wszystkich mieszkańców Greenswardu rozdzielić kryształy marzeń. Decyzję o udostępnieniu kryształów podjęto z pewną rezerwą. Questor Thews czynił coraz bardziej rozpaczliwe wysiłki, aby tylko ukryć przed światem nieobecność króla. Coraz trudniej

było mu znajdować wymówki, dlaczego monarcha nie chce się z nikim spotkać osobiście, każąc swojemu głównemu doradcy przyjmować wszystkie delegacje. Potrzebowali czegoś, co pozwoliłoby im odwrócić uwagę najbardziej natarczywych petentów. Jeśli już nic nie pomoże, to może kryształ to sprawią. Należało je rozdzielić między ludzi, pozwolić, aby cieszyli się nimi przez jakiś czas, i żywić nadzieję, że ta nowość nie znudzi się zbyt szybko.

Questor, oczywiście, nie mógł sam pójść, więc było rzeczą logiczną, że w jego miejsce należy wysłać Abernathy'ego, mimo obiekcji, które ten żywił wobec całego pomysłu. Obok Horrisa Kewa i jego ptaka musiał być ktoś, kto reprezentowałby króla. Ktoś, kto miałby oko na Horrisa, a może także na ptaka. Abernathy został zatem niejako siłą wcielony do służby, a Bunion wysłany do ochrony i pomocy. Zaproponowano im eskortę żołnierzy, lecz nikt jej sobie nie życzył, również Abernathy, który wolał, aby przedsięwzięcie nie budziło podejrzeń. Składanie wizyty władcom Greenswardu z eskortą natychmiast zwracałoby uwagę, co teraz nie byłoby rzeczą pożądaną, stąd też Abernathy zdecydował, że eskorta nie jest konieczna.

Poza tym był to czas pokoju. Jakie kłopoty mogły spotkać kogoś, przed kim powiewa sztandar królewski?

Wyruszyli zatem z zamku, maszerując na północny wschód przez lasy i wzgórza w kierunku pastwisk Greenswardu. Każdy napotkany po drodze człowiek otrzymywał jeden kryształ. Większość przyjmowała je z zadowoleniem, zachwyceni właściwościami klejnotu. Znalazł się jeden i drugi, bardziej gburowaty od swoich kolegów, który nie chciał nawet myśleć o takim nonsensie. Między Sterling Silver a zamkami władców Greenswardu było sporo wiosek i siół, rozdano zatem setki kryształów. Wieść zaczęła się rozprzestrzeniać i już wkrótce napotykali ludzi czekających na nich przy drogach. Coraz więcej ludzi odchodziło uszczęśliwionych. Na razie wszystko szło dobrze.

Abernathy musiał oddać sprawiedliwość Horrisoni Kewowi. Magik pilnował, aby każda obdarowana kryształem osoba wiedziała, że prezent pochodzi od króla i że on sam działa jako jego przedstawiciel. Nie próbował przypisywać sobie żadnych zasług, nie mówił niczego, co mogłoby go postawić w lepszym świetle. Tak bardzo przestał przypominać tego Horrisa, którego Abernathy pamiętał sprzed lat, że skryba znowu się zrobił podejrzliwy.

Cała ta sprawa zmusiła wiernego pisarza do życia w kompromisie. W równym stopniu, jak nie ufał Horrisoni i jego planom, rozpaczliwie przywiązał się do własnego kryształu. Kiedy był w stanie się przyznać do tego przed samym sobą, a zdarzało się to coraz rzadziej, martwił się, że owo przywiązanie zaczyna graniczyć z nałogiem. Odnosił wrażenie, że od pierwszego momentu, kiedy zajrzał w cudowne głębie kryształu, został schwytyany w jego sidła. Co właściwie tam widział, za każdym razem, gdy do niego zaglądał? Widział siebie samego przywróconego do postaci, którą kiedyś był. Był człowiekiem; więzienie, jakie stanowiło ciało psa, zniknęło na zawsze. Było to najgłębsze, najśłodsze życzenie jego życia, marzenie, dla którego żył, i kiedy zaglądał w głąb światła zamkniętego między ściankami kryształu marzeń, marzenie urzeczywistniało się. Mógł stać i patrzeć tak długo, jak tylko chciał – każdego dnia coraz dłużej. Nie tylko widział,

ale też czuł, że jest człowiekiem; potrafił sobie przypomnieć, jak to było, zanim Questor Thews wypowiedział nieszczęsne zaklęcie i zgotował mu obecny los.

Była to niebezpiecznie przyjemna rozrywka, a Abernathy'emu ciągle było jej mało. Wprawdzie wyglądać tak samo jak kiedyś, nie równa się byciu sobą, ale w tej chwili na nic więcej nie mógł liczyć. Zawsze czuł przy tym ogromną radość. I zawdzięczał to Horrisowi Kewowi.

Nawet teraz, kiedy zbliżali się do niebotycznej bramy Rhyndweir i myślał z utęsknieniem o kąpieli i chłodnym piwie, które mogły na niego czekać, to czekał również na moment, gdy w swoim pokoju znowu zajrzy w przepastne głębiny kryształu.

Otworzono bramy na ich przyjęcie. Przeszli przez nie, mijając kilku wartowników. Czekał już na nich młodszy urzędnik dworski, aby ich powitać i zaprowadzić do środka. Nie nastąpiło powitalne odtrąbienie przybycia gości, nikt nie prezentował broni i nie wyszedł im na spotkanie Kallendbor z orszakiem, co powinno było, gdyby przybył król, pomyślał Abernathy. Posłowie mogli liczyć na minimalny szacunek i jeszcze mniejsze zainteresowanie. Kallendbor nigdy nie lubił Holidaya, ale ostatnio coraz bardziej otwarcie okazywał mu lekceważenie. Wspomnienie tryumfów i osiągnięć Holidaya zdawało się zacierać. Ben przytarł Kallendborowi nosa przy niejednej okazji, a także dokonał tego, czego władcy Green-swardu nigdy nie byli w stanie osiągnąć – pokonał Żelaznego Marka, przepędził demony z powrotem do Abaddonu i zjednoczył królestwo. Pokonywał każdego przeciwnika i przewyciężał każdą trudność. Kallendbor pogodził się z tym, ale to go nie cieszyło. *Teraz*, jak się zdawało, nawet godzenie się na to stało pod znakiem zapytania.

Kallendbor przywitał ich w drzwiach pałacu, oślepiając ich blaskiem karmazynowych szat i klejnotów, stojąc w towarzystwie doradców i faworytów. Był to wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna o włosach i brodzie tak rudych, że przy świetle słonecznym zdawały się złote. Dłonie i ręce o stwardniałej skórze były pokryte bitewnymi bliznami. Stał, czekając, aż podejda, z głową arogancko odchyłoną do tyłu, sprawiał wrażenie, jakby patrzył na nich z góry, jakby poświęcał im swój czas i uwagę z czystej wielkoduszności. Abernathy nie przejmował się jego lekceważącym stosunkiem; skryba był do tego przyzwyczajony. Niemniej nie mógł przejść obojętnie nad jego umyślną bezczelnością.

– Witaj, lordzie Kallendborze! – powitał go Abernathy pierwszy i nieznacznie schylił głowę.

– Witaj, skrybo! – odpowiedział tamten z jeszcze mniejszym skinieniem głowy.

– Ajajaj! Witaj potężny panie! – powitał skrzekliwym głosem Biggar.

Kallendbor zmrużył oczy.

– Cóż my tutaj mamy? Tresowanego ptaka? Świetnie. Czy to może prezent dla mnie?
– Nagle się rozpromienił. – Oczywiście, że tak! Dobry wybór, Abernathy.

Nadarzała się teraz okazja, za którą Abernathy oddałby prawie wszystko, można było się pozbyć Biggara. Abernathy od pierwszego dnia nie lubił ptaka, a ptak nie lubił jego i obaj o tym wiedzieli. W Biggarze było coś takiego, co nie dawało Abernathy'emu spokoju.

Nie potrafił tego dokładnie zdefiniować, ale był prawie pewien, że coś musi być. Nie chciał zabierać ptaka na tę wyprawę; stanowczo się temu przeciwstawiał. Horris Kew nalegał jednak, aby ptak im towarzyszył i w końcu – w dużej mierze ze względu na to, że kryształ były darem magika i stanowiły główny powód podróży – ptak z nimi pojechał.

Abernathy otworzył usta, aby powiedzieć Kallendborowi, że tak, rzeczywiście ptak należy już do niego, lecz niestety spóźnił się.

– Panie mój, wybac mi, że to nędzne stworzenie odciąga twoją uwagę od celu naszych odwiedzin – wtrącił szybko Horris Kew. – Ten ptak, niestety, nie jest darem. Jest moim towarzyszem, moim jedynym skarbem na tym świecie, pamiątką po moim poprzednim życiu i ludziach, którzy znaczyli dla mnie tak wiele, którzy dali mi to wszystko, co mam i uczynili mnie tym, kim jestem. Zrozumiesz to, jestem pewien – mówił bardzo szybko. – Ptak, prawdę mówiąc, nie jest zbyt miły, ma napady swoich humorów i skłonność do dziobania. Nie byłbyś z niego zadowolony.

Jakby dla podkreślenia tych słów, Biggar przechylił się i dziobnął Horrisa z całych sił w ucho.

– Aj! Sam widzisz! – Horris uderzył z rozmachem Biggara, który odleciał kilka metrów, zanim ponownie usiadł na ramieniu tamtego, zachowując czujność przed następnymi ciosami.

– Dlaczego mi nie ofiarujesz tego ptaka, skoro takie jest moje życzenie? – zapytał Kallendbor, marszcząc brwi. – Chcesz powiedzieć, że nie mogę dostać tego ptaka, jeśli mi się on podoba?

Abernathy sądził, że w tym momencie kończy się ich program dystrybucji kryształów, że równie dobrze mogliby w tej chwili odwrócić się i od razu pójść do domu – z wyjątkiem Biggara, którego przeznaczeniem, jak się wydawało, była zmiana właściciela.

– Panie mój, ptak jest twój, jeśli takie twoje życzenie – oświadczył z miejsca Horris Kew. Biggar skrzeknął jeszcze raz. – Powinieneś jednak wiedzieć, że on niewiele mówi, a to, co powiedział przed chwilą, „Witaj potężny panie”, jest zwrotem, którego nauczył się od króla. Innymi słowy, król nauczył go się zwracać w ten sposób do siebie.

Abernathy wybałuszył oczy. Zapadła długa chwila ciszy.

Kallendbor poczerwieniał i jeszcze bardziej się wyprężył. Wyglądał, jakby miał zaraz eksplodować. Po chwili niebezpieczny kolor zaczął z niego powoli spływać.

– To nie ma znaczenia. Chyba go jednak nie chcę – powiedział od niechcenia. – Wystarczy samo to, że mógłbym go wziąć. Niech Holiday go sobie zatrzyma. – Zaczerpnął powietrza dla wyrównania oddechu. – Dobrze. Skoro już się uwolniliśmy od sprawy tego ptaka, to powiedzcie, co was sprowadza?

– Panie mój – powiedział Horris Kew, znowu uprzedzając Abernathy'ego – twoje przypuszczenia były słuszne. Rzeczywiście przynosimy ci prezent, coś o wiele bardziej intrygującego i pożytecznego niż ptak. Nazywamy to kryształem marzeń.

Kallendbor znowu okazał zainteresowanie.

– Pokażcie mi go.

Tym razem Abernathy był szybszy.

– Z przyjemnością ci pokażemy, panie mój, ale może wewnątrz, gdzie jest chłodniej i gdzie wskazano by nam nasze komnaty, które z pewnością kazałeś przygotować dla wysłanników króla.

Kallendbor uśmiechnął się, co wcale nie stanowiło miłego widoku.

– Oczywiście, musisz być wykończony. Jazda konno, jak sędzę, jest dla ciebie rzeczą trudną. Chodźcie tędy.

Abernathy nie przeoczył wymierzonej w niego ironii, ale zignorował ją i podążył wraz z małą grupą za Kallendborem i jego świtą do wnętrza wielkiego holu. Szklanice napełniono piwem z beczek, które trzymano w chłodnym nurcie Bairn i Cosselbum, rzek opływających Rhyndweir, poczyniono przygotowania do kąpieli oraz zawiadomiono, że pokoje dla gości są już gotowe. Kallendbor przeprowadził ich do miejsca, gdzie kilkoro drzwi otwierało się na plac treningowy i kazał im usiąść na krzesłach ustawionych po okręgu. Większość jego świty stała zgromadzona za plecami swego pana.

– A zatem, cóż to za prezent? – zapytał na nowo Kallendbor.

– Oto on – odezwał się Horris Kew i wyciągnął ze swego ubrania jeden z kryształów marzeń.

Kallendbor przyjął kryształ i przyglądał mu się ze zmarszczonym czołem.

– Nie wygląda na zbyt cenny. Jaka jest jego wartość? Chwileczkę! – Nachylił się, patrząc teraz na Abernathy'ego. Wskazał na Horrisa Kewa. – Kto to jest?

– Nazywa się Horris Kew – odpowiedział skryba, powstrzymując się przed dodaniem czegoś jeszcze. – Teraz jest na służbie króla. Jest odkrywcą tych kryształów.

– T y c h kryształów? – Kallendbor zwrócił się do Horrisa. – Czyżby było ich więcej niż jeden? Ile ich macie?

– Tysiące – odpowiedział magik, uśmiechając się. – Każdy jednak jest wyjątkowy. Potrzymaj go, panie, przed sobą, tak aby do jego wnętrza wpadło światło i zajrzyj do niego.

Kallendbor przez chwilę badał kamień z nieufnością, a następnie zrobił tak, jak mu powiedziano. Uniósł kryształ, aby wpadła weń smuga światła, potem nachylił się i zajrzał w jego głębinę. Pozostał w tej pozycji, aż kryształ, jak im się zdawało, rozżarzył się do białości, wtedy chwycił ciężko powietrze i odrzucił ciało do tyłu, nie odrywając jednak oczu od klejnotu. Nagle rozwarł usta, nachylając się jeszcze raz z jasnym błyskiem w oczach.

– Nie, czyżby naprawdę? – wyszeptał. – Czy to możliwe? – Potem zabrał kryształ z widoku, zamykając dostęp światła i chowając to coś, co światło mu pokazało. – Wynoście się wszyscy! – rozkazał tym, którzy zaglądali mu przez ramię z wyczekiwaniem. – Natychmiast!

Zniknęli zadziwiająco szybko, a kiedy już ich nie było, Kallendbor znowu zwrócił się do Horrisa:

– Co to jest? – powiedział przez zaciśnięte zęby. – Jaką moc one mają?

Horris zdawał się nie rozumieć.

– Cóż, one... one dają obrazy wielu rzeczy, mój panie – widzenia specyficzne dla każdego człowieka. Są rozrywką, niczym innym.

Kallendbor pokręcił głową.

– Tak, ale... czy one pokazują może przyszłość? Powiedz mi.

– Cóż, być może – ciągnął Horris Kew, bo przecież nie był głupcem. – Niektórym, oczywiście nie wszystkim.

I nagle Abernathy zauważył, że sam się zastanawia, czy czasem tak nie jest. Wydawało się, że sam Horris nie zna prawdy, ale jeśli przypuszczenie Kallendbora jest prawdziwe, to czy to znaczyło, że może się stać tak, jak pokazują widzenia? Czy to znaczyło, że Abernathy mógł widzieć siebie nie jako tego, kim był, ale tego, którym znowu będzie?

– Przyszłość – wyszeptał Kallendbor, zatopiony w myślach. – Rzeczywiście, może tak być.

Cokolwiek zobaczył, z pewnością był zadowolony, pomyślał Abernathy, niezbyt zainteresowany tym, co to mogło być, zbyt zajęty rozważaniami nad użyciem własnego kryształu. Poczul ścisk w gardle od emocji, które wezbrały w nim na myśl o tym, że znowu może zostać człowiekiem. Gdyby tylko mogło się to okazać prawdą!

– Ile macie takich kryształów? – zapytał nagle Kallendbor. Horris Kew przełknął ślinę, nie będąc pewnym, do czego tamten zmierza.

– Tak jak powiedziałem, mój panie, tysiące.

– Tysiące. Ile one kosztują?

– Nic, mój panie. Są za darmo.

Zdawało się, że Kallendbor czymś się zakrztusił.

– Czy dużo już rozdaliście?

– Tak, mój panie, sporo. W tym celu przyszliśmy do Greenswardu, żeby rozdać kryształy ludziom, aby mogli się weselić tym, co tam zobaczą, po zakończonym dniu pracy. Oczywiście tobie, mój panie – dodał szybko, nie tracąc okazji, gdy tylko ją dostrzegł – mogą one dawać coś więcej.

– Tak, coś więcej. – Kallendbor myślał. – Mam pomysł. Pozwól, abym ja rozdał kryształy, które chcieliście dać innym władcom Greenswardu. Rozdzielę je, oczywiście, w imieniu króla. Zaoszczędzi wam to odwiedzania każdej fortecy i pozwoli się spotkać z prostymi ludźmi.

To nie była prośba. Horris Kew spojrział na Abernathy'ego, szukając pomocy.

Abernathy domyślał się zamiarów Kallendbora. Nie odda kryształów marzeń innym władcom za darmo; drogo sobie za nie policzy. Prawdopodobnie powie im, że te kryształy, w odróżnieniu od tych rozdanych za darmo pospólstwu, przepowiadają przyszłość. Lecz szczerze mówiąc, Abernathy'ego wcale to nie obchodziło. Wieści i tak się rozejdą wystarczająco szybko. Niech Kallendbor postępuje ze swoimi sąsiadami, jak chce.

Abernathy wzruszył ramionami.

– Oczywiście, mój panie – odpowiedział. – Jak sobie życzysz.

Kallendbor podniósł się gwałtownie.

– Wasze pokoje są gotowe. Umyjcie się i odpoczywajcie aż do kolacji. Wtedy porozmawiamy o tym dłużej. – Odwrócił się od nich. Z trudem się powstrzymywał, żeby nie zajrzeć jeszcze raz w kryształ. – Aha. Gdyby wam czegoś brakowało, proście o to służbę.

Skierował się do drzwi i wyszedł jak wyrzucony z kata-pulty.

Gdy znalazł się sam w swojej komnacie, Abernathy wykapał się, ubrał, wypił jeszcze jeden kufel zimnego piwa i wyciągnął, się na łóżku pokrytym narzutą. Wyjął kryształ z miejsca, w którym go ukrywał, podniósł do światła i spojrzał w jego wnętrze. Był już wyćwiczony w korzystaniu z niego do takiego stopnia, że obrazy pojawiły się natychmiast. Patrzył, jak nabiera kształtów jego dawna postać, młody mężczyzna o szczerym, zadowolonym uśmiechu i spojrzeniu pełnym nadziei, dość przystojny, jak na człowieka wiecznie pogrążonego w książkach, a nawet atrakcyjny. Bawił się z dziećmi, czemu przyglądała się kobieta, ładna, choć nieśmiała. Abernathy poczuł ścisk w gardle. W jego życiu nigdy wcześniej nie było kobiety – ani żony, ani kochanki. Może to przyszłość? Czy to możliwe, aby widział to, co ma dopiero nastąpić?

Nagle zacisnął dłoń na kryształach i skupił się na tym pomyśle. Przyszłość. Wszystko jest możliwe, czyż nie? Czegóż by nie dał, żeby tak było? Znał odpowiedź, zanim zadał pytanie. Spojrzał na sufit, na pęknięcia w starym tynku, na wyblakłe kolory oddające niegdyś ze szczegółami obraz jakiegoś korowodu. Wyglądało to tak, jak jego przeszłość – kontury wydarzeń zatarte przez czas. Tak wiele z tego, co kiedyś było, zostało zagubione w ciągu minionych lat i w wyniku zaistniałych zmian. Chciał niewiele odzyskać. Tylko istotę tego, kim był. Jedynie pełnię tego, kim był kiedyś.

Wtem pomyślał o Benie Holidayu, któremu tak bardzo zależało, aby swoją przeszłość zostawić za sobą. Król nie miał wielu wspomnień, jakie podtrzymywałyby go na duchu, a zmiany, których szukał, dotyczyły nie stylu życia, lecz samego życia. Z Abernathym rzecz się miała trochę inaczej, ale można było dostrzec podobieństwa. Zastanawiał się, gdzie był Holiday, co się z nim stało. Po królu nie pozostał żaden ślad, nigdzie żadnego znaku, choć poszukiwania były długie, dokładne i wciąż były kontynuowane. Niepokojące było to, że zniknął tak kompletnie; jeśli zniknął na dobre, to nie wróżyło to niczego dobrego. Kolejny król mógł wprowadzić zmiany, które niekoniecznie byłyby mile widziane. Kolejny król mógł nie posiadać siły charakteru i determinacji, którymi był obdarzony Holiday. Przy innym królu magia mogła przestać działać.

Dopił resztkę swego ciemnego piwa, siedząc przygnębiony na krawędzi łóżka. Nic nie

wychodziło, od kiedy Holiday zniknął. Wydawało się, że wszystko jest porozrywane i nie pasuje do pozostałych części. Żałował, że nie może nic zrobić, aby to zmienić.

Bunion udał się na rekonesans po okolicy z nadzieją, że może dowie się czegoś o królu. Być może znajdzie coś nowego. Być może ich wędrówka po Greenswardzie zaowocuje czymś dobrym. Być może.

Abernathy położył się jeszcze raz na łóżku i wystawił kryształ do światła.

Kallendbor nie pojawił się na kolacji. Nie było również Buniona. Horris Kew i Abernathy sami zasiedli do posiłku, a Biggar obserwował ich z oparcia krzesła magika niczym złowrogi symbol przeznaczenia. Abernathy próbował nie zwracać na niego uwagi, lecz było to trudne, gdyż ptak siedział dokładnie po drugiej stronie stołu, gapiąc się na niego wrogo ze swojej grędy. Abernathy nie mógł wytrzymać. W pewnej chwili, gdy Horris nie patrzył, obnażył swoje zęby i przeszył ptaka piorunującym spojrzeniem.

Biggar powiedział później o tym Horrisowi, ale ten nie był zainteresowany. Byli z powrotem w swoim pokoju, siedząc prawie po ciemku przy zaledwie jednej świeczce, palącej się na nocnym stoliku. Horris usiadł na łóżku, a Biggar przycupnął na gzymsie za oknem.

– Warknął na mnie, mówię ci! – upierał się ptak. – Właściwie to kłapnął na mnie zębami!

Horris rozglądał się niespokojnie po pokoju. Tik w rogu oka się nasilał.

– Warknął na ciebie? Niczego nie słyszałem.

– No dobrze, zgoda, może i nie warknął. – Biggar nie miał ochoty dzielić włosa na czworo. – Pokazał jednak wszystkie swoje wielkie kły i nie można mieć wątpliwości co do jego intencji! Horrisie, słuchasz mnie? Przestań się rozglądać dokoła!

Horris Kew rzeczywiście badał pokój cal po calu. Zatrzymał się tylko na tyle, aby rzucić Biggarowi pośpieszne, pełne podejrzliwości spojrzenie. Oko nie przestawało drgać. Ptak przekrzywił głowę.

– Dobrze się czujesz, Horris? Horris skinął głową bez przekonania.

– Wciąż coś widzę... – Przeciagnał ręką po pokoju w nieokreślony sposób. Wzruszył ramionami. – Czasem w cieniu drzew lub budynków, czasem nocą w ciemnych zaułkach wydaje mi się, że to widzę. Czuję, jakbym był obserwowany. – Wziął głęboki oddech. – Myślę, że to może być tutaj.

– Gorse? – westchnął Biggar. – Nie bądź śmieszny. Skąd miałby się tu wziąć? Nigdy nie opuszcza jaskini. Wyobrażasz sobie różne rzeczy.

Horris objął swoje chude ciało, jakby zrobiło mu się zimno. Nos podobny do lemiesza wysunął się do przodu.

– Nie przestaję myśleć o Holidayu, wiedźmie i smoku i o tym, co on im zrobił. Wciąż się martwię tym, że może miałeś rację, iż z nami robi to samo.

– Nie możesz powiedzieć, że cię nie ostrzegąłem. – Biggar miał ogromną satysfakcję,

że tamten przyznał mu rację. – Z drugiej strony sprawa z kryształami zaszła za daleko, aby się tym teraz martwić.

Horris podniósł się i zaczął chodzić niespokojnie po pokoju, sprawdzając kąty i puste miejsca za meblami. Biggar przekrzywił głowę z białym grzebieniem. Strata czasu, pomyślał. Jeśli Gorse będzie chciał pozostać niewidzialny, to tak będzie. Nie jest przecież byle kim.

– Może byś usiadł i odprężył się? – powiedział ze złością. Horris zaczął go denerwować.

Magik podszedł do łóżka i ponownie usiadł.

– Czy wiesz, co Gorse powiedział, kiedy się zapytałem, co się stanie z Holidayem i pozostałymi w kabałowej szkatule?

Biggar nie pamiętał i nic go to nie obchodziło. Zapytał jednak:

– Co takiego? Powiedz mi, Horrisie.

– Powiedział, że zostaną wplątani w sidła czarodziejskich mgieł. Powiedział, że pod wpływem zaklęcia utraty pamięci wyruszą w drogę, która nie będzie miała końca. Nie będą wiedzieć, kim byli. Nie będą pamiętać, skąd przybyli. Będą odcięci od reszty świata w mgłach, a mgły będą się bawiły nimi, aż doprowadzą ich do szaleństwa. – Horris wzdrygnął się. – Gorse powiedział, że zanim do tego dojdzie, upłynie bardzo dużo czasu.

– To nie nasze zmartwienie – prychnął pogardliwie Biggar. – Mamy dość swoich spraw na głowie.

– Wiem, wiem. – Coś zaniepokoiło Horrisa i odwrócił się w stronę tonącej w półmroku części komnaty, jakby coś usłyszał. – Ja po prostu nie mogę przestać o tym myśleć.

Biggara przepełniało to odrazą.

– Cóż, znajdź lepiej sposób, jak przestać o tym myśleć. Możemy sporo stracić, jeśli ten plan rozdawania kryształów nie przebiegnie po myśli Gorse'a. Z drugiej strony możemy dużo zyskać, jeśli się powiedzie. Dla Gorse'a Landover jest tylko etapem w drodze do osiągnięcia czegoś innego, lecz dla nas jest ono kopalnią złota. Jeśli rzetelnie podejmiemy do tego interesu, to możemy wyciągnąć z niego więcej niż ze Skat Mandu.

– Wiem, wiem.

– Przestań to powtarzać. Nie cierpię, kiedy jesteś taki uniżony.

Horris podniósł się na nogi, trzęsąc się ze złości.

– Zamknij się, Biggar! Będę uniżony, jeśli będę miał na to ochotę! – Załamał ręce i przebiegł wzrokiem po pokoju. – Wiem, co robić i zrobię to! Robię na razie wszystko, co trzeba, nieprawdaż? Ale nie lubię, jak ktoś mnie obserwuje! Nie podoba mi się, jeśli ktoś jest, a ja go nie widzę!

Biggar splunął.

– Horris, mówię ci ostatni raz, że Gorse'a tutaj nie ma! Horris zacisnął pięści, zrozpaczony.

– A jeśli jest?

– Właśnie, a jeśli ja jestem – odezwał się Gorse z mrocznych głębin szafy na ubrania. Horris z miejsca stracił przytomność.

Kiedy już zakończył z nimi, kiedy przestraszył ich obu tak potężnie, że był pewien, iż zrobią wszystko dokładnie tak, jak tego chciał i nie przekroczą ani o cal wyznaczonych przez niego granic, Gorse zszedł po murze zewnętrznym zamku jak pająk. Gdy się znalazł na ziemi, zmienił się w człowieka i wyszedł przez bramę do miasta. Z większą łatwością poruszał się teraz, bo im dłużej pozostawał wolny od czarodziejskich mgieł i kabałowej szkatuły, tym silniejsza była jego magia. Był w stanie przybierać różne formy. Mógł być czymkolwiek bądź kimkolwiek tylko chciał.

Uśmiechnął się w duchu na myśl o swoich możliwościach.

Horris i ptak byli idiotami, ale użytecznymi idiotami i Gorse zamierzał zatrzymać ich, dopóki nie ukończy swego planu zniszczenia Landover. Potem będzie mógł się ich pozbyć.

Nie spodziewali się, że uda się razem z nimi w drogę. Nie mogli pojąć, jak zdołał tego dokonać. Cóż, jeszcze nie jedna niespodzianka czekała na nich podczas tej wyprawy. Dobrze było wytrącić ich z równowagi i trzymać w małej niepewności. Mogli mówić o nim, co chcieli, o ile w tym samym czasie dręczyły ich z tego powodu niepokoje. Trochę strachu nigdy nie zaszkodzi.

Znalazłszy się poza murami zamku i miasta, Gorse kolejny raz zmienił kształt i ruszył w kierunku ciemniejszego pasma lasu, stając się czymś niewiele wyraźniejszym od cienia ślizgającego się po powierzchni ziemi. Martwili się o Holidaya, wiedźmę i smoka, hm? Powinni się martwić. To samo z łatwością może się przytrafić również im. To istotnie może być tak okropne, jak to sobie wyobrażają. Troje jego jeńców z kabałowej szkatuły już pewnie do tej pory zaczęło marzyć o wydostaniu się z tego koszmarnego świata. Muszą się zastanawiać, co do tego jest potrzebne. Niestety, nigdy się tego nie dowiedzą.

Dotarł do lasu i skupił swoją magię, aby przywołać demony Abaddonu. Czas na kolejną konferencję. Wkrótce przybędą do Landover. Gorse chciał, aby się przygotowali i czekali w pogotowiu. Z jego dłoni trysnęły na ziemię strugi ognia.

Prawie natychmiast nadeszła odpowiedź w postaci grzmotu niezadowolenia.

GRISTLISY

Przez pozostałą część dnia i cały następny rycerz, kobieta i gargulec wędrowali w dół rzeki. Miejscami rzeka była tak szeroka, że jej drugi brzeg znikał całkowicie we mgle, a płaska, szara tafla rozpościerała się niczym gładka kamienna powierzchnia. Ani jedna ryba nie wyskoczyła z jej głębin; ani jeden ptak nie przemknął nad jej lustrem. Co jakiś czas mijali jakieś jej zakole, lecz rzeka płynęła wciąż dalej, niezmienna i nieskończona.

Nie napotkali innych ludzi. Nie widzieli żadnych zwierząt, a niewielkie poruszenia

zwracające ich uwagę pochodziły z głębi lasu i w mgnieniu oka znikaly.

Rycerz często badał okolicę w poszukiwaniu Haze, lecz nie znajdował żadnego jej śladu. Długo i ciężko zastanawiał się nad jej pochodzeniem, gdyż był pewny, że w jakiś sposób jest ona związana z nimi. Był w niej, jak się wyraził gargulec, jakiś głód. Śledziła ich z jakiegoś powodu, a powód ten był w jakiś sposób związany z ich uwięzieniem w pułapce labiryntu. Nie widział ani nie słyszał Haze, lecz czuł jej obecność. Była tam zawsze, tuż poza zasięgiem wzroku, i czekała. Czekala, ale na co?

Kobieta jednego wieczoru, po tym, gdy odbił ją Cyganom, zapytała rycerza, dlaczego po nią wrócił. Ostatni nikły promyk światła został wessany przez ciemności. Siedzieli w mroku i patrzyli, jak mgła wypełza spomiędzy drzew i kieruje się ku rzece. Byli sami, gargulec gdzieś odszedł, co często robił nocą.

– Mogłeś mnie zostawić i iść dalej – zauważyła głosem chłodnym, lecz badawczym. – Myślałam, że tak zrobiłeś.

– Nie mogłem tego zrobić – odpowiedział, nie patrząc na nią.

– Dlaczego? Dlaczego zawracałeś sobie mną głowę? Czy naprawdę jestem tak ważna dla twojego pana, że warto ryzykować dla mnie życie? Czy jestem tak rzadkim skarbem, że wolałbyś umrzeć, niż mnie stracić?

Popatrzył w mrok, nie odpowiadając.

Odgarnęła swoje długie, czarne włosy.

– Jestem twoją własnością, a ty nie pozwoliłbyś nikomu odebrać sobie tego, co posiadasz. To dlatego przyszedłeś po mnie, czyż nie tak?

– Nie należysz do mnie – odrzekł.

– Jestem zatem własnością twego pana. Sprzętem, którego nie odważysz się zgubić w obawie przed urażeniem go.

Mam rację?

Spojrzał na nią. W jej oczach ujrzał szyderstwo i gorycz.

– Powiedz mi coś, moja pani. Co pamiętasz ze swego życia, tego sprzed labiryntu? Ściągnęła usta.

– Dlaczego miałabym ci o tym mówić? Wytrzymał jej spojrzenie, nie odwracając się tym razem od jej skrzących się ze złości oczu.

– Nie pamiętam prawie niczego z tamtego życia. Wiem, że byłem rycerzem na służbie króla. Wiem, że w jego imieniu brałem udział w setkach walk i wszystkie je wygrałem. Wiem, że jesteśmy jakoś związani z sobą, ty i ja, i gargulec również, jak sądzę. Coś mi się przytrafiło, co sprawiło, że znalazłem się w tym miejscu i w tym czasie, ale nie mogę sobie przypomnieć, co to było. Jest tak, jakbym został okradziony z całego mego życia. – Przerwał. – Męczy mnie to, że nie odpowiadam na twoje pytania, a także to, że nie znam na nie odpowiedzi. Nie znam imienia pana, któremu służę. Nie znam nawet mego własnego imienia. Nie wiem, skąd przyszedłem ani dokąd szedłem. Przyszedłem po ciebie

nie z lojalności do pana, którego nie pamiętam. Również nie po to, żeby wypełnić zobowiązanie, którego nie mogę sobie przypomnieć. Chyba jednak dlatego, że jesteś jedyną rzeczą z poprzedniego życia, której mogę się ucześcić. Jeśli cię stracę, jeśli cię oddam, nic mi nie pozostanie.

Wpatrywała się w niego, a złość i gorycz w jej oczach zaczynały tracić na wyrazistości. W ich miejsce pojawiło się zrozumienie i odrobina lęku.

– Ja również niczego nie pamiętam – powiedziała miękko, wymawiając słowa, jakby jej sprawiały ból. – Byłam osobą ważną i silną i wiedziałam, co mam robić. Władalam kiedyś magią.

Głos uwiązał jej w gardle i rycerz pomyślał, że zacznie płakać. Nie zaczęła. Odzyskała panowanie nad sobą i ciągnęła dalej.

– Myślę, że to magia wysłała mnie tutaj. Myślę, iż masz rację; zanim to się stało, byliśmy razem, a potem zostaliśmy tutaj zesłani z tego samego powodu. Jednakowoż uważam, że to była twoja wina, iż tak się stało, nie moja.

Skinął głową.

– Może i tak.

– Ciebie za to winie. Ponownie skinął głową.

– Nie obrażam się za to.

– Cieszę się jednak, że tu jesteś i że po mnie przyszedłeś.

Za bardzo był zdziwiony, aby cokolwiek odpowiedzieć.

Następnej nocy, kiedy gargulec zniknął w ciemnościach, a oni siedzieli przygarbieni na brzegu rzeki, znowu się zwróciła do niego. Była owinięta w swój płaszcz, jakby było jej zimno, choć powietrze było ciepłe i wilgotne i nie było wiatru.

– Myślisz, że wydostaniemy się z tego miejsca? – zapytała bardzo cienkim głosem.

– Wydostaniemy – odpowiedział, gdyż wciąż wierzył, że im się to uda.

– Las i rzeka ciągną się bez końca. Nic się nie zmienia. Wciąż otaczają nas mgły. Nie ma ludzi ani zwierząt. Nie ma ptaków. – Pokręciła powoli głową. – Wszędzie jest magia; panuje nad wszystkim w labiryncie. Może nie czujesz tego, ale ja tak. To jest magiczne miejsce i bez pomocy magii nie wydostaniemy się stąd.

– Będzie jakieś miasto lub przełęcz w górach lub...

– Nie – przerwała, unosząc swoją szczupłą, białą ręką, aby go powstrzymać. – Nie. Nie będzie niczego oprócz rzeki, lasu i mgły dokoła. Niczego.

Zbudził się wcześniej następnego ranka po niespokojnej, prawie bezsennej nocy. Słowa kobiety nie dawały mu spokoju, były niczym ponura przepowiednia, której nie można zapomnieć. Wciąż spała w wysokiej trawie, owinięta w swój płaszcz, twarz miała spokojną i pogodną, nie było na niej śladu złości czy rozpacz, ani cienia goryczy czy

lęku. Gdy tak leżała, wydawała się piękna, z czarnymi włosami i o bladej cerze, gładka i doskonała. Typowa dla niej oziębłość przemieniła się w czasie snu w miękkość.

Patrzył na nią i zastanawiał się, kim byli dla siebie, zanim trafili do labiryntu.

Po chwili podniósł się i zszedł nad krawędź rzeki. Spryskał wodą twarz i wytarł się do sucha. Kiedy wstał, obok niego stał gargulec. Zwierzę było bez płaszcza. Na gołych fragmentach jego szczeciniastej skóry połyskiwała rosa, jak na gadzie, który właśnie wynurzył się z głębin rzeki. Z przygarbionego grzbietu zwisały wiotkie, żeber kowane skrzydła. Gdy spoglądał na rzekę, jego brzydka i przygnębiona morda wydawała się zamyślona. Z początku stał i nie odzywał się.

– Gdzie byłeś w nocy? – zagaił rycerz.

Gargulec uśmiechnął się, ukazując swoje żółte zęby.

– W lesie, gdzie mrok jest gęstszy. Śpię tam lepiej niż na otwartym terenie. – Zerknął na rycerza. – Myślałeś, że wyruszyłem na polowanie, aby zjadać stworzonka za wolne i zbyt miękkie, żeby przede mną uciec? Albo że odprawiałem jakieś diaboliczne, krwawe obrzędy?

Rycerz potrząsnął głową.

– Nie, nie myślałem tak. Po prostu zastanawiałem się. Gargulec westchnął.

– Prawda jest taka, że jestem stworzeniem, które ma swoje przyzwyczajenia. Rozmawialiśmy o tym, co pamiętamy albo czego nie pamiętamy. Jestem brzydki i przez większość istot pogardzany; oto moja rzeczywistość. Ponieważ jestem obrzydliwy dla innych, pocieszam się własnym towarzystwem. Wyszukuję takie miejsca, dokąd inni nigdy by nie poszli. Kryję się w ciemności i w prywatności mego własnego towarzystwa. Bardzo mi to służy. – Ponownie odwrócił wzrok. – Kiedyś rzeczywiście zjadałem inne stworzenia. Jadłem to, na co miałem ochotę i podróżowałem, dokąd chciałem. Potrafiłem latać. Wzbijałem się w niebo, niczym nie skrępowany i nic nie potrafiło mnie powstrzymać. – Żółte oczy przeniosły się z powrotem na rozmówcę. – To zostało jednak zmienione i myślę, że jest to jakoś związane z tobą. Rycerz otworzył szeroko oczy.

– Ze mną? Ależ ja ciebie nawet nie pamiętam.

– Dziwne, nieprawdaż? Słyszałem, co mówiła wczoraj kobieta o tym, iż jej zdaniem jest to magiczny labirynt. Słuchałem was ukryty w lesie. Myślę, że ma rację. Myślę, że zostaliśmy przetransportowani w jakiś sposób przez magię i że magia nas więzi. Czujesz to samo?

Rycerz pokręcił głową.

– Nie wiem.

– To się da wyczuć, że labirynt nie jest prawdziwym miejscem – powiedział gargulec. – Brakuje mu drobnych szczegółów, które by go takim czyniły. Jest sztuczny, jak gdyby stworzony był we śnie, gdzie wszystko zdarza się troszeczkę nie tak, jak powinno. Czy czuleś, że tak było z tamtym miastem i Cyganami? Magia mogła zrobić coś takiego i myślę, że tutaj to zrobiła.

– Jeśli tak – powiedział cicho rycerz – to kobieta ma również rację, kiedy mówi, że nie wydostaniemy się stąd. Lecz gargulec pokręcił głową.

– To tylko znaczy to, że skoro magia nas tutaj sprowadziła, to magia musi nas stąd wydostać. To znaczy, że musimy szukać innego sposobu na wydostanie się.

Rycerz znowu odwrócił wzrok. Jaki inny sposób mógł istnieć?– zastanawiał się. Nic mu nie przychodziło do głowy. Oni sami nie władali magią; mieli tylko broń i swój rozum. To chyba nie mogło wystarczyć.

Tego dnia znowu podążali wzdłuż rzeki i znowu nic się nie zmieniło. Rzeka się wiała, las ciągnął wzdłuż niej, a mgły i szarość przenikały wszystko. Jednostajność labiryntu stawała się prawie nie do zniesienia. Rycerz zaczął sobie wyobrażać, iż teren, który teraz przemierzają, to ten sam teren, który przemierzali wcześniej. Wydawało mu się, że rozpoznaje charakterystyczne punkty w terenie i że pewne elementy krajobrazu są mu znajome. Było to, oczywiście, niemożliwe. Szli cały czas przed siebie, nie zwracając ani razu, więc nie mogli iść po własnych śladach. Mimo to uczucie to nie opuszczało go i zaczęło powoli osłabiać zdecydowanie rycerza.

Rozłożyli się obozem w zakolu rzeki, gdzie las podchodził prawie do krawędzi brzegu rzeki, więc mogli skorzystać z jego osłony. Zrobili tak, ponieważ rycerz chciał, aby gargulec mógł spać z nimi i nie musiał odchodzić do lasu. Stworzenie było już upośledzone z powodu swego obrzydliwego wyglądu i było rzeczą okrutną, że musiało każdej nocy szukać ukrycia z dala od innych. W tej wędrówce byli towarzyszami i tylko na siebie mogli liczyć. Muszą zrobić, co w ich mocy, aby ta więź między nimi pozostała silna. Nawet kobieta przestała dręczyć gargulca i nie zwracała się już do niego w uwłaczający mu sposób. Niekiedy potrafiła nawet rozmawiać z nim grzecznym tonem. To początek, wierzył rycerz.

Jego troska została nagrodzona, gdy gargulec nie odszedł w mrok, lecz zwinął się zaledwie kilka metrów od nich w cieniu wielkiego starego drzewa. Przynajmniej tej nocy będzie spał z nimi.

Zbudziły ich szorstkie dłonie, wyciągające ich ze snu jak kłody ze stosu drewna. Rycerz jednym ruchem zerwał się na nogi, rozglądając się dokoła z wściekłością. Jak zdołali podejść tak blisko, że ich nie usłyszał? Kobieta przywarła do niego i słyszał jej oddech. Gargulec siedział przygarbiony kilka metrów od nich, świecąc żółtymi oczami w bladym świetle nowego dnia.

Wszędzie wokół nich znajdowały się potwory, otaczające ich obóz kołem i odcinające wszelką drogę ucieczki. Widzieli co najmniej tuzin olbrzymich, powykrzywianych zwierząt, stojących pionowo na dwóch nogach, ale lekko przygiętych, jakby miały zaraz opaść na cztery łapy. W niewielkim stopniu przypominały ludzi – dwie nogi, dwie ręce, tors, dłonie i stopy oraz głowa – lecz ich ciała były węzłowate, groteskowo umięśnione i pokryte jakąś szorstką skórą. Twarze nie miały prawie rysów, za to ich oczy i pyski połyskiwały wilgocią. Stały i przyglądały się trójce swoich jeńców.

Jeden z potworów przemówił, otwierając szeroko usta i ukazując wielkie kły. Zaszwargotał coś do nich, co przypominało mieszaninę parsknięć i chrząknięć.

Wykonywał niezrozumiałe gesty, wskazując na nich, potem na rzekę, a w końcu na las.

– Chcą wiedzieć, skąd przyszliśmy – powiedziała kobieta. Rycerz spojrzał na nią zdziwiony.

– Rozumiesz ich język? Skinęła głową.

– Tak. Nie wiem dlaczego. Nigdy ich przedtem nie widziałam. Nie mówię ich językiem. Nie potrafię nawet podstawić słowa pod te wszystkie dźwięki, ale znaczenie jest jasne. Potrafię je odszyfrować. Zaraz. Niech sprawdzę, czy oni mnie rozumieją.

Wykonała kilka zwinnych ruchów rękami i palcami. Potwór, który mówił, znowu coś chrząknął. Następnie rozejrzał się po swoich kumplach i potrząsnął głową.

– Chcą wiedzieć, co my tutaj robimy. Mówią, że nie jesteśmy stąd, że jesteśmy intruzami. – Kobieta odsunęła się od rycerza, odzyskawszy spokój. – Nie podoba im się nasz wygląd.

– Kim oni są? Co to za rodzaj stworzeń? – warknął gargulec, pokazując zęby.

Nastąpiła kolejna wymiana zdań.

– Nazywają siebie Gristlisami – streściła kobieta. Jej twarz ściągnęła się. – Mówią, że nas zjedzą.

– Zjedzą nas? – Rycerz nie wierzył własnym uszom.

– Mówią, że jesteśmy ludźmi, a ludzie są do jedzenia. Nie rozumiem ich do końca. To ma coś wspólnego ze zwyczajem.

– Niech się lepiej ode mnie trzymają z daleka – powiedział przez zęby gargulec. Napiął mięśnie niczym stalowe liny i wysunął pazury. Gotów był zrobić coś, co przesądziłoby o ich losie.

Między Gristlisami wywiązała się nowa dyskusja, wszystkie głośno chrząkały i gestykulowały. Najwidoczniej nie potrafiły dojść w jakiejś kwestii do zgody. Rycerz szybko otaksował siły przeciwnika. Były olbrzymie i dwoje wystarczyło, aby go pokonać. Czuł ciężar pałasa na plecach. Z mieczem mieliby większe szansę, ale i tak było ich zbyt wielu, aby z nimi rozpocząć walkę. Musiał znaleźć sposób, aby wyrównać szansę.

Gargulec zastanawiał się nad tym samym.

– Będziemy musieli dać nogę – powiedział zgrzytliwym głosem.

– Zostań na swoim miejscu. – Głos kobiety brzmiał chłodno i spokojnie. – Kłóca się między sobą o to, co mają z nami zrobić. Są prymitywni i zabobonni. Coś w nas niepokoi kilku z nich. Pozwólcie mi ustalić, co to jest.

Kłótnia wciąż trwała, stała się nawet ostrzejsza. Pokazały się kły i pazury, a dwa Gristlisy zaczęły warczeć na siebie. Wyglądały na dzikie stworzenia i rycerz zaczął podejrzewać, że są znacznie szybsze i silniejsze, niż na początku sądził.

– Musimy się wydostać z tego kręgu – powiedział cicho, a ręką powiódł ukradkiem do tyłu, do rękojeści miecza.

W tej samej chwili dwa wojownicze Gristlisy rzuciły się na siebie ze strasliwym krzykiem, prując i rozdzierając swoje skóry. Ich towarzysze odsunęli się od miejsca zajadłego pojedynku i krąg wokół rycerza i jego towarzyszy rozpadł się. Gargulec rzucił się natychmiast w stronę rzeki. Za nim rycerz, ciągnąc z sobą kobietę. Ku ich zaskoczeniu Gristlisy nie ruszyły w pościg za nimi. Rycerz obejrzał się w biegu przez ramię, lecz nikogo nie zobaczył. Spomiędzy cieni drzew dochodziły odgłosy walki między dwójką, która się pokłóciła. Choć było to nieprawdopodobne, to zdawało się, że jeńcy nie mają dla nich już znaczenia.

Dotarli do rzeki i szukali sposobu na przedostanie się na drugą stronę, gdy znowu pojawiły się Gristlisy. Od razu stało się jasne, dlaczego się nie spieszyły. Wyskoczyły spomiędzy drzew jak koty, przemierzając teren w takim tempie, że w ciągu kilku sekund dopadły całą trójkę. Było ich teraz tylko siedem, lecz w przyćmionym świetle ich wyprostowane ciała oraz błyszczące niczym noże pazury i kły wyglądały groźnie.

– Dobądź miecza! – zawołała ostrzegawczo kobieta, a kiedy nie kwapił się do tego, sama chwyciła za jego broń i próbowała ją wyciągnąć.

– Zostaw! – warknął, rozerwał jej uścisk i odepchnął do tyłu.

Ani myślała ustąpić. Gristlisy zwolniły i zaczęły ich otaczać.

– Słuchaj mnie! – warknęła. – Twój miecz może zdziałać więcej, niż myślisz! Pamiętasz ludzi z miasta! Pamiętasz Cyganów? To właśnie wtedy, gdy dobywałeś miecza i walczyłeś, pojawiała się Haze!

Gapił się na nią z niedowierzaniem.

– Nie! Tutaj nie ma żadnego związku!

– Musi być! – powiedziała przez zęby. – W żadnych innych okolicznościach nie widzieliśmy Haze. A kiedy przychodzi, nigdy nie przychodzi po nas, tylko po tych, którzy nam zagrażają! Te dwie rzeczy muszą się jakoś łączyć! Miecz i Haze są bronią, która eliminuje naszych wrogów! Zastanów się!

Ciężko oddychała, a jej blada twarz błyszczała od potu. Gargulec przysunął się bliżej do nich, nie spuszczając oczu z okrażających ich Gristlisów.

– Może mieć rację – powiedział cicho. – Posłuchaj jej. Rycerz kręcił z uporem głową.

– Nie! – powtórzył, zastanawiając się, jak to możliwe...? I nagle zrozumiał. Prawda stała przed nim niczym bestia, która wyszła z ukrycia: potworna i nieprawdopodobna. Powinien był wcześniej ją poznać; powinien był to przejrzeć. Podejrzewał, że coś łączy Haze z nimi, wiedział, że istnieje jakaś wiążąca nić, której nie mógł pojąć. Przez cały ten czas myślał, że Haze poluje na nich, że czeka na okazję, aby się podkraść i przypuścić atak. Mylił się.

Mgiełka nie śledziła ich; ona podróżowała razem z nimi. Ponieważ należała do niego. Haze była jego brakującą zbroją.

Mróz przeszył go do kości. Kiedy się obudził w labiryncie, zbroi nie było, lecz czuł jej obecność pod ręką. Jego zbroja zawsze tak się zachowywała: czekała w ukryciu na

wezwanie. Przychodziła na rozkaz i owijała się wokół niego, aby mógł toczyć boje ze swoimi wrogami. Tak właśnie działała.

Lecz tutaj, pośród mgieł labiryntu, jej forma uległa zmianie. Magia odmieniła ją, zatruliła ją, przemieniła ją w coś nie do rozpoznania. Jego zbroja stała się Haze. Na to wychodzi. Z jakiego innego powodu miałyby ona przychodzić im na ratunek za każdym razem, gdy znaleźli się w niebezpieczeństwie, a potem z powrotem wycofywać się w mrok? Czy mogło być jakieś inne wytłumaczenie?

Nie mógł oddychać, wewnętrzny chłód paraliżował go. Prawdą było, jak się tego obawiał, że był odpowiedzialny za śmierć tych wszystkich ludzi, że zgładził mieszkańców miasta i Cyganów rzecznych, że zabił ich wszystkich, nie zdając sobie nawet sprawy, co robi.

Stał, oszołomiony swoim odkryciem.

– Nie – wyszeptał z rozpaczą.

Poczuł dłonie kobiety na swoich ramionach, jak go obejmuje i próbuje dodać siły. Gristlisy przysuwały się coraz bliżej ośmielone jego niezdecydowaniem.

– Zróbże coś! – krzyknęła kobieta.

Gargulec wykonał szybką fintę dla zmylenia przeciwnika, lecz najbardziej wysunięty Gristlis tylko warknął w odpowiedzi, nie ustępując pola ani na krok.

– Ja nie posiadam magii! – jęczała zrozpaczona kobieta, potrząsając gwałtownie rycerzem.

Odepchnął ją od siebie i oprzytomniał, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Kobieta była bezsilna. Gargulec nie da im wszystkim rady. Potrzebowali jego, jeśli mieli przeżyć. Lecz jeśli dobędzie pałasza, nadejdzie Haze, zabijając wszystkie te istoty, tak jak zgładziła ludzi z miasteczka i Cyganów rzecznych – a on nie mógł się z tym pogodzić.

Czy posiadał jednak inną broń?

W desperacji, prawie nie myśląc o tym, co robi, sięgnął pod tunikę i wyciągnął medalion z wygrawerowanym wizerunkiem rycerza wyjeżdżającego konno z zamku o wschodzie słońca. Wyciągnął go przed siebie niczym talizman. Nie wiedział, na co liczy, robiąc to. Wiedział jedynie, że to było wszystko, co mu zostało z poprzedniego życia i że było w nim coś równie dziwnego i odległego, jak w jego zbroi.

Jego pojawienie się przyniosło zdumiewający efekt. Na jego widok Gristlisy momentalnie się odsunęły, niektóre opadły na kolana, inne zasłoniły oczy, wszystkie skuliły się przed nim,

jakby rzucano na nie kłatwę. Skomlać, płacząc i drżąc ze strachu i przerażenia, zaczęły się wycofywać. Rycerz uniósł medalion wyżej i zrobił krok do przodu w ich stronę. To przeważyło; zaczęły pędzić w stronę drzew, jakby goniły ich demony. Odeszła im wszelka ochota do walki i skupiły się tylko na tym, aby się oddalić od nich i medalionu, jak tylko mogły najdalej. Pognały skokami na wszystkich czterech łapach i po chwili zniknęły.

Dlaczego? – zastanawiał się zdumiony rycerz.

W ciszy, która nastąpiła, słyhać było jego oddech. Opuścił dłonie wzdłuż ciała i odchylił twarz w kierunku mgieł.

Kobieta podeszła do rycerza i stanęła tak, że jej twarz znalazła się tuż przed jego oczami. Nie widział jej; patrzył prosto przed siebie nic nie widzącym wzrokiem, utkwionym gdzieś w pustce.

– Co zrobiłeś? – zapytała cicho. Nie odpowiadał.

– Uratowałeś nas. Tylko to się liczy. Nic nie powiedział.

– Posłuchaj mnie – zwróciła się do niego. – Zapomnij o ludziach z miasta, zapomnij o Cyganach. To, co się stało z nimi, to nie twoja wina. Nie mogłeś o tym wiedzieć. Zrobiłeś to, co musiałeś zrobić. Gdybyś działał inaczej, bylibyśmy martwi lub uwięzieni.

Gargulec przycupnął obok niej z naciągniętym płaszczem i ukrytą twarzą.

– On cię nie słyszy.

Kobieta skinęła głową. Jej głos zabrzmiał teraz ostrzej.

– Chcesz nas teraz opuścić? Chcesz z tego powodu zrezygnować? Zabijałeś ludzi przez całe swoje życie jako królewski szermierz. To stanowi esencję tego, kim jesteś. Czy możesz temu zaprzeczyć? Spójrz na mnie.

Jego oczy nie drgnęły. Były w nich łzy.

Wyciągnęła rękę i uderzyła go mocno trzy razy w twarz, a każde uderzenie odbijało się głośnym trzaskiem w ciszy.

– Spójrz na mnie! – syknęła ze złością.

Wtedy spojrział. Życie powracało do oczu, które poruszyły się, szukając jej spojrzenia. Czekala, aż nabrała pewności, że ją widzi.

– Zrobiłeś to, co należało. Pogódź się z tym, że konsekwencje są czasami przykre i nieprzewidziane. Przyjmij do wiadomości to, że nie zawsze można przewidzieć wszystkie skutki. W tym nie ma nic złego.

– Wszystko jest złe – wyszeptał.

– Zagrażali nam! – warknęła. – Mogli nas zabić! Czy to źle, że zabiliśmy ich wcześniej? Czy twoja wina jest aż tak wielka, że zwróciłbyś im życie w zamian za nasze? Straciłeś cały swój rozum? Gdzie się podziała twoja wielka siła? Nie chcę, abyś był moim opiekunem, jeśli ją straciłeś! Nigdzie się nie dam zabrać takiemu mężczyźnie! Oddaj mi moją wolność, jeśli brak ci zdecydowania!

Potrząsnął głową.

– Działałem instynktownie, a powinienem kierować się rozumem. Tego nie można usprawiedliwić.

– Jesteś żaloszny! – powiedziała z pogardą. – Dlaczego tracę mój czas z tobą? Nic ci nie jestem winna! Zostałam uwięziona w tym świecie przez ciebie i nawet nie wiem dlaczego!

Okradłeś mnie z życia, ograbiłeś z magii! Teraz chcesz nam również odmówić resztek swojej ochrony! Nie używajmy jej, zdajesz się mówić, ponieważ może kogoś skrzywdzić! Chcesz żałować tych, którzy próbują nas zgładzić, ponieważ musimy zgładzić ich pierwsi!

Jego wargi ściągnęły się.

– Żałuję wszystkiego, co musi zginąć z mojej ręki.

– W takim razie jesteś nikim! Mniej niż nikim! Rozejrzyj się wokół siebie i powiedz mi, co widzisz! To świat mgieł i szaleństwa, panie rycerzu! Czy to możliwe, żebyś tego nie zauważył? Zniszczy nas szybko jeśli nie docenimy jego niebezpieczeństw bądź okażemy słabość w obliczu jego wcale niemałej siły! Stań mocno na dwóch nogach, bo inaczej będziesz tylko jeszcze jednym psem!

– Nic o mnie nie wiesz!

– Wiem wystarczająco dużo! Wiem, że straciłeś swoją odwagę! Wiem, że nie jesteś już w stanie nas prowadzić! – Jej twarz była nieugięta i zimna jak lód. – Teraz jestem silniejsza niż ty. Mogę iść własną drogą! Pozostań na kolanach, jeśli musisz! Zostań tutaj i tarzaj się w swoim współczuciu! Nie chcę mieć już z tobą nic wspólnego!

Zaczęła iść, przepychając się obok gargulca. Rycerz chwycił ją za rękę i przyciągnął z powrotem przed swoje oblicze.

– Nigdzie nie pójdziesz! – krzyknął.

Kobieta zamierzyła się na niego pięścią, ale zablokował jej cios. Znowu się zamachnęła, lecz chwycił ją za nadgarstek. Spojrzała mu w oczy i odkryła w nich napięcie. Słabość zniknęła z jego oblicza.

– Kiedy będziesz odchodziła – powiedział do niej przez zęby – odejdziesz ze mną!

Patrzyła na niego, nie odzywając się. Następnie jej uwolniona ręka uniosła się powoli i dotknęła jego policzka. Czuła, jak się wzdryga i uśmiechnęła się. Pozwoliła palcom osunąć się swobodnie aż do szyi i opaść w dół.

Wtedy nachyliła się i pocałowała go w usta.

GARŚĆ PROCHU

Abemathy zatrzymał się w połowie schodów prowadzących z jego sypialni do wielkiego holu zamku Rhyndweir i z konsternacją wsłuchiwał się w dochodzące go odgłosy. Na dole schodów Kallendbor wrzeszczał na Horrisa Kewa. Na zewnątrz fortecy ludność Greenswardu próbowała sforsować bramę i wdrzeć się do środka. W całej

krainie zapanował chaos.

Nie wyglądało to najlepiej.

Od początku Abernathy wiedział, że będą kłopoty z Horrisem i jego programem rozdawnictwa kryształów marzeń. Był tego tak pewien, jak tego, że dwa razy dwa to cztery. Było to tak łatwe do przewidzenia, że z zupełnym spokojem można było to wykuć w kamieniu. Przez lata Horris Kew angażował się w całe mnóstwo różnych projektów, miał tysiące pomysłów, jak leczyć choroby i pozbywać się kłopotów, ale nigdy z tego nic nie wychodziło. Za każdym razem było to samo. Wszystko rozpoczynało się obiecująco, lecz gdzieś po drodze zaczynało wariować. Niezależnie od okoliczności efekt był zawsze ten sam. W jakiś sposób Horris Kew niezmiennie tracił kontrolę nad wydarzeniami, które wcześniej puścił w ruch.

Tym razem jednak wiedza o tym, że tak właśnie będzie, w niczym Abernathy'emu nie pomogła. Wiedzieć, to za mało, jeśli się jednocześnie w to nie wierzy. Prawdę mówiąc, Abernathy pragnął wierzyć w coś zupełnie przeciwnego, ponieważ w momencie, gdy zdecydował, że mimo upłynięcia dwudziestu lat Horris Kew i jego plany są tak samo diabła warte, to musiał przyznać, że kryształy marzeń nie mogą być tym, czym się wydają, a jednak tego nie uczynił. Abernathy ukrywał przed sobą ten oczywisty fakt. Jego własny kryształ całkowicie go zauroczył. Stał się niewolnikiem obrazów. Żył nadzieją, że będzie mógł zawsze przywoływać przelotne obrazy siebie z przeszłości i żyć nadzieją, że pewnego dnia oglądane przez niego obietnice się spełnią. Wizje były jego prywatną ekstazą, jego osobistą ucieczką od ciężkich prawd życia. Abernathy był zawsze osobą pragmatyczną, ale wobec tej szczególnej pokusy był zupełnie bezbronny. Im częściej przywoływał obrazy, tym bardziej go zachwycaly. Jego nałóg przeszedł z umiarkowanego w ostry. Nie chodziło tylko o to, że znajdował w wizjach przyjemność; chodziło o to, że oferowały mu jedyną ucieczkę, która miała znaczenie.

Ignorował zatem swoje podejrzenia, swoją wrodzoną nieufność, swój zdrowy rozsądek i towarzyszył Horrisowi Kewowi i jego przekłętemu ptaszysku w drodze do chaosu.

Dość szybko stało się jasne, dokąd to wszystko zmierza. Mała grupa wyruszyła w kolejny etap swojej wędrówki. Opuścili Rhyndweir i pomaszerowali przez pozostałe regiony Greenswardu. Ludzie dowiedzieli się już o kryształach marzeń i czekali, aby przekonać się, czy to, co słyszeli, okaże się prawdą. Na każdym rozdrożu, w każdej osadzie gromadziły się tłumy, którym garściami rozdawano kryształy. Gdy Horris Kew nie odwiedził pozostałych władców krainy, wierząc, że Kallendbor dotrzyma obietnicy i sam rozda kryształy, tamci szybko przybyli do niego. Gdzie są ich kryształy? Czyżby dla nich już nie starczyło? Czyżby mieli być pozbawieni skarbu, który pospółstwu rozdawano za darmo? Obawiając się o swój los i w duchu przeklinając obłudę Kallendbora, magik szybko dał im to, czego żądali. Dla Abernathy'ego stało się jasne, że Kallendbor nie wziął tych dodatkowych kryształów, aby je sprzedać. Wziął je, aby mieć pewność, że gdyby jego własny się zgubił, został skradziony lub rozbity, to wciąż będzie miał inne. Jego chciwość była jednak bezpodstawna. Kryształów przeznaczonych do rozdania nie brakowało. Zapasy wydawały się niewyczerpane. Bez względu na to, ile ich rozdano, ich liczba pozostawała ta sama. Abernathy zauważył ten fenomen, lecz – tak jak wszystko

związane z wielkim rozdawnictwem kryształów – lekkomyślnie to zignorował.

Wtedy zaczęły się rozchodzić pogłoski. Ludzie zaczęli unikać pracy. Wieśniacy zostawiali ziemię leżącą odłogiem, a żywy inwentarz chodził nie pilnowany po polach. Przewracały się płoty, stodoły zawały i poniechano wszelkich napraw. Sklepikarze i kupcy otwierali i zamykali swoje podwoje, gdy im przysłała na to ochota, i nie byli zbyt zaangażowani w sprzedaż swoich towarów. Niektórzy pozwolili, aby rozkradziono ich wyroby, inni wręcz je rozdawali. Załogi pracujące na budowach i drogach nie pojawiały się w pracy. Musiano przerwać prace budowlane. Sądy skróciły godziny urzędowania o połowę, a czasami jeszcze więcej. Sprawiedliwość była wymierzana w sposób niefrasobliwy i obojętny. Kurierzy przybywali z ważnymi depeSZami z kilkudniowym opóźnieniem. Same depeSZy były formułowane przez skrybów w sposób chaotyczny i przypadkowy. Sytuacja w życiu rodzinnym nie była lepsza od sytuacji w miejscach pracy. Mężowie i żony ignorowali siebie nawzajem i nie zwracali uwagi na dzieci. Sprzątanie domu pozostawiono komuś innemu, nie zmyte naczynia i garnki piętrzyły się coraz wyżej. Nikt nie nosił czystych ubrań. Psy i koty włóczyły się głodne.

Przyczyna tego masowego niedbalstwa nie była tajemnicą. Wszyscy spędzali każdą wolną chwilę, wpatrując się w swój nowo nabyty kryształ marzeń.

Zadziwiająca, jak szybko wszystko zaczęło się rozpadać, gdy tylko zapanowała obsesja na punkcie kryształów. Jedno zaniedbanie prowadziło do drugiego, jedna chwila lekceważenia do drugiej i już wkrótce życie przypominało przewracający się łańcuch kostek domina. Praca może poczekać – argumentowano; tak czy inaczej zawsze jest jakieś jutro. Poza tym praca jest nudna. Praca jest ciężka. Wpatrywanie się w kryształy było nieskończenie bardziej interesujące i zabawniejsze. Zdumiewające, jak szybko mijał czas, kiedy zaglądało się do ich wnętrza. O czym my mówimy! Całe dni zdawały się mijać w mgnieniu oka!

I tak się to potoczyło. Jeden stracony dzień pociągał za sobą drugi. Wszyscy porzucili swoje obowiązki i wkrótce nikt już nic nie robił. Ludzie siedzieli i wpatrywali się w kryształy. Abernathy zdawał sobie sprawę, że gdzieś pod powierzchnią świadomości, tam gdzie prawda o rzeczach wciąż migocze nikłym światłem ogarka, kołacze się przecucie, iż to, co dzieje się z mieszkańcami Landover, dzieje się również z nim. Nie mógł się jednak z tym pogodzić. Nie potrafił zrezygnować z używania kryształu, choćby na jedną sekundę. Nie dzisiaj – może jutro. Poza tym sprawy nie mają się jeszcze tak źle, powtarzał sobie.

Oczywiście, że się miały i ich stan szybko się pogarszał. Abernathy pierwszy odkrył, jak bardzo może być źle. Pewnego ranka, dwa tygodnie od opuszczenia Rhyndweir, obudził się, sięgnął do kieszeni, wyjął kryształ, przywołał swój ulubiony obraz i zobaczył, jak klejnot w jego dłoni zamienia się w proch. Wpatrywał się z niedowierzaniem, potem z przelazaniem, a w końcu z rozpaczą. Czekał, może wróci do poprzedniego kształtu, lecz klejnot pozostał kupką prochu. Zaniósł ją do Horrisa Kewa, aby ten zrekonstruował ją. Horris Kew nie miał jednak pojęcia, co się stało. Może to był wadliwy kryształ, zasugerował. Chciał dać Abernathy'emu inny.

Kiedy jednak otworzył skrzynie, zobaczyli, że obie są puste. Nie pozostał ani jeden

kryształ, choć Abernathy mógł przysiąc, że były tam poprzedniego dnia, albo jeszcze dzień wcześniej – tego nie byli pewni. A może rozdali je wszystkie, nie zdając sobie z tego sprawy?

Znajdowali się już teraz na wschodniej granicy Greenswardu, odwiedziwszy większą część krainy i niektóre regiony Melchoru, i szybko kierowali się w stronę domu. Może w drodze powrotnej znajdą więcej kryształów – powiedział z nadzieją Abernathy, starając się, jak tylko mógł, aby nie wyglądało, że mu bardzo zależy, gdyż był świadom obecności Horrisa i tego głupiego ptaszyska, które czepia się każdego jego słowa. Może i tak – zgodził się Horris. Tak, to całkiem możliwe. Nie brzmiało to jednak przekonująco.

W drodze powrotnej, gdy Abernathy, Bunion, Horris i ptak zakończyli swoją misję, zaczęło docierać do nich coraz więcej nowych wieści. Wszędzie kryształy zamieniały się w proch. Ludzie byli wściekli. Co się dzieje? Co mają robić bez swoich obrazów? Miejsce letargu zajęło wzburzenie. Sąsiedzi zwracali się przeciwko sobie, chcąc pożyczyć lub ukraść kryształy mające zastąpić im te, które stracili. Nikt już jednak nie miał nic do oddania. Wszyscy znaleźli się w tej samej okropnej sytuacji, pozbawieni czegoś, co na początku miało być rozrywką, a co zbyt szybko stało się koniecznością życiową. Przez kilka dni ludzie dreptali w kółko, wpadając na siebie w złości i rozpacz, szukając kryształów. Następnie zrobili to, co społeczeństwo zawsze robi, kiedy jest wystarczająco sfrustrowane – obrócili się przeciwko rządzącym. W tym wypadku przeciwko władcom Greenswardu. Czyż to nie oni usankcjonowali i nie ułatwili rozdzielania kryształów? Skoro tak, to z pewnością są w stanie zdobyć nowe.

Z tym prostym postanowieniem tłum pomaszerował na fortece swoich panów, zdecydowany szukać zadośćuczynienia za rzekome krzywdy, których doznał.

Abernathy powinien był widzieć, dokąd sprawy zmierzają, lecz wciąż tak bolał nad stratą swojego kryształu, że nie potrafił myśleć o niczym innym. Chodził przygnębiony, próbując sobie wyobrazić, czym będzie życie, jeśli kryształy i obrazy odeszły na dobre. Była to wizja zbyt okropna, aby ją kontemplować. Z trudem zdawał sobie sprawę z istnienia innych ludzi i z tego, co robią. Kiedy Horris i jego ptak zaczęli z trwogą szeptać między sobą i rzucać niespokojne spojrzenia przez ramię, zupełnie nie zwrócił na to uwagi. Gdy przyłączył się do nich nieznajomy człowiek w czarnym płaszczu – niczego dziwnego w tym nie dostrzegł. Nawet wtedy, gdy Bunion powrócił z jednego ze swoich zwiadów i syknął ostrzegawczo, że z nieznajomym jest coś nie tak, Abernathy usłyszał zaledwie jego głos. Był daleko od takich trosk, trawiony własnym smutkiem, bliski tego, aby zupełnie zapomnieć o świecie.

Gdy przybyli do Rhyndweir, w mieście aż wrzało. Chcieli ominąć je i iść dalej, lecz nie mieli już zapasów, a poza tym byli ciekawi, czy kryształy Kallendbora są wciąż w dobrym stanie. Nie słyszeli niczego, co świadczyłoby, że jest inaczej. I rzeczywiście tak było. W czasie przedzierania się przez tłumy stłoczone przed bramą, zanim udało im się dotrzeć do wnętrza fortecy, dowiedzieli się, że wszystko wydaje się w jak najlepszym porządku. Kallendbor przywitał ich z typową dla siebie obojętnością, zatopiony we własnych myślach, i po krótkim powitaniu natychmiast zniknął. Wydawało się, że jego kryształy mają się dobrze. Dlaczego pozostały nienaruszone, podczas gdy wszystkie inne

zamieniały się w proch, było tajemnicą. Sądzi, że lepiej nie starać się dochodzić prawdy. Plan był taki, aby spędzić tu noc, uzupełnić zapasy i wyruszyć o świcie do Sterling Silver. Nie ma co przedłużać pobytu – zdecydowali. Żaden z nich nie miał ochoty znajdować się tutaj, gdyby cokolwiek się stało z kryształami Kallendbora.

Abernathy udał się do swojego pokoju i pozostał w nim. Nie czuł głodu, więc nie zszedł na kolację. Chciał spędzić tylko tyle czasu w towarzystwie Kallendbora, ile to było konieczne. Bunion zniknął prawie zaraz, gdy przyjechali, a Abemathy'ego nie interesowało za bardzo to, gdzie się podział kobold. Bunion unikał pułapki kryształów i ich obrazów. Podobnie jak większość koboldów, nie interesował się ani nie ufał magii i już na samym początku odmówił przyjęcia kryształu. Pozostawiając Horrisowi i Abernathy'emu rozdawnictwo kryształów, Bunion spędzał czas na przetrząsaniu okolicy w poszukiwaniu zaginionego Bena Holidaya. Niczego nie znalazł, lecz nie zaprzestał poszukiwań. Był przekonany, że prędzej czy później natknie się na jakiś ślad zaginionego króla.

Abernathy był zatem sam, kiedy zapadła noc i tłum przy bramie zaczął rozpalać olbrzymie ogniska, wykorzystując w tym celu strzechy i drewniane ściany okolicznych warsztatów oraz stragany z targowiska. Gdy ogień się rozpałił i zrobiło się gorąco, nastrój wśród ludzi stawał się coraz bardziej bojowy. Wkrótce zaczęli rzucać przedmiotami w bramę i przerzucać je ponad murami. Wrzaski przerodziły się w pełne pogrózek, nienawistne okrzyki. Należy coś zrobić – wołali – i to natychmiast! Gdzie są nasze kryształy? Chcemy ich z powrotem! Strażnicy na murach zamku przykucnęli, czekając na zakończenie burzy. Nastroje wśród nich nie były najlepsze. Wielu spośród nich również straciło kryształy i solidaryzowało się z żądaniami tłumu. Wielu miało przyjaciół i krewnych wśród tych, którzy wrzeszczeli na nich z dołu. Znajdowali się wśród nich też tacy, którzy skłonni byli otworzyć bramy. Powstrzymywały ich od tego jedynie banalne poczucie obowiązku, zakorzeniona siła nawyku i lęk przed Kallendborem. Nie wiadomo było, jak długo takie bariery zdołają utrzymać ich w ryzach.

Kallendbor zdawał się nie zauważać problemu. Od czasu ich przybycia zaginął po nim wszelki ślad, za co Abernathy był mu wdzięczny. Kiedy jednak odgłosy tłumu na zewnątrz zaczęły przybierać coraz bardziej złowieszcze tony, zaczął się zastanawiać, co pan tego dworu planuje zrobić w tej sprawie. Podgrzewanie oliwy było dość prawdopodobnym wyborem, gdyby temperament Kallendbora miał decydować o rodzaju podjętego działania. Może Kallendbor ukrywał się w swoich prywatnych kwaterach, zamknięty sam ze swoim cudownym kryształem i zaglądał do jego wnętrza, pochłonięty tym, co tam znalazł, jakąś wizją, jedną z tych, którymi i Abernathy kiedyś się nie mógł nacieszyć.

Skryba zacisnął powieki i zazgrzytał zębami. Tego było już naprawdę zbyt wiele. Nagle wpadł w furję na myśl o Kallendborze i jego kryształach marzeń. Nie wystarczył mu jeden; zgromadził ich kilka tuzinów! Czy nie powinien podzielić się jednym lub dwoma ze swoimi gośćmi, zwłaszcza wysłannikami samego króla? Czy obyczaj i dobre maniery nie powinny mu tego podsunąć? Czy nie należałoby wnieść skargi i domagać się tego?

Abernathy wyszedł z pokoju rozdrażniony, gnany potrzebą, której nie potrafił

zrozumieć.

Wtedy właśnie znalazł się w połowie schodów i usłyszał odgłosy kłótni Kallendbora z HorrISEM Kewem, dochodzące do niego ponad wrzawą tłumów na zewnątrz murów zamkowych.

– Przepadły, szarlatanie! – krzyczał Kallendbor w/furii, a jego głos wznosił się odbity echem od wielkiego holu w dole. – Co do jednego! Zamienione w proch! Mów, ccywiesz na ten temat!

– Panie mój, ja nie...

– Posłuchaj mnie, idioto! – Kallendbora nie interesowały wyjaśnienia. – Ty za to odpowiadasz! Ciebie czynię odpowiedzialnym! Lepiej będzie, jeśli znajdziesz sposób, żeby je przywrócić do poprzedniego kształtu. I to w tej chwili albo zadam ci taki ból, że będziesz mnie błagał, abym cię od niego uwolnił!

Abernathy wstrzymał oddech. Zatem kryształ Kallendbora również zamieniły się w proch! Czuł jednocześnie zadowolenie i rozczarowanie. Szedł w dół schodów, skradając się ostrożnie po jednym kroku.

– A zatem? – Cierpliwość Kallendbora nie trwała dłużej niż życie ćmy złapanej w płomieniu świeczki.

– Panie mój, błagam cię, zrobię, co będę mógł...

– Zrobisz, co ci każę! – krzyknął Kallendbor i rozległ się odgłos szczękających zębów oraz skrzek Biggara odfruwającego w pośpiechu.

Abernathy dotarł do miejsca, w którym schody zakreślały. Stąd mógł widzieć, co się dzieje na dole. Kallendbor trzymał Horrisa w powietrzu za jego pokutnicze szaty i potrząsał nim z całych sił. Nieszczęsny magik miotał się w uścisku ogromnego mężczyzny jak szmaciana lalka, kopał zaciekle nogami, machał głową we wszystkie strony. Nad ich głowami krążył Biggar, krzyzcząc z przerażeniem, od czasu do czasu obniżając lot. Wyglądało, że nie wie, co ma robić.

– Oddaj-mi-moje-kryształy! – Kallendbor wyrzucił z siebie żądanie jak przekleństwo, potrząsając HorrISEM przy każdym wypowiedzianym słowie.

– Postaw go na ziemię – odezwał się głos z półmroku. Kallendbor odwrócił się, zaskoczony.

– Co? Kto to powiedział?

– Postaw go na ziemię – powtórzył głos. – Nie jego należy winić za to wszystko.

Kallendbor rzucił Horrisa Kewa na podłogę. Magik leżał w drgawkach, z trudem chwytając powietrze. Władca Greenswardu obrócił się szybko w stronę głosu. Ręka opadła na pałasz, broń, którą zawsze miał przy sobie.

– Kto tam? Pokaż się!

Postać w czarnym płaszczu odłączyła się od muru, pojawiając się znikąd. Sunęła raczej, niż szła, mroczna, spokojna i gładka w ruchach. Abernathy cofnął się

instynktownie. To był ten nieznajomy, który przyłączył się do nich na drodze. Skąd się tu wziął? Czy wszedł do fortecy razem z nimi? Abernathy nie pamiętał, aby to zrobił.

– Kim jesteś? – zapytał ostro Kallendbor, lecz z jego głosu zniknęła zaciekłość, a na jej miejscu pojawił się cień niepewności.

– Przyjacielem – odpowiedział nieznajomy. Zatrzymał się kilka metrów przed nim. Mimo usilnych prób, Abernathy nie mógł dostrzec twarzy mężczyzny. – Możesz potrząsać Horrisem Kewem, aż wysypiesz z niego wszystkie kości, ale i tak nie odzyskasz swoich kryształów. Horris Kew ich po prostu nie ma.

Kallendbor znieruchomiał.

– Skąd to wiesz?

– Wiem o wielu rzeczach – odrzekł nieznajomy. W jego głosie brzmiało dziwne syczenie, jakby jego wiązadła głosowe przeszły kiedyś poważne uszkodzenie. – Wiem, że Horris Kew i jego towarzysze stali się ofiarami oszustwa i robią tylko to, co im polecono i że nie mają już kryształów, które mógłbyś dostać. Wiem również, że nie zdawali sobie sprawy z tego, że kryształy, które ci dali, zamienią się w proch po niedługim okresie używania. Zostałeś oszukany, mój panie. Spłatanano ci figła.

Ręka Kallendbora mocniej zacisnęła się na mieczu.

– Kto jest za to odpowiedzialny? Skoro tak dużo wiesz, to powiedz mi to!

W obliczu niepokonowanego gniewu lorda, nieznajomy pozostał nieporuszony, zagadkowy i nieprzenikniony.

– Zdejmij dłoń ze swojej broni. Nie możesz mnie skrzywdzić.

Zapadła długa chwila ciszy. Horris Kew odsuwał się powoli od Kallendbora, czołgając się na kolanach i rękach. Biggar siedział na krawędzi poręczy schodów jak kamienna rzeźba. Abernathy nie oddychał.

Ręka Kallendbora osunęła się w dół.

– Kim jesteś? – powtórzył z zakłopotaniem.

Nieznajomy zignorował pytanie.

– Zastanów się przez chwilę – powiedział miękko. – Kto ci przysłał te kryształy? Kto wysłał magika i jego ptaka? Kto wysłał skrybę i posłańca? Komu oni służą?

Kallendbor znieruchomiał.

– Holiday! – powiedział przez zęby.

O jej, pomyślał Abernathy.

Nieznajomy zaśmiał się, wydając osobliwie zgrzytliwy dźwięk.

– Rozumiesz teraz? Czy jest lepszy sposób, mój panie, aby osłabić twoją pozycję, niż sprawić, abyś wyszedł na głupca? Od początku byłeś w oku króla cierniem, którego chciał się pozbyć na dobre. Kiedy kryształy zamieniły się w proch, ludzie obrócili się przeciwko tobie. Ty jesteś ich panem i dlatego musisz odpowiadać za ich cierpienia. Plan

działała bez zarzutu, nie sądzisz?

Kallendbor nie był w stanie zdobyć się na jakąkolwiek odpowiedź. Zatykało go, gdy cokolwiek próbował powiedzieć.

– Tych kryształów jest więcej – mówił nieznajomy głosem równym i przekonującym. Abernathy nachylił się do przodu, aby nie uronić ani słowa. Kim był ten kłamliwy intrygant? – W Sterling Silver jest cała komnata wypełniona nimi. Widziałem je tam na własne oczy; są ich tysiące. Czyż nie powinny być twoje?

Przez krótką chwilę Abernathy uwierzył w to. Jedyne, co widział, to migoczący stos cennych kryształów, zgromadzony jak złoto, trzymany egoistycznie z dala od tych, którzy mogli ich potrzebować. Lecz w następnej chwili uświadomił sobie, że to było kłamstwo. Dobrze bowiem wiedział, że Ben Holiday nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. Poza tym przypomniał sobie, że w rzeczywistości kryształy pochodziły od Horrisa Kewa, który przyniósł je dopiero po zniknięciu króla.

Nagle zastanowił się po raz pierwszy nad tym, czy te dwa wydarzenia nie są ze sobą jakoś powiązane.

– Twój problem ma proste rozwiązanie – mówił nieznajomy. Podeszedł do Horrisa i podciągnął go do góry, stawiając znowu na nogi, uczynił to bez wysiłku. – Powiedz swoim ludziom całą prawdę o tym. Powiedz im, że kryształy są trzymane przez króla w tajemnicy w Sterling Silver. Powiedz im, by pomaszerowali na jego zamek i zażądali ich od niego! Wezwij wszystkich panów Greenswardu. Nakłoń ich, aby zebrali swoje armie i swoich poddanych i pomaszerowali z nimi do bram królewskiego zamku. Gdy stawicie się tam wszyscy, nie będzie mógł odmówić. Nie oprze się wam.

Kallendbor kiwał głową z przekonaniem.

– Miałem już dość Holidaya, dość jego mieszania się w moje sprawy!

– Być może – mówił półgłosem i w zamyśleniu nieznajomy – nadszedł już czas na nowego króla. Może przyszedł czas na człowieka, który rozumiałby ludzi takich jak ty, człowieka, który nie zachowywałby się tak krnąbrnie wobec lepszych od siebie.

Niewiele brakowało, a Abernathy zaszczekałby. Nie był dumny z tej reakcji, była jednak szczerą. Stłumił ten dźwięk, wdychając szybko powietrze.

– Są ludzie, którzy wiedzą, jak właściwie się posługiwać władzą. – Głos nieznajomego był niski i zniewalający. Wykonał nieznaczny gest w kierunku Horrisa Kewa. – Są tacy, którzy rozumieją, na czym polega lojalność, którzy wiedzą, jak się z niej wywiązywać. Innymi słowy, lordzie Kallendborze, są tacy, którzy służyliby każdemu panu, który zapłaciłby odpowiednią cenę.

Horris Kew gapił się na nieznajomego z otwartymi ustami. Zapanowała kolejna chwila ciszy.

Wtedy Kallendbor, pogrążony w zadumie, skinął głową.

– Może i tak. Dlaczego nie? Jeśli przystałby na pewne warunki, to oczywiście. Tak. Dlaczegożby nie wybrać nowego króla? – Potem potrząsnął szybko głową. – Trzeba

jednak pokonać Holidaya. Żądanie wydania kryształów to jedno, a usunięcie go z tronu to coś zupełnie innego. Nadal ma do swojej dyspozycji Paladyna, a nikt nie może stanąć przeciwko niemu.

– A gdyby Holiday po prostu zniknął? – zapytał w odpowiedzi nieznajomy. Zrobił znaczącą pauzę. – A jeśli już to zrobił?

Abernathy poczuł, jak serce przestaje mu bić. A więc to tak – w końcu usłyszeli prawdę. Zniknięcie Bena Holidaya było rzeczywiście związane z Horrisem Kewem i kryształami marzeń, a wszystko to wiązało się z tym tajemniczym nieznajomym. Działo się coś strasznego, coś, czego Abernathy wciąż nie potrafił w pełni pojąć, lecz za tym wszystkim z pewnością się krył nieznajomy.

Co ma teraz robić?

Wypuścił delikatnie powietrze. Nie wiedział jeszcze co, lecz przede wszystkim musi się stąd wydostać i zrobić to.

Zaczął ostrożnie się wycofywać w górę schodów.

Jednakże nie wystarczająco ostrożnie. Gdy się obracał, szurnał butem po kamieniu. Był to cichy dźwięk, lecz jedna para uszu była wystarczająco przenikliwa, aby to usłyszeć.

– Ajajaj! Ktoś tam jest! – Biggar ostrzegł zgrzytliwym głosem. Wszyscy natychmiast się odwrócili w stronę schodów.

– Znajdź go! – syknął z miejsca nieznajomy.

Abernathy rzucił się do ucieczki, decydując, że niezbyt dobrze byłoby zostać złapanym w tych okolicznościach. Kilka pierwszych stopni pokonał w pozycji pionowej, potem jednak dał temu spokój i opadł na cztery łapy. Szybkość bardziej się liczyła niż godność, a poza tym w znacznej części był przecież psem. Popędził na górę po schodach, a potem korytarzem do swojego pokoju, nie wiedząc, dokąd indziej mógłby pobiec. Usłyszał za sobą trzepot skrzydeł, a jeszcze dalej w tyle tupot butów. Wszelkie szansę na ciche wyślizgnięcie się w ciemną noc przepadły. Co teraz robi? Jeśli go złapią, to wrzucą go do najciemniejszego lochu w zamkowej wieży. To znaczy, jeśli będzie miał szczęście. W innym wypadku natychmiast się go pozbędą.

– Dotarł do swojego pokoju i wpadł do środka, zatraskując za sobą drzwi i przesuwając rygiel. Wewnątrz panował mrok; nie zapalono jeszcze świeczek. Stał oparty plecami o drzwi, z trudem łapiąc powietrze. Słyszał trzepot skrzydeł przefruwającego obok Biggara, piszczącego:

– Tutaj u góry! Tutaj się schował!

Głupie ptaszysko mówi znacznie więcej, niż się do tego przyznaje, pomyślał ponuro Abernathy i zauważył, że patrzy przez mrok prosto na parę żółtych oczu, które z kolei przyglądają się jemu.

– Hau! – szczechnął, tym razem nie potrafiąc zapanować nad instynktem. Znowu przywarł plecami do drzwi i znieruchomiał. Znalazł się w pułapce. Szukał po omacku w

ubraniu broni, ale nie miał żadnej, więc zamiast tego obnażył zęby.

Zaciekawione żółte oczy otworzyły się szerzej i ukazała się znajoma twarz.

– Bunion! – westchnął Abernathy z ulgą, gdyż rzeczywiście to był kobold. – Jakże się cieszę, że to ty!

Bunion zaświergotał coś w odpowiedzi, ale Abernathy nie słuchał go.

– Musimy się stąd wydostać, Bunion. Kallendbor, Horris Kew i ten nieznajomy złapali mnie, gdy ich podsłuchiwałem. Chcą pozbawić Holidaya tronu! Myślę, że już mu coś zrobili. Opowiem ci resztę później, jeśli uda ci się nas stąd wydostać!

Bunion zeskoczył z parapetu okna, na którym siedział, popędził przez pokój do drzwi, otworzył je na oścież i zamachnął się ręką, żeby schwycić Biggara, który chciał wlecieć do środka. Biggar pisnął i rzucił się w bok. Bunionowi zostało w dłoni pełno czarnych piór. Ptak odleciał, wyjąc z bólu i oburzenia. Kobold kiwnął na Abernathy'ego i skryba podążył za nim przez otwarte drzwi. Kallendbor i Horris Kew właśnie wbiegali ze schodów na korytarz. Nie było z nimi nieznajomego.

Bunion i Abernathy uciekli w przeciwnym kierunku, obaj na czterech łapach. Jak uciekające przed batem kundle, pomyślał Abernathy, biegnąc co sił w nogach.

Zbiegli tylnymi schodami przez mniejszy hol i dotarli do niewielkiego składzika. W murze znajdowało się ukryte przejście i po kilku sekundach biegli już w ciemności po omacku – a przynajmniej Abernathy, ponieważ oczy Buniona nie miały kłopotu z przeniknięciem mroku. Przejście zajęło im dużo czasu, lecz po wyjściu z tunelu znajdowali się ponownie za murami zamku.

Stamtąd przeszli przez prawie śpiące już miasto i znaleźli się na otwartym terenie. Podczas wędrówki Abernathy znowu przypomniał sobie o stracie kryształu. Rozpłakał się, ukrywając łzy przed Bunionem. Po jakimś czasie ból minął. Zmniejszył się głównie dzięki świadomości, że odzyskiwanie swojej przeszłości było prezentem od fałszywego proroka. Horris Kew posłużył się nim, a to bolało znacznie bardziej niż utrata obrazów. Choć nie było to przyjemne, musiał się przyznać, że ta parodia by się nie wydarzyła, gdyby nie pobłażał samemu sobie. Być może teraz Ben Holiday musi płacić za to wysoką cenę. Musi zrobić, co tylko będzie mógł, aby uratować sytuację, a to znaczyło, że musi jak najszybciej przekazać wiadomości Questorowi Thewsowi. Questor sam nie wziął kryształu. Był zbyt uparty i dumny, aby przyjąć cokolwiek od Horrisa Kewa, domyślał się Abernathy, i miał rację, jak się okazało. Tak, to będzie okropne stanąć przed nim i spojrzeć mu w twarz. Było to jednak konieczne. Może jest jakiś sposób, aby wszystko naprawić?

Tej nocy spali w starej stodole kilka mil na południowy zachód od Rhyndweir. Słoma, która posłużyła im za posłanie, roiała się od pcheł i pachniała nawozem, lecz Abernathy przekonywał siebie, że jest to minimalna pokuta, jaką musi odbyć za swoją skandaliczną głupotę i niewielka cena za wolność. Gdy tak leżał w ciemności, przewracając się i nie mogąc sobie znaleźć miejsca, słuchając obok siebie równego oddechu Buniona, nadworny skryba Królestwa Landover obiecywał sobie, że któregoś dnia, już niedługo, nastąpi wyrównanie rachunków za to wszystko, i że kiedy ten dzień nadejdzie, on

dopilnuje, aby Horris Kew, jego ptak i ten nieznajomy w czarnym płaszczu otrzymali to, na co zasłużyli.

TANIEC ZAPOMNIENIA

Noc miała się ku końcowi. Ruch i szum powoli i ospale słabł, aż w końcu ulice Greenwich Yillage opustoszały i zamarły. Kilka pojedynczych samochodów i ciężarówek przesunęło się obok bez celu, jacyś ludzie wciąż wałęsali się alejami, lecz to było wszystko. Uliczne światła zmieniały się z zielonego na żółte i czerwone z niezawodną precyzją, a ich kolory raziły blaskiem odbitym w betonie, na którym przelotny deszcz pozostawił przyprószony piaskiem połysk. W zagłębieniach wejść i w pasażach spali bezdomni, niczym postrzępione stopy ubrań, skulone cienie trzymające się kurczowo mroku. W powietrzu unosił się fetor śmieci. Mieszał się z parą i mgłą, które unosiły się ze studzienek kanalizacyjnych i wylotów rur wentylacyjnych kolejki podziemnej oraz ze splukanych niedawno deszczem ulic. Gdzieś w porcie rozległ się świst gwizdka ostrzegającego o mgle.

Willow podążała w milczeniu za Dirkiem ze Skraju Lasu. Poczowała się nagle samotna i uwięziona w pułapce. Nie miała powodów, żeby tak się czuć. Dwie trzecie jej wyprawy po ziemię z trzech światów potrzebną przy narodzinach jej dziecka miała już za sobą. Pozostał jedynie ostatni etap, ale właśnie jego obawiała się najbardziej. Bo choć czuła wstęt do świata Bena i jego rozrastających się miast, które pochłaniają ziemię, choć czuła obrzydzenie na myśl o braku poszanowania dla świętości, jaką jest życie, to jednak najbardziej przerażały ją czarodziejskie mgły.

Trudno było uciszyć ten lęk. Wyrastał z historii jej narodu, z rozmyślnego dystansowania się mieszkańców krainy jezior wobec czarodziejskich mgieł, z ich decyzji o wzięciu na siebie ciężaru odpowiedzialności za życie w świecie rzeczywistym, czego kosztem było oddanie się w objęcia śmiertelności. Wyrastał z opowieści o tym, co się stało ze śmiertelnikami, którzy odważyli się wejść w czarodziejskie mgły, o szaleństwie, które nimi owładnęło, ponieważ nie mogli się dostosować do wymagań świata, w którym wszystko było wyobrażone i nic stałego. Wyrastał również z ostrzeżenia, jakie Matka Ziemia udzieliła, aby nie wierzyć motywom dla których czarodziejski lud oferuje swoją pomoc, gdyż we wszystkim, co robią, mają swoje prawdziwe cele, ukryte przed takimi jak ona.

Spojrzała na Dirka ze Skraju Lasu i zastanowiła się, jakież to sekrety ukrywa przed nią pryzmatyczny kot. Ile z tego, co robił, czynił z przyczyn znanych tylko sobie? Czy za tym, że towarzyszył jej w podróży na ten i następny świat, kryło się coś innego? Mogła go zapytać, ale wiedziała, że i tak jej nie odpowie. Ani kocia, ani czarodziejska część jego natury nie pozwoliłaby mu na to. Był z natury zagadką i jako taki nie mógł zrezygnować ze swojej tożsamości.

Szła zatem i próbowała nie myśleć o tym, co się stanie potem. Zeszli z głównej ulicy i

manewrowali bocznymi ulicami zawalonymi kubłami na śmieci, drobnymi odpadkami i rdzewiejącymi pojazdami. Opuścili oświetlone ulice i weszli w mglisty mrok. Drogę przed nimi słabo oświetlały odległe lampy, których światło odbijało się od murów budynków. Mgła mieszała się z parą, osłaniając całunem cały pasaż i ukrywając przed nimi noc. Ich dotknięcie przyprawiło Willow o dreszcz. Chciałyby znowu ujrzeć słońce.

Znaleźli się między budynkami, gdzie mgła była tak gęsta, iż nie widziała tego, co było przed nią. Dirk zwolnił i obrócił się do niej. Wiedziała już, że nie ma żadnego wyboru.

– Gotowaś, moja pani? – zapytał z szacunkiem, co było niezwykle jak na Dirka. Z powrotem ogarnął ją strach.

– Tak – odpowiedziała, ale później nie była pewna, czy na pewno wypowiedziała to słowo.

– Trzymaj się blisko mnie – poradził jej i zaczął się odwracać.

– Dirk! – zawołała szybko. Spojrzał do tyłu, wahając się. – Czy to pułapka?

Pryzmatyczny kot otworzył szeroko oczy.

– Jeśli nawet, to nie ja jestem jej twórcą – powiedział. – Nie mogę odpowiadać za to, co ty możesz zrobić. Ludzie są dobrze znani z tego, że wpadają w pułapki zastawione przez samych siebie. Być może zdarzy się to i tobie.

Kiwnęła głową, obejmując się rękami, żeby się rozgrzać.

– W tobie pokładam całą moją ufność. Boję się o siebie i moje dziecko.

– Nie ufaj kotu – powiedział filozoficznie Dirk – jeśli jesteś bez rękawic.

– Ufam ci, ponieważ muszę, w rękawicach czy bez. Jeśli mnie zawiedziesz, jestem zgubiona.

– Będiesz zgubiona, jeśli pozwolisz sobie na to. Będiesz zgubiona, jeśli przestaniesz myśleć. – Kot przyglądał się jej intensywnie. – Jesteś silniejsza, niż myślisz, Willow. Wierzysz w to?

Pokręciła głową.

– Nie wiem.

Mglista zasłona owinęła ich i na moment kot zniknął. Kiedy znowu się pojawił, jego oczy były wciąż w niej utkwione.

– Kiedyś powiedziałem Holidayowi, że ludzie powinni słuchać uważniej tego, co koty mają im do powiedzenia, że mogłyby ich nauczyć wielu pożytecznych rzeczy. Powiedziałem mu, że jest to słabość powszechna wśród ludzi, że nie słuchają tak uważnie, jak powinni. Tobie powtarzam teraz to samo.

– Słuchałam cię dobrze – powiedziała. – Nie jestem jednak pewna, czy zrozumiałam. Dirk spojrzał na nią znacząco.

– Czasami zrozumienie musi zaczekać trochę na wydarzenia. A zatem – jesteś

gotowa? Zrobiła krok do przodu.

– Nie zostawiaj mnie samej, Dirk. Cokolwiek się stanie, zostań ze mną. Obiecujesz?

Dirk ze Skraju Lasu pokręcił głową.

– Koty niczego nie obiecują. Jesteś gotowa czy nie? Willow wyprostowała się.

– Liczę na ciebie. – Kot się nie odzywał. – Tak – powiedziała w końcu. – Jestem gotowa.

Weszli w wąski pasaż wypełniony mgłą, która natychmiast ich pochłonięła. Willow trzymała oczy utkwione w Dirku, który co rusz nikał we mgle. Z początku mgła była ciemna, potem zrobiła się wyraźnie jaśniejsza. Zapadły się ściany budynków i zniknęły miejskie zapachy. W mgnieniu oka wszystko się zmieniło wokół nich. Znajdowali się teraz w lesie, krainie wielkich, starych drzew o konarach tworzących baldachim zasłaniający niebo, krainie gęstych zarośli i wysokich paproci oraz zapachów przypominających stare, zapomniane czasy. Powietrze było gęste od zapachu pleśni, próchniejącego drewna oraz posępnej mgły, która osłaniała wszystko gęstym całunem, zmieniając las w krainę cieni i półmroku. Wydawało się, że coś się porusza, ale czegoż można być pewnym tam, gdzie wszystko jest tak rozmazane.

Dirk szedł równym krokiem przed siebie, Willow tuż za nim. Spojrzała raz za siebie, lecz po mieście nie pozostało już ani śladu. Opuścili tamten świat i znaleźli się w czarodziejskich mgłach. Wszystko zaczęło się od nowa.

Najpierw usłyszała głosy, niewyraźne szepty i mamrotania dochodzące z mroku. Wyteżyła słuch, aby zrozumieć słowa, lecz nie potrafiła. Głosy wznosiły się i opadały, lecz pozostawały niewyraźne. Dirk wciąż szedł przed siebie.

Następnie zobaczyła twarze dźwigające się pośród cieni, dziwne i osobliwe oblicza o ostrych i kanciastych rysach, włosach z mchu i jedwabistych brwiach niczym kolby kukurydzy. Czuła utkwione na sobie spojrzenia, przeszywały ją niczym ostrza noży. Ich ciała były tak cienkie i zwiewne, że mogły należeć jedynie do istot eterycznych. Czarodziejskie istoty pędziły w różne strony, to znowu zwalniały, pojawiały się i znikwały niczym błyski żywego światła w przesuwającym się półmroku. Dirk szedł dalej przed siebie.

Dotarli na polanę otoczoną drzewami, mgłą. Była pogrążona w jeszcze głębszym mroku. Dirk przeszedł na środek i zatrzymał się. Willow podążyła za nim. Wszędzie dokoła widziała czarodziejskie istoty z twarzami i ciałami rozpląszczonymi o mgiełkę niczym o szybę.

Rozległy się skierowane do niej szepty, niespokojne i namawiające:

Witaj, królowo Landover!

Witaj, istoto ongiś czarodziejska, na ziemi twoich przodków!

Pokój z tobą i pobądź z nami przez chwile!

Przyjrzyj się temu, co mogłoby być twoje i dziecka, które nosisz...

I nagle zobaczyła, że spaceruje po polu jaskrawoczerwonych kwiatów, jakich nigdy nie widziała. Niosła na rękach dziecko owinięte troskliwie w biały koc, osłonięte przed jasnym światłem. Polne zapachy były tak cudowne i bogate, słońce tak ciepłe i

uspokajające, że poczuła się nagle niewiarygodnie lekka, szczęśliwa i przepelniona nadzieją. Pod nią rozciągał się cały świat, wszystkie jego miasta i wioski, wszyscy ludzie, wszystkie przejawy jego życia. Dziecko poruszyło się w jej rękach. Sięgnęła ręką, aby odsunąć koc i móc zerknąć na jego twarz. Dziecko spojrzało na nią. Wyglądało dokładnie jak ona. To było cudowne.

– Och! – westchnęła i zaczęła płakać z radości.

Znowu znalazła się na polanie, z powrotem pośród czarodziejskich mgieł, patrząc wielkimi oczami w mrok.

Głosy kolejny raz zaczęły szeptać.

Tak będzie, jeśli tylko sobie tego życzysz.

Zrób ze swoim szczęściem, co chcesz, królowo Landover.

Masz prawo. Masz możliwości.

Wybierz bezpieczeństwo w mgłach, bezpieczeństwo dla twego dziecka, bezpieczeństwo z nami, a będzie tak, jak widziałaś.

Potrząsnęła głową, zakłopotana.

– Bezpieczeństwo?

Zostań z nami, czarodziejska ongiś istoto.

Bądź znowu taka, jak kiedyś twój krajanie.

Zostań, jeśli chcesz spełnienia swojej wizji...

Wtedy zrozumiała, ujrzała cenę, którą musiałaby zapłacić, gdyby chciała, by jej dziecko było takie, jak przedstawiła to wizja. Jednakże nie do końca byłoby tak, gdyż oboje skończyliby, żyjąc w wyimaginowanym świecie, a to, co pokazała im wizja, nie byłoby niczym innym, jak tylko tym, co stworzą we własnych umysłach. I straciłaby Bena. Nie wspomniano oczywiście o Benie, ponieważ dla niego nie było miejsca w tej ziemi obiecanej. Był autsajderem, mieszkańcem innego świata, który nigdy się nie przystosuje do życia w czarodziejskim świecie.

Spojrzała w dół na Dirka, lecz przyzmatyczny kot nie zwracał na nią uwagi. Siedział odwrócony od niej i pilnie mył swój pyszczek. Okazywana przezeń obojętność była wystudiowana i umyślna.

Spojrzała z powrotem na morze twarzy we mgle.

– Nie mogę zostać tutaj. Moim światem jest Landover. Musicie wiedzieć o tym. Wybór został dokonany dawno temu. Nie mogę tutaj wrócić. Nie chcę tego.

Poważny błąd, królowo Landover.

Twoja decyzja dotyczy także dziecka. Pomyśl o nim.

Głosy zmieniły ton i stały się bardziej drażliwe. Stłumiła w sobie obawę o to, co to może znaczyć.

– Gdy moje dziecko będzie już duże, samo podejmie decyzję.

Rozległy się pomruki, które nie dodawały otuchy. Szepty niezadowolenia nieudolnie

skrywały złość. Szepty zdradzały złe zamiary.

Nie traciła ducha.

– Czy dacie mi ziemię, której potrzebuje moje dziecko? – zapytała.

Szepty urwały się jak ucięte. Po chwili głos odpowiedział:

Oczywiście. Obiecano ci tę ziemię w przepowiedni. Możesz ją zabrać, ale żeby zabrać, musisz ją uczynić swoją własną.

Czarodziejska ziemia nie może opuścić mgieł, dopóki nie została uczczona i wzięta w posiadanie przez tego, który ją chce wziąć.

Willow ponownie spojrzała na Dirka. Żadnej reakcji. Kot wciąż się mył, jak gdyby nie było na świecie rzeczy od tego ważniejszej.

– Co muszę zrobić? – zapytała się.

To, co jest w twojej krwi, sylfido. Zatańcz, tak jak twoja matka, nimfa drzew, nauczyła ciebie. Zatańcz na ziemi, na której stoisz. Kiedy już to zrobisz, będzie należała do ciebie i będziesz mogła zabrać ją z sobą i opuścić mgły.

Willow stała osłupiała. Zatańczyć? Coś się za tym kryło. Czowała to; była tego pewna. Nie miała jednak pojęcia, cóż to mogło być.

*Tańcz, królowo Landover, jeśli chcesz mieć ziemię dla swego dziecka.
Tańcz, jeśli chcesz zakończyć wędrówkę i urodzić dziecko.
Tańcz, Willow, z ludu istot ongiś czarodziejskich.
Tańcz...*

Cóż. Musiała to zrobić. Zaczęła wolno, ostrożnie stawiając kilka kroków, aby sprawdzić, co się będzie działo, kilka drobnych ruchów, aby zobaczyć, czy wszystko będzie w porządku. Czowała ciężar i niewygodę swego ubrania, lecz nie zdecydowała się go zdjąć, jak mogłaby zrobić przy innej okazji; chciała być gotowa do ucieczki, gdyby pojawiły się kłopoty. Nic takiego się nie stało. Tańczyła trochę szybciej, zwiększyła liczbę kroków i złożoność swoich ruchów. Lęk i ostrożność trochę ustąpiły w obliczu radości, jaką jej sprawiło coś, co tak kocha. Zdawało się, że twarze istot czarodziejskich wycofały się w mgłę, a wraz z nimi pozbawiony skrupułów wzrok, cienkie nosy, powłóczyste włosy i kończyny podobne do patyków. Migotliwe cętki światła i ruchu zatopiły się w mroku. Jeszcze przed chwilą tam były. Teraz została sama.

Z wyjątkiem Dirka, który odsunął się od niej i uważnie przyglądał. Siedział nieruchomo jak kamienna rzeźba.

Tańczyła szybciej, porwana nagle prądem kroków, rytmem ruchów, radością, która przepelniała ją od środka i wciąż wzbierała. Zdawało się jej, że tutaj, w czarodziejskich mgłach, może tańczyć szybciej, lżej i dokładniej niż w realnym świecie. Wszystko, co

teraz robiła, udawało się nieporównanie lepiej niż wcześniej. Radość powiększała się, gdy wykonywała coraz trudniejsze figury, wirując, wykonując piruety, skacząc i wijąc się, lekka jak powietrze, szybka niczym wiatr. Tańczyła i była gotowa stwierdzić, że nagle była o wiele lepsza niż kiedykolwiek jej matka, że w ciągu sekund opanowała to, nad czym jej matka pracowała całe swoje życie.

Zaczęła zrzucać teraz z siebie odzież, zapominając o zahamowaniach, porzucając obietnicę, że zachowa ostrożność i powściągliwość. Po kilku sekundach była naga.

Rzuciła się w poprzek polany, samotna w swoim locie przez mgłę i półmrok, niepomna na wszystko inne. Tak, taniec ten miał w sobie to wszystko, o czym zawsze marzyła!

Tak, dawał jej to, co uważała za niemożliwe! Uniosła się i opadła, znowu uniosła i pomknęła. Przed oczami pojawiły jej się kolory, jasne jak kolory tęczy i świeże jak kwiaty w rozległym, nie kończącym się ogrodzie, wszystkie pieczołowicie wypielęgowane i rozsiewające niewiarygodną woń. Leciała nad nimi, wznosząc się tak, jak to robią ptaki, swobodna jak powietrze. Były z nią inne ptaki, wszystkie kolorowo upierzone, cudownie śpiewające, zakreślające wokół niej łuki, pokazując jej drogę. Przeniosła się z ogrodu na otwarte niebo, unosząc się w stronę słońca, w stronę raję. Niósł ją jej taniec, dźwigał ją w górę, dodawał jej skrzydeł.

Mogła sobie wymarzyć wszystko, co chciała, każdą możliwość, każdą nadzieję. Było tam wszystko i wszystko należało do niej. Tańczyła, a wszystko inne oddaliło się w zapomnienie. Nie pamiętała już, gdzie jest, ani po co przyszła. Nie pamiętała już Bena ani swego dziecka. Taniec był wszystkim. Taniec wypełniał wszystko.

Z mgieł otaczających polanę patrzyły na to wszystko czarodziejskie istoty, uśmiechając się do siebie, pozostając dla niej niewidoczne.

To był moment, w którym Willow mogła się zatracić, dać się na zawsze porwać swojemu tańcowi, gdyby nie to, że Dirk kichnął. Kichnął bez żadnego powodu; ot tak sobie. Był to cichy dźwięk, lecz wystarczająco głośny, by odciągnąć ją od krawędzi przepaści. Na ułamek sekundy w polu jej widzenia znalazł się przyzmatyczny kot i wszystko sobie przypomniała. Zobaczyła, że patrzy na nią silnym, niezgłębionym wzrokiem, z jawnym wyrzutem. Co on jej wtedy powiedział? Pytała się go o pułapki, a on ostrzegł ją, że ludzie najczęściej wpadają w pułapki, które sami na siebie zastawiają. Oczywiście. Takie jak na przykład ten taniec.

Nie mogła jednak się zatrzymać. Była zbyt głęboko zatopiona w wirze przyjemności płynących z niego, w jego cudowności, by przerwać swoje ruchy. Marzenia, które wywołał, były zbyt zniewalające, aby z nich zrezygnować. Zrobiła to, przed czym ją ostrzegł i dała się złapać w potrzask, z którego nie może się teraz uwolnić. Zrozumiała, że był to plan przygotowany dla niej przez istoty czarodziejskie – miała tańczyć i tańczyć i nigdy ich nie opuścić. Tutaj urodziłoby się dziecko, pośród czarodziejskich mgieł, a wtedy należałoby już do nich. Oboje należeliby do czarodziejskich istot już na zawsze.

Dlaczego? Dlaczego one tego chcą? Nie usłyszała odpowiedzi.

Myśli rozpierchły się i przez moment groziło jej, że znowu ześlizgnie się do swoich

marzeń, lecz nie spuszczała oczu z Dirka. Mknęła przez polanę i patrzyła, jak ją obserwuje. Bezskutecznie starała się coś wymyślić. Miałaby tańczyć bez końca? Nigdy się nie zatrzymać? Ależ musi! Musi! Nie może pozwolić, aby tak się stało, powiedziała sobie. Znajdzie sposób, żeby się z tego wyzwolić.

Ben. Gdyby był tutaj Ben, pomógłby jej. Ben, któremu ufała, że jej nigdy nie opuści, który ślubował jej swoją wierność do ostatnich dni. Ben, siła, która ją podtrzymywała, gdy wszystko inne zawodziło. Zawsze przychodził. Zawsze.

Lecz jak miał przyjść tym razem?

Ben!

Czy zawołała go na głos? Nie była pewna. Czowała, jak Dirk zaczyna się jej wymykać. Już go prawie nie widziała poprzez mgiełkę swego tańca, poprzez magię, która ją usidliła.

Ben!

I nagle pojawił się na krótką chwilę – mignęła jego twarz, jego oczy, pokonały czas i odległość. Był tam, wciąż daleko od niej, ale znajdował się w jej zasięgu.

Nagle dostrzegła szansę na ucieczkę. Użyje czarodziejskiej magii dla własnej korzyści. Przygotowano magię, aby dała się w nią złapać, a ona pozwoliła na to, lecz wciąż było jeszcze z tego wyjście. Taniec był snem, a sen można zmienić, jeśli będzie dość silna. Jeszcze nie wszystko było stracone. Nie wszystko, jeśli taka jej wola. Nie wszystko, jeśli nie zapomniała.

Zamknęła oczy i zataczając w tańcu wielki łuk, przywołała Bena Holidaya. Mogła go sobie wyobrazić tak samo jak wszystko inne. Na tym właśnie polegała magia czarodziejskiego świata. Odpędzi swój lęk i zapanuje nad swoimi obrazami, podporządkuje ją sobie i będzie mogła wpływać na jej kierunek. Była to lekcja, którą dostał kiedyś Ben. To na to próbował wyczulić ją Dirk. Posłuż się magią, aby się uwolnić. Posłuż się tańcem, aby uciec.

Ben!

Zawołała do niego głosem mocnym i zdecydowanym.

I wtedy wydarzyło się coś zdumiewającego i zupełnie nieoczekiwanego.

Rycerz spał w labiryncie, leżąc rozciągnięty na ziemi w gaju drzew liściastych, których gałęzie tworzyły nad głową baldachim jak czasza olbrzymiego namiotu. Kobieta leżała wtulona w niego z głową opartą na jego ramieniu, a rękę ułożyła na jego piersi. Uśmiechała się; surowość charakterystyczna dla jej twarzy tej nocy była nieobecna. Wszystko dokoła osnute było mgłą i mrokiem okrywającymi cały świat i tych, którzy po nim stąpali, ale rycerz i kobieta, przynajmniej na chwilę, zapomnieli o tym.

Gargulec siedział nieopodal na tylnych łapach przykryty płaszczem i przyglądał się im z niepokojem. Nie podobało mu się to. Nie potrafił wyjaśnić dlaczego, ale wyczuwał w tym jakiś fałsz. Było to wyraźne. Tych dwoje było wrogami, a nowe przymierze nie miało racjonalnych podstaw. Ich popędliwość może ich pochłonać. Może nawet ich zniszczyć.

Zmarszczył z niesmakiem niekształtną twarz i odwrócił wzrok.

W czasie snu rycerzowi zaczęły się pokazywać obrazy. Na początku sen był nieostry, dźwięk i ruch rozmazane. Był niesiony poprzez czas i przestrzeń ku jakiemuś nieznanemu miejscu. Był spokojny i nie opierał się sile, która go ciągnęła. Potem zaczął słyszeć głosy – nie, jeden głos – wołający jego imię. Słyszał, jak jest raz po raz powtarzane. Rozpoznał głos, lecz nie potrafił powiedzieć, do kogo należy. Imię również wydało się znajome.

Ben.

Przemierzając drogę, słuchał dźwięków i wiedział, że się do nich przybliża, że jest przyciągany, że został umyślnie wezwany.

Ben.

Potem poczuł szarpnięcie, jakby pociągnęła go olbrzymia ręka i nagle stanął na nogach. Głos był teraz wyraźny i znajdował się bardzo blisko. Była to kobieta i wołała, gdyż znalazła się w krytycznej sytuacji. Była kimś, kogo znał, kimś, z kim był związany i prosiła go, aby dał jej opiekę.

Rycerz natychmiast ruszył ku niej, wyciągając przed siebie wielki pałasz. Zaczął przeciskać się między drzewami lasu, który go nagle otoczył. Był to labirynt, a jednocześnie coś innego. Nie potrafił tego wyjaśnić, ale te dwa światy były w tym samym czasie oddzielone od siebie i połączone. Wszystkie elementy były te same. Uniósł pałasz przed siebie, gotowy do walki. Wciąż nie miał ciężkiej zbroi, odziany jedynie w kolczugę, skórzane ubranie, pas, wysokie buty i rękawice. Zastanawiał się tylko przez chwilę. Nie czuł lęku przed tym, co go czekało. Pewność, z jaką przystępował do tej sprawy, górowała nad wszelkimi wątpliwościami. Musiał przychodzić z pomocą tym, wobec których zobowiązał się słowem honoru, a wzywająca go kobieta była spośród nich najważniejsza.

Dotarł do polany, gdzie światło padające z nieba było bladą jasnością w gęstej mgle. Na jego widok rozpierzchły się małe postacie, istoty chude i kanciaste, zbudowane jakby z mchu i patyków. Odskoczyły od niego, jakby przyniósł jakąś zarazę, posykując i szemrając, niczym szczury zapędzone w róg. Przeszedł między nimi, nie zwalniając kroku, i zatrzymał się dopiero na środku polany.

Kobieta, która tańczyła w półmroku, pomknęła prosto w jego ramiona i chwyciła się go, jak gdyby był liną ratunkową wrzuconą do szalejącego morza. Była naga i drżała, jakby przemarzła do szpiku kości. Przywarła twarzą i ciałem do niego.

– Ben – wyszeptała. – Przyszedłeś. Rycerz objął ją mocno, próbując uspokoić jej drżenie, i gdy to robił, rozpoznał ją całym swoim ciałem.

– Willow! – szepnął z niepohamowaną dzikością.

Wtedy już wiedział. Żłuda, która nałożyła nań kajdany, odpadła za jej dotknięciem, na dźwięk jej głosu, na widok jej twarzy. Choć śnił, to sen ten był w jakimś sensie realny. Został wezwany do niej we śnie, lecz ich połączenie było tak prawdziwe, jak gdyby wydarzyło się na jawie. Oboje mieli ciała. Przywarła do niego, szepcząc jego imię, mówiąc mu rzeczy, których nie mógł zrozumieć. Znajdowali się pośród czarodziejskich

mgieł. Została uwięziona przez czarodziejskie istoty w tańcu i nie mogła się uwolnić. Ich dziecko miało być im odebrane i zatrzymane tutaj na zawsze. Lecz tutaj wszystko staje się rzeczywistością, jeśli się tylko potrafi to sobie wyobrazić, więc w rozpaczliwej próbie wyrwania się stąd, wyobraziła sobie, że on przychodzi i ją ratuje. I przyszedł, lecz nie tak, jak się tego spodziewała. Był tam naprawdę. Jak to się stało? Jak się wdarł do czarodziejskich mgieł?

Dokoła nich roilo się od czarodziejskich istot; syczały i rzucały się na wszystkie strony, doprowadzone do wściekłości. Zobaczył Dirka ze Skraju Lasu siedzącego nieopodal, przyglądającego się na koci sposób. Dirk ze Skraju Lasu? Co on tutaj robił?

Znacznie ważniejsze było to, co się stało z rycerzem z labiryntu, który teraz wiedział, że jest Benem Holidayem? Zalały go wspomnienia, pękło zaklęcie zapomnienia. Został wyrwany z Serca przez magię i uwięziony w szkatule ozdobionej rzeźbionymi znakami runicznymi. To była ostatnia rzecz, jaką pamiętał sprzed obudzenia się w labiryncie. Poza tym pamiętał Horrisa Kewa, który tam stał, postawił szkatułę i odsunął się, a chwilę potem Ben wpadł do niej, staczając się w dół wraz z...

Serce mu zamarło.

Z Nocnym Cieniem i Strabo.

Z kobietą i gargulcem.

Prawda tak go oszołomiła, że przez moment nie mógł oddychać ani się poruszyć. Schwycił się Willow, jak gdyby sytuacja się odwróciła i teraz ona była liną ratowniczą, która nie pozwoli, aby się zanurzył w odmętach. Wyczuła jego przerażenie i szybko wzięła jego twarz w swoje dłonie.

– Ben – szepnęła ponownie. – Proszę cię. Już wszystko w porządku.

Z wielkim trudem otrząsnął się z paraliżującego strachu. Kątem oka zauważył, że obraz *zaczyna* się rozdzierać. Sen, który związał ich z sobą, zaczynał się rozpadać na fragmenty, kończył się, magia się wyczerpywała. Willow również to czuła. Wraz z końcem tańca kończył się również sen, który nie miał skąd czerpać siły. Ruszyła po ubranie, ignorując słabe odgłosy wściekłości emanujące z mgieł. Gdy doszła do siebie, zdecydowała, że nie da się nabrać powtórnie. Ubrana, nachyliła się nad ziemią, po której tańczyła i zagarnęła garść ziemi do woreczka.

Ben patrzył na nią, niczego nie rozumiejąc. Ruszył w jej stronę, ale zorientował się, że nie może wykonać ruchu. Spojrzał na siebie i zobaczył z przerażeniem, że *zaczyna* zniknąć.

– Willow! – zawołał ostrzegawczo.

Podniosła się natychmiast i popędziła ku niemu, lecz on tracił już kształt i ostrość, powracając do swego snu, do swego więzienia. Słyszał ją, jak go woła, widział, jak wyciąga za nim ręce, patrzył, jak próbuje go złapać. Lecz nie udało jej się. Magia, która ściągnęła ich do siebie z czarodziejskich mgieł dwóch światów, rozpadała się.

– Willow! – zawołał ponownie, tym razem z rozpaczą, nie potrafiąc opóźnić swego odejścia. – Znajdę cię jakoś! Obiecuję! Przyjdę po ciebie!

– Ben! – usłyszał, jak woła do niego ostatni raz, po czym uniósł się, przezroczysty pośród mgieł, pchany niczym chmurka w stronę wyrwy oddzielającej ich na jawie, z powrotem do snu, z którego przybył.

Znowu została sama na cichej polanie. Willow spojrzała w niebo na skłębiony mrok. Bena już nie było. Magia jej wizji była wystarczająco silna, by go sprowadzić, ale nie na tyle, żeby go zatrzymać. Uwolnił ją od tańca, ale nie mógł zostać i dalej pomagać. Poczuła, jak ponownie przepełnia ją rozpacz i musi powstrzymać się od płaczu. Nie było jednak czasu na pogrążanie się w smutku. Liczyło się tylko jej dziecko. Zdecydowała wykorzystać energię złości, żeby dodać sobie siły, i szybko odwróciła się do Dirka ze Skraju Lasu.

– Chcę wracać do domu – powiedziała spokojnie, nie śpiesząc się. – Natychmiast.

Pryzmatyczny kot mrugnął oczami.

– W takim razie chodźmy, królowo Landover.

– Nie chcesz mnie zatrzymać?

– Ja nie.

– Ani czarodziejskie istoty otaczające z wszystkich stron polanę?

Dirk ziewnął.

– Już ich nie interesuje ta gra. To ciekawe, że tak się przestraszyły Holidaya, nie sądzisz?

Zastanowiła się nad tym. Rzeczywiście. Ciekawe. Dlaczego pozwoliły mu odejść? I jej. Co ich powstrzymało przed tym, żeby im przeszkodzić?

– Którą ścieżką mam się udać, Dirk? – zapytała go. Dirk ze Skraju Lasu uniósł się i przeciągnął.

– Każda jest dobra. Wszystkie prowadzą tam, dokąd chcesz się udać. Twój instynkt cię zaprowadzi. Jak już wcześniej powiedziałem, jesteś silniejsza, niż myślisz.

Nie odpowiedziała mu, zbyt była zła za to, co z nią zrobiono, aby przyjmować komplementy. Pomógł jej na swój własny, osobliwy sposób, czy przez przypadek, czy celowo, wciąż nie była pewna, lecz tak czy inaczej przyzmatyczny kot nie był jej przyjacielem. Czarodziejskie mgły i istoty je zamieszkujące, włączając w to Dirka, były przekleństwem. Chciała odejść od nich wszystkich.

– Nie idziesz ze mną? – zapytała.

– Nie – odpowiedział. – Nie będziesz już mnie potrzebowała. Twoje poszukiwania są zakończone.

Rzeczywiście. Miała ziemię, po którą została wysłana, ziemię z trzech światów, z których krew jej dziecka bierze początek. Jeśli Matka Ziemia mówiła prawdę, narodziny dziecka miały nastąpić teraz. Nie pozostało jej już nic więcej do zrobienia. Mogła wrócić do domu.

Naciągnawszy dokładniej płaszcz na siebie i trzymając kurczowo woreczek z ziemią

blisko przy ciele, odwróciła się i ruszyła przed siebie. Zrobiła tak, jak jej powiedziano, i zdała się na swój instynkt. Dziwna rzecz, ale wydawał się prowadzić ją w sposób bardzo pewny. Zabrał ją prostą drogą przez las.

Wiódł ją w sam środek mgieł, aż stała się zupełnie niewidoczna.

PRZEBUDZENIE

Ben Holiday przebudził się, podrywając się z miejsca. Otworzył szeroko oczy i wpatrywał się przez mrok poprzedzający świt na drzewa labiryntu. Nie poruszył się; nie był w stanie. Zamarł w miejscu, jakby był pokryty lodem. W głowie roiło się od pytań, szeptów i tajemniczych nagabywań. Śnił o spotkaniu z Willow czy też rzeczywiście do niego doszło? Była to prawda czy też szalony wytwór jego wyobraźni? Jaka część z tego, co się wydarzyło i co zapamiętał, była rzeczywistością?

Kobieta leżała przyciśnięta do niego i wciąż spała. Gargulec siedział na tylnych łapach na skraju drzew kilka metrów od nich ze zwieszoną głową. Ben otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. Nocny Cień? Strabo?

Zamknął oczy i nie otwierał ich przez moment, zastanawiając się. Wydarzyło się coś, co odsłoniło mu prawdę – temu nie można było zaprzeczyć. Nie był rycerzem; był Benem Holidayem. Rycerz był tylko personifikacją jego prawdziwego ja. To samo było z kobietą i gargulcem. Zostali zamienieni przez labirynt i jego magię albo przez magię, która wysłała ich tutaj. A może przez jakieś odrażające złudzenie, którego jeszcze nie potrafili pojąć. Otrzymali osobowości, które odzwierciedlały jakąś część tego, kim byli, lecz ukrywały resztę. Sprawiali wrażenie kogoś znacznie różnego od tego, kim byli kiedyś. Strabo był zmieniony najbardziej; nie był już nawet smokiem. Nocny Cień można było rozpoznać, choć również była zmieniona w sposób trudny do określenia. Żadne z nich nie posiadało swojej mocy magicznej. Żadne z nich nie miało siły i władzy, które dzierżyli w Landover.

Ponownie otworzył oczy. Mgła zawisła między pniami i konarami drzew. Pokrywała trawy, na których leżał. Labirynt był rozległym, nie kończącym się mirażem, którego nie można było przeniknąć wzrokiem.

Co z nimi zrobiono?

Horris Kew. Magik miał z tym coś wspólnego, choć szczerze mówiąc, trudno było uwierzyć w to, że posiada moc wystarczającą do uwięzienia ich w tym świecie. Był tam wtedy jednak i wszystkiemu się przyglądał. Dostarczył szkatułę, do której zostali zwabieni, w której teraz byli uwięzieni. Ben wymówił jeszcze raz te słowa: Uwięzieni w szkatule. Jak tego dokonano? – zaczął się nagle zastanawiać. Horris Kew. Oddychał powoli, próbując myśleć. Czy wiedza o tym, że Horris Kew był w to wplątany, może w jakiś sposób pomóc? Gdzie się znajdowali? No tak, w labiryncie, ale gdzie to jest?

Jego myśli przeskoczyły nagle na inny temat. Willow. Poszedł do niej. To nie był sen – a jeśli był, to była w nim duża doza rzeczywistości. Jeśli się weszło w czarodziejskie

mgły, wszystko było możliwe. Rzeczywistość tam miała płynną naturę i wszystko mogło się zdarzyć. Sprowadziła go do niej magia, magia zrodzona z jej tańca i obrazów powstałych w jej wyobraźni. Przywołała go do siebie, ponieważ nie mogła się uwolnić. Czy teraz jest wolna? Czy pomógł jej uciec, zanim sen się skończył? A przede wszystkim, co ona robiła w czarodziejskich mgłach?

Na jego pytania nie było odpowiedzi, powstawało natomiast coraz więcej nowych pytań. Nie mógł do tego dopuścić. Zbyt wielka ich liczba mogła go udusić. Teraz liczyła się tylko jedna rzecz – uwolnić się z labiryntu i odnaleźć ją. Musi być jakiś sposób. Użyto magii, aby zataić przed nim prawdę o nim samym i musi być po temu jakiś powód. W tym zatajeniu kryje się coś, co pomoże im, co pomoże im wszystkim.

Spojrzał jeszcze raz na nich, na ich bezgłośnie, śpiące kształty. Uwolnił się od Nocnego Cienia, myśląc o tym, co zaszło między nim jako rycerzem a nią jako kobietą, zdając sobie sprawę z krzywdy, jaką nieumyślnie sobie wyrządzili. Przypomniawszy sobie, jak go pocałowała. Przypomniawszy sobie jej dotyk. Przymknął oczy z zażenowania. Jak miał jej powiedzieć, że to wszystko było kłamstwem? Jak miał jej powiedzieć, że nie jest jego podopieczną, tak jak wcześniej sądził, że magia wypełniająca ich więzienie spletała figła, każąc im myśleć, iż ich związek jest czymś więcej, niż rzeczywiście był, i sprawiła, że oni...

Nie był w stanie dokończyć tej myśli. Tylko jedno się liczyło. Teraz i zawsze jest tylko Willow.

Podniósł się na nogi, choć jeszcze nie był gotowy, żeby to zrobić. Odszedł od niej, przechodząc w stronę drzew, próbując zebrać fragmenty tego, co wiedział w jakąś sensowną całość. Myślał o tym, w jakiej postaci się tutaj pojawił, jako rycerz bez przeszłości i bez przyszłości, bezimienny wojownik, szermierz pana bez imienia i orędownik sprawy, której nie potrafił określić. Jego najgorszy koszmar. Najgorszy...

Lęk.

Wtedy ujrzał ukrytą przed nimi prawdę. Oni również znajdowali się w czarodziejskich mgłach!

Nagle obok niego znalazł się gargulec, wyłaniając się z mgły jak ponury cień. Nachylał się, wysuwał do przodu swoje wykrzywione łapy dla zrównoważenia rozczłonkowanego ciała.

– Co się stało? – zapytał, widząc twarz Bena. Ben spojrzał na niego, próbując przeniknąć brzydotę, przeniknąć maskę stworzoną przez magię. Nie potrafił.

– Wiem, co nam zrobiono – powiedział. – Wiem, skąd przyszliśmy. Wiem, kim jesteśmy.

Twarz gargulca wykrzywiła się i zamarła, oczy zamigotały jak płomień świeczek.

– Powiedz mi.

Ben pokręcił głową. Ruszył w kierunku kobiety.

– Musimy również ją obudzić.

Podeszli do niej, Ben wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Obudziła się od razu, gładka na twarzy, rozrzuwiona po śnie, który stonował chłód jej twarzy i przywołał uśmiech.

– Śniłeś mi się – zaczęła. Położył jej palec na ustach.

– Nie, nic nie mów. Usiądź i wysłuchaj mnie. Mam wam coś do powiedzenia. – Odsunął się od niej, pozwalając jej wstać. – Słuchajcie uważnie. Wiem, kim jesteście.

Patrzyła na niego przez moment wielkimi oczami, po czym potrząsnęła szybko głową.

– Nie chcę wiedzieć. – W jej głosie krył się lęk, jakby zdała sobie sprawę, że coś może zostać jej odebrane. – Co to za różnica dla nas tutaj?

Głos zachował spokojny i dobitny.

– Wiedząc, kim jesteśmy i skąd przychodzimy, dajemy sobie szansę, żeby stąd uciec. Naszą jedyną szansę, jak sądzę.

– Jak to się stało, że ty wiesz, a my nie? – warknęła na niego.

– Miałem sen – powiedział jej. – We śnie dowiedziałem się, co się z nami stało. Zostaliśmy tutaj uwięzieni za pomocą magii. Zostaliśmy wysłani z innego świata, naszego świata. Użyto magii, abyśmy zapomnieli o tym, kim jesteśmy, aby sprawić, iż byśmy wydawali się kimś innym. Wysłano nas tutaj, abyśmy tułali się bez końca, abyśmy spędzili resztę naszego życia, na próżno starając się znaleźć wyjście. Lecz stąd nie ma wyjścia, jeśli nie używa się magii. Mielście słuszność – tylko magia może nas uratować. Lecz najpierw musimy zrozumieć, jak ta magia działa. Żeby to zrobić, musimy zrozumieć samych siebie, kim jesteśmy, skąd przychodzimy, czym się zajmujemy.

– Nie – powiedziała cicho i pokręciła głową w obie strony. – Nic więcej już nie mów.

– Nie jestem rycerzem – powiedział, ciągnąc szybko dalej, chcąc mieć to jak najszybciej z głowy. – Jestem Ben Holiday, król Landover.

Zakryła rękoma usta, drżąc cała. Głęboko w jej gardle uwiązł jakiś dźwięk.

Nie mogąc wytrzymać jej spojrzenia, Ben zwrócił się do gargulca. Potwór wpatrywał się w niego bez wyrazu.

– Ty nazywasz się Strabo. Jesteś smokiem, a nie gargulcem.

Odwrócił się z powrotem do kobiety, stanowczy.

– Ty jesteś...

– Nocnym Cieniem! – powiedziała przez zęby z wściekłością. Odsunęła się od niego, a jej gładka twarz wykrzywiła się z rozpacz. – Holiday, coś ty nam zrobił? Coś ty mi uczynił?

Ben potrząsnął głową.

– My nic nie zrobiliśmy sobie nawzajem, żadne z nas. To miejsce uczyniło to możliwym. Magia zabrała nam nasze Wspomnienia, kiedy wysłano nas z Serca. Pamiętacie? Był tam mężczyzna ze szkatułą. Kartki, które rzekomo wysłaliśmy do siebie

nawzajem, były przynęta; złapano nas w sidła. Owiął nas jakiś rodzaj zaklęcia i wysłał tutaj, do szkatuły...

– Tak, teraz sobie przypominam! – ryknął Strabo, który mimo odkrycia swojej tożsamości, wciąż nie wyglądał na smoka. – Pamiętam tego mężczyznę i jego szkatułę, i magię oplatającą nas w sita jak ryby! Co za potęga! Ale jak tego dokonano? Spójrzcie na mnie! Jak mogłem zostać tak bardzo zmieniony?

Ben przykucnął przed nim. Polana była zupełnie cicha. Było tak, jakby ich świat przestał się poruszać.

– Jesteśmy w czarodziejskich mgłach – powiedział cicho. – Pomyślcie o tym, jak my wyglądamy. Przybraliśmy postacie osób, którymi najbardziej lękamy się zostać. Ty jesteś potworem, nienawidzonym i pogardzanym, wyrzutkiem, na którego nikt nie chce patrzeć, na którego wszyscy polują, którego wszyscy winią za wszystko, czego nie można w inny sposób wyjaśnić. I nie potrafisz latać, czyż nie? Pozbawiono cię skrzydeł. Czy nie obawiałeś się zawsze tego, że zostaniesz skazany na ziemię? Latanie zawsze zapewniało ci możliwość ucieczki, choćby nie wiadomo jak trudna była sytuacja. Tutaj nawet z tego cię okradzione. – Przerwał. – A spójrzcie na mnie. Jestem tym, kim najbardziej bałem się zostać. Jestem królewskim szermierzem, jego starannie wyselekcjonowanym niszczycielem, rzeźnikiem nieprzyjaciół, bezimienny i pusty, pozbawiony wszystkiego z wyjątkiem umiejętności walki i żądzy wykorzystania jej. Nawet moja zbroja stała się bronią, monstrualną zjawą nazywaną Haze, która eliminuje każdego zagrażającego nam wroga. Lękam się zabijania bardziej niż czegokolwiek innego i dlatego właśnie mnie się to przytrafiło.

Powstrzymał się, gdyż nie miał ochoty już nic więcej mówić. Nie wiedzieli, że był Paladynem. Wiedzieli tylko, że Paladyn służył królowi. Nie chciał, aby dowiedzieli się czegoś więcej.

– Nocny Cień – powiedział łagodnie, obracając się ponownie do niej. Przykucnęła na ziemi, jak zwierzę zapędzone w kozi róg. – Czego ty się najbardziej lękasz? Co cię przeraża? Z pewnością utrata mocy magicznej. Sama to powiedziałaś. Ale coś jeszcze...

– Zamilcz! – krzyknęła.

– Bycia człowiekiem – szybko wtrącił Strabo. – Traci swoją moc, kiedy przyznaje się do swoich ludzkich uczuć. Staje się wtedy słaba. Nie może dopuszczać do siebie takich uczuć. Nie może być czuła, łagodna, nie może okazywać miłości...

Nocny Cień rzuciła się na niego z pazurami wymierzonymi w twarz, lecz Ben zdążył ją odepchnąć na bok, zwalić na ziemię i przygwoździć ciałem, gdy pluła i wrzeszczała jak oszalała. Wiedźma została zmieniona o wiele bardziej, niż można było przypuszczać, pomyślał, przyciskając ją do podłoża. W Landover nigdy nie byłby w stanie tego dokonać, gdyż dziesięciokrotnie przewyższała go swoją siłą. Tutaj rzeczywiście była pozbawiona swojej mocy.

W końcu się uspokoiła i odwróciła głowę w bok. Po jej bladej twarzy płynęły łzy.

– Będę cię zawsze nienawidzić – wyszeptwała, a jej głos stał się ledwo słyszalny. – Za

to, co mi zrobiłeś, za to, co przez ciebie czułam – wszystko to było kłamstwem, potwornym fałszem! Że mogło mi zależeć na tobie, że mogłam cię kochać, że mogłam być z tobą, tak jak kobieta może być z mężczyzną – jakże mogłam być tak głupia? Zawsze będę cię nienawidziła, Holiday. Nigdy ci tego nie zapomnę.

Wstał i zostawił ją tam, gdzie leżała, wciąż odwróconą od niego. Cokolwiek by powiedział, to i tak by jej to nie pomogło. Nie można było darować tego, iż z jego winy zaczęła coś do niego czuć; nie można było wybaczyć, iż wprowadzona w błąd zaczęła uważać go za kochanka. Nie miało znaczenia, co czuła wcześniej. Przepaść, która między nimi się rozwarła, już nigdy się nie zamknie.

– Labirynt stanowi część czarodziejskich mgieł. – Obciągnął płaszcz przekrzywiony w czasie szarpaniny. – To Willow wezwała mnie w moim śnie. Wzywała z innej części mgieł. Kiedy do niej przyszedłem, poczułem, że moje miejsce i jej miejsce zostały połączone. Przypomniałem sobie, jak mgły wpływają na ludzi i na tych, którzy z nich odeszli. Używają przeciwko nam lęku, aby zmienić to, kim jesteśmy, aby nas przerobić, postawić nas w obliczu tego, co doprowadza nas do szaleństwa. W czarodziejskich mgłach, gdzie jedyną rzeczywistością jest to, co my sami stworzymy, wyobraźnia siebie spustoszenie pośród naszych emocji. Zwłaszcza strach. Jesteśmy zgubieni, jeśli do tego dochodzi. Nie potrafimy panować nad tym, tak jak istoty czarodziejskie. Kiedyś mi to powiedziały. Ostrzegły mnie przed tym. Wziął głęboki oddech.

– To, co zrobiliśmy w czasie naszej wędrówki, dokąd poszliśmy, kogo spotkaliśmy, nie jest prawdziwe. Albo nie jest prawdziwe poza labiryntem. Rozumiecie? My to wszystko wymyśliliśmy! Razem albo oddzielnie, tego nie wiem. Mieszkańcy miasteczka, Cyganie rzeczni, Gristlisy – oni wszyscy reprezentowali istoty z Landover. Mieszkańców Greenswardu, istoty pochodzące z krainy czarodziejskich mgieł, skalne trolle, gnomy dodomy czy kogokolwiek innego. Oni nie istnieją poza naszymi umysłami, poza tymi mgłami bądź poza więzieniem, w którym zostaliśmy osadzeni.

Strabo pokręcił głową.

– Czarodziejskie mgły nie mogły zmienić mnie czy wiedźmę w takim stopniu, jak ciebie. My sami jesteśmy istotami czarodziejskimi. Jednak spójrz na mnie. Jestem bardziej zmieniony niż ty! I nie mniej poddany działaniu strachu, który opisałeś. Poza tym ich nie czuję! A powinienem, ponieważ mam wstęp do nich w trakcie przechodzenia z jednego świata do drugiego. Być może Nocny Cień nie ma prawa wstępu do mgieł, lecz nie ja. Nie, Holiday. Za tym musi się kryć coś jeszcze.

– Jest jeszcze szkatuła! – rzucił Ben. – Szkatuła jest czymś więcej niż tylko pojemnikiem na mgłę. Jest pułapką na tyle silną, aby utrzymać takich jak my. W niej działa jakaś dodatkowa magia.

– To możliwe – zgodził się tamten z zadumą. – Lecz jeśli tak jest, to jaka magia może nas uwolnić?

– Zastanawiałem się nad tym – powiedział Ben. – Kiedy przypomniałem sobie, kim jestem, to przypomniałem sobie coś jeszcze. Myślę, że odebrano nam tożsamość, aby zlikwidować jakąkolwiek szansę przypomnienia sobie czegokolwiek, co mogłoby nam

pomóc w ucieczce. Ta pułapka ma działać na dwa sposoby. Po pierwsze ma sprawić, abyśmy zapomnieli o tym, kim jesteśmy. Po drugie, ma odebrać nam wszelką magię, abyśmy się stali bezsilni. Cóż, przezwyliśmy to pierwsze, zostaje zatem to drugie. Nie ma magii, a my nie możemy się wydostać z pułapki bez magii.

Spojrzał na nich po kolei. Nocny Cień znowu stała, wyprostowana jak kij, z ospałym wyrazem twarzy.

– Myślę jednak, że Horris Kew lub ktokolwiek inny, kto nas tutaj włożył, mógł popełnić błąd. Magia, którą zamierzano nam odebrać, miała być wrodzona. To dlatego zostaliśmy zmienieni w inny sposób. Ty, Strabo, zostałeś najbardziej zmieniony. Twoja magia jest nieodłączna od tego, kim jesteś. Jesteś smokiem, więc zostałeś zmieniony w coś całkowicie innego. W innym wypadku mógłbyś użyć ognia, aby wydostać się z tej pułapki, ponieważ ogień jest twoją największą bronią i obok innych rzeczy pozwala ci przechodzić między światami.

Odwrócił się do Nocnego Cienia.

– Ty zostałeś ograbiona ze swojej magii z tego samego powodu, chociaż nie było potrzeby zmieniać twego wyglądu, ponieważ twój wygląd nie wpływa na to, czy twoja magia działa czy nie. Rezultat był jednak taki sam. Podobnie jak Strabo zostałeś uwięziona bez możliwości ucieczki, ponieważ magia, na której najbardziej polegałaś, magia istniejąca wewnątrz ciebie, zniknęła. – Przerwał. – Inaczej sprawa ma się ze mną. Ja nie posiadam wrodzonej mocy magicznej. Przybyłem do Landover bez niej i wciąż jej nie posiadam. Na mnie więc nie miało to wpływu. Pozbawiono mnie pamięci i to wszystko. Tak długo, jak nie pamiętałem, kim jestem, nie stanowiłem żadnego zagrożenia.

– Przejdź do sedna sprawy – rzuciła chłodno wiedźma.

– To właśnie stanowi sedno sprawy – odparł Ben. Sięgnął pod tunikę i wyciągnął medalion z wyrytym wizerunkiem Paladyna wyjeżdżającego konno ze Sterling Silver o wschodzie słońca. – Medalion królów Landover przekazany mi, gdy zostałem ściągnięty z mojego świata. Nadaje mi prawo do panowania, daje mi władzę nad Paladynem i robi coś jeszcze. Pozwala mi przechodzić przez czarodziejskie mgły. Zapanowała przedłużająca się cisza.

– Zatem sądzisz... – zaczął Strabo i przerwał.

– Jest szansa, że moc magiczna talizmanu nie została wywabiona w ten sam sposób, jak wasza, że nasze więzienie jest zaprojektowane, aby uczynić bezużyteczną magię żywych istot, a nie magię *rzeczy* nieożywionych. – Ben przerwał. – Poza Landover medalion nie udziela mocy do sprawowania władzy i nie pozwala przywoływać Paladyna. Pozwala jednak przechodzić przez czarodziejskie mgły. Być może będzie mógł tego dokonać i tutaj. Zachował swoje więzi ze zbroją Paladyna, mimo że zbroja pojawia się w postaci Haze. Gristlisy rozpoznały go i tym samym ochronił nas przed nimi. Może będzie również mógł nas uwolnić.

– Jeśli rzeczywiście jesteśmy uwięzieni w jakiejś części mgieł – zauważył surowo Strabo.

– Oczywiście – zgodził się Ben.

– Dajesz nam bardzo niewielką nadzieję – powiedział po zastanowieniu tamten.

– Ale jedyną, jaką mamy.

Strabo pokiwał głową. Jego brzydka twarz była prawie pogodna.

– Jedyną.

Wtedy Nocny Cień wysunęła się do przodu z chmurą gniewu na twarzy i zatrzymała się tuż przed Benem.

– Czy to się naprawdę może powieść? – zażądała odpowiedzi niebezpiecznie cichym głosem. Ich spojrzenia spotkały się.

– Myślę, że tak. Będziemy musieli zabrać medalion w mgły i go sprawdzić. Jeśli uczyni to, co powinien, wyłonimy się z mgieł w miejscu, w którym do nich weszliśmy.

– Powrócimy do własnych kształtów? – Jej oczy rozbłysły.

– Nie wiem, ale myślę, że powinniśmy, skoro będziemy już poza więzieniem i zasięgiem jego mgieł.

Skinęła głową. Jej twarz zrobiła się biała jak marmur, a oczy prawie czerwone. Odbijała się w nich taka wściekłość, że aż przebiegł go dreszcz.

– Oby tak było, królu-marionetko – powiedziała miękko. – Bo jeśli nie wydostaniemy się z tego szaleństwa, a ja znowu nie stanę się tym, kim byłam, to każda moja część, każdy kawałek tego, kim jestem, spędzi resztę swego życia, czekając na okazję, aby cię zniszczyć. – Naciągnęła dokładnie długi płaszcz, przypominając mrocznego ducha ukazującego się o świcie we mgle. – Masz na to moje słowo. A teraz wydostań nas z tego.

Zdawało się, że czas się zatrzymał.

Willow szła przez mgły równym krokiem, powoli i ostrożnie stawiając stopy. Nie potrafiła powiedzieć, gdzie idzie. Z trudem widziała grunt, po którym stąpała. Jeśli była to pułapka, to było po niej. Mgła była tak gęsta, że wcześniej by wpadła w pułapkę, niżby ją zauważyła. Posuwała się, wierząc na słowo Dirkowi, ale tam, gdzie chodzi o słowo dane przez istotę czarodziejską, nie można czuć się specjalnie spokojnym.

Po jakimś czasie powietrze zaczęło się przersedzać. Stopniowo zaczęło się rozjaśniać, jakby świt wychodził z mroków nocy, jakby większe ciemności ustępowały miejsca mniejszym. Światło potęgowało swoją siłę, przechodząc od czerni do szarości, lecz wciąż nie było słońca. Mgła stopniowo wycofywała się, aż znalazła się na skraju lasu, oplatając drzewa i zarośla. Willow rozejrzała się. Znajdowała się w dżungli splątanych drzew i pnących roślin, wilgotnej i cuchnącej ziemi oraz kompletnej ciszy. Nie dochodził do niej żaden dźwięk, nie zauważyła wokół siebie żadnego ruchu, jak gdyby życie zostało zniszczone.

Zrobiła na próbę kilka kroków do przodu i zatrzymała się. Rozejrzała się jeszcze raz. Omdlewające uczucie rozlało się po żołądku. Wiedziała, gdzie się znajduje. Była w Wielkiej Czeluści, w domu Nocnego Cienia.

Przez krótką chwilę myślała, że musi się mylić. Jak to możliwe, aby trafiła tutaj, mając tyle innych miejsc do wyboru? Znowu ruszyła do przodu, badając wzrokiem otaczającą ją dżunglę, starając się przeniknąć gruby baldachim drzew, zobaczyć, co się znajduje poza półmrokiem, przekonać samą siebie, że się myli. Nie potrafiła. Jej instynkt i pamięć były w tym wypadku dość wyraźne. Znajdowała się w Wielkiej Czeluści.

Zaczerpnęła powoli powietrze, aby się uspokoić. To mógł być kolejny trik czarodziejskich istot, pomyślała. Mogła to być ich zemsta na niej – pozwolić jej, aby zabłądziła do kryjówki Nocnego Cienia. Ufaj swemu instynktowi – radził jej Dirk ze Skraju Lasu. Nie ufaj kotu. Wypuściła powietrze. Tak czy inaczej musi stąd szybko uciec albo zostanie odkryta.

Ruszyła szybko przez gęstą, zieloną płataninę, chcąc dotrzeć do krawędzi rozpadliny, zanim się ściemni. Chociaż nie nadszedł jeszcze poranek, nie było wykluczone, że może się tułać po czeluści aż do zmroku i nie wydostać się na wolność. Wielu już się to przytrafiło. Wielu nigdy się stąd nie wydostało. Szła po cichu, używając swych zdolności istoty ongiś czarodziejskiej, czerpiąc otuchę z tego, że przynajmniej była z powrotem w Landover. Zastanawiała się, jak jej instynkt mógł tak bardzo ją zawieść. Pewnie magia czarodziejskich istot wprowadziła ją w błąd. Jakżeż to okrutne i mściwe z ich strony, pomyślała ze złością.

Nagle brzuch i kończyny przeszył ból i zgięła się w pół. Opadła na jedno kolano, ciężko chwytając powietrze. Ból trwał tylko chwilę i minął. Podniosła się na nogi i ruszyła pośpiesznie przed siebie. Po kilku minutach ból powrócił. Tym razem był silniejszy i trwał dwa razy dłużej. Uklękła w wysokiej trawie i objęła się kurczowo rękami. Co się z nią działo? Nagle poderwała głowę do góry, zdając sobie sprawę, co to jest.

To dziecko! Nadszedł już czas!

Przymknęła oczy, zdziwiona i zawiedziona. Nie tutaj! Proszę, nie tutaj!

Z trudem stanęła na nogach i szła dalej, lecz po kilku sekundach ból powrócił, rzucając ją z powrotem na kolana. Był tak silny, że ledwo mogła oddychać. Z zaciśniętymi zębami próbowała się podnieść ostatni raz, ale zrezygnowała. Dziecko zdecyduje, powiedziała jej kiedyś Matka Ziemia. Najwidoczniej dziecko teraz to właśnie robiło. Willow przyklękła na dnie Wielkiej Czeluści i zapłakała. Jej dziecko nie powinno się narodzić w tym odrażającym miejscu! Nie powinno się rodzić w ciemności i mroku! Czy istoty czarodziejskie mają z tym coś wspólnego? Czy tak to zaplanowały, czy ich złość z powodu utraty dziecka jest tak wielka, że teraz życzą mu krzywdy?

Łzy wciąż ciekły po policzkach Willow, gdy po omacku szukała przy pasie woreczka z cenną ziemią. Znalazła go i wyciągnęła. Poluzowała sznurki. Ból pojawiał się z nagłym wybuchem, od którego skręcało się całe jej ciało. Nie miała czasu na przygotowanie się do porodu. Działo się to tak szybko, przyszło tak nagle, że nie zostało czasu na myślenie.

Przeczolgała się kilka metrów do skrawka nagiego terenu i wbiła się palcami w ziemię, aby ją spulchnić. Nie było to trudne; ziemia w Wielkiej Czeluści była wilgotna i miękka. Kiedy mały skrawek gleby został przygotowany, otworzyła woreczek i rozsypała zebraną ziemię wokół siebie, mieszając ją z podłożem. Ból teraz nie ustępował, nasilając

się i ustępując w równomiernych odstępach. Żałowała, że nie wie więcej o tym, czego się może spodziewać, żałowała, że nie zapytała Matki Ziemi. Poród dla istoty niegdyś czarodziejskiej jest przy każdym poczętym dziecku innym doświadczeniem, a ona tak mało wiedziała o tym, jak on przebiega. Zacisnęła mocniej zęby, mieszając ziemię – tę spod starych sosen z krainy jezior, tę z miejsca nazywanego się Greenwich w świecie Bena i tę z czarodziejskich mgieł. Następnie połączyła je z glebą Wielkiej Czeluści.

Błagam, prosiła w myślach. Błagam, oby tylko to nie wyrządziło krzywdy memu dziecku.

Potem odrzuciła pusty woreczek i ze sporym wysiłkiem podniosła się na nogi. Skręcając się z bólu, czując dziecko niecierpliwie poruszające się w jej łonie, przygotowała się do przemiany. Dziecko miało przyjść na świat, kiedy ona przyjmie formę drzewa. Nie była w stanie powiedzieć tego Benowi. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek będzie mogła. Zrzuciła ubranie i była naga. Następnie ustawiła się w samym środku ziemi, którą wymieszała i wbiła w nią palce nóg.

Od chwili rozpoczęcia swego przeobrażenia była już spokojna. Teraz nie mogła już nad tym panować. Zrobiła wszystko, co mogła, aby zapewnić swemu dziecku bezpieczne przyjście na świat. Ufała Matce Ziemi; przyniosła ziemię, które były potrzebne. Teraz mogła jedynie pozwolić, aby jej dziecko się urodziło. Nagle zatęskniła za Benem. Chciała czuć jego Obecność, czuć jego dotyk na sobie, usłyszeć jakieś dodające otuchy słowa. Nie podobało jej się, że jest teraz sama.

Jej oczy zamknęły się.

Powoli zaczęła ulegać przemianie, palce u rąk wydłużyły się w gałązki, palce u nóg stały się korzeniami, ramiona rozdzieliły się na gałęzie, nogi zrosły w pień, całe ciało zmieniło kształt, kolor i wygląd. Włosy zniknęły. Twarz zniknęła. Skręciła się, gdy kora zaczęła pokrywać jej ciało. Westchnęła jeden raz, po czym znieruchomiała.

Mijały godziny, a w Wielkiej Czeluści, gdzie drzewo wierzby zapuściło korzenie, nic się nie poruszyło. Żadnego wiatru, który by szeleścił w liściach. Żadnego ptaka, który by sfrunął na gałęzie. Żadnego zwierzątka, które by się wspięło na gładki pień. Powietrze rozjaśniło się do zmatowiałej, zamglonej szarości, letni upał przybrał na sile uwięziony w ociekającej wilgocią plataninie tropikalnych roślin. Deszcz pokropił i zaraz minął. Woda kapiała z giętkich konarów na ziemię.

Nadeszło południe.

Wtem drzewo zaczęło drzeć od jakiegoś wewnętrznego poruszenia. Powoli, jakby w męczarniach, tam gdzie pień zaczyna się rozwidlać ku niebu, otulina pękła i szeroki pęd wystrzelił do światła. Pojawił się szybko, wijąc i przepychając się ku górze, jakby jego wzrost został przyspieszony. Rosnąc, robił się coraz szerszy i zmieniał kształt.

Po kilku chwilach był już strąkiem.

Wewnątrz strąka coś się poruszyło.

SCHOWEK

Questor Thews i Abernathy stali razem na murach Sterling Silver i patrzyli ponad jeziorem oblewającym zamkową wyspę na tłumy ludzi, napływające na okoliczne łąki. Nadciągali przez cały dzień, dziesiątki pęczniały w setki, setki w tysiące. Większość przyszła z Greenswardu, choć była też pewna liczba trolli z Melchoru, istot z nagich pustkowi na wschodzie oraz wieśniaków z kilkunastu małych kolonii na północy i południu. Przyszli jak włóczędzy, bez jedzenia i koców, nawet bez podstawowych przyborów do rozniecania ognia. Wydawało się, że nie obchodzi ich to. Mężczyźni, kobiety i dzieci, niektórzy ze starymi perszeronami lub mułami, inni z hałastrą podążających za nimi psów i kotów, przywędrowali tutaj zewsząd i stanowili najbardziej różnorodne zbiorowisko, jakiemu kiedykolwiek udało się zgromadzić w jednym miejscu. Teraz dreptali wokół jeziora i spoglądali na zamek jakby w nadziei, że ktoś ich zaprosi do środka na dobry poczęstunek.

To nie żywności jednak szukali. To, czego każdy z nich łaknął, to, po co każdy przyszedł, to, co wszyscy chcieli zdobyć za wszelką cenę, to kryształ marzeń.

– Popatrz na nich – mruknął Abernathy i pokręcił głową aż lekko zatrzepotały jego psie uszy. – To naprawdę wygląda okropnie.

– Niestety, ale wygląda gorzej, niż przewidywaliśmy – potwierdził z uroczystą powagą Questor Thews.

Spodziewali się kłopotów od momentu, gdy Abernathy i Bunion powrócili z Rhyndweir z opowieścią o nieznanym w czarnym płaszczu i Horrisie Kewie. Nieznajomy twierdził zdecydowanie, że w Sterling Silver czeka na nich ogromna kryjówka z kryształami marzeń. Były do wzięcia. Abernathy zdał sumiennie relację z każdego usłyszanego słowa. Spodziewali się jednak stawić czoło lordowi Kallendborowi i innym władcom Greenswardu, którzy mieli się pojawić ze swoimi armiami, aby zażądać wyjaśnień, podprowadzić je pod mury i sforsować bramę. Zamiast tego stanęli w obliczu tysięcy wieśniaków i rzemieślników oraz ich rodzin, prostych ludzi, którzy nie nosili broni ani zbroi, głodnych, zmęczonych i oszukanych, stojących wkoło, jak było czekające na kogoś, kto zaprowadzi je do obory.

Tyle że obora znajdowała się, oczywiście, tam skąd przyszli, lecz nikt z nich nie chciał o tym słyszeć. Nie chcieli słyszeć niczego, co nie zawierało słów „kryształ marzeń”. Było to smutne, lecz nie dało się tego w żaden sposób uniknąć.

Nie słuchali, oczywiście, niczego, co Questor Thews bądź Abernathy mieli im do powiedzenia. Kiedy przybyli pierwsi z nich, a było to dość wcześnie tego ranka, weszli na most, który łączył wyspę z lądem. Krata w bramie była na noc spuszczone, więc zatrzymali się przed nią i zaczęli krzykiem wzywać Bena Holidaya, aby do nich zszedł. Na murach obronnych pojawił się Questor Thews i odkrzyknął, że król jest w tej chwili nieobecny, i zapytał, czego sobie życzą. Kryształów marzeń, oświadczyli namiętnie, po jednym dla każdego. Niestety, nie mają żadnych na zbyciu, odpowiedział Questor.

Nazwali go kłamcą i rzucili pod jego adresem jeszcze kilka innych wyzwisk oraz zaczęli robić obraźliwe uwagi na temat jego pochodzenia. Abernathy pojawił się u boku swego przyjaciela, wciąż czując się odpowiedzialny za całe to zamieszanie i zapewnił ludzi zgromadzonych na moście – ich liczba wciąż rosła, nawet w czasie ich sporu – że Questor Thews mówi prawdę, że wewnątrz zamku nie ma kryształów marzeń. Nie przekonało to nikogo. Wciąż sypały się groźby i wyzwiska. Tłum wciąż się rozrastał.

Ostatecznie Questor wysłał oddział żołnierzy królewskich, aby cofnęli ludzi z mostu na drugi brzeg jeziora i ustawili tam kordon broniący dostępu do zamku. Wśród popychania i szarpaniny żołnierze oczyścili most, lecz nikt nie zawrócił i nie ruszył w stronę swego domu, jak na to liczył nadworny czarodziej. Zamiast tego stanęli twardo tuż za kordonem i czekali, aż coś się wydarzy. Nic się, oczywiście, nie wydarzyło. Questor nie był pewien, co ich zdaniem miało się niby wydarzyć. W każdym razie do południa liczba zgromadzonych ludzi wzrosła do kilku tysięcy. Nieustannie spływali z okolicznych pagórków i zapełniali łąki naprzeciwko zamku. Skwar coraz bardziej dawał się we znaki i choć dzień był cudownie jasny i bezchmurny, ludzie stawali się coraz bardziej nerwowi.

W pewnej chwili ktoś stojący blisko kordonu coś powiedział, ktoś inny dodał coś innego i nim się można było spostrzec, tłum ruszył, przełamując zapórę i zrzucając żołnierzy do jeziora. Następnie rzucił się mostem w kierunku bramy zamku.

Mógł to być początek prawdziwych kłopotów, gdyby nie to, że Questor wciąż stał z Abernathym na blankach murów obronnych, starając się rozstrzygnąć, co jeszcze mogliby zrobić. Kiedy ujrzał tłum gnający w stronę zamku, podciągnął rękawy swej starej, szarej sukni i przywołał swą magiczną moc. Był to dość ryzykowny akt, jak zresztą każdy inny, gdyż zaklęcia Questora nigdy nie przynosiły spodziewanych efektów, kiedy się spieszył (a nawet wtedy, gdy się nie spieszył), ale teraz nie było czasu na zastanawianie się. Zamierzał posłać w sam środek nacierających ludzi błyskawicę, która by ich rozproszyła lub zrzuciła w wody jeziora. Zamiast tego cisnął kilka galonów oleju – nie był to ten rozgrzany, buchający płomieniami olej, lecz zwykła, śliska maź – prosto pod nogi prowadzących szarżę. Olej rozlał się po całej drewnianej powierzchni mostu i cała grupa znajdująca się na czele tłumu runęła na deski w płataninie usmarowanych rąk i nóg. Ci z tyłu potykali się z kolei o swoich towarzyszy, próbując zahamować lub ich przeskoczyć, i również przewracali się na ziemię. Po chwili cały most zalany był ciałami błyszczącymi od oleju. Questor Thews zarządził, aby zamknięto bramę i cały zamek został w przyspieszonym trybie uszczelniony. Tłum wycofał się w dół mostu, rzucając za siebie co krok przekleństwa i groźby. Na tym nie koniec, o nie! Poczekaj, a przekonasz się, Questorze! Niech tylko przybędą władcy Greenswardu! Wtedy dopiero będziecie mieć kłopoty, wy wszyscy!

To się w zupełności zgadza, przyznał w ciszy Questor, lecz niewiele mógł w tej sprawie uczynić. Kilka godzin później, gdy dzień miał się już ku końcowi, wciąż tam stali i czekali, aby zobaczyć, co nastąpi wcześniej: zachód słońca czy przybycie armii Kallendbora.

Wydawało się, że warto postawić na zachód słońca. Niebo na wschodzie już pociemniało, a to na zachodzie zmieniało kolor na złoty. Kilka z księżyców unosiło się już

nad horyzontem z północnej strony i przesuwały się stopniowo ku gwiazdom. Nie było śladu Kallendbora ani władców Greenswardu – żadnych krzyków zwiastujących ich przybycie, żadnego kurzu nad pobliskimi równinami, żadnego odgłosu końskich kopyt czy szczęku zbroi. Wyglądało na to, że dalsze kłopoty zostały odsunięte do następnego rana.

Abemathy liczył na to. Niełatwo przyszło mu się przyznać przed Questorem Thewsem do tego, jak został oszukany przez Horrisa Kewa. Bolało jak wrywanie zęba, gdy stwierdzał, że dał się nabrać do tego stopnia, iż został współtwórcą akcji rozdawania mieszkańcom Landover fatalnych kryształów marzeń, a przez to dopuścił do zaistnienia obecnej sytuacji. Wciąż nie mógł się pogodzić z utratą własnego kryształu i jego obrazów i w końcu powiedział Questorowi nawet o tym. Teraz mógł się już przyznawać do wszystkiego, zdecydował. Czy mogło to mieć w tej chwili jakiegokolwiek znaczenie?

Questor okazał nadzwyczajną wyrozumiałość i podtrzymał przyjaciela na duchu. To nic takiego – powiedział. Nie można ciebie za to winić. Zrobiłbym to samo, gdyby to wypadło na mnie. Dziękował Abernathy'emu, że odłożył na bok uczucia osobiste na rzecz większej pomyślności królestwa Landover, a w szczególności nieobecnego Bena Holidaya.

– Byłem takim samym głupcem jak ty – powiedział z powagą. Wiotkie włosy sterczały mu do góry jak u jeżozwierza, który przyjmuje pozycję obronną. – Z taką samą łatwowiernością przyjąłem słowa Horrisa Kewa jak i ty. Nie kwestionowałem wartości kryształów, które nam pokazał. Wydawały się idealnym rozwiązaniem naszych problemów. Szczerze mówiąc, sam byłem bliski poproszenia o ten przedmiot.

– Ale nie zrobiłeś tego – zauważył smutno Abemathy. – Nic mnie nie usprawiedliwia.

– Nonsens! – Questor potrząsnął gwałtownie głową. – Właściwie zmusiłem cię do jego przyjęcia, gdy mieliśmy je sprawdzić. Ja mogłem je sprawdzić, ale pozwoliłem, abyś ty podjął ryzyko. Poza tym nie tak dawno ja byłem w takiej sytuacji, w jakiej ty znalazłeś się teraz, stary druhu. To ja uruchomiłem magię, która wysłała ciebie z królewskim medalionem na jego stary świat. Nie, nie pozwolę, abyś brał choć trochę winy za to, co się tutaj stało.

I tak nie zdjęło to z Abernathy'ego brzemienia winy, jaką czuł po tym, co zrobił. Niemniej Questor wciąż próbował coś zrobić, by jego kompan tak się tym nie gryzł i Abernathy był mu za to wdzięczny. Czułby się o wiele lepiej, gdyby mógł się dowiedzieć, co się stało z Benem Holidayem. Questor skorzystał z krainoglądu jeszcze raz tego rana, Bunion kolejny raz przetrząsnął najbliższą okolicę i żaden z nich nie zdobył niczego, co mogłoby zwieńczyć ich wysiłek. Gdziekolwiek był Ben Holiday, był dobrze ukryty. Abernathy chciał zatopić swoje zęby w nieznanym w czarnym płaszczu i naprawdę mocno go ugryźć. Wstydział się, że jego zwierzęca strona dochodziła w tej sprawie do głosu, lecz rozpaczliwie pragnął odkupić zło, które wyrządził.

– Aha – odezwał się nagle Questor Thews i przerwał rozważania skryby. – Popatrz tam.

Abernathy popatrzył przed siebie. Z lasu po zachodniej stronie wynurzyła się grupa mężczyzn niosąca olbrzymią kłodę drewna uformowaną na kształt tarana. Przy taszczyli

kloc na łąkę w pobliżu jeziora. Idąc z pniem, śpiewali monotonie i sapali, a tysiące ich towarzyszy zgromadzonych dokoła wiwatowało z wigorem na ich cześć.

– Oni chyba żartują – powiedział czarodziej, tracąc ze zdziwienia oddech.

Lecz oni byli śmiertelnie poważni. Było ich trzydziestu lub więcej, rozdzieleni równo po obu stronach prowizorycznego tarana, biegnąc wolnym truchtem przez łąkę w kierunku mostu. Wszyscy ludzie wokół nich powstali z ziemi i wyrzucali w górę ręce zaciśnięte w pięści.

– Hej, wy tam! – krzyknął Questor Thews, potrząsając naokoło białymi włosami. – Natychmiast zawróćcie! Rzućcie kłodę na ziemię!

Nie mogli go usłyszeć; krzyczeli zbyt głośno. Właściwie cieszyli się już z góry. Grupa mężczyzn z taranem skręciła na most i ruszyła do przodu, nabierając prędkości. Ryk zdecydowania wyrwał się z ich płuc.

Questor Thews znowu zakasał rękawy.

– Ciekawe, co powiecie na to? – mamrotał z wściekłością.

Abernathy stał nieruchomo na swoim miejscu. Zastanawiał się, co powinien zrobić? Nagle nastawił uszu i zawarczał.

Ludzie na moście przebyli ostatni odcinek mosty i uderzyli taranem w bramę zamku. Rozległ się potężny głuchy odgłos i poleciały drzazgi. Taran i ludzie go dźwigający odskoczyli parę metrów i upadli. Abernathy'emu wydawało się, że czuje, jak siła uderzenia w bramę dociera aż na samą górę muru, na którym stoi przykucnięty z rękami zaciśniętymi na pysku.

– Dobrze wam tak! – krzyknął Questor Thews, wyrzucając do góry ręce. Wyglądał, jakby miał coś zaraz zrobić. Wyglądał, jakby gotował się do uderzenia. Na końcach palców zgromadziło się białe światło. Abernathy zacisnął zęby. Coś złego się zaraz wydarzy.

Ludzie z taranem podnieśli się i ruszyli jeszcze raz, nie *zrażeni* niepowodzeniem.

Ramiona Questora zawirowały gwałtownie. Zbyt gwałtownie. Tak ostro zabrał się do wywoływania zaklęcia, że stracił równowagę. Kiedy próbował ją odzyskać, potknął się o swoje szaty. Przechylił się niebezpiecznie nad krawędzią parapetu. Abernathy rzucił się pośpiesznie do przodu i chwycił go. Kiedy to robił, czary Questora uwolniły się z jego palców i poleciały w dół na tłum. Na podstawie dźwięku, który się wydobył z ust maga, Abernathy domyślił się, że zaraz wydarzy się coś nieoczekiwanego.

Nie mylił się. Czary opadły na most niczym srebrny deszcz, miękko i łagodnie. Być może miał to być piorun bądź błyskawica, które powinny rozproszyć ludzi z taranem. Być może miała to być kolejna kąpiel w oleju. Nic takiego się nie zdarzyło. Zamiast tego magia zniknęła w drewnianej powierzchni mostu jak woda w piasku, a po chwili most zatrząsł się i wygiął w łuk jak zbudzony ze snu wąż. Ludzie z taranem po raz drugi przewrócili się kilka metrów od swego celu, przeklinając i wrzeszcząc. Most zafalował, rzucając ludźmi na wszystkie strony, jakby byli szmacianymi lalkami. Taran podskoczył w powietrze, potem stoczył się z mostu i znalazł w fosie. Mężczyźni jeszcze bardziej

zaczęli kłać i krzyżeć. Questor z Abernathym chwycili się siebie kurczowo i patrzyli w dół, nie wierząc własnym oczom. Most zaczął się teraz skręcać jak w konwulsjach. Odczepił swoje końce od jednego i drugiego brzegu i zaczął się zwijać. Nieliczni, którzy wciąż się kurczowo trzymali jego powierzchni, ratując się przed niebezpieczeństwem, puszczali się i skakali do wody. Trzasnęły deski i rozpadły się na części. Wystrzeliły w górę żelazne gwoździe. Wiązania wytarły się i ustąpiły. Most uniósł się do góry po raz ostatni niczym waż wyskakujący z morskich głębin, po czym rozpadł się na milion kawałków i runął do jeziora.

Zapadła długa chwila ogłuszającej ciszy. Ludzie, którzy nieśli taran, przy pomocy znajomych na brzegu próbowali wydostać się z wody. Reszta motłochu zgromadziła się na brzegu, wytrzeszczając oczy. Woda pieniała się i kotłowała niczym wrzątek w kociołku.

Questor spojrzał na Abernathy'ego szeroko rozwartymi oczami.

– Co powiesz na to? – zapytał.

Słońce zaszło i nie wydarzyło się już więcej incydentów. Gawiedź miała najwidoczniej dość wrażeń jak na jeden dzień i skupiła się teraz na układaniu ognisk i węszeniu za jedzeniem. Po zniszczeniu mostu ostatnie otwarte połączenie z lądem stałym zostało przerwane i Sterling Silver było prawdziwą wyspą na środku jeziora. Teraz, rzecz jasna, nie było sposobu, żeby do niej dotrzeć, chyba że ktoś miał ochotę popływać. Większość ze zgromadzonych nie potrafiła pływać i w ogóle nie ufała wodzie. Questor był skłonny pogratulować sobie dobrze przeprowadzonych czarów, lecz powstrzymał się przed tym, ponieważ Abernathy dobrze wiedział, że wszystko wypadło nie tak, jak było zaplanowane.

Abernathy znowu zaczął się zastanawiać, jak, u licha, wydostaną się z tego bałaganu bez pomocy Holidaya.

Było jeszcze jasno, kiedy – mimo najgłębszych chęci i cichych nadziei Questora i Abernathy'ego – Kallendbor przybył jednak ze swoją okazałą armią i zajął pozycje na wprost bramy zamku. Odsunięto wieśniaków i zrobiono miejsce dla żołnierzy i ich dowódcy. U boku Kallendbora znajdował się Horris Kew ze swoim ptakiem. Ten pierwszy kręcił się w kółko, zdezorientowany, a drugi siedział na jego ramieniu niczym omen. Abernathy obserwował ich lodowatym wzrokiem. Oto przyczyna tego wszystkiego, pomyślał ponuro. Horris Kew i jego ptak. Gdyby tylko mógł ich dopaść. Gdyby tylko mógł dostać ich w swoje ręce chociaż na pięć sekund. Nie mógł się oderwać od tego obrazu.

Nie mogli nigdzie dostrzec nieznanego w czarnym płaszczu. Obaj, Questor i Abernathy, przeszukiwali tłum, lecz nie znaleźli go. Może został z tyłu, pomyśleli, choć żaden z nich w to nie wierzył.

Zapadł mrok, słońce zniknęło i rozbłysły ogniska na tle nocy. Wartownicy zajęli pozycje na brzegu jeziora w takich miejscach, aby na zamku widziano, że Kallendbor przystąpił do obłączenia. Questor i Abernathy pozostali na murach i pograżyli się w myślach.

– Licho wie, co mamy robić – mamrotał posępnie Abernathy.

W obozie na dole panowała krzątanina, ludzie przepychali się w poszukiwaniu miejsca na zatłoczonej łące. W powietrzu unosił się zapach pieczonego mięsa. Podawano sobie kubki z piwem, rozbrzmiewał głośny i ochryply śmiech.

– Piknik na całego, nie sądzisz? – powiedział z rozdrażnieniem Questor. Nagle drgnął.
– Abernathy, spójrz tam!

Abernathy spojrział. Na brzegu jeziora stał Kallendbor z Horrisem Kewem i ptakiem. Tuż obok niego był nieznajomy w czarnym płaszczu, widoczny jak na dłoni. Stali z dala od pozostałych, patrząc ponad wodą na Sterling Silver.

– Ręczę, że robią plany na jutro – powiedział mag. Pokręcił głową ze znużeniem. – Mam już tego dość. Idę na górę do krainogłędu. Może w końcu dowiem się czegoś o królu. Przeszukam jeszcze raz krainę i może tym razem coś samo się ujawni. – Machnął rękami, jakby odpychał to wszystko od siebie, i ruszył. – Wszystko jest lepsze od patrzenia na tych idiotów.

Zatoczył szeroki łuk swoimi szarymi szatami i zniknął, zostawiając Abernathy'ego samego na warcie. Kontemplując niesprawiedliwość życia i głupotę ludzi zamienionych w psy i od nowa zastanawiając się, co może zrobić, aby spłacić dług, Abernathy pozostał na miejscu mimo opinii Questora, że jest to strata czasu. Wydawało mu się, że niewiele może zrobić, siedząc zamknięty w czterech ścianach zamku. Myślał o tym, żeby przepłynąć jezioro i podkraść się do Horrisa Kewa i jego ptaka, lecz cóż mogło mu to przynieść? Zostałby uwięziony albo spotkałoby go coś jeszcze gorszego.

Na drugim brzegu, prawie w zupełnych ciemnościach, Kallendbor, Horris Kew, Biggar i nieznajomy wciąż z sobą rozmawiali, jakby chcieli do spisku wciągnąć i noc.

Abernathy próbował – oczywiście, bez powodzenia – czytać z ruchu ich warg, kiedy jakieś poruszenie z tyłu kazało mu się odwrócić. Dwóch strażników z zamku pojawiło się od strony schodów, trzymając w swoich krzepkich dłoniach dwa małe, oblepione brudem, wyrywające się kształty.

– Wielki panie! – jęknął żałośnie jeden z nich.

– Potężny panie! – zakwilił drugi.

Masz ci los, pomyślał Abernathy, gdy postawiono przed nim tę dwójkę. Kiedy zdawałoby się, że sprawy nie mogą już przybrać gorszego biegu, ich pojawienie jeszcze bardziej wszystko skomplikowało. Nie można się było pomylić co do tych dwóch: tęgie, owłosione, pokryte skorupą brudu ciała; brodate, lisie twarze o spiczastych uszach i mokrych nosach; odziani w łachmany po chłopach i śmieszne, skórzane jarmułki z czerwonymi piórkami. Byli równie dobrze znani i niepożądani co zimowy mróz czy piekielny letni skwar; ich odwiedziny były jednak częstsze i nieuniknione. Były to gnomy dodomy, najbardziej pogardzane istoty w całym królestwie Landover, najgorsze z najgorszych, krok do tyłu w drabinie ewolucji. Były to złodziejaszki żyjące z dnia na dzień, żerujące na cudzym nieszczęściu, które niejednokrotnie same sprowadzały. Były tą odmianą stworzeń, które wyszukują w śmieciach swego pożywienia i tym samym oczyszczają teren z tego, co ludzie zostawili przez zapomnienie, choć oczywiście gnomy dodomy oczyszczały teren bardzo chętnie również z tego, co wcale nie zostało zostawione

przez zapomnienie. Szczególnie lubiły małe koty – co nie przeszkadzało Abernathy'emu, oraz małe psy – co go zdecydowanie raziło.

Szczególnie ta dwójka gnomów była źródłem nie kończących się kłopotów dla członków dworu Bena Holidaya. Od momentu, kiedy pojawili się zupełnie nieoczekiwanie, aby złożyć hołd lenniczy królowi jakieś trzy lata temu – dość wątpliwe dobrodziejstwo, jeśli spojrzeć na to wstecz – zawsze kręcili się pod nogami. Teraz znowu tu byli – ta sama para intrygantów – żeby kolejny raz obrzydzić Abernathy'emu życie.

Fillip i Sot skulili się ze strachu, zobaczywszy jego, a nie króla. Wciąż skomleli za Holidayem, który przynajmniej ich tolerował. Abernathy nie miał takich skrupułów.

– Gdzie jest nasz pan? – zapytał natychmiast Phillip.

– Właśnie, gdzie jest król? – zawtórował mu Sot.

– Złapałem ich, jak się kręcili po królewskiej sypialni – oznajmił jeden ze strażników, potrząsając porządnie Phillipem, aby ten przestał się szamotać. Gnom zaskowyczał. – Chcieli chyba coś ukraść.

– Ależ nigdy w życiu! – zawołał Phillip.

– Od naszego pana nigdy! – zawołał Sot. Abernathy poczuł, jak zbliża się ból głowy.

– Postawcie ich na ziemi – polecił, wzdychając. Strażnicy upuścili ich jak worki. Gnomy upadły na kolana, płaszcząc się żałośnie.

– Wielki nadworny skrybo!

– Potężny nadworny skrybo! Abernathy potarł skronie.

– Och, przestańcie! – Oddalił straż i skinął na gnomy, aby się podniosły. Wstały niepewnie, rzucając dokoła niespokojne spojrzenia, myśląc pewnie, że zaraz spotka je jakiś straszliwy los, myśląc pewnie o próbie ucieczki.

Abernathy przyglądał się im ze znużeniem.

– Czego chcecie? – warknął.

Gnomy wymieniły pośpieszne spojrzenia.

– Zobaczyć się z królem – odpowiedział z wahaniem Phillip.

– Rozmawiać z królem – zgodził się Sot.

Byli beznadziejni, jeśli chodzi o okłamywanie i Abernathy od razu zauważył, że się wykręcają. Miał za sobą bardzo długi, pełen rozczarowań dzień i nie chciał tracić czasu na takie rozmowy.

– Zjedliście ostatnio jakieś zabłąkane zwierzęta? – zapytał miękko, nachylając się do przodu, aby mogli zobaczyć niewyraźny błysk jego zębów.

– Och, nie, my byśmy nigdy...

– Tylko warzywa, przysięgamy...

– Bo mnie dopada czasami taka chęćka na pieczone gnomy – przerwał ostro

Abernathy. Znieruchomieli. – A teraz mówcie prawdę albo nie ręczę za to, co się stanie za chwilę!

Fillip z trudem przełknął ślinę.

– Chcemy kryształ marzeń – odpowiedział z wyrazem nieszczęścia na twarzy. Sot skinął głową.

– Każdy ma oprócz nas.

– Chcemy tylko jeden.

– Nie prosimy o zbyt wiele.

– Nie, to nie jest zbyt wiele.

Abernathy chciał ich zadusić. Czy ten nonsens się nigdy nie skończy?

– Spójrzcie na mnie – powiedział z rozdrażnieniem. Niechętnie napotkali jego wzrok. – Tutaj nie ma kryształów marzeń. Ani jednego. Nigdy nie było. Jeśli ja miałbym o tym zdecydować, to nigdy nie będzie! – Prawie zawahał się przy tym ostatnim stwierdzeniu, lecz po zastanowieniu zdecydował, że naprawdę tak myślał. Nachylił się i złapał ich za chude, sękatę ręce. – Chodźcie tutaj. – Przyciągnął ich do muru, nie zwracając uwagi na ich krzyki i lamenty, że zostaną zrzućeni na zatracenie. – Popatrzcie tam! – warknął ze złością. – No patrzcie! – Spojrzeli. – Widzicie tamtego człowieka z ptakiem? Tego obok Kallendbora? Obok człowieka w czarnym płaszczu?

Zawahali się, lecz zaraz kiwnęli jednocześnie głowami.

– To jest ten – oznajmił tryumfalnie Abernathy – który ma kryształy marzeń! Więc idźcie porozmawiać z nim!

Puścił ich i cofnął się, opierając ręce na psich biodrach. Gnomy dodomy popatrzyli na siebie niepewnie, potem z powrotem na Horrisa Kewa i znowu na Abernathy'ego.

– To tutaj nie ma kryształów? – zapytał Phillip takim tonem, jakby został zraniony.

– Ani jednego? – zapytał Sot. Abernathy pokręcił głową.

– Macie uroczyście słowo nadwornego skryby i sługi króla. Jeśli w ogóle są jeszcze jakieś kryształy, to tam macie mężczyznę, który potrafi je znaleźć.

Phillip i Sot otarli brudnymi paluchami wilgotne pyski i załzawione oczy i popatrzyli w dół na magika z większym zainteresowaniem. Pociągali niespokojnie nosami, a ich żuchwy zaczęły się poruszać bez widocznego celu. Cofnęli się.

– Porozmawiamy zatem z nim – oświadczył Phillip, jak zwykle przejmując na siebie przewodnictwo.

– Tak, porozmawiamy – poparł go Sot. Zaczęli się odwracać i ruszać w stronę schodów. Abernathy wbrew samemu sobie zawołał ich.

– Zaczekajcie! – krzyknął. – Zatrzymajcie się na chwilę. – Podeszedł do nich. Nie był im tego winien, ale nie mógł jednocześnie pozwolić im iść bez udzielenia ostrzeżenia. – Słuchajcie. Ci ludzie, zwłaszcza ten w czarnym płaszczu, są bardzo niebezpieczni. Nie

możecie tak po prostu podejść i poprosić o kryształ. Jest duża szansa, że was poszatkują na drobne kawałeczki za to, że im przeszkadzacie.

Fillip i Sot popatrzyli na siebie.

– Będziemy bardzo ostrożni – odrzekł Phillip.

– Bardzo – przytaknął Sot. Znowu ruszyli.

– Zaczekajcie! – zawołał Abernathy drugi raz. Właśnie pomyślał o czymś, co wcześniej nie przyszło mu do głowy. Gnomy dodomy odwróciły się. – Jak się tutaj dostaliście? – zapytał podejrzliwie. – Nie przeszliście przez most i nie wyglądacie, jakbyście przepłynęli jezioro. Więc jak właściwie się tutaj dostaliście?

Wymienili kolejne z nie kończącej się serii ukradkowych spojrzeń. Żaden z nich się nie odezwał.

Wtedy Abernathy podszedł do nich i nachylił się.

– Przekopaliście tunel, czy tak? – Phillip zagryzł wargi. Sot zacisnął zęby. – Zrobiliście to? Skinęli głowami. Niechętnie.

– Aż z drugiego brzegu? – niedowierzał Abernathy. Phillip miał nadaśaną minę.

– Właściwie to z lasu. Abernathy wytrzeszczył oczy.

– Ale jak? Przecież to zajęłoby całe dni, tygodnie. – Powstrzymał się. – Jedną chwilę. Jak długo już istnieje ten wasz tunel?

– Jakiś czas – wymamrotał Phillip i zaszurał pazurami po kamiennym murze.

– A gdzie ten tunel wychodzi?

Nastąpiła kolejna przerwa, tym razem trochę dłuższa.

– W kuchennej spiżarni – wyznał w końcu Sot.

Abernathy znowu się wyprostował. Wspomnienia o jedzeniu znikającym w tajemniczy sposób ze spiżarni wypłynęły na powierzchnię niczym martwa ryba o wschodzie księżyca. Winiono pomoc kuchenną. Postawiono oskarżenia. Nie znaleziono jednak zadowolającego wyjaśnienia.

– Taaak – powiedział miękko, przeciągając słowo, jakby przeciągał sznur przez pętlę stryczka. – Spiżarnia kuchenna.

Fillip i Sot skulili się, czekając aż spadnie na nich cios. Lecz Abernathy nawet nie patrzył na nich. Odwrócił wzrok. Patrzył poza mury. Nie zastanawiał się nad karą dla gnomów; zamiast tego rozważał możliwość rewanżu na Horrissie Kewie. Stał w świetle ognisk tańczących na murach Sterling Silver bliski podjęcia decyzji, która albo pozwoli mu odpokutować za swoje winy, albo przyplaci ją życiem.

Podjęcie decyzji zajęło mu tylko jedną chwilę.

Pochylił się jeszcze raz i zapytał wyraźnie:

– Czy ten wasz tunel jest wystarczająco duży dla mnie?

GNOMY PRZYSTĘPUJĄ DO AKCJI

Abernathy nie był z natury osobą nie potrafiącą się oprzeć wewnętrznym przymusom, czy też taką, która lubi ryzyko. Zdziwił się więc, że myśli o wciśnięciu się w wąski tunel, wydrążony przez Fillipa i Sota, gdzieś w rogu kuchennej spiżarni i zamierza się przeczołgać przez całą jego długość, aż do lasu, za linię oblężenia okalającą Sterling Silver, tylko po to, żeby podjąć jakiś niebezpieczny i prawdopodobnie szaleńczy wysiłek pochwylenia i wyciągnięcia informacji z Horrisa Kewa. Nie to go niepokoiło, że nie zdawał sobie sprawy z tego, co robił, albo że nie dostrzega niebezpieczeństwa, jakie się z tym wiąże; chodziło o to, że w ogóle zaczął rozważać coś tak szalonego.

Pocieszenie znalazł w wyjaśnieniu, że to jego psia natura doszła do głosu, a przez to cała wina spoczywa na Questorze.

Czarodziej nie miał pojęcia o planach Abernathy'ego. Gdyby wiedział o nich, zatrzymałby go natychmiast lub nalegał, żeby to on sam poszedł, na co nadworny skryba nie mógł pozwolić. Ostatecznie to on nawarzył tego piwa i to on musiał uratować swój honor, odzyskać poczucie własnej godności. Poza tym Questor był potrzebny tutaj, na murach zamku, gdzie mógł zorganizować przynajmniej pozory obrony przeciw nieuchronnemu szturmowi, do którego przystąpi Kallendbor ze swoją armią. Magia Questora może i była kapryśna, lecz była siłą, z którą tak czy inaczej należało się liczyć i która mogła opóźnić postępy napastników.

W tym czasie, miał nadzieję, będzie mógł się dowiedzieć, co się stało z Benem Holidayem.

Żeby wejść do tunelu, musiał zdjąć ubranie; było aż tak ciasno. Nagość była poniżeniem, które był gotów znieść. Gnomy dodomy zrobiły tunel bądź co bądź dla siebie, nie dla niego. W półmroku spiżarni (personel kuchni został oddalony w trybie przyspieszonym i bez żadnych wyjaśnień do innych części zamku) Abernathy ściągnął ubranie i zastanowił się przez chwilę nad tym, co robi. Nie myślał tym razem o Horrisie Kewie, jego ptaku, Kallendborze czy nieznanym w czarnym płaszczu. Niebezpieczeństwo z ich strony było znane. Zamiast tego myślał, że być może oddaje się w ręce – a możliwe, że i zęby – Fillipa i Sota. Byli wątpliwymi sprzymierzeńcami, biorąc pod uwagę ich przeszłość padlinożerców oraz zjadaczy kotów i psów. Był prawie pewien, że jeśli nadarzyłaby się okazja, nie wahałoby się go zjeść. Dlaczego nie? Taka była ich natura. Skoro tak, to jego obowiązkiem było, biorąc pod uwagę obecne niebezpieczne okoliczności, dać im dobry powód, aby nie robiły sobie z niego posiłku.

Zdecydował zaapelować do jedynej zalety ich charakteru, którą był w stanie im przyznać.

– Słuchajcie mnie uważnie – zwrócił się do nich, kucając nago przy wejściu do tunelu, starając się nie okazać wstydu. – Jest coś, czego wam nie powiedziałem. To, co robimy, ma bardzo duże znaczenie dla pomyślności naszego władcy. Nie ogłosiliśmy tego, lecz coś złego przytrafiło się jemu. Zniknął. Tamci ludzie, ten z kryształami marzeń i ten w czarnym płaszczu, są za to odpowiedzialni. Mam plan, jak uratować Holidaya, lecz będziecie musieli mi pomóc. Chcecie uratować naszego pana, prawda?

– O tak! – zadeklarował Phillip.

– Tak, oczywiście! – powiedział z naciskiem Sot.

Kiwali tak mocno głowami, że miał wrażenie, iż zaraz odpadną im od karków. Naciągał fakty dotyczące Holidaya i planu jego uratowania, ale w dobrej wierze. Jedną rzecz, na którą mógł liczyć, jeśli chodziło o gnomy dodomy, to była ich niezachwiana lojalność wobec króla. Została ugruntowana od czasu ich pierwszego spotkania, kiedy Ben Holiday zrobił coś, nad czym nikt inny nawet by się nie zastanawiał – przyszedł im w sukurs, kiedy jasno było widać, że zasłużyły sobie na to, co je spotkało. On jednak zdecydował, że jako król musi służyć równo wszystkim swoim poddanym. Uratował im życie, a one tego nigdy nie zapomniały. Nie przestały wprowadzić

kraść, wyjadać resztek i zachowywać się w naganny sposób, lecz pokazały już przy nie jednej okazji, że dla swego pana zrobią wszystko.

Abernathy liczył na to teraz. Liczył na to poważnie.

– Kiedy już tunel będziemy mieć za sobą przedstawię wam mój plan – ciągnął. – Ale musimy działać razem. Życiu Holidaya grozi niebezpieczeństwo.

– Możesz na nas polegać – oświadczył ochotczo Phillip.

– Tak, możesz – przytaknął Sot.

Abernathy ufał, że tak będzie. Jego życiu również grozi niebezpieczeństwo.

Zeszli do tunelu, najpierw Phillip, potem Abernathy, na końcu Sot. Czołgali się głowami do przodu, wyciągnięci na całą długość w ziemnym przejściu obniżającym się coraz bardziej w mrok. Abernathy zauważył, że nic nie widzi. Słyszał Phillipa idącego przed sobą i podążał za jego odgłosami. Z tyłu Sot trącał go w stopy, aby go ponaglić. Korzenie drapały go po brzuchu i grzbiecie. Spłoszone owady muskały go rozbieganymi nogami. Były miejsca, gdzie wilgoć moczyła mu futro i splatywała je w strąki. Było parno i wszystko miało cierpki zapach. Abernathy nie cierpiał tuneli. Nienawidził wszystkiego, co go ograniczało (kolejna psia cecha, pomyślał). Bardzo chciał się stamtąd wydostać, ale zmusił się, żeby iść do przodu. To on zainicjował to przedsięwzięcie i był zdecydowany przeprowadzić je do samego końca.

Gnomy musiały wydrążyć tunel pod całą szerokością jeziora – wyczyn, którego nie mógł pojąć, biorąc pod uwagę jego dobrze znaną głębokość. Wyobraził sobie, że ziemia zawala się na niego; wyobraził sobie, jak zalewają go wody jeziora. Pełzanie zdawało się nie mieć końca i nie jeden raz myślał, że osiągnął granicę swojej wytrzymałości. Nie przestawał jednak.

Kiedy wynurzył się na światło księżyca i gwiazd w kępie krzaków poza linią obłęzenia,

otrząsał się z brudu i insektów i z wielką przyjemnością wciągnął chłodne, nocne powietrze, które pachniało i smakowało wyjątkowo słodko. Solennie przysięgł sobie, że cokolwiek by się stało, pod żadnym pozorem nie wróci z powrotem do tunelu.

Odzyskawszy opanowanie, podążył za gnomami przez las na wzniesienie, które wychodziło na łąkę i na rozłożoną na niej armię oblegającą Sterling Silver. Ogniska wygasły, a ludzie leżeli rozciągnięci na trawie i spali. Straże z oddziałów Kallendbora wciąż patrolowały brzeg jeziora, bacznie obserwując zamek na wyspie, małe grupki ludzi wciąż piły i żartowały, lecz większość ułożyła się już do snu. Abernathy przeszukał wzrokiem łąkę, zwłaszcza linię brzegową, mając nadzieję, że znajdzie jakiś ślad Horrisa Kewa bądź nieznanego w czarnym płaszczu. Żadnego z nich nie zobaczył. Nawet Kallendbor był niewidoczny.

– Co teraz robimy? – zapytał z niepokojem Phillip.

– Właśnie, co? – zawtórował mu Sot.

Abernathy nie był pewien. Obliznął niespokojnie nos. Należało odnaleźć Horrisa Kewa. Lecz jak miał to zrobić w obecnych okolicznościach? Przede wszystkim wyglądał jak pies, a bez żadnego ubrania miał małe szanse, żeby ukryć ten fakt. Gdyby zszedł do obozu tak jak teraz, natychmiast zostałby zauważony.

Niechętnie obrócił się do gnomów.

– Czy myślicie, że moglibyście zakraść się do obozu i znaleźć człowieka, którego pokazałem wam z zamku, tego z ptakiem?

– Człowieka z kryształami marzeń – zareagował żywo Phillip.

– Ach, tamtego – odezwał się Sot.

Abernathy miał nadzieję, że będą mogli skupić się na czymś jeszcze oprócz kryształów. Tu chodziło o Bena Holidaya, ale gnomy dodomy zbyt łatwo odrywały uwagę od tego, co było ważne, na rzecz tego, co je interesowało. Abernathy najbardziej obawiał się, aby nie zbczyły na ślepy tor. Wydawało się, że po prostu nie potrafią nad tym zapanować.

– Tak, możemy go znaleźć – powiedział Phillip.

– Bez trudu – dodał Sot. Abernathy westchnął.

– W porządku, spróbujcie. Po prostu go znajdźcie i zaraz przychodźcie z powrotem powiedzieć mi, gdzie on jest. Wtedy będę mógł wam zdradzić mój plan. Nie róbcie nic innego.

Nie pozwólcie, aby się dowiedział, że tam jesteście. Będziecie o tym pamiętać?

– Tak, będziemy – powiedział Phillip, kiwając głową.

– Będziemy – powtórzył Sot.

Wymknęli się po cichu i zniknęli w ciemności. Obiecali, że będą pamiętać. Abernathy żałował, że nie może być tego pewien.

Niedaleko od tego miejsca, nieco z tyłu za motłochem stłoczonym na łące, siedzieli Horris Kew i Biggar i rozmawiali w mroku. Horris przykucnął pod starym, rozłożystym klonem, który odstawał od rysującej się za nim krawędzi lasu i schodził ze stoku niczym zwiadowca. Biggar przysiadł na pniu drzewa, które kiedyś było towarzyszem klonu, zanim padło ofiarą piorunu. Horris oparł się plecami o klon i wyciągnął przed sobą nogi, które sięgały prawie drugiego pnia.

– Jesteś tchórzem, Horrisie – szydził ptak. – Żalonym, podłym tchórzem. Nigdy w ten sposób o tobie nie myślałem.

– Jestem realista, Biggarze. Wiem, kiedy coś jest ponad moje siły, a to jest bez wątpienia jeden z takich momentów.

Było to gorzkie wyznanie, lecz nie można powiedzieć, że nie znane mu. Wcześniej czy później Horris Kew zawsze znajdował się w sytuacji, kiedy przestawał panować nad swymi machinacjami. Dlaczego te rzeczy nigdy nie wychodziły tak, jak zamierzał, dlaczego zawsze psuły się gdzieś po drodze, pozostawało dla niego tajemnicą, która go nieustannie wprawiała w zakłopotanie. Tym razem było zupełnie jasne, że sprawy niebezpiecznie się pogmatwały.

Był o tym przekonany od momentu, gdy Gorse pokazał się Kallendborowi i sprowokował go do marszu na Sterling Silver. Co najmniej od tego czasu, poprawił się. Być może był o tym przekonany wcześniej, biorąc pod uwagę naturę istoty, z którą zaplątał się w interesy. Gorse był dokładnie tym, przed kim ostrzegał go Biggar — niewiarygodnie potężnym potworem, który w każdej chwili mógł się zwrócić przeciwko nim. Nie było już wątpliwości co do tego, że wcześniej czy później to zrobi. Od momentu wymarszu z Rhyndweir Horris widział, jak coraz mniejsze znaczenie ma jego osoba. Wystarczy tylko wskazać na to, że Gorse odzyskał swój ludzki kształt i mógł chodzić między ludźmi, nocą i dniem. To znaczyło, że już nie potrzebował Horrisa do załatwiania swych spraw. Nawet gorzej – zaczynał lekceważyć nawet to, że Horris tam był. Kiedy rozpoczęto oblężenie, zaczął się odnosić do Kallendbora jak do równego sobie i ledwie raczył zauważać Horrisa. W niepamięć poszły wszystkie obietnice dotyczące tego, jaką rolę będzie odgrywał Horris w nowym porządku. Przestano wspominać o tym, że Horris ma zostać królem na miejsce Holidaya. Horris był odsuwany coraz bardziej na bok, co do tego nie można się było mylić.

– Czyli planujesz kolejny raz ze wszystkiego zwyczajnie zrezygnować? – rzucił ptak, wrywając go z zadumy. – Chcesz tak po prostu zostawić swoją życiową szansę? Co się z tobą dzieje? Myślałem, że jesteś człowiekiem z charakterem!

Horris spojrzał groźnie.

– A właściwie, to co ty chcesz, żebym zrobił, Biggar? Że powiem potworowi, iż nie podoba mi się, jak jestem traktowany? To byłoby ciekawe. Biorąc pod uwagę to, co już wiemy, to będziemy mieć szczęście, jeśli wydostaniemy się z tego żywi, nawet jeśli będziemy trzymać zamknięte usta!

Biggar splunął.

– Możesz powiedzieć, że chcesz zostać królem, Horris! To możesz mu powiedzieć! Przecież sam Gorse to zaproponował! To dobry plan. Będiesz królem przez jeden dzień, zgarniemy tyle bogactwa, ile się da, a potem się stąd wyniesiemy. Ale nie możemy przerwać i uciec z pustymi rękami!

Horris złożył ręce na swojej kościstej klatce piersiowej i wydmuchnął powietrze.

– Powiedz mi, że chcę być królem, tak myślisz? Czy nie zauważyłeś, co się dzieje? Czy nie słuchałeś? Tu nie chodzi o kryształ marzeń, o Sterling Silver czy o zostanie królem! Tu chodzi o coś jeszcze innego, o coś nieskończenie bardziej złożonego i przebiegłego. Gorse nas po prostu wykorzystuje – z Kallendborem włącznie – do osiągnięcia tego, o czym marzy. Sporo czasu zajęło mu wydostanie się ze szkatuły, a nie był zbyt zadowolony z tego, że tam się znalazł! Pomyśl o tym!

– Co masz na myśli? – klapnął dziobem Biggar. Horris nachylił się do przodu.

– Jak na ptaka o podwyższonym poziomie inteligencji, potrafisz być straszliwie tępy. Chodzi o zemstę, Biggar! Czy nie widzisz, że Gorse jest jej spragniony? Jest wiele starych długów do spłacenia za poniesione szkody, i to wszystko jest po to, aby Gorse mógł te długie ściągnąć. Właściwie to nam to powiedział. Landover dla nas, powiedział, a czarodziejskie mgły dla niego – pamiętasz? Wtedy nie zdawałem sobie sprawy z tego, co to znaczy, ale teraz już wiem. Zawsze postępowaliśmy zgodnie ze zdrowymi zasadami robienia interesów, Biggar, i dobrze na tym wychodziliśmy. Jeśli nie można zarobić żadnych pieniędzy, to zbieramy się. Cóż, w tym interesie dotyczącym zemsty nie ma żadnych pieniędzy, więc czas najwyższy zwinąć nasz namiot i odejść, póki jeszcze czas!

– Ależ tu są pieniądze, Horris – upierał się ptak. – O to właśnie chodzi. Są różne rodzaje pieniędzy, zaraz na drugim brzegu jeziora, w murach zamku. Jeśli możemy zaczekać jeszcze kilka dni, to będziemy mogli zabrać z sobą niezły tego kawałek. Gorse nam pomoże – może nawet nie wiedzieć o tym. Pozwólmy, aby bestia miała swoją zemstę, co nas to obchodzi? To, czego my potrzebujemy, jest wewnątrz tych murów. To, a do tego możliwość wydostania się z Landover. Czyżbyś zapomniał, że jesteśmy tutaj uwięzieni? Gorse może dać nam obie te rzeczy.

– On może nam jedynie zafundować szybką podróż w głąb szkatuły do Holidaya i pozostałych. – Horris kręcił głową z uporem. – Widziałeś, co zrobił. Wyprawił Holidaya jak chłopczyka. W okamgnieniu zniknął z Landover i znalazł się wewnątrz kabałowej szkatuły. Po królu nie pozostał nawet ślad. Z nami uczyni to samo, kiedy będzie gotowy, a myślę, że ten czas jest już niedaleki.

Biggar przeskoczył na koniec buta Horrisa Kewa. Zatopił w nim swoje pazury.

– Może powinniśmy zaasekurować się na dwie strony, Horris. Przypuśćmy, że masz rację. W takim razie potrzebujemy czegoś, co powstrzymałoby Gorse'a przed wyrządzeniem nam krzywdy. Na przykład szkatuły.

Horris otworzył szeroko oczy.

– Kabałowej szkatuły?

– Wymkniemy się po cichu, zaraz, tej nocy – powiedział ptak. – Możemy dotrzeć do jaskini konno i wrócić przed świtem. Weźmiemy szkatułę i ukryjemy ją. Będzie naszą rękojmnią tego, że dostaniemy to, co chcemy. – Błysnęły przebiegle oczy.

Horris wpatrywał się w ptaka przez chwilę, po czym pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Zapędziłeś się, Biggar. Naprawdę się zapędziłeś. Grozić Gorse'owi? Co go obchodzi, czy my mamy szkatułę, czy nie? Nawet nie wiemy, jak jej użyć!

– Znamy słowa – powiedział półgłosem ptak. – Znamy zakłęcie. A może byśmy wypowiedzieli je jeszcze raz?

Zapadła długa, straszliwa cisza. Horris żałował, że kiedykolwiek otworzył to pudełko, że wypowiedział słowa, które uwolniły Gorse'a, że wrócił do Landover. Żałował, że nie wybrał mniej stresującego zawodu, na przykład tapicerstwo czy tkactwo. Nagle poczuł, że ma już nieodwołalnie dość wszelkiej magii.

– Pośpiesz się, Horris, idziemy! – ponaglił go Biggar. – Nie siedź tak. Wstań!

Biggar nie potrafił, oczywiście, tego pojąć. Być może wynikało to z tego, że mimo zwiększonej inteligencji wewnątrz tej drobnej, opierzonej czaszki znajdował się w końcu jedynie ptasi mózdzek, próbujący zrozumieć to wszystko. Albo po prostu nie chciał zrozumieć.

– Jeśli to zrobimy – zaczął łagodnie Horris Kew – jeśli zdecydujemy się wyzwalać Gorse'a, jeśli rzeczywiście wrócimy do jaskini i ukradniemy kabałową szkatułę...

Nie potrafił dokończyć. Nie potrafił się przemóc i wypowiedzieć tych słów. Znowu oparł się o drzewo. Jego kościste ciało zapadło się w sobie jak balon, z którego spuszczone powietrze.

Biggar przeskakiwał w tył i do przodu z buta na pień, posykując jak wąż.

– Ty tchórze! Ty marny robaku! Ty żalosna imitacja czarodzieja! Ty mięczaku, który tylko potrafi gadać, ale palcem nie kiwnie! Jak mogłem związać się z kimś takim jak ty, to przechodzi ludzkie pojęcie!

Za pniem drzewa coś się poruszyło, jakiś prawie niezauważalny, bezgłośny fragment cienia i nic więcej, lecz żaden z nich nie zwrócił na to uwagi.

– Biggar, Biggar, ty chyba nie myślisz...

– Właśnie że myślę! Jestem jedynym, który myśli! – Biggar nadał się do wielkości dwukrotnie przekraczającej jego rozmiar, zmieniając się w dzikiego, czarnego jeżozwierza. – W takim *razie*, dobrze! Leż sobie tutaj jak szmaciana lalka, jak pozszywane worki płócienne z trocinami zamiast mózgu! Proszę bardzo!

Horris Kew zamknął oczy i zakrył twarz dłońmi.

– Nie będę siedział ani chwili dłużej z takim tchórzem! – krzyczał wściekły Biggar. – Ani jednej chwili! To oburzające.

Brudne ręce wysunęły się zza pnia, na którym siedział, zacisnęły się na jego dziobie i

szy i porwały go do tyłu.

Po chwili Horris Kew otworzył znowu oczy i rozejrzył się. Biggara nie było. Po prostu zniknął. Ot, tak. Horris wyprostował tułów i zastanowił się nad tym. Na kłodzie leżało jedno, kołyszące się, czarne pióro.

– Biggar! – zawołał bez przekonania.

Żadnej odpowiedzi.

Zbliżała się północ.

Abernathy siedział spokojnie na brzegu lasu i patrzył, jak ostatni biesiadnicy zapadają w sen, jak dopalają się ostatnie ogniska i jak w tle przesuwiają się niewyraźne kształty strażników Kallendbora. Wszystko wkoło tonęło w coraz gęstszych ciemnościach. Sterling Silver stał na tle horyzontu niczym rozmazany, olbrzymi kształt, prawie całkowicie pozbawiony światła. Niebo nad głową było czyste i jaśniało światłem kilku księżyców i tysięcy gwiazd. Było ciepło i przyjemnie i w innych okolicznościach noc gwarantowałaby wszystkim dobry sen.

Abernathy nawet nie śmiał myśleć o spaniu. Zamartwiał się, co mogło się stać z Phillipem i Sotem, gdyż minął już szmat czasu, od kiedy wyruszyli na poszukiwanie Horrisa Kewa.

Nie słyszał krzyków, więc nie przypuszczał, aby zostali zauważeni, niemniej nie było ich tak długo, że czuł się niespokojny. Było zbyt wiele sposobów, w jakie ta para mogła popaść w tarapaty, tyle fałszywych kroków mogli zrobić, zanim zauważyliby swój błąd. Żałował, że nie poszedł z nimi. Strofował samego siebie, za to, że zaufał im i puścił ich samych. Właśnie zdecydował, że pójdzie ich poszukać, że zejdzie po cichu do obozu i ukradnie jakiś płaszcz dla siebie i zacznie się za nimi rozglądać, gdy zniemacka pojawili się z powrotem. Wskoczyli z ciemności prawie tuż przed nim, sprawiając, że mimowolnie zerwał się z miejsca.

– Gdzieście się podziewali? – zapytał, podenerwowany. Gnomy dodomy uśmiechnęły się, ukazując swoje wszystkie zęby. Wyglądały na szczególnie zadowolone z siebie.

– Zobacz, co mamy – odezwał się Phillip.

– Chodź, zobacz – powiedział Sot.

Abernathy próbował zobaczyć, bo rzeczywiście zauważył, że coś zdaje się ruszać, ale oni tylko mignęli obok niego i poszli dalej.

– Nie, nie tutaj – powiedział szybko Phillip.

– Tam, gdzie ciemno, z dala od obozu – powiedział Sot.

Powlekli się zatem z powrotem do lasu na większą odległość od łąki i obozowiczów, aż wokół nie było nikogo, tylko oni sami. Wtedy Phillip i Sot jeszcze raz odwrócili się do Abernathy'ego i ten pierwszy wyciągnął dumnie rękę.

– Proszę! – oznajmił.

Abernathy wytrzeszczył oczy ze zdumienia. To był ten ptak, majna czy coś w tym rodzaju, który należał do Horrisa Kewa. Gnom trzymał go kurczowo w swoich oblepionych brudem rękach, niezbyt delikatnie ściskając szyję i zaciskając dziób, aby się nie wydarł. Skrzydła trzepotały mu słabo, lecz wyglądało na to, że był już całkowicie wyczerpany.

Abernathy westchnął zrozpaczony.

– Powiedziałem wam, żebyście się tylko rozejrzeli, tylko odnaleźli właściciela ptaka i wrócili do mnie. Nie mówiłem wam, żebyście zabierali tego ptaka! Jaki z niego mamy pożytek?

– Duży – upierał się Sot, nie zniechęcony. Szturchnął ochoczo Fillipa łokciem. – Pokaż mu.

Fillip przesunął palce pod dziób Biggara i potrząsnął nim lekko.

– Mów, ptaku.

– Ptak nic nie powiedział. Wisiał bez sił. Wyglądał na ledwie żywego. Abernathy poczuł tętnienie w skroniach i westchnął.

Fillip popatrzył groźnie. Nachylił się do samej głowy ptaka.

– Mów, głupi ptaku, bo inaczej skręcę ci kark i zjem – powiedział i mocniej zacisnął swoje palce uzbrojone w pazury.

– W porządku, w porządku, już dobrze! – szybko odezwał się ptak, odzyskując nagle siły. Abernathy cofnął się, zaskoczony. Głowa ptaka wiła się niespokojnie. – Już mówię, okay? Co mam powiedzieć?

Fillip wyciągnął z dumą ptaka przed siebie.

– Widzisz?

Abernathy nachylił się, żeby się lepiej przyjrzeć.

– Proszę, proszę – powiedział miękko. – Mówisz znacznie lepiej, niż się do tego przyznajesz, prawda?

– Lepiej niż ty, futrzana kulko – zadrwił Biggar. – Powiedz tym kretom, aby mnie natychmiast puścili wolno albo będziecie mieć kłopoty.

Abernathy wyciągnął rękę i szturchnął ptaka.

– Jak ty się nazywałeś? Biggar? Wiesz co, Biggar? – W jego głosie brzmiało wyraźne zadowolenie. – Zajęło mi to trochę czasu, lecz w końcu przypomniałem sobie. To było dawno temu, prawda? Należałeś do czarodzieja starego króla, do brata Questora Thewsa. Pewnego dnia doniesiono o twoim zniknięciu. Co się wtedy stało? Zostałeś wysłany do starego świata Bena, tak jak Horris Kew? Zresztą, mniejsza z tym. To już teraz nie ma znaczenia. Powiedz mi tylko, co wiesz o zniknięciu króla, hm? Tylko niczego nie pomijaj.

Biggar zamknął dziób z głośnym kłapnięciem. Za późno było jednak na nabieranie wody w usta. Fillip i Sot podsłuchali prawie całą jego rozmowę z Horrisem i teraz szczegółowo powtórzyli ją Abernathy'emu. Kilka razy mieszały z sobą fakty i nie wszystkie

słowa właściwie interpretowali, lecz było to wystarczająco przejrzyste dla Abernathy'ego, aby zorientować się, co się wydarzyło. Gorse był rodzajem potwora.

Wykorzystywał Horrisa Kewa i Kallendbora. Kryształowy marzeń był parawanem skrywającym szachrajstwa skierowane przeciwko tronowi. I najważniejsze, zniknięcie Bena Holidaya nastąpiło na skutek użycia potężnego zaklęcia, które może być w jakiś sposób cofnięte. Znaczyło to, że należy odnaleźć jaskinię Gorse'a i ukrytą w niej kabałową szkatułę.

Abernathy z powrotem skierował swoją uwagę na Biggara. Ptak nie odezwał się od momentu swego pierwszego wybuchu, milcząc przez cały czas, kiedy Phillip i Sot ujawniali jego tajemnice. Teraz zerknął szybko do góry na Abernathy'ego, gdy ten nachylał się, aby mu się przyjrzeć.

– Może Poily chce wafelka? – przymlał się złośliwie Abernathy.

Biggar, mimo że był mocno trzymany, dziobnął go w nos. Abernathy uśmiechnął się i odsłonił wszystkie swoje zęby.

– Posłuchaj mnie, ty bezwartościowy worku piór. Zaprowadzisz nas do tej jaskini jeszcze dziś w nocy. Kiedy tam dotrzemy, wprowadzisz nas do środka. Pokażesz nam kabałową szkatułę i nauczysz nas słów zaklęcia. Rozumiesz mnie?

Żywe oczy Biggara spoglądały nieruchomo na niego.

– Nic nie zrobię. Zauważą, że mnie nie ma i zaczną mnie szukać. Zwłaszcza Gorse. Poczekajcie, a zobaczycie, co z wami zrobi!

– Cokolwiek by zrobił – odparł ostro Abernathy – ciebie już nie będzie, żeby to zobaczyć. – Nastąpiła długa, znacząca przerwa. – Możesz być pewien – ciągnął dalej – że jeśli zaraz nie pokażesz mi, gdzie jest jaskinia, to oddam cię moim przyjaciółom i powiem, aby zrobili z tobą to, co im się podoba, abym tylko miał pewność, że już nigdy, nigdy ciebie nie ujrzę ponownie. – Wzrok i głos miał spokojne. – Ponieważ jestem bardzo zły, że zostałem wystrychnięty na dudka. Jeszcze bardziej jestem zły z powodu tego, co zrobiliście królowi. Chcę, aby wrócił bezpieczny i nietknięty, i oczekuję, że pomożesz mi, jeśli w ogóle chcesz mieć jakąkolwiek nadzieję na przeżycie tej nocy. Czy dotarło to do twego ptasiego mózdzku?

Ponownie zapadła długa chwila ciszy.

– Gadaj – ponaglił go Abernathy.

– Jaskinia jest na zachodzie, za Sercem – zakrakał Biggar. Po chwili jego głos powrócił do normy. – I tak wam z tego nic nie przyjdzie.

Abernathy uśmiechnął się i jeszcze raz pozwolił ptakowi przyjrzeć się swoim zębom.

– To się okaże – zapewnił go.

OSTATNIA WALKA BIGGARA

Podczas gdy Phillip trzymał mocno Biggara, Sot został wysłany, aby *znaleźć* konie do podróży na zachód, przy czym słowo „znaleźć” było przez wszystkie zainteresowane strony pojmowane jako eufemizm słowa „ukraść”. W sytuacji, w jakiej się znaleźli, nie mieli dużych możliwości wyboru, a poza tym gnomy dodomy były z natury i z przyzwyczajenia złodziejami i chętnie w każdej sytuacji interpretowali „znaleźć” jako „ukraść”. Kłopotliwość tej sytuacji nie polegała na tym, jak ją pogodzić z zasadami moralnymi, ale na tym, że muszą na te konie wsiąść. Ani Abernathy, ani zwłaszcza gnomy nie przepadali za końmi i prawdę mówiąc, konie też ich specjalnie nie lubiły. Była to jedna z tych idiosynkrazji, których nie mogą przewyciężyć ani rozum, ani okoliczności. Jednakże odległość, którą chcieli pokonać, wymagałaby co najmniej jednodniowej pieszej wędrówki, a tylko czterech godzin konno. Ponieważ czas działał na niekorzyść Questora Thewsa i Sterling Silver – o świcie Kallendbor i nieznajomy w czarnym płaszczu zabiorą się ostro do znalezienia sposobu na skrócenie oblężenia – konieczność wymagała, aby zaakceptowali konie.

Sot wrócił w rekordowym czasie, prowadząc dwa gniadosze w uździenicach, pokryte kocami, które, co było dość oczywiste, zabrał z jakiejś placówki. Nie pomyślał, aby zdobyć siodła i wodze, co komplikowało sprawę. Już na sam ich widok konie się płoszyły i parskały z niechęcią. W miejsce siodeł Abernathy postanowił zostawić koce, skracając je nożem myśliwskim Sota, aby nie zwisały poniżej boków konia, mocując je najlepiej jak mógł poprzęgiem splecionym z odciętych pasków. Wyglądało to opłakanie, ale nic nie można było na to poradzić?

Potem dosiedli koni, Abernathy jaśniejszego, bardziej narowistego, Phillip z Sotem drugiego, bardziej rudego. Phillip trzymał uździenicę, a Sot ptaka. Konie się kręciły i ciężko sapały, wyczuwając, co się szykuje i wcale nie były z tego zadowolone. Z początku konie szły stępa, gdyż Abernathy chciał się oddalić od obozowiska tak daleko, jak to tylko możliwe, na wypadek, gdyby wierzchowce zapragnęły pognać, wzniesając sporo hałasu. Osiągnięto to przy minimalnym zamieszaniu. Kiedy odjechali już kilka mil i znaleźli się na pagórkowatym terenie na zachodzie, Abernathy spał łagodnie swego wierzchowca i ruszyli.

Tempo okazało się zabójcze. Oba konie skoczyły do przodu jakby na komendę i popędziły przez las wzgórzami jak oszalałe. Abernathy próbował ściągnąć cugle swojemu gniadoszowi, ale koń ich nie miał. Nie skrepowany wędzidłem i lejcamy, przejął nad jeźdźcem kontrolę. Abernathy zrezygnował z prób zrobienia czegokolwiek i dbał tylko o to, żeby się utrzymać na koniu. Za sobą słyszał wyjące z rozpaczony gnomy. Gdyby zostały zrzucone, mogliby stracić ptaka. Gdyby stracili ptaka, byłoby po nich. Zacisnął zęby i powstrzymał się, żeby nie krzyknąć do tyłu jakiejś bezużytecznej rady.

W końcu konie wymęczyły się, zwolniły i przeszły w kłus, a potem zaczęły iść stępą. Trójka jeźdźców wciąż siedziała na koniach i była w pełni władz umysłowych, chociaż czuli się, jakby poprzesta wiano im wszystkie kości. Jak się okazało, przebyli bardzo długą drogę w bardzo krótkim czasie i zanim się zorientowali, znaleźli się w Sercu. Minęli polanę, kierując się dalej na zachód. Abernathy wołał od czasu do czasu do tyłu do Biggara po wskazówki, których ptak z niechęcią zmuszony był mu dostarczać. Księżycy przesuwwały się leniwie ponad ich głowami. Zapadła głęboka noc. Okolica zmieniła swój wygląd, drzewa rosły gęściej, a las wydawał się nieprzenikniony. Wkrótce zmusił ich do bardzo ostrożnego posuwania się do przodu, gdyż nie pokazywał już szlaku i nie pozwalał na żaden fałszywy krok.

W niecałą godzinę później dotarli do jaskini. Na szczycie stromego wzniesienia zsiadli z koni, przywiązali je do drzewa i klucząc pośród splątanych zarośli, zeszli do podnóża stoku. Schodzenie szło powoli, gdyż wszyscy byli sztywni i obolali po konnej jeździe. Gnomy nieprzerwanie skarżyły się na głos i Abernathy pomyślał nawet przez chwilę, żeby je zakneblować. Na dole przecisnęli się przez gąszcz krzewów i znaleźli się naprzeciwko olbrzymiego, płaskiego kamienia, na którym były wyryte zawile symbole. Abernathy nie potrafił ich odczytać ani zrozumieć.

– Co robimy teraz? – zażądał od Biggara odpowiedzi.

Ptak wyglądał na nieco sfatygowanego. Przez całą drogę był mocno trzymany za nogi, często głową w dół, gdyż Sot starał się z całych sił utrzymać się na grzbiecie gniadosza. Pióra sterczały na wszystkie strony, do niedawna lśniące, czarne ciało pokrywała teraz warstwa kurzu.

– Nie wiem, czy powinienem ci coś jeszcze powiedzieć – rzucił w odpowiedzi. – Kiedy zamierzasz mnie wypuścić?

– Kiedy znowu ujrzę króla całego i zdrowego! – Abernathy nie miał nastroju na dyskusje. Biggar splunął pogardliwie.

– To się nie zdarzy. Nawet jeśli pomogę ci się dostać do jaskini, nawet jeśli pokażę ci szkatułę, nawet jeśli wypowiedz zaklęcie. Nie zdarzy się, ponieważ nie jesteś czarodziejem ani magiem, ani nikim innym, kto jest zdolny przywołać magię.

– Przestań już kłapać dziobem, ptaku – powiedział z rozdrażnieniem Abernathy. – Wprowadź nas tylko do środka. Pozwól, że ja będę się martwić o resztę.

Biggar prychnął pogardliwie.

– No dobrze. Jak chcesz. Dotykaj tych symboli w kolejności, którą ci podam. – I zaczął odtwarzać procedurę otwierania jaskini tak, jak ją zapamiętał, obserwując Horrisa.

Chwilę później kamień odsunął się ze zgrzytem i odsłonił ziejący czarną pustką otwór, w którym połyskiwały bladossrebrne paski fosforyzacji. Mała grupa stała, wpatrując się niepewnie w niezbyt zachęcający mrok.

– No i co? – zapytał szyderczo Biggar. – Chcecie tutaj tak stać całą noc, czy w końcu wejdziecie? Skończmy z tym, aby mieć to z głowy.

– Jak daleko biegnie ta jaskinia? – zapytał Abernathy.

– Do samego końca! – rzucił ptak i zarechotał. Abernathy zignorował go. Nie lubił jaskiń równie bardzo,

jak tuneli, ale nie mógł ryzykować i wysłać same tylko gnomy dodomy. Nie warto myśleć, co mogłoby się stać. Z drugiej strony nie palił się do tego, aby wpaść w pułapkę.

– Pójdę pierwszy – zaofiarował się Phillip, rozwiązując tym samym problem.

– Ja pójdę drugi – zaproponował Sot.

– Nam jest obojętne, czy to są tunele, czy jaskinie.

– Lubimy ciemność.

Abernathy'emu to odpowiadało. Cieszył się, że będzie zamykał pochód. Tym bardziej, że będzie miał wszystkich na oku. Poza tym, jeśli będą jakieś pułapki, to gnomy będą miały o wiele większe szansę zauważyć je niż on. Niestety, jego nos sprawował się lepiej niż oczy, ale taki był już jego los i nie było teraz sensu tego oplakiwać.

– W porządku – zgodził się. – Ale bądźcie ostrożni.

– Nie martw się o nas – oznajmił pełen zapału Phillip.

– Ani przez minutę – dodał Sot.

Abernathy bynajmniej nie miał zamiaru się o nich martwić ani przez chwilę. Skinał głową, zgadzając się.

– Tylko dobrze trzymajcie ptaka – polecił.

Zrobili ostrożnie krok do przodu i stanęli w wejściu, zostawiając za sobą mrok nocy i zanurzając się w mrok pieczary. Przed nimi, wzdłuż ścian korytarza, migotały blado paski fosforescencji, niczym światło świec widziane przez okno, po którym spływają smugi deszczu. Zatrzymali się w wejściu, rozglądając dokoła. Powietrze w środku było zaskakująco ciepłe. Wewnątrz zalegała grobowa cisza.

Nagle straszliwa myśl przebiegła przez głowę Abernathy'ego. Co będzie, jeśli Gorse przyszedł tutaj wcześniej z jakiegoś powodu i czekał na nich? Myśl była tak porażająca, że przez chwilę nie mógł zrobić kroku. Nagle zdał sobie sprawę, że przedsięwziął coś niepojętego. Nie posiadał broni ani magii, ani umiejętności walki, dzięki którym mógłby się bronić. Gnomy w walce były bezużyteczne; jedyne, co umiały, to zakopać się pod ziemią. Całe to przedsięwzięcie obfitowało w niebezpieczeństwa i najeżone było możliwościami niepowodzenia. O czym on w ogóle myślał, podejmując się tego?

Zaraz jednak chwilowy lęk minął i zdołał się uspokoić.

Zrobił to, co musi zrobić, co było konieczne i właściwe, i to wystarczyło, żeby usprawiedliwić podjęcie ryzyka. Los króla leżał w jego rękach. Nie wiedział dokładnie jak, lecz wiedział, że w jakimś sensie jest to prawdą. Przypomniał sobie, jak pomagał Gorse'owi i Horrisowi Kewowi podburzać mieszkańców Landover i podkopać fundamenty tronu. Przypomniał sobie o długu, który musi spłacić za swoją głupotę.

– Dobrze. Chodźmy, zatem – oznajmił śmiało.

Gnomy, które obserwowały, jak się zmagał ze swoim niezdecydowaniem, ruszyły w głąb jaskini. Abernathy wziął głęboki oddech i poszedł za nimi.

Natychmiast płyta zasunęła się za nimi ze zgrzytem.

Abernathy podskoczył, gnomy zaskamlały i na krótką chwilę zapanowało istne piekło. Abernathy rzucił się instynktownie do drzwi, żeby je siłą znowu otworzyć. Oba gnomy pośpieszyły mu pomóc i wpadły na siebie. W czasie kolizji Biggar dziobnął Sota z całych sił w rękę, którą go trzymał i Sot go puścił.

Biggar natychmiast się uwolnił, uniósł się w górę i w oka mgnieniu zniknął w głębi jaskini.

Wewnątrz labiryntu Ben Holiday przedzierał się powoli przez mgłę, trzymając ostrożnie przed sobą medalion. Strabo i Nocny Cień podążali za nim niczym nieme widma. W chwili objawienia prawdy o ich tożsamości wszyscy przeżyli wewnętrzną przemianę, lecz ich wygląd i zdolności były wciąż okaleczone i dźwigali ciężar swego uwięzienia jak łańcuchy. Mieli wrażenie, jakby pokonywali swoją ostatnią milę, czuli, że jeśli tym razem nie uda im się uwolnić, będą tu tkwić na zawsze. Ich wnętrza wypełniała coraz większa rozpacz.

Nikt z nich nie był bardziej tego świadom niż Ben, który niósł w swoich rękach ich jedyną nadzieję. Medalion nie przemawiał do niego; nie emanował światła ani nie wskazywał kierunku. Poruszał się jak ślepiec, nie widząc żadnego szlaku, o którym tak marzyli, wiedząc tylko, że medalion już kiedyś przeprowadził go przez czarodziejskie mgły i musi w jakiś sposób zrobić to jeszcze raz, jeśli mają przeżyć. Gdyby pozostali pośród mgieł, w końcu by oszaleli. Szaleństwo było perspektywą tak pewną, że widzieli je równie wyraźnie, jak swoją rozpacz, było kirem rzucającym na nich cień jak Haze zjawiająca się w chwili zagrożenia. Inaczej jednak niż Haze nie przychodziło, aby ich bronić, lecz zniszczyć. Robiło to zresztą stopniowo, wyzerając z nich pewność siebie, nadzieję i wolę. Walczyło z nimi, tak jak choroba walczy ze zdrowiem, osłabiając ich opór po to, aby na końcu nie pozostało nic innego jak tylko śmierć.

Ale na razie ich jeszcze nie złamało, szepnął do siebie w duchu Ben. Myśl o tym, że musi odnaleźć Willow, choćby we śnie, choćby na krótką chwilę, świadomość, że czeka na niego gdzieś poza mgłą labiryntu, ona i ich nie narodzone dziecko, i ich los *zależy* od niego, to wszystko wystarczyło, aby wzmocnić jego wolę życia. Znajdzie na pewno wyjście. Medalion zapewni im ucieczkę. Musi.

– Nie widzę, aby cokolwiek się zmieniało – doszedł go z tyłu zimny głos Nocnego Cienia.

Prawdę mówiąc, miała rację. Zdawało się, że nie robią żadnego postępu, choć szli już kilka godzin. Czy nie powinno się było już wyjaśnić, czy medalion działa? Ile czasu ma to trwać? Ben patrzył przed siebie w mrok, próbując dostrzec jakies zmiany w strukturze i gęstości mgły. Nie zwolnił kroku, sądząc, że gdyby to zrobił, to mogliby się zatrzymać, a gdyby się zatrzymali, byłiby straceni. Ruch, jakikolwiek, dawał nadzieję.

– Zmniejsza się wilgotność – powiedział nagle Strabo.

Ben spojrział w dół. Rzeczywiście. Grunt, po którym szli, był twardszy od tego, który przemierzali od chwili wejścia w mgły. Być może to był jakiś znak. Tak to rozumiał i przyspieszył kroku. Drzewa przed nimi zdawały się mniej zbite. Czy to możliwe? Nadzieja rozkwitła w nim na nowo. Jej żywość wywołała rumieńce na jego twarzy. Drzewa ustępowały drogi, otwierając się na polanę, polana z kolei otwierała się na przejście, tunel wydrążony w jakiejś ogromnej płataninie leciwej roślinności, który biegł w odległą ciemność...

– Tak – szepnął głośno.

Weszli bowiem na szlak łatwy do rozpoznania przez tych, którzy przechodzili kiedyś przez czarodziejskie mgły do Landover. Wydłużyli z entuzjazmem krok, nawet Nocny Cień rozpromieniła się na ten miły widok. Weszli grupką w mrok tunelu, schodząc szybko z leśnego szlaku. Było to ogniwo łączące, jakiego szukali, droga powrotna do miejsca, z którego przyszedli. Nie było tutaj żadnych istot czarodziejskich, żadnego dźwięku, żadnego ruchu, żadnego śladu jakiegokolwiek życia z wyjątkiem drzew i krzaków, i okrywającej ich całunem mgły. Wciąż znajdowali się pośród czarodziejskich mgieł labiryntu. Lecz gdzieś blisko, gdzieś tuż przed nimi czekały na nich drzwi prowadzące na zewnątrz.

Nagle jednak mrok wokół nich zamknął się ciasno, robiąc się ciemny jak atrament, stając się ścianą, która wznosiła się do góry i rozciągała po bokach bez końca. Zwolnili, gdy podeszli do niej, zbici z tropu jej obecnością tutaj. Zatrzymali się, gdy odkryli, że nie pozwala im przejść dalej. Dotknęli jej powierzchni i odkryli, że jest twarda i nieruchoma jak kamień. Sprawdzili jej powierzchnię na pewnej odległości w obu kierunkach, po czym wrócili. Ściana nie miała żadnych drzwi. Nie pozwalała wyjść na zewnątrz.

– Co to za szaleństwo? – syknęła Nocny Cień z wściekłością.

Ben pokręcił głową. Medalion nie potrafił ani sprawić, żeby się rozstały mgły, ani wskazać im określonej drogi. Ta ściana, czymkolwiek była, okazała się nieczuła na magię. Jak to możliwe? Jeśli zostali uwięzieni w czarodziejskich mgłach, to medalion powinien ich przeprowadzić. Medalion zapewniał przejście przez wszystkie mgły.

Nagle rozpoznał to, na co patrzył. Ta czarna ściana nie była uformowana z czarodziejskich mgieł. Było to więzienie samej kabałowej szkatuły, inny rodzaj magii niż mgły, ostateczna zaporą przed ucieczką. I zamek do tych drzwi, obawiał się, nie znajdował się wewnątrz więzienia. Znajdował się na zewnątrz.

Cofnął się o krok, zniechęcony i zrozpaczony. Potrafił przejść z mgieł kabałowej szkatuły w swoim śnie, ale nie mógł tego zrobić na jawie.

– Co mamy teraz robić? – zapytał cicho Strabo, przykucnąwszy tuż obok niego. Złość zaczęła się saczyć się z jego głosu.

Ben nie miał na to odpowiedzi.

Tylko kilka chwil zajęło Biggarowi dotarcie do końca jaskini, gdzie Gorse ukrył kabałową szkatułę. Ptak runął i wylądował na skalnym występie, tuż powyżej miejsca, w

którym leżała na kamiennej półce szkatuła, wsunięta głęboko w mrok. Co teraz? Nie zastanawiał się wcześniej nad niczym innym jak tylko nad tym, żeby uciec i dotrzeć do tego miejsca, a teraz, kiedy już tu się znalazł, nie był pewien, co robić dalej. Była tylko jedna droga wyjścia z jaskini – właśnie ta, którą pokonał. Na skale nad drzwiami były wyryte runy, inne od tych, które otwierały drzwi z zewnątrz, ale znał potrzebną kolejność. Musiał tylko wywabić psa i krety na taką odległość, aby mieć wystarczająco dużo czasu na uruchomienie mechanizmu otwierającego.

Już słyszał jak nadchodzą, skrobanie ich pazurów o skałę, skowyt ich głosów.

– Chodź, ptaszku, chodź – wołał jeden z nich.

Biggar zaśmiał się szyderczo w duchu: ptaszku, akurat.

Czekał cierpliwie w prawie całkowitym mroku, aż znaleźli się w zasięgu wzroku. Wyłonili się z mroku jak owłosione śwynie, węsząc i sapiąc z nosami przy podłodze jaskini. Cóż za żalostny widok! Tchórzofretki, czy coś podobnego, pełzające imbecyle skazane na życie w ziemi, których szansę złapania go były mniej więcej takie same, jak szansę na opanowanie podstaw fizyki.

– Chodź tutaj, ptaszku – powtarzał jeden z nich cierpliwie.

– Chodź, głupi ptaku – warczał drugi.

To musi być ten, którego dziobnąłem, pomyślał Biggar. Uśmiechnąłby się, gdyby dziób mu na to pozwalał. Miał nadzieję, że poważnie zranił tego wstrętnego małego potwora. Miał nadzieję, że zwierzakowi rozwinie się gangrena i padnie trupem. W końcu diablo mało troski okazał Biggarowi. Trzymał go zwieszoną głową w dół, gdy jechał konno! Thukł jego głową o własną nogę, starając się utrzymać na grzbiecie konia! Już wkrótce zobaczą, czym grozi rozpoczęcie z nim walki!

Wzbił się w powietrze ze swojej grędy i poleciał ku wyjściu. Natychmiast go dostrzegli, gdyż ich wzrok był bardziej przenikliwy, niż myślał, i podskoczyli, żeby go złapać, gdy przelatował obok nich ze świstem. Wysilek okazał się oczywiście daremny. Znajdował się około sześciu metrów nad ziemią i był dwa razy szybszy niż oni. Minał ich i gnał w kierunku wejścia, podczas gdy oni jeszcze chwyтали powietrze. Może pies też wybrał się na polowanie. Może.

Niestety, nie. Pies zajął stanowisko bezpośrednio przed kamienną barierą i czekał. Biggar skręcił pośpiesznie, o włos unikając wyciągniętych łap i jego obnażonych zębów. Pies był bardziej rozgarnięty niż fretki. Nie miał zamiaru dać tak łatwo Biggarowi uciec.

– Wróć tutaj, ty mały...

Wykrzywane przez psa epitety odbiły się echem od skały, gdy Biggar leciał już z powrotem do głównej sali. Znalazł się zatem w szachu. Wszyscy zostali uwięzieni w jaskini. W głowie Biggara kłębiło się od myśli. Sztuką było teraz odciągnąć psa od kamiennej płyty, zwabić go w głąb jaskini tak, aby Biggar zdążył się prześliznąć i uruchomić zamek drzwi. Kiedy się znajdzie przed jaskinią, to już goni nigdy nie złapia. Wtedy może się Gorse nimi zająć. Zaczął się nagle zastanawiać, czy jest możliwe, aby Gorse wrócił do jaskini tej nocy. Może Horris poszedł do niego z opowieścią o zniknięciu

Biggara? Może. W ten sposób jednak przypisywałby mu więcej rozumu, niż w rzeczywistości go ma. Teraz Horris był zbyt głupi, by się domyśleć, jak zawiązać własne buty. Odkąd Gorse został uwolniony, Horris był przestraszony, skonfundowany i generalnie rzecz biorąc – bezużyteczny. Biggar zastanowił się, czy nie przyszedł czas na nowego partnera. Do czego właściwie potrzebował Horrisa? Przecież w parze, którą stanowili, to on był od myślenia. Zawsze tak było.

Zbliżając się do tylnego pomieszczenia wznosił się ku sklepieniu jaskini, ale nawet i wtedy miał duże kłopoty z ominięciem Sota, gdyż ten skoczył ze skalnego występu na jednej ścianie, na który się zdołał wdrapać. Gnom zanurkował obok niego z wyciągniętymi rękami gotowymi go chwycić i upadł na dno jaskini. Biggar usłyszał głucho uderzenie, a potem jęk i mamrotanie. Dobrze mu tak.

– Niezła próba, szczurza gębo! – zawołał wesoło, a zaraz potem musiał szybko schylić głowę, gdy drugi kret rzucił czymś tuż obok jego głowy. Metalowy rondel albo talerz, jakiś sprzęt kuchenny, który Horris przyniósł z sobą. Skrzeknął ze złością i uniósł się najwyżej, jak potrafił. Znalazł się pod obstrzałem.

Poleciały na niego różnego rodzaju rzeczy, gnomy bowiem przypuściły żarliwy atak, próbując ściągnąć go na dół. Rzucały wszystkim, co zdołali unieść, wrzeszcząc na niego przez cały czas, nazywając go „głupim ptakiem” i jeszcze gorzej, rozsierdzając się coraz bardziej z każdą chwilą. To odpowiadało Biggarowi. Złość prowadzi do błędów, a on liczył na takiż z ich strony. Jeszcze nie zauważyli kabałowej szkatuły, więc dbał o to, żeby trzymać się od niej na dystans. Krażąc, nurkując, podrywając się do góry drażnił i naigrywał się z nich bezlitośnie, wyzywał ich w odpowiedzi na ich wyzwiska, prowokował ich do łapania go. Byli totalnymi idiotami, więc wciąż wrzeszczeli i skakali wkoło, starając się trafić go różnymi przedmiotami. Dużo mogli zdziałać!

Z drugiej strony przykrzyło mu się to ciągle robienie uników, a wciąż nie miał planu, jak odciągnąć psa od drzwi. Potrzebował czegoś, co zaprzętnęłoby uwagę tamtego, czegoś, co skłoniłoby psa do pobiegnięcia, czegoś, czego nie mógłby zignorować. Nagle pomyślał, co by się stało, gdyby wypowiedział słowa zaklęcia, które uwięziło Holidaya i innych. Pewnie nic dobrego, zdecydował i szybko porzucił ten pomysł. Szkatuła była zbyt niebezpieczna. Poza tym przypuśćmy, że uwolniłaby swoich więźniów. Lepiej ją na razie zostawić tam, gdzie jest. Przebiegł jeszcze raz wzrokiem jaskinię w poszukiwaniu kolejnej drogi ucieczki, mając nadzieję, że może przeoczył jakiś wylot powietrza bądź szczelinę. Niczego tam jednak nie było.

W dole gnomy dodomy zaczęły ściągać koce z prowizorycznego łóżka Horrisa Kewa i związywać je ze sobą w formę sieci. Uważajcie, uśmiechnął się w duchu Biggar. Sfrunął na pracujące gnomy, rozpraszając ich uwagę i naigrawając się z nich. Widział błysk ich żółtych oczu, gdy robili uniki i syczeli na niego. Byli naprawdę na niego wściekli. Obaj. Dobrze im tak. Ukończyli swoją sieć obfitującą w otwory, przez które można było śmiało przelecieć – idioci! – i spróbowali zapędzić go w róg, gdzie mogliby go dopaść.

– Tępe pały! Nędzne kreatury! Głupie ryjce! – wołał do nich z góry, bez trudu unikając ich żalonych prób.

Runął na ziemię i podniósł kilka lżejszych przedmiotów, którymi rzucono w niego, uniósł je do góry i zrzucił na głowy gnomów. Gnomy zapiszczały i zawyły. Może to sprowadzi psa, pomyślał z nadzieją Biggar. Lecz pies wciąż nie przychodził. Może za mało hałasu? Biggar spróbował jeszcze raz z czymś odrobinę cięższym, z drewnianą chochłą. Upuścił ją prosto na głowę Fillipa i gnom, stojący na występie jakieś trzy metry nad ziemią, stracił równowagę i spadł głową w dół. Musiał to być okropny ból, lecz gnom natychmiast stanął na nogach. Głowy z żelaza, pomyślał Biggar. Bez mózgów, aby nie obciążać i tak ciężkich czaszek.

Gra trwała jeszcze przez jakiś czas, gnomy wymachiwały swoją siecią, Biggar unikał pułapki i wyzywał ich. Nikt nie mógł uzyskać przewagi. Biggar rzucał wyzwiska również pod adresem psa, lecz nie otrzymywał żadnej odpowiedzi. Popędził tunelem do miejsca, gdzie pies trzymał wartę, próbując wyciągnąć go obelgami i ryzykownymi przelotami w jego pobliżu, lecz pies pozostał na miejscu.

Pierwszy jednak Biggar stracił cierpliwość. Nie mógł znieść, że te półgłówki trzymały go w pułapce tak długo, nie mógł znieść myśli, że został zaszachowany przez idiotów. Zdecydował, że spróbuje czegoś, aby przerwać tę patową sytuację. Pomknął z szybkością błyskawicy z powrotem do głównej sali, obok skaczących i próbujących go sięgnąć gnomów, do kabałowej szkatuły. Wystarczy już ostrożności. Jediną rzeczą, która przyciągnęłaby psa, była szkatuła, zwłaszcza jeśli będzie myślał, że coś okropnego ma się jej przytrafić. Wtedy Biggar mógłby wyświadczyć mu przysługę.

Drażniąc gnomy, odciągnął je w stronę wejścia, dając im akurat tyle nadziei na złapanie go, aby szły za nim, po czym rzucił się z powrotem przez pomieszczenie do kabałowej szkatuły. Wylądował prosto na górze pudełka, wbił pazury w jego szczeliny, tam gdzie były wyrzeźbione symbole mocy, poprawił chwyt i uniósł się. Nie było to łatwe. Szkatuła była ciężka i nieporęczna. Patrzył, jak gnomy pędzą w jego stronę. Gdy tylko zdały sobie sprawę z tego, co robi, zaczęły głośniej wyć. Ich zachowanie było jednak chaotyczne. Nie zaczęły krzyczeć „kabałowa szkatuła” albo czegoś podobnego, więc pies wciąż nie przychodził. Klekocząc dziobem z wysiłku, Biggar uniósł się w mrok ze szkatułą trzymaną bezpiecznie w pazurach. Trzepotał dziko skrzydłami, aby utrzymać się wysoko w górze, napinając mięśnie do granic wytrzymałości. Pod nim tchórzofretki podskakiwały dziko, aby go dosięgnąć. Wyteżył siły jeszcze bardziej, bijąc skrzydłami z całych sił, aż osiągnął najwyższy punkt pomieszczenia z huśtającą się pod jego łapami szkatułą. Plan miał taki, aby trzymać ją jeszcze przez kilka chwil, a potem upuścić. To musiało przyciągnąć psa.

- Obniż się, głupi ptaku! – ryknął jeden z gnomów.
- Dlaczego ty nie przyjdiesz tutaj? – burknął tamten w odpowiedzi.
- Pożałujesz tego! – krzyknął gnom.
- Ciekawe, co się stanie, jeśli pozwolę temu spaść? – drażnił ich, potrząsając gwałtownie szkatułą. – Nie mogę już tego dłużej utrzymać.

Słyszając to, gnomy zapiszczały niczym zwiastunki śmierci banshee, biegnąc pod nim we wszystkie strony, jak pierzchające myszy wypłoszone ze swego gniazda. Naprawdę

mu się to podobało. Jak wędkarz ciągnął je za sobą z jednego końca sali w drugi, parę śmiesznych, beznadziejnych pionków.

Lecz pies nadal nie przychodził.

Stracił cierpliwość po raz ostatni. Świetnie. Jeśli tak chcecie się bawić, to świetnie! Był zresztą i tak wykończony. Wzniósł się w przechyle do najwyższego punktu w pomieszczeniu i uwolnił kabałowa szkatułę.

Niestety, gdy to robił, jeden z jego pazurów utkwiał dość głęboko w rowku.

Kabałowa szkatuła runęła w dół, lecąc na podłogę jaskini, a razem z nią spadał nieszczęsny Biggar. Ptak walczył zawzięcie, aby się uwolnić, drapiąc i skrobiąc ciężar przy łapie, lecz ten trzymał się mocno. Kamienna podłoga przybliżała się w zawrotnym tempie. Biggar pisnął i zamknął oczy.

Nie stało się jednak to, czego się spodziewał. Nie roztrzaskał przy upadku czaszki o kamień, nie pogruchotała się szkatuła ani ptak. W ostatniej chwili Sot rzucił się na podłogę i złapał je w kołysce swych sękatych, owłosionych rąk.

Biggar miał akurat tyle czasu, żeby zdążyć otworzyć oczy, zanim brudne dłonie zacisnęły się mocno na jego biednej szyi.

– Mam cię, głupi ptaku – wyszeptał gnom.

Abernathy stał przy wejściu do jaskini i nasłuchiwał, jak wrzawa na końcu tunelu zamiera i nieoczekiwanie zapada cisza. Czekał, aż znowu rozpęta się walka, lecz nic takiego nie nastąpiło. Cisza się wydłużała i pogłębiała. Najwyraźniej coś się stało, ale co? Nie mógł opuścić swego stanowiska, żeby się dowiedzieć. Wiedział, że jeśli to zrobi, to Biggar przemknie obok niego i ucieknie. Ptak próbował wywabić go stąd przez ostatnią godzinę, czekając na okazję. Abernathy wysłał Filli-pa i Sota za tą nieznośną istotą, sądząc wtedy, że oni i tak się najlepiej nadają do tego zadania. Nie miał pojęcia, jak miało im się udać złapać tego ptaka, ale nie miał innego wyboru, jak tylko pozwolić im spróbować. Odgłosy walki świadczyły dobitnie o skali ich wysiłków – nieprzerwana i bezlitosna kakofonia dźwięków sugerowała wszelkie możliwe nieprzyjemne zdarzenia.

A teraz wszystko zamarło.

– Phillip! – zawołał z wahaniem. – Sot!

Żadnej odpowiedzi. Czekał z trwogą. Co powinien zrobić?

W końcu z mroku poprzecinanego paskami fosforescencji ukazały się dwa niewyraźne, lecz znajome kształty, niosąc między sobą drewnianą szkatułę ozdobioną zawilimi nacięciami. Abernathy'emu serce zabiło mocniej.

– Znaleźliście ją! – wykrzyknął, powstrzymując się przed wykonaniem małego tańca.

Gnomy toczyły się w jego stronę, wyglądając na nieco sfatygowane.

– Głupie ptaszysko próbowało ją upuścić – powiedział z zawziętością Phillip.

– Próbował ją roztrzaskać – dodał gwoli ozdobienia Sot.

– Chciał zranić naszego pana – powiedział Phillip.

– Może nawet zabić naszego pana – powiedział Sot.

Pogłaskali czule drewnianą powierzchnię kabałowej szkatuły i podali ją ostrożnie psu.

– Głupie ptaszysko już nie zrobi tego więcej – powiedział Phillip.

– Już nigdy – dodał Sot.

I wypluł porządnie przeżute czarne pióro.

WYRWA W MURZE

Wschód słońca nad Sterling Silver przypominał krwistoczerwoną plamę rozlaną nad horyzontem i zapowiadał złą pogodę na cały dzień. Questor Thews był z powrotem na murach obronnych zamku, spoglądając w dół na budzące się obozowisko zawodowej armii Kallendbora i zbieraninę wiejskiej hołoty, która poprzedzała ją w pogoni za złudną kolekcją kryształów marzeń. Nocne ciemności wycofywały się niechętnie na zachód wypierane przez karmazynowy świt, którego światło lało się na skulone kształty oblegających niczym krew.

Nie sposób brać tego za pomyślną wróżbę, pomyślał mag.

Przez większą część nocy był na górze, przeszukując z krainoglądu okolice w nadziei, że znajdzie Bena Holidaya. Przemierzył Landover wzdłuż i wszerz, z północy na południe, ze wschodu na zachód i nie znalazł żadnego śladu króla. Był zmęczony i zniechęcony i szczerze mówiąc, zupełnie nie wiedział, co począć. Co miał teraz robić? Zamek znalazł się w obłączeniu, dwie trzecie populacji otwarcie się zbuntowało, a on został sam, żeby się tym wszystkim zająć. Nawet Abernathy'ego nie można było znaleźć – nowe i niepożądane źródło irytacji. Willow również jeszcze nie wróciła. Jeśli ludzie będą wciąż zniknąć, to wkrótce monarchia pozostanie bez odpowiedzialnych przywódców i zawali się jak domek z kart.

Z półmroku wynurzył się Bunion i stanął obok niego, patrząc w dół na krzątające się z ożywieniem postacie na łące. Przynajmniej jeden raz kobold nie wystawił swoich zębów w uśmiechu na pokaz. Questor westchnął i poklepał pokrzepiająco swego chropowatego kolegę po ramieniu. Bunion również był wykończony i zniechęcony. Wyglądało na to, że wszystkim skończyły się pomysły i pozostało im teraz tylko czekać na to, co się wydarzy.

Nie musieli na to długo czekać. Gdy słońce zaczęło się wznosić, a w obozie wrzeć, z leśnych ciemności wyszedł nieznajomy w czarnym płaszczu i przeszedł na drugi koniec łąki, gdzie gęste zarośla *zagradzały* drogę do stromizny. W tym rejonie nikt nie obozował, grunt był dziki i nierówny, zarośla naszpikowane cierniami i pokrzywami, wszystko tonęło w gęstym półmroku. Questor obserwował, jak nieznajomy oddala się od wojsk oblegających zamek. Nikt z nim nie szedł. Nikt chyba nawet nie zauważył, że on tam był.

Nie przemykał się ukradkiem, lecz szedł ze stanowczością, która lekceważyła możliwość jakiegokolwiek interwencji. Questor przeniósł wzrok z powrotem na środek łąki. Ani śladu Horrisa Kewa, jego ptaka ani nawet Kallendbora.

Omijając w jakiś zastanawiający sposób jeżyny, nieznajomy w czarnym płaszczu posuwał się ostrożnie przez półmrok. Co on zamierza? Questor Thews nie miał pojęcia, był jednak przekonany, że lepiej byłoby dla niego, gdyby to wiedział. Powtarzał sobie, że coś powinien zrobić, ale naprawdę nie wiedział co.

Bunion zaszczębiotał coś szybko, jakby coś nie cierpiącego zwłoki było do zrobienia.

– Nie, zostań tutaj – polecił Questor. – Żadnego przepływania przez fosę, aż będziemy wiedzieć, do czego on zmierza. Żadnych bohaterskich wyczynów. Już dość straciliśmy ludzi. – I ponownie się zastanowił, gdzie się podział Abernathy.

W polu widzenia znalazł się Kallendbor, a w ślad za nim jego oficerowie i cała świta. Większość była w zbrojach gotowa do walki. Konie już osiodłano. Z wozów zdejmowano broń i rozdawano ją piechocie, czekającej już w kolejce. Questor zacisnął usta. Najwidoczniej Kallendborowi zaczynało się przykrzyć obłężenie.

Purpurowe światło przelało się nad Sterling Silver i otaczającymi je wodami jeziora, po czym ogarnęło także łąkę. Dotarło do czoła ściany urwiska, gdzie z półmroku wynurzył się nieznajomy w czarnym płaszczu. Następnie zaczęło się wspinać w kierunku lasu leżącego z tyłu.

Questor zmrużył oczy od oślepiającego blasku. Nieznajomy wyszedł na otwartą przestrzeń i stanął twarzą do stromizny.

– Co on zamierza? – mruzczał podejrzliwie czarodziej. Niemalże w tej samej chwili ramiona nieznajomego uniosły się pod płaszczem do góry, ciało zeszywniało i paski ognia spłynęły z nich łukiem w dół do ziemi. Questor drgnął. Nieznajomy posługiwał się magią! Wymienili z Bunionem zaniepokojone spojrzenia. W centralnej części łąki, gdzie dostrzeżono płomienie, rozległy się krzyki. Kallendbor dosiadł już swojego rumaka i wykrzykiwał rozkazy do swoich oficerów. Ludzie dreptali wkoło, nie wiedząc, co mają robić. Żołnierze piechoty i kawaleria formowali szyki. Wieśniacy z rodzinami stali niezdecydowani, nie wiedząc, czy uciekać, czy może pozostać na miejscu i zobaczyć, co się stanie.

Gdyby byli trochę bardziej przewidujący, wybraliby ucieczkę. Spod ziemi rozległo się głucho, złowieszcze dudnienie i doszedł odgłos zgrzytającego kamienia, jakby otwierały się olbrzymie wrota.

O rany, pomyślał zaskoczony Questor Thews. Wydawało się, że frontowa ściana urwiska pęka, że jest rozdierana jak papier i zanika za wiszącym przed nią popękany na kawałki powietrzem. Purpurowe światło świtu wlało się do powstałego czarnego otworu, wypełniając go zmieniającymi się barwami i dymiącymi cieniami. Rozległ się grzmot i zadrzała ziemia, a wraz z nią ci, którzy patrzyli na to z otwartymi ustami zarówno z łąki jak i z murów Sterling Silver. Syk potworów mieszał się ze szczękiem zbroi i broni. Wszystko to przerodziło się w potworny wrzask, który brzmiał jak straszliwa agonia konających.

Questorowi zaschło w ustach. Demony! Nieznajomy w czarnym płaszczu wezwał demony!

Zerwał się gwałtowny wiatr, który przewracał namioty i sztandary, przerażone konie stawały dęba, a ludzie stojący na ziemi padli na kolana. Kallendbor wyciągnął swój pałasz, trzymając go przed sobą jak zapalkę przeciwko huraganowi. Z rozdarcia wynurzyły się demony w zbrojach jeżących się od kolców i poszczerbionych ostrzy, cali osmaleni i zwęgleni, jak gdyby palono ich w najgorętszym ogniu. Wskoczyli z wyrwy na powierzchnię łąki. Ich ciała dymiły, a z przyłbic i szczelin w pancerzach sączyła się para. Były to szczupłe, niekształtne istoty, zgięte i powykręcane jak drzewa na wystawionej na wiatr grani. Jechali na nie dających się opisać bestiach bez imion, stworzeniach z koszmaru i przerażającej fantazji, istotach z czarnych piekieł.

Przybyli z najciemniejszych zakątków Abaddonu. Rozstawili się na prawo i lewo od samotnie stojącej postaci nieznajomego w czarnym płaszczu, wypełniając każdą piędź terenu między jeziorem a stromizną, aż pokryli cały daleki koniec łąki. Krwista barwa świtu osiadła na nich i dała im wygląd kawałków węgla, na które zwrócony jest kowalski miech, a żar światła trawił szczeliny i pęknięcia ich czarnych form tak jak ogień, który wżera się w metal.

Questor Thews czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

Kiedy nieznajomy w czarnym płaszczu obrócił się i spojrzał ponad jeziorem w jego stronę, wiedział, że do drzwi zastukały prawdziwe problemy.

– Zjedliście ptaka? Zjedliście go?

Abernathy patrzył z niedowierzaniem na Fillipa i Sota, którzy stali przed nim zbici z tropu, a zadowolone uśmiechy powoli znikwały z ich twarzy.

– Zasłużył sobie na to – wymamrotał Phillip.

– Głupie ptaszysko – mruknął Sot.

– Nie musieliście go jednak zjadać! – krzyknął Abernathy, teraz już prawdziwie wściekły. – Czy wiecie, co zrobiliście? Ptak był jedyną osobą, która wiedziała, jak nas stąd wydostać! Tylko on wiedział, jak otworzyć szkatułę! Co my zrobimy bez niego? Jesteśmy zamknięci w tej jaskini, a nasz pan zamknięty jest w szkatule, a my nie możemy nic zrobić ani w jednej, ani w drugiej sprawie!

Gnomy dodomy spojrzały po sobie, wykręcając żałośnie ręce.

– Zapomnieliśmy – zaskomlał Phillip.

– Tak, zapomnieliśmy – zawtórował mu Sot.

– Nie wiedzieliśmy – powiedział Phillip.

– Nie myśleliśmy – dodał Sot.

– Poza tym, to był jego pomysł – powiedział Phillip, wskazując na Sota.

– Tak, to był mój... – Sot przerwał. – Nie, wcale nie! To był twój!

– Nie, twój!

– 'Wcale nie, bo twój!

Zaczęli krzyczeć na siebie, potem popychać, w końcu kopać i gryźć, aż spleceni ze sobą rzucili się na ziemię. Abernathy wznosił wzrok, przesunął się pod bok i usiadł z kabałową szkatułą na kolanach. Niech sobie walczą, pomyślał. Niech powyrywają sobie sierść i udławiają się nią, tyle go to obchodzi. Usiadł pod ścianą jaskini, zastanawiając się nad okrutną ręką losu. Być tak blisko celu i przegrać – to było prawie nie do zniesienia. Patrzył, jak gnomy walczą, tocząc się po podłodze. Wciąż nie mógł uwierzyć, że zjedli ptaka. A może mógł. Właściwie to wszystko układało się w idealnie logiczną całość, biorąc pod uwagę to, z kim miał do czynienia. Dla nich zjedzenie ptaka było naturalną reakcją. Był niemalże zły na samego siebie za to, że dopuścił do tego. Nie mógł jednak tego przewidzieć, jak przypuszczał. Wciąż jednak...

Zastanawiał się nad tym przez pewien czas bez żadnego wyraźnego celu, ale nie mógł na to nic poradzić. Mijały minuty. Z głębi korytarza przestały dochodzić odgłosy walki. Abernathy nasłuchiwał. Może pozjadali się nawzajem. Jeśli tak, to stałoby się to za sprawą poetyckiego wymiaru sprawiedliwości.

Lecz po chwili wynurzyli się, pocięci, podrapani i rozczochrani, ze spuszczonej głowami i zaciśniętymi wargami. Usiedli naprzeciwko niego, wpatrując się w pustkę. Abernathy przyglądał im się.

– Przepraszamy – mruknął po chwili Phillip.

– Przepraszamy – mruknął Sot.

Abernathy skinął głową. Nie mógł zmusić się i powiedzieć, że wszystko jest w porządku, bo oczywiście nie było, ani że im wybacza, bo oczywiście nie wybaczył. Nie powiedział zatem nic.

Po chwili Phillip odezwał się z ożywieniem do Sota:

– Może na końcu jaskini wciąż są ukryte kryształy?

Sot spojrzał na niego z entuzjazmem.

– Właśnie, może są! Chodźmy zobaczyć!

I ruszyli, pędząc w ciemność. Abernathy westchnął i pozwolił im odejść. Może dzięki temu nie będą już więcej wyrządzać szkód. Minęło trochę czasu – Abernathy nie wiedział ile. Pomyślał, że może spróbuje, na zasadzie prób i błędów, odnaleźć sekwencję znaków runicznych, która otwiera drzwi, ale symboli przy drzwiach były całe tuziny, więc nie było nadziei na odnalezienie właściwej kombinacji. Co innego jednak miał robić? Postawił na ziemi kabałową szkatułę i zaczął się podnosić.

W chwili, gdy to zrobił, zamki w drzwiach jaskini zachrobotały i płyta zaczęła się odsuwać. Abernathy zamarł, potem przywarł plecami do ściany. Drzwi uchylały się powoli ze zgrzytem i piskiem, wpuszczając blady skrawek czerwonawoszarego światła nadchodzącego świtu.

Abernathy powstrzymał oddech. A jeśli to jest nieznajomy w czarnym płaszczu? Mimowolnie zamknął oczy.

– Biggar! – zawołał niepewnie znajomy głos.

Poorana zmarszczkami, skwaszona twarz Horrisa Kewa wsunęła się do środka, gdy on sam czekał, aż oczy przywykną do mroku. Abernathy pozostał idealnie nieruchomy, nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście.

– Biggar! – zawołał tamten jeszcze raz i wszedł do wnętrza jaskini.

Kamienne drzwi zaczęły się za nim zamykać. Abernathy przesunął się, stanął między drzwiami a magikiem i powiedział:

– Witaj, Horrisie.

Kiedy Horris się obrócił, Abernathy skoczył na niego i zwałił go na ziemię. Horris wrzasnął i próbował się uwolnić, walcząc jak dziki. Jego ręce i nogi były samymi kośćmi i Abernathy nie mógł go przytrzymać. Horris wywinął się spod napastnika, podniósł się jakoś na nogi i sięgnął do drzwi. Zdecydowany zatrzymać go za wszelką cenę, Abernathy zacisnął zęby na wytartej szacie pokutnika i dodał sobie sił, powstając na cztery łapy. Horris próbował się uwolnić, ale mu się nie udało. Abernathy zawarczał. Dwójka zmagala się z sobą przed drzwiami, lecz żaden nie potrafił zdobyć przewagi.

Wtem Horris dostrzegł kabałową szkatułę, wrzasnął kolejny raz, wyrwał się, zostawiając spory kawał tkaniny w pysku Abernathy'ego i chwycił pudełko. Kierował się ku drzwiom i bezpiecznemu schronieniu, opędzając się od psa, kopiąc zaciekle na wszystkie strony, kiedy z ciemności wypadli jak wyrzuceni z procy Phillip i Sot i rzucili się na niego, zwalając go z nóg i przygniatając do ziemi. Horris leżał rozplaszczony, z trudem łapiąc powietrze.

Abernathy wziął z powrotem kabałową szkatułę, chciał już ją przekazać Phillipowi, ale rozmyślił się. Wolną ręką postawił magika na nogi i potrząsnął nim tak mocno, że można było usłyszeć, jak tamtemu szczęka ją zęby.

– Posłuchaj mnie, ty nieznośny szalbierzu! – warknął ze złością. – Rób dokładnie to, co ci powiem albo pożałujesz dnia, w którym się urodziłeś!

– Puść mnie! – błagał Horris Kew. – To nie moja wina! Ja nic nie wiedziałem!

– Nigdy nic nie wiesz! – rzucił Abernathy. – To już twój problem! A w ogóle, co ty tutaj robisz?

– Przyszedłem poszukać Biggara – zdołał wydusić z siebie Horris, przełykając strach wielkimi łykami powietrza. – Gdzie on jest? Co z nim zrobiliście?

Abernathy odczekał, aż oddech tamtego stanie się odrobinę wolniejszy, po czym przysunął go sobie do samej twarzy.

– Gnomy go zjadły, Horrisie – powiedział miękko. Oczy Horrisa Kewa niemalże wyszły z orbit. – I jeśli ty nie będziesz robił tego, co ci powiem, to pozwolę, aby ciebie również zjadły. Rozumiesz mnie?

Horris skinął natychmiast głową, nie będąc w stanie nic powiedzieć.

Abernathy odsunął się o ułamek cala.

– Możesz zacząć od otwarcia drzwi jaskini i wydostania nas stąd. I nie próbuj żadnych sztuczek. Nie próbuj uciekać. Cały czas będę cię mocno trzymał.

Pchnął Horrisa w stronę wejścia, czując jak Phillip i Sot podążają tuż za nimi, i czekał, aż przerażony magik wystukał sekwencję znaków runicznych i uruchomił mechanizm zamków. Drzwi otworzyły się ciężko i magik, skryba oraz gnomy, potykając się, wyszli na światło.

Abemathy obrócił Horrisa Kewa twarzą do siebie.

– Niezależnie od tego, co sobie myślisz, Horris, to wszystko, co się stało, to naprawdę twoja wina, więc nie chcę słyszeć, abys mówił, że jest inaczej. Masz jedną szansę na naprawienie wszystkiego i radzę ci z niej skorzystać. Chcę, żeby król został uwolniony. Chcę, aby Ben Holiday znalazł się z powrotem w Landover. Ty wsadziłeś go do szkatuły; ty go teraz stamtąd wyciągniesz!

Horris Kew przełknął ślinę, podskoczyło mu jabłko Adama, a policzki i usta wydały dźwięk, jakby zasysały powietrze. Wyglądał jak strach na wróble pozostawiony na polu długo po tym, jak przestał być do czegokolwiek potrzebny. Wyglądał, jakby miał rozsypać się w stertę słomy.

– Nie wiem, czy potrafię to zrobić – wyszeptał. Abernathy obdarzył go najbardziej nikiemnym spojrzeniem, jakie potrafił przywołać na twarz.

– Lepiej módl się, żebyś potrafił – odpowiedział miękko.

– Ale co oni mi robią, kiedy już zostaną uwolnieni? Holiday może zrozumie, ale co ze smokiem i wiedźmą?

– Będziesz miał większe zmartwienia, jeśli ich nie uwolnisz. – Abernathy nie miał nastroju do targowania się. – Wymawiaj słowa zaklęcia. Natychmiast.

Horris Kew oblizwał wargi, spojrzął na dół na gnomy dodomy i wziął głęboki oddech.

– Spróbuję.

Abernathy, nie zwalniając uścisku/przekazał mu kabałową szkatułę i stanął za nim. Jedną rękę miał wciąż zaciśniętą na chudej szyi magika.

– Pamiętaj, żadnych sztuczek.

Czerwony blask świtu przeświecał przez mroczny gąszcz lasu, przesuwając się powoli na zachód w pościgu za ciemnościami. Widok ten nie przypadł do gustu Abernathy'emu. Zapowiadała się zła pogoda. Już zaczął myśleć o drodze powrotnej do Sterling Silver, o oblężeniu, Kallendborze i nieznanym w czarnym płaszczu. Szarpnął ostro Horrisa Kewa za gardło. Horris zaczął mówić.

– Rashun, oblat, surena! Larin, kestel, maneta! Ruhn!

I wierzch kabałowej szkatuły natychmiast zniknął w mglistym wirze złowrogiego, zielonego światła.

Ben Holiday zobaczył, jak w czarnym murze przed nim pojawia się szczelina i

natychmiast zwrócił się ku niej. Migotała słabo, gdy popędził w jej stronę, tuż za nim Nocny Cień i Strabo, po czym rozszerzyła się, jak gdyby cały mur został rozłupany na dwie części. Czarodziejskie mgły gwałtownie zawirowały, przyciągnięte przez jasność, jakby były żywą istotą. Ben rzucił się w wyłom, nie zważając na konsekwencje, wiedząc tylko tyle, że jaki bądź otwór może dać szansę na uwolnienie się. Światło zdawało się wsysać go do góry, wciągać w wir, który obracał nim jak piórkiem. Miał świadomość tego, że wiedźma i smok są ciągnięci wraz z nim, wszyscy troje pochwyceni przez trąbę powietrzną. Mrok i mgła zniknęły z tyłu za nimi. Labirynt rozwiął się i przepadł. Światło nad nimi przyjęło zielonkawy odcień, pojawiły się rozkołysane i szemrzące cienie – gałęzie i liście drzew, niebo, wciąż jeszcze ciemne od usuwającej się nocy, i zapach ziemi, mchu i spróchniałego drewna, miedziany posmak czegoś jak siarka i dźwięk wołających głosów...

I wtedy został wypluty w leśny mrok lasu w Landover, powrócił jeszcze raz do świata, z którego został zabrany. Zobaczył, że stoi jakieś trzy metry od Abernathy'ego, Horrisa Kewa oraz Fillipa i Sota, którzy wpatrywali się w niego z otwartymi ustami.

W chwilę później pojawiła się również Nocny Cień, stając się ponownie sobą, a moc jej magii emanowała z jej ciała w postaci maleńkich iskierek i słabego migotania. W spontanicznym geście wyrzuciła do góry ramiona, białe pasemko w jej czarnych włosach połyskiwało niczym mróz na węglu, a zimne rysy jej ociosanej twarzy odchyliły się w stronę czerwonej łuny brzasku.

– Wolna! – krzyknęła z radością.

Obok niej z kabałowej szkatuły eksplodował Strabo, odzyskując smoczy kształt. Rozprostował swoje czarne, pokryte łuskami ciało, rozwinał skrzydła i uniósł się w niebo, wypuszczając z paszczy wulkan ognia, który grzmotnął w drzwi jaskini, a następnie spalił rosnące nad nią drzewa. Połyskując od parującej z niego wilgoci, najeżony wszystkimi swoimi kolcami i ostrzami, smok wydał z siebie potężny grzmot kaszlu i w błyskawicznym pedzie poszybował w oddalającą się noc.

– Mój panie! – krzyknął na powitanie Abernathy, z wyraźną ulgą w głosie. Wyrwał Horrisonowi Kewowi kabałową szkatułę i podbiegł do niego. – Nic ci nie jest?

Ben pokręcił głową, rozglądając się dokoła i upewniając, czy rzeczywiście nic mu nie jest. Phillip i Sot wydawali cienkie piszczące dźwięki w jego stronę i jednocześnie kuląc się, odsuwały od czarnego kształtu Nocnego Cienia. Horris Kew zdawał się rozglądać za miejscem do ukrycia.

Ben wziął głęboki oddech.

– Abernathy, co się tutaj dzieje? Skryba wyprostował się.

– O, panie, bardzo dużo, bo widzisz... Huczna owacja sprawiona przez gnomy dodomy przerwała jego opowieść.

– Wielki panie!

– Potężny panie!

Phillip i Sot obejmowali się i skakali uszczęśliwieni, najwidoczniej do końca

przekonani, że to rzeczywiście on. Ben uśmiechnął się do nich z wahaniem. A cóż ci tutaj robia?

Abernathy chciał podjąć na nowo, ale Nocny Cień zauważyła Horrisa Kewa i ruszyła do przodu z rozwianymi dokoła połami czarnych szat.

– To ty! – syknęła z nie ukrywaną furią. Ben wkroczył szybko między nich.

– Zaczekaj, Nocny Cieniu. Chcę wpierw wysłuchać Abernathy'ego.

– Zejdź mi z drogi, królu-marionetko – rozkazała mu wiedźma z jadem w głosie. – Już nie jesteś w labiryncie i nie podlegam twoim rozkazom. Odzyskałam swoją magiczną moc i mogę robić, co mi się podoba!

Ben jednak nie ustępował. Sięgnął pod tunikę i wyciągnął medalion.

– Oboje jesteśmy tym, kim byliśmy kiedyś. Nie próbuj sprawdzać swojej siły na mnie. Chcę usłyszeć od mojego skryby, co się wydarzyło w czasie naszej nieobecności, zanim podejmę decyzję, co zrobić z Horrisem Kewem.

Nocny Cień stała nieporuszona, sina z wściekłości.

– Zaczynj opowiadać, Abernathy – polecił spokojnie Ben.

Abernathy zaczął. Opowiedział królowi wszystko o kabałowej szkatule i Horrisie Kewie, o kryształach marzeń, nieznanym w czarnym płaszczu, Kallendborze i oblężeniu Sterling Silver. Ben słuchał skryby, nie komentując niczego, a oczy cały czas utkwione miał w Nocnym Cieniu. Kiedy Abernathy skończył, Ben zrobił krok do przodu i stanął obok Horrisa Kewa.

– Co ty na to?

– Mój panie, nie mam nic na swoją obronę. – Magik robił wrażenie kompletnie pokonanego. Wysokie, chude ciało garbiło się w pokorze. – Tym nieznanym jest istota czarodziejska, która wyszła z kabałowej szkatuły – również z mojej winy – kryjąca w sobie potężną moc magiczną i zło. Nazywa się Gorse. Planuje się zemścić na ludziach z czarodziejskich mgieł, gdy tylko podbije Landover. Wierz mi, panie, że żałuję, iż zrobiłem cokolwiek, aby mu pomóc. – Przerwał, przelękając ślinę. – Na moją korzyść mogę tylko powiedzieć, że pomogłem was uwolnić.

– Po tym, jak nas wcześniej uwięziłeś, oczywiście – zauważył Ben. Spojrzał na Nocny Cień. – Muszę go zatrzymać przy sobie przez jakiś czas. Może będę go potrzebował podczas rozprawy z tym czarodziejskim stworzeniem.

Nocny Cień potrząsnęła głową z grzywą czarnych włosów.

– Oddaj go mnie.

– On nie jest prawdziwym wrogiem, Nocny Cieniu. Nigdy nim nie był. Posłużono się nim tak samo, jak nami i być może równie okrutnie. Odłóż swój gniew. Pójdź z nami do Sterling Silver i staw czoło Gorse'owi. Twoja magia mogłaby bardzo pomóc. Działaliśmy wspólnie w mgłach; możemy to zrobić znowu.

– To są twoje problemy! – warknęła wiedźma. – Sam je sobie rozwiąż!

Patrzyła na króla wyzywająco. Ben wziął głęboki oddech.

– Wiem, co się stało w mgłach, co zaszło między nami...

– Przestań! – wrzasnęła z taką pasją, że Phillip i Sot pierzchli do lasu i zniknęli. Była biała z wściekłości. – Ani słowa więcej! Już nic nie mów! Nienawidzę cię, królu-marionetko! Nienawidzę cię każdą cząstką siebie! Będę żyła tylko po to, żeby doczekać twego końca! To, co mi zrobiłeś, jak udawałeś...!

– Nie było w tym udawania...

– Przestań! Nic do mnie nie mów! – Zimna, zacięta i piękna twarz stała się wykrzywioną maską. – Zabierz magika! Nie chcę mieć nic wspólnego z żadnym z was! Lecz... – Tutaj wbiła wzrok w Horrisa Kewa, tak jak się wbija szpilkę w motyla. – Jeśli cię kiedykolwiek znowu zobaczę, jeśli złapię cię kiedykolwiek samego... – Jej miażdżący wzrok z powrotem powędrował na Bena. – *Zawsze* będę cię nienawidziła! – wyszeptła. Słowa klątwy zawisły w ciszy niczym brzytwa gotowa do cięcia.

Następnie uniosła zamaszystym ruchem ramiona do góry, sprowadziła wokół siebie dym i mgłę i zniknęła tam, gdzie budził się brzask.

Ben patrzył za nią, czując, jak wypełniają go mieszane uczucia, gdy zastanawiał się nad wybuchem jej złości. Wydawało mu się to dziwne, po tym, co przeżyli, a jednocześnie nieuchronne. Zastanawiał się przez chwilę, czy można było tego uniknąć. Był przekonany, że nie.

– Panie! – zawołał Abernathy i chwycił go za rękaw.

Ben odwrócił się.

Padł na nich nagle olbrzymi cień i z nieba opadł Strabo. Sypały się gałęzie i wznosiły tumany kurzu, gdy sadowił swoje ogromne cielsko na poszyciu lasu.

– Holiday – odezwał się zgrzytliwym, lecz przyjaznym w tonie głosem. – Jeszcze nie skończyliśmy ze wszystkim. Czy to on odpowiada za to, co się stało z nami?

Ben pokręcił głową.

– Nie, Strabo. Ten, którego szukamy, jest pod Sterling Silver i knuje kolejną intrygę.

Zakołysała się wielka, rogata głowa smoka i błysnęły w półmroku jego żółte ślepia.

– Razem rozpoczęliśmy tę podróż, choć to nie był nasz wybór. Może ją również zakończymy razem? Ben uśmiechnął się, mile zaskoczony.

– Myślę, że powinniśmy – zgodził się.

Kiedy Holiday, Abernathy i Horris Kew opuścili polanę, odlatując na grzbiecie Strabo i kiedy upłynęło wystarczająco dużo czasu, aby się upewnić, że Nocny Cień również się wyniosła, z kryjówki wynurzyli się Phillip i Sot. Wyczołgali się spośród drzew i stojąc, rozglądali się ostrożnie dokoła, gotowi rzucić się do ucieczki przy najlżejszym dźwięku. Panowała jednak cisza i czuć było tylko słaby zapach smoczego ognia w miejscach, gdzie spłonęły drzewa.

– Nie ma ich – powiedział Phillip.

– Nie ma – zawtórował mu Sot.

Zwrócili się w stronę jaskini, oceniając odległość dzielącą ich od wejścia. Drzwi były uchylone. Z zawiasów wyrwało je uderzenie ognia Strabo. Z poczerniałej powierzchni unosiły się delikatne smugi pary.

– Moglibyśmy teraz wejść do środka – powiedział Phillip.

– Tak, moglibyśmy poszukać kryształów – zaproponował Sot.

– Może są tam jeszcze jakieś – powiedział Phillip.

– Mimo że wcześniej ich nie znaleźliśmy – zgodził się Sot.

– Gdzieś sprytnie ukryte.

– Gdzie nie przyszło nam do głowy szukać.

Nastąpiła dłuższa przerwa, w czasie której rozważali szansę. Światło brzasku przeniknęło już mrok lasu i zabarwiło wszystko na purpurowo. Zamarł śpiew ptaków. Owady przestały brzęczeć. Zamarł wszelki ruch. Zapadła przygniatająca cisza.

– Chyba powinniśmy iść do domu – powiedział cicho Phillip.

– Tak, chyba powinniśmy – zgodził się Sot. Jak postanowili, tak zrobili.

WYBAWIENIE

Spoglądając w dół na Landover z grzbietu lecącego Strabo, Ben myślał o tym, jak szybko sprawy mogą się zmieniać. Jeszcze przed godziną był uwięziony w kabałowej szkatule i dzielił go od świata taki sam dystans, jaki oddziela martwych od żywych. Wczoraj nawet nie wiedział, kim jest. Wierzył, że jest rycerzem, szermierzem króla, ucieleśnieniem Paladyna, który w rzeczywistości był jego alter ego. Nie było Nocnego Cienia i Strabo; towarzyszyli mu kobieta i gargulec, którzy stanowili taką samą zagadkę, jak on. Razem tworzyli dziwną grupę, pozbawioną wszelkiej prawdziwej wiedzy o swojej przeszłości, zmuszeni zacząć swoje życie od nowa w świecie, o którym prawie nic nie wiedzieli. Zabrani razem przez zwykły nieszczęśliwy zbieg okoliczności, zmuszeni dzielić z sobą życie wypełnione niewiedzą i fałszywymi nadziejami, osiągnęli w czasie podróży wzajemne zrozumienie, które graniczyło z przyjaźnią.

Jeśli chodzi o Nocny Cień, poprawił się ostrożnie, to było nawet więcej niż przyjaźń.

Teraz to wszystko należało do przeszłości, odeszło wraz z odzyskaniem przez nich tożsamości i powrotem do Landover. Było tak, jak gdyby dwukrotnie ulegali przemianie, raz przy wejściu do kabałowej szkatuły, drugi raz przy wyjściu z niej, za każdym razem odzierani z wiedzy o życiu i zmuszani do zdobywania jej od nowa, za pierwszym razem jako obcy w nieznanym świecie, za drugim razem jako domownicy w świecie dobrze sobie

znanym. Ta druga przemiana nie dopuszczała jednak, aby jakakolwiek część z pierwszej przedostała się tutaj, ta druga przemiana żądała, aby wszystko z pierwszej zostało odrzucone, gdyż zostało przyswojone podstępem. Ben posmutniał z tego powodu. Bliskość, którą dzielił z Nocnym Cieniem, tutaj już nigdy nie zostanie osiągnięta. Byli związani wzajemną zależnością, która przepadła na zawsze. Również ze Strabo sprawy prawdopodobnie nie będą wyglądały najlepiej. Teraz niósł ich do Sterling Silver, aby wyrównać rachunki z Gorse'em, lecz kiedy z tym już skończą, odejdzie. Ben nie miał złudzeń. Już nie będzie rozmów, jakie odbywali z sobą rycerz i gargulec, nie będą dzielić swoich lęków i nadziei, nie będzie wspólnie podejmowanych wysiłków w celu zrozumienia zasad rządzących światem. Pójdą własnymi drogami, tak jak szli przedtem, zanim zwabiono ich do kabałowej szkatuły, a wspomnienia czasu spędzonego wspólnie pośród mgieł rozmażą się tak samo skutecznie, jak sen po przebudzeniu.

Ben oparł się pokusie spojrzenia do tyłu na Horrisa Kewa, który wybrał miejsce za nim i przed Abernathym. Oto narzędzie ich tragedii, pomyślał ponuro. Zbyt głupi jednak i nierozważny, aby czynić go za to odpowiedzialnym. Prawdziwym wrogiem jest Gorse. Jak się do niego zabrać? Dysponował potężną mocą magiczną i nie zawaha się jej użyć, zwłaszcza jeśli odkryje, że Ben, Nocny Cień i Strabo zostali uwolnieni. Dlaczego w ogóle doprowadził do ich uwięzienia? Jaka groźbę stanowili dla niego, że zdecydował się umieścić ich w szkatule? A może podyktowały to względy praktyczne i nic więcej?

Jakkolwiek brzmiała odpowiedź na to pytanie, jedna rzecz była pewna, i to ona go deprymowała. Aby się rozprawić z Gorse'em, będzie kolejny raz zmuszony stać się Paladynem, błędnym rycerzem króla, czego tak bardzo się lękał. Jego lęk kazał mu widzieć siebie wewnątrz kabałowej szkatuły w postaci rycerza i z ledwością przeżył to, co zostało tym zainicjowane – zagłada mieszkańców miasteczka, Cyganów rzecznych i niewiele brakowało, a również Gristlisów. Lęk przed ciemną stroną samego siebie miał go zniszczyć w czarodziejskich mgłach. Na szczęście uciekł. Teraz musi się stać swoją ciemną stroną, aby przeżyć. I kolejny raz musi martwić się o to, ile z każdym przeobrażeniem przybędzie mu z tożsamości Paladyna i ile straci z tożsamości Bena Holidaya.

Ben patrzył na przesuwające się pod nim Serce. Rzędy ław o tapicerce z białego aksamitu rysowały się na tle soczysto-zielonej trawy, a flagi królów Landover falowały na wietrze zwojami jaskrawych kolorów. Jakaś część jego paliła się do przemiany, pragnęła jej. Zawsze tak było. To przerażało go najbardziej.

Również Horris Kew rozmyślał i jego myśli też nie były przyjemne. Tylko chwile pozostały do konfrontacji między Gorse'em a Benem Holidayem i bez względu na to, kto wygra, będzie miał duże kłopoty. Obaj będą go winić za to, co drugi zrobił, próbował zrobić, czy choćby planował zrobić. Obaj będą żądali takiej lub innej kary. W wypadku Gorse'a Horris nie miał ochoty się zastanawiać zbyt dokładnie, jaka mogłaby to być kara. Z pewnością nie byłaby przyjemna. Holiday mógł stanowić lepszy wybór. Żałował, że nie może skonsultować tego z Biggarem. Zauważył, co było dość dziwne, że brakuje mu ptaka. Łączył ich podobny stosunek do okazji, jakie przynosi życie i do nieszczęść, których ono również nie skąpi. Niedobrze się stało, że to drugie dopadło Big-gara trochę

wcześniej, niż się tego obaj spodziewali. Horris dotkliwie odczuwał tę stratę. Część winy za to, co się stało, ponosił jednak sam ptak.

Westchnął. Takie myślenie do niczego, oczywiście, nie prowadziło. Zmienił temat i spróbował zdecydować, co mógłby zrobić, żeby ocalić sytuację. Będzie musiał zrobić coś bardzo szybko. Jasne mury obronne Sterling Silver znalazły się w zasięgu wzroku. Stanie zatem po stronie Holidaya, zdecydował. Miał większe szanse przy królu Landover, istocie ludzkiej, tak jak on, niż przy Gorse. Cóż zatem mógłby zrobić, aby sobie pomóc? Co mógłby takiego uczynić, co by go postawiło w lepszym świetle, gdy nadejdzie czas decydowania o jego losie?

Przed sobą mieli cały horyzont zalany purpurową plamą brzasku, dziwny i przerażający widok. Czerwień była tak intensywna, iż odnosiło się wrażenie, że skąpała na samą ziemię, aby pokolorować trawy, drzewa, krzewy, rzeki, jeziora, drogi, pola, miasteczka, zagrody i wszelkie żywe istoty, jakie tylko były w zasięgu wzroku. Wokół nich tworzyły się chmury. Nie było ich poprzedniego dnia; nie było śladu ich tej nocy. Pojawiły się jakby za sprawą magii, zasłaniając poranne niebo od zachodu po wschód, grożąc połknięciem wschodzącemu słońcu, zwiastun szybko nadciągającej burzy.

Strabo ruszył w dół, opadając coraz niżej, zostawiając za sobą oddalającą się noc. Przybliżające się słońce oślepiło na krótką chwilę pasażerów smoka i zmusiło do zmruczenia oczu przed blaskiem. Wytworne blanki murów obronnych zamku skrzyły się czerwienią, odbijając dziwne światło brzasku. Krata była opuszczona, a brama zamknięta. Szczątki mostu biegnącego z wyspy na główny ład pływały strzaskane w fosie. Na łące, na wprost bram zamku, widoczne stały się cienie zbijające się w grupki oraz leniwe ruchy wojsk przegrupowujących swe szeregi. Ben Holiday drgnął. Przeciwnie wojska stanęły naprzeciwko siebie w szykach bojowych. Na jednym końcu łąki znajdowali się żołnierze Greenswardu, a na drugim demony Abaddonu.

– Panie! – krzyknął Abernathy z przerażeniem.

Ben zerknął ponad jego ramieniem i odpowiedział skinieniem głowy. Demony z Abaddonu. Gorse musiał je przywołać, aby mu pomogły w jego planie. Co im obiecał? Czym je zwabił? Nie przybyłyby, gdyby wiedziały, że Paladyn tam będzie; Paladyn zawsze ich odstraszał. Gorse musiał zatem obiecać im, że wraz ze zniknięciem króla Landover, nie będzie zagrożenia ze strony jego szermierza. Jeśli Nocny Cień i Strabo zostali również wyprawieni do innego świata, to zagrożenie, jakiego się mogli spodziewać z jakiegokolwiek strony, było naprawdę niewielkie.

Ben zacisnął usta. Teraz musi stawić czoło zarówno Gorse'owi, jak i demonom Abaddonu. Nawet przy pomocy Strabo nie miał większych szans na wygraną.

– Strabo! – zawołał w dół do smoka. Złowrogie żółte ślepie lypnęło na niego. — Sprowadź nas na dół! Wyląduj dokładnie między nimi!

Smok wydał przeraźliwy syk, wyrównał lot, jeszcze raz zatoczył szeroki łuk nad polem bitwy tak, aby go wszyscy mogli widzieć, po czym miękko wylądował na środku łąki.

Ben, Horris Kew i Abernathy zgramolili się na ziemię. Było tak, jakby schodzili w dziwaczne malowidło, straszliwie odtworzoną wersję piekła na ziemi. Czerwonawa zorza

poranna nadawała pastwisku surrealistycznego wyglądu. Nawet krzewy bonnie blues oblały się krwią. Mężczyźni, kobiety i dzieci zbiły się w kupki wzdłuż krawędzi lasu od północnej strony niczym duchy zmarłych.

Ben zwrócił się w stronę demonów i powoli wypuszczał powietrze, szacując jednym spojrzeniem siły armii. Jest ich zbyt wiele. O wiele za dużo.

– Wasza wysokość, myślę, że może mógłbym – zaczął Horris Kew, lecz natychmiast przerwał, gdy na jego karku zacisnęła się mocno dłoń Abernathy'ego.

Ben odwrócił się do skryby, który wolną ręką wciąż przyciskał do ciała kabałową szkatułę.

– Zabierz szkatułę i Horrisa i przejdź nad jezioro – polecił Ben pisarzowi. – Zawołaj na Questora, aby przysłał ślizgacz i przeprowadził was na drugi brzeg. Pośpiesz się!

Abernathy odszedł pośpiesznie, ciągnąc za sobą protestującego Horrisa. Ben znowu spojrzał na demony. Gorse wysunął się na czoło swoich szeregów odziany w czarny płaszcz i pozbawiony konkretnych rysów, nawet w tym dziwnym świetle. Ben wyszedł z cienia smoka i stanął twarzą do demonów. Sięgnął pod tunikę i wyciągnął medalion królów Landover. U jego boku Strabo rozszerzył paszczę i kaszlnął przeraźliwie, co zabrzmiało jak odgłos wybuchu. Pośród zbitych w grupy czarnych szeregów zapanowało poruszenie, niepokój i niezdecydowanie. Co innego stawić czoło władcy Greenswardu i jego armii, a co innego zmagać się dodatkowo z Holidayem i Strabo.

– Kallendborze! – zawołał Ben przez ramię w kierunku szeregów armii Greenswardu.

Prawie natychmiast rozległ się dźwięk zbliżającego się od tyłu jeźdźca. Ben odwrócił się. Kallendbor, okryty zbroją od stóp do głów i tylko twarzą widoczną spod uniesionej przyłbicy, obrócił się nagle i zatrzymał swego rumaka.

– Wasza wysokość – powitał go. Okolona rudą brodą twarz była blada, a oczy miały niespokojne spojrzenia na smoka. Ben zbliżył się do niego majestatycznym krokiem.

– Wiem o twojej roli w tym wszystkim, Kallendborze – zwrócił się do niego szorstko. – Będziesz musiał odpowiedzieć za to, kiedy uporamy się z tą sprawą.

Kallendbor skinął głową. W jego przeszywających niebieskich oczach nie było żadnej skruchy.

– Odpowiem, jeśli będę musiał i jeśli obaj będziemy żywi pod koniec tego dnia.

– Doskonale. A teraz skupmy się na tym, w jaki sposób wyprawić demony z powrotem do miejsca, skąd przyszły, i razem z nimi tego oszusta w czarnej pelerynie. Czy twoi ludzie są gotowi do walki?

– Jesteśmy do twoich usługi, królu. – W jego głosie nie było wahania.

– Wracaj zatem do swych żołnierzy i czekaj na mój sygnał – rozkazał Ben.

Kallendbor zasalutował i pocwałował z powrotem. Żadnego poczucia winy, pomyślał Ben. Niektórych nic nie potrafi zmienić.

Ponownie odwrócił się w stronę Gorse'a i demonów. Olbrzymi, czarny jeździec

wysunął się na czoło pozostałych. Mark. Pozostali ruszyli za swoim przewodnikiem do walki. Przywódca demonów zatrzymał się i popatrzył na Bena i Strabo.

Pokryta łuskami głowa smoka obróciła się w jego stronę.

– Wezwij Paladyna, Holiday. Demony stają się coraz bardziej rozdrażnione.

Ben skinął głową. Podał się z rezygnacją temu, co musi teraz nastąpić, ale rozpacz również znalazła do niego dostęp. Kolejny raz musi wezwać Paladyna, aby odbył za niego bitwę. Kolejny raz będzie zabijanie i niszczenie, a jego ręce będą przynosić śmierć. Kolejna straszliwa bitwa, a on był bezsilny, aby jej zapobiec, bezradny, aby zrobić cokolwiek innego, niż wziąć w niej udział i mieć nadzieję, że znajdzie jakiś sposób na jej skrócenie. Nikła nadzieja zrodzona z rozpacz i braku wyboru. Czuł na sobie wzrok Strabo. Gorse był temu wszystkiemu winien i on powinien za to odpowiedzieć, lecz jak tego dokonać? Jaką potęgą władała ta czarodziejska istota? Olbrzymią, domyślał się, skoro czarodziejski lud posunął się do takich granic, aby zamknąć ją w kabałowej szkatule i zatrzymać ją tam.

– Holiday! – zgrzytnął niecierpliwie smok.

Zamknąć Gorse'a z powrotem w kabałowej szkatule – to powinien zrobić. Zamknąć go na dobre. Ale jak? Jakiej magii należałoby użyć?

Nie było już czasu, aby zastanawiać się nad tym dłużej i szukać innego wyjścia z sytuacji. Demony zaczęły się posuwać do przodu, przemierzając łąkę ciemną masą powoli, rozważnie, nieubłaganie.

– Holiday! – syknął z furją Strabo.

Miecz Paladyna i ogień smoka – czy wystarczą, aby ocalić Landover?

Ben dotknął medalionu, który udzieli mu na to odpowiedzi.

Horris Kew wychodził ze skóry, zawiedziony całą sytuacją. Stał pochmurny obok Abernathy'ego na brzegu jeziora, patrząc na zbliżającego się w ślizgaczu Questora Thewsa, myśląc o tym, że jego ostatnia szansa uratowania swojej skóry zostanie mu zaraz odebrana.

Próbował powiedzieć Holidayowi, lecz król Landover nie miał dla niego czasu. Próbował powiedzieć Abernathy'emu, lecz skryba słyszał tylko to, co chciał usłyszeć. Zastanawiał się, czy nie powiedzieć tego Questorowi Thewsowi, kiedy czarodziej przybędzie, aby ich przewieźć z powrotem do względnie bezpiecznej fortecy, lecz był prawie pewien, że tutaj też nie znajdzie pomocy. Nikt nie chciał słuchać Horrisa, i to było najbardziej bolesne w tym wszystkim.

Tylko że tym razem Horris miał coś ważnego do powiedzenia.

Szurnał swoimi czterdziestkami dziewiątkami, objął się rękoma jak szmaciana lalka i próbował zachować spokój. Trudno było jednak zachować spokój, wiedząc, co się z nim stanie, jeśli Gorse i demony zatryumfują nad Holidayem. Jeśli wygra Holiday, jego sytuacja wciąż będzie wątpliwa, lecz możliwa do przyjęcia. Jeśli Holiday zwycięży, to ma

umiarkowaną szansę, że zostanie przy życiu. Lecz jeśli Gorse wyjdzie z tego zwycięsko, Horris Kew będzie ugotowany. Nie opłacało się zastanawiać, jaki dokładnie przepis zostanie użyty, bowiem rezultat będzie zawsze ten sam. Gorse widział go, jak stał z Holidayem i smokiem; widział go całkiem wyraźnie. Wniosek nasuwał się sam. Horris przyłączył się do nieprzyjaciela. Nie mogło być przebaczenia. Nie przyjmie żadnych wyjaśnień. Gorse rozetrze go w zębach, zmiażdży, wypluje i to będzie koniec.

Horris przypomniał sobie, jakie uczucia wywoływała w nim ta istota, gdy po raz pierwszy zabrali się do tego znenawidzonego przedsięwzięcia. Pamiętał jedwabisty, niebezpieczny głos i snujący się zapach śmierci. Wciąż czuł tę siłę, która niewidocznymi palcami groziła mu uduszeniem. Nie miał ochoty doświadczyć którejkolwiek z tych rzeczy jeszcze raz. Po raz pierwszy od uwolnienia Gorse'a zniknął mu z oka tik. Nadarzała się okazja powstrzymania go przed kolejnym powrotem.

Z zachodu, stamtąd, gdzie zgromadziły się chmury, przetoczył się grzmot. Ciężka ich fala szybko przelewała się w kierunku słońca, pochłaniając po drodze jego światło i zmieniając kolor wszystkiego na czarny. Zerwał się wiatr i przeleciał nad łąką i stojącymi naprzeciwko siebie armiami. Konie spłoszyły się, szczękły zbroje i broń. Powietrze zapachniało deszczem.

Horris myślał o kabałowej szkatule. Przede wszystkim nad tym, jak Gorse został w niej umieszczony? Z pewnością renegat, który jest istotą czarodziejską, nie wszedł tam chętnie – nie bardziej niż Holiday, wiedźma czy smok. Już dwukrotnie Horris został zmobilizowany do wypowiedzenia potężnych słów, które uwalniały jeńców ze szkatuły.

Czy zaklęcie może zostać odwrócone?

Myślał o tym, w jaki sposób Holiday i tamta dwójka zostali wyprawieni. Gorse skonstruował skomplikowaną sieć magii w miejscu, do którego zostały zwabione jego trzy ofiary. Wtedy pojawił się Horris z kabałową szkatułą, wypowiedział magiczne słowa, uruchomił sieć i pułapka zadziałała.

Proste. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się zatem, że podobne podejście" będzie konieczne, żeby usidlić Gorse'a.

Jednak coś nie dawało spokoju Horrisowi Kewowi. Czyż kabałowa szkatuła nie została skonstruowana dla konkretnego celu? Jeśli tak, usidlenie Holidaya i pozostałych było nienaturalnym użyciem szkatuły, niezgodnym z jej przeznaczeniem. Poza tym, jeśli Gorse wiedział, że tak właśnie magia działa, to jak dopuścił do tego, żeby go uwięziono? A jeśli nie wiedział, to jak się później tego dowiedział?

I jeszcze jedno. Gorse znał słowa, które uwolniłyby go, ale nie mógł ich wypowiedzieć. Zamiast tego konieczną okazała się manipulacja Biggarem poprzez szaradę Skat Mandu, aby sprawić, żeby Horris wymówił słowa. Czy to nie nasuwało czegoś na myśl? Czy to nie znaczyło, że dla Gorse'a słowa te brzmiały z jakiegoś powodu jak klątwa i dlatego potrzebował kogoś innego do posłużenia się nimi?

Czyż to nie oznaczało, zastanawiał się Horris, że to samo zaklęcie – zaklęcie, którego Gorse tak skwapliwie starał się nie używać samemu – może działać w obie strony?

Im dłużej rozważał tę możliwość, tym większego sensu ona nabierała. Czarodziejskie istoty, konstruując kabałową szkatułę, mogły być zastosować specjalnie do tego celu stworzoną magię, aby uwięzić Gorse'a w jej środku, magię, której nigdy nie mógł użyć, by przeprowadzić własną ucieczkę. I nie była to magia, jaka mogłaby usidlać innych, takich na przykład jak Holiday, Nocny Cień czy Strabo, zatem aby zmienić cel szkatuły, potrzeba było czegoś jeszcze, aby ich pochwycić w sidła. A może dodatkowo jeszcze, aby ochronić Gorse'a przed powtórny wzięciem do niewoli. Stąd też ta tak misternie skomponowana i zastawiona siatka magii, którą Gorse przygotował.

To wszystko było, oczywiście, bardzo naciągane. Horris Kew był jednak zdesperowany, a jego oportunistyczne usposobienie kazało chwytać się każdej możliwości, gdyż tylko to mu zostało.

Powinni byli go wysłuchać. Holiday, Abernathy i Questor Thews, każdy z nich. Powinni wypróbować jego propozycję. Co szkodziło to zrobić? Równie dobrze mógł jednak prosić, żeby uczynili go królem. Nikt nie zamierzał wypróbować żadnego z jego pomysłów.

Przez niebo przetoczył się kolejny grzmot, długi huczący łoskot, od którego zadrżała ziemia, na której stał. W centralnej części łąki Kallendbor wrócił do swojej armii, a Ben Holiday zwracał się w stronę Gorse'a i demonów. Marek wysunął się na czoło swojej hordy i zaczynał wolno posuwać się naprzód. Smok podniósł się i przysiadł na tylnych łapach, pozwalając nadmiarowi pary ująć przez nozdrza, gdy w brzuchu rozpalał ogień. Horris obejrzał się przez ramię. Questor Thews był prawie na brzegu. Abernathy odwrócił się, aby powitać czarodzieja i na moment odwrócił się plecami do Horrisa.

Biggar zawsze oskarżał go o brak zdecydowania. Nie cierpiał przypominać sobie, że ptak miał rację.

Horris Kew przełknął ślinę przez suche gardło. Teraz albo nigdy! Jeszcze raz rzucił okiem na Holidaya. Król Landover wyciągnął spod swojej ciemnej tuniki medalion, symbol jego urzędu i podniósł go do światła.

Zrób to!

Horris wyszarpnął kabałową szkatułę spod ręki Abernathy'ego i wepchnął zdziwionego skrybę tyłem do jeziora. Następnie pobiegł tak szybko, jak mu tylko pozwalały na to nogi, w stronę Gorse'a. Myślał, że oszalał, że jest głupcem, że właśnie popełnił największy błąd w swoim życiu. Podniosły się krzyki, jak tylko został dostrzeżony. Gniewne krzyki posypały się na niego z wszystkich stron. Kątem oka zauważył, jak zaopatrzona w czarne rogi głowa smoka szybko się obraca i w wyobraźni zobaczył siebie upieczonemu w ogniu. Zaczekajcie jeszcze jedną chwilę, pomyślał. Tylko jedną chwilę.

Gorse nie poruszył się. Obserwował go, jak się zbliża, myśląc, że przynosi z powrotem kabałową szkatułę, nadal będąc niczego nieświadomym pionkiem w tej grze. Demony przesuwają się jak cienie w zalewającej wszystko czerni burzy. Ich broń migotała posępnie. Horris Kew starał się nie myśleć o nich. Jego chude ciało trzęsło się, a kończyny jak u stracha na wróble fruwały we wszystkich kierunkach. Pocił się i sapał z

wysiłku. Nigdy w życiu nie był tak przerażony.

Usłyszał, jak Questor Thews wykrzykuje jego imię. Wiązka nierównego ognia przeleciała ze świstem obok jego ucha.

Upadł w panice na jedno kolano i ustawił kabałową szkatułę na ziemi przed sobą. Spojrzał w poprzek łąki na Gorse'a i zobaczył w jego straszliwych oczach, że w końcu rozpoznał jego zamiar. Czarny płaszcz potwora zafalował, gdy rzucił się z wściekłością ku niemu.

Momentalnie Horris zaczął intonować:

– Rashun, oblat, surena! Larin, kestral...

Ben Holiday zastygł w miejscu, zapominając chwilowo o medalionie trzymanym kurczowo w dłoni. Dostrzegł Horrisa Kewa dopiero przed chwilą. Questor Thews wyciągał Abernathy'ego z jeziora. Obaj krzyczeli ze złością i wymachiwali rękami. Strabo rozwijał swoje długie, ciemne ciało, rozpościerając skrzydła i gotując się do poderwania w górę. Spomiędzy poszczerbionych zębów sączył się ogień.

Żaden z nich nie zdążył na czas z interwencją, pomyślał Ben zawiedziony i zrozpaczony.

Mgła z kabałowej szkatuły zakwitła w ciemną chmurę, wieko zniknęło i otworzył się na nowo tunel prowadzący w głąb labiryntu. Do góry wystrzeliło złowrogie zielone światło, aby zlać się z czerwonym blaskiem słońca i mrokiem nadciągającej burzy. Rozległ się łoskot grzmotu i zaczęły spadać pojedyncze krople deszczu. Łąka nagle się uspokoila, wrzawa przeciwnych armii ucichła w ogólnym wyczekiwaniu.

Z wnętrza kabałowej szkatuły wysunęło się mrowie cieni, mglistych kształtów, które skrecając się i wirując, utworzyły mieszaninę lekkich, ciemnych upiorów. Uwolnione z zamknięcia, uniosły się do góry zbite w gromadkę, po czym pomknęły ponad łąką w kierunku demonów. Gorse wrzasnął z przeraźliwym jękiem rozpacz. Wokół jego rąk zawirowały pajęczyny ochronnej magii, opasując jego czarny kształt, aby uprzeczyć atak. Cienie przeszły przez pajęczyny, pochwyciły Gorse'a i wyciągnęły otwartą przestrzeń. Gorse na próżno się opierał. Prychał jak kot. Walczył każdą odrobiną siły i każdą magiczną bronią, którą posiadał. Cienie pozostały jednak nieugięte. Ciągnęły zbuntowaną istotę czarodziejską przez łąkę z powrotem do szkatuły. Owinęły go płaszczami swoich form i wciągnęły w dół.

W dół do więzienia, z którego, jak sądził, udało mu się uciec na zawsze.

W dół do przerażającej ciemności czarodziejskich mgieł.

Zniknęli wewnątrz, cienie i Gorse, i wieko kabałowej szkatuły zamknęło się na dobre.

Wiatr przeleciał z jękiem ponad łąką. Znajdujący się w powietrzu Strabo nadleciał nad szkatułę i Horrisa Kewa jak cień śmierci, lecz zaraz poleciał dalej, opadając na demony Abaddonu, zionąc ogniem w ich środek. Kilka tuzinów rozpadło się na kawałki. Reszta, pozbawiona obiecanej ochrony Gorse'a i jego magii, nie była zainteresowana

walką. Prowadzeni przez Marka, zawrócili w kierunku urwiska, z którego wyszli, z powrotem do szczeliny w powietrzu, która zapewniła im przejście do Landover, i zeszli do swego piekielnego kraju. W przeciągu sekund zniknął ostatni z nich i przestrzeń, którą zajmowali w świetle światła została oczyszczona.

Strabo zawrócił w kierunku armii Greenswardu, sycząc tryumfalnie i prowokująco.

Stojący nieruchomo pośrodku łąki w strugach deszczu i w wietrze smagającym jego zmrożone ciało, Ben Holiday wypuścił powoli powietrze i wsunął medalion królów Landover z powrotem pod tunikę.

ZIELONE OCZY

Willow zbudziła się w bladym, szarawym świetle poranka, czując, jak po jej nagim ciele sączy się wilgoć Wielkiej Czeluści. Leżała na ziemi skulona w kłębek, a w zagięciu jej ramion spoczywało niemowlę. Z początku nie była tego świadoma. Otworzyła szerzej oczy, chcąc pozbyć się snu, który wciąż mącił jej umysł, próbując sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Wtem poczuła, jak dziecko się poruszyło, i spojrzała na nie.

Jej dziecko.

Przyglądała mu się przez dłuższy czas, aż do jej oczu napłynęły łzy.

Wtedy wszystko sobie przypomniała – przejście z czarodziejskich mgieł do Wielkiej Czeluści, przemianę w swoją drugą postać, formowanie się strąka i zapadanie w sen. Przytuliła dziecko do siebie, dając mu tyle ciepła, ile mogła, budując mu niewielkie schronienie z własnego ciała.

Następnie podniosła się, włożyła na siebie ubranie i owinęła dziecko płaszczem. Spało spokojnie, nie odczuwając jeszcze na tyle głodu, żeby się obudzić, i nie czując zaniepokojenia płynącego z otoczenia, tak jak Willow to czuła. To nie ona wybrała Wielką Czeluść na miejsce narodzin jej dziecka i dlatego nie zamierzała pozostać tu dłużej niż to konieczne. Mgła oplatała gałęzie splątanych drzew i sphywała na dół wzdłuż pni. Wszystko tonęło w ciszy. Nic się nie poruszało. Był to martwy świat i tylko wiedźma, która go stworzyła takim, mogła tutaj mieszkać.

Willow zaczęła iść, kierując się w stronę światła – na wschód, skąd wznosiło się słońce. Musi się stąd szybko wydostać, zanim zostanie odkryta. Wciąż była słaba po porodzie, lecz jeszcze bardziej przejęta strachem. Nie tyle bała się o siebie, co o swoje dziecko, owoc jej związku z Benem. Zerknęła na nie raz jeszcze przez fałdy płaszcza, upewniając się, czy dobrze mu się przyjrzała po obudzeniu i że nic się nie zmieniło. Do oczu znowu napłynęły jej łzy. W gardle poczuła ścisk. Chciała odnaleźć Bena i zostać z nim, upewnić się, że nic mu nie jest, i pokazać mu ich dziecko.

Wydawało jej się, że szła przez długi czas, choć prawdopodobnie nie trwało to tak

długo. Ciało bolało ją w dziwny sposób – tępy, nieokreślony ból w *krzyżu*, duszności w piersiach, bóle w mięśniach rąk i nóg. Nie wiedziała, ile z tego przypisać porodowi, a ile spaniu nago w chłodzie czeluści. Ruch pomagał uśmierzyć ból w rękach, nogach i piersi, rozluźniając skurczone i napięte mięśnie. Ból w krzyżu nie chciał ustąpić. Nie zwracała na niego uwagi. Nie mogła znajdować się daleko od granicy czeluści, powiedziała sobie. Jeśli nie przestanie iść, wydostanie się stąd.

Wyszła z obszaru leciwej roślinności pogrążonej w mgłę i mroku, weszła na polanę i zatrzymała się. Przed nią stała Nocny Cień, owinięta w swój czarny płaszcz, wyprostowana i sztywna jak kamienny posąg, rozsiewając iskry swymi czerwonymi oczami.

– Co ty tutaj robisz, sylfido? – zapytała miękko.

Serce w Willow zamarło. Została zmuszona do urodzenia swego dziecka w tym ponurym miejscu i jedyne, czego chciała, to uciec, nie spotykając wiedźmy, lecz okazało się, że nawet to zostało jej odmówione.

– Weszłam tutaj przez czarodziejskie mgły przez pomyłkę. Nie szukam kłopotów. Chcę tylko stąd wyjść. – Udało jej się nie zdradzić głosem lęku.

Nocny Cień zdawała się zaskoczona.

– Przez czarodziejskie mgły? Czy ty też byłaś uwięziona? Nie. Ty byłaś gdzie indziej, w jego śnie, czyż nie tak? – Przestała mówić, opanowując się. – Dlaczego wyszłaś tutaj? Dlaczego w ogóle wyszłaś? Istoty czarodziejskie nie wypuszczają nikogo z mgieł.

Willow zastanowiła się przez moment, czy nie skłamać, lecz zdecydowała, że lepiej nie. Wiedźma zorientowałaby się. Jej magia jest dość silna w jej własnym mateczniku, aby wykryć oszustwo.

– Czarodziejskie istoty zostały zmuszone, aby mnie wypuścić, kiedy król przybył do mnie w swoim śnie i uwolnił mnie od ich magii. Wypuściły mnie z mgieł. Nie powiedziały mi, w którym miejscu wyjdę. Być może znalazłam się tutaj za karę.

Wzrok Nocnego Cienia padł na zawiniątko, które tuliła w rękach.

– Co tam trzymasz?

Ręce Willow mocniej zacisnęły się wokół dziecka.

– Dziecko moje i króla, niedawno urodzone. Nocny Cień wzięła szybki, chrapliwy oddech.

– Dziecko króla-marionetki? Tutaj? – Zaśmiała się. – Los płata ludziom rzeczywiście dziwne figle. Dlaczego nosisz z sobą to dziecko? Czy miałaś je z sobą również w czarodziejskich mgłach? – Nagle przerwała. – Chwileczkę. Nic nie słyszałam o tym dziecku. Nie było mnie znowu aż tak długo w Landover. Powinnam o tym wiedzieć. Niedawno urodzone, powiadasz? Gdzie się zatem urodziło?

– Tutaj – odpowiedziała miękko Willow. Twarz Nocnego Cienia wykrzywiła się w groteskowym grymasie.

– Urodzony tutaj, w moim domu? Dziecko Holidaya? Gdy ja byłam z nim zamknięta w czarodziejskich mgłach, uwięziona w tej przeklętej szkatule? Wiedziałaś o tym? Razem przez całe tygodnie, pozbawieni pamięci, przemienieni w istoty, których nawet nie potrafiliśmy rozpoznać. Przyszedł do ciebie we śnie? Tak, mówił mi o tym. To właśnie sen uwolnił go od niewiedzy, co doprowadziło go do wyjawienia prawdy o nas. – Głos zmienił się w syk. – Widziałaś się z nim po jego powrocie? – Uśmiechnęła się na reakcję Willow. – Aha, nie wiedziałaś zatem, że wrócił, czy tak? Wrócił z innego życia, życia ze mną, sylfido, w którym ja byłam jego podopieczną, a on moim opiekunem. Czy wiesz, co zaszło między nami, gdy ty nosiłaś jego dziecko? – Przerwała. Oczy błyszczały jej w oczekiwaniu na reakcję. – Spał ze mną, tak jak bym była jego...

– Przestań! – Polecenie Willow zabrzmiało z taką stanowczością i siłą, że wystarczyło jedno słowo, aby odebrać wiedźmie głos, tak jak uczyniłby to sznurek zaciśnięty wokół gardła.

– Był mój! – wrzasnęła wiedźma z Wielkiej Czeluści. – Należał do mnie! Miałabym go na zawsze, gdyby nie jego sen o tobie! Straciłam wszystko, wszystko z wyjątkiem tego, kim jestem, potęgi mojej magii, siły mojej woli! Odzyskałam je! Holiday jest moim dłużnikiem! Odarł mnie z mojej dumy i godności i zaciągnął dług, który musi spłacić! – Była biała z wściekłości. – To dziecko zupełnie wystarczy – wyszeptała – żeby spłacić ten dług.

Willow oblał zimny pot. Zaczęła drżeć, w gardle zrobiło się sucho, serce zamarło.

– Nie możesz dostać mojego dziecka – powiedziała. Po wargach Nocnego Cienia przebiegł uśmiech.

– Nie mogę? Cóż za niemądre słowa, sylfidko. Poza tym dziecko urodziło się na moim terytorium, tutaj, w Wielkiej Czeluści, więc należy do mnie na mocy prawa. Mojego prawa.

– Żadne prawo nie pozwala odbierać dziecka jego matce. Nie masz prawa występować z takim żądaniem.

– Mam wszelkie prawo. Jestem panią Wielkiej Czeluści i władczynią wszystkiego, co się tutaj znajduje. Dziecko urodziło się na mojej ziemi. A ty, głupia dziewczyno, wchodząc tutaj, naruszyłaś moje prawo. Nie sądz, że możesz mi się przeciwstawić.

Willow nie ustępowała.

– Jeśli spróbujesz zabrać moje dziecko, będziesz musiała mnie zabić. Jesteś gotowa to zrobić?

Nocny Cień potrząsnęła wolno głową.

– Nie muszę cię zabijać. Są łatwiejsze sposoby, kiedy można się posłużyć magią. I gorszy od śmierci może cię spotkać los, jeśli mi się przeciwstawisz.

– Król przyjdzie po ciebie, jeśli ukradniesz mu jego dziecko! – warknęła Willow. – Będzie cię ścigał aż na kraniec ziemi!

– Niemądra sylfidka – mruknęła miękko wiedźma. – Król nigdy się nawet nie dowie,

że tutaj byłaś.

Willow zamarła. Nocny Cień miała rację. Nie było nikogo, kto by wiedział, że się znajduje w Wielkiej Czeluści, nikt nie wiedział, że wróciła z czarodziejskich mgieł. Gdyby miała zniknąć, kto by odszukał jej ślady? Gdyby dziecko miało przepaść, kto mógłby powiedzieć, że w ogóle istniało? Może czarodziejskie istoty, ale czy zrobiłyby to? Co miała robić?

– Ktoś odkryje i ujawni prawdę, Nocny Cieniu – obstawała z rozpaczą Willow. – Nie możesz utrzymać takiej rzeczy na zawsze w tajemnicy! Nawet ty tego nie potrafisz!

Wiedźma wzruszyła lekceważąco ramionami.

– Może i nie. Ale mogę utrzymać to w tajemnicy wystarczająco długo. Życie Holidaya nie jest nieskończone. W końcu ja tutaj będę, kiedy on już odejdzie.

Willow skinęła wolno głową, pojmując, o co jej chodzi.

– I dlatego chcesz jego dziecka, czyż nie tak? Żeby nie zostawił po sobie niczego, kiedy już nie będzie żył. Przygarnęłabyś dziecko, aby w ten sposób wymazać po nim wszelki ślad. Tak bardzo go nienawidzisz, prawda?

Wąskie usta Nocnego Cienia ściągnęły się.

– Bardziej. O wiele, wiele bardziej.

– Ale dziecko jest niewinne! – zawołała Willow. – Dlaczego ma być ofiarą tej walki? Dlaczego ma cierpieć z powodu twojej wściekłości?

– Dziecku będzie się dobrze wiodło. Dopilnuję tego.

– Ono nie jest twoje!

– Męczy mnie już spór z tobą, sylfido. Daj mi dziecko, a może pozwolę ci odejść. Urodź jeszcze jedno dziecko, jeśli sobie życzysz. Masz wszystko, co jest do tego potrzebne.

Willow potrząsnęła wolno głową.

– Nigdy nie oddam mego maleństwa. Ani tobie, ani nikomu innemu. Odsuń się ode mnie. Pozwól mi przejść. Nocny Cień uśmiechnęła się posępnie.

– To niemożliwe – powiedziała.

Już ruszała do przodu, podnosząc pod czarną szatą ręce z zamiarem wzięcia dziecka siłą, kiedy rozległ się znajomy głos:

– Rób to, o co cię prosi, Nocny Cieniu. Przepuść ją. Wiedźma zatrzymała się, nieruchoma jak śmierć. Willow rozejrzała się szybko dookoła, nie widząc niczego oprócz drzew i mglistego mroku.

Wtem z boku wynurzył się Dirk ze Skraju Lasu, przesuwając się krętym ruchem przez gęste zarośla, w srebrnym, nieskazitelnym futrze, i wijąc nerwowo czarnym ogonem. Wskoczył na resztki powalonego drzewa i mrugnął sennie oczami.

– Pozwól jej przejść – powtórzył miękko. Nocny Cień zeszywniała.

– Dirk ze Skraju Lasu. Kto ci pozwolił wejść do Wielkiej Czułości? Kto ci dał prawo?
– Koty nie potrzebują pozwolenia czy prawa – odpowiedział Dirk. – Wybacz, ale powinnaś o tym wiedzieć. Koty chodzą tam, gdzie chcą, zawsze tak było.

Wiedźma posiniała z wściekłości.

– Wynoś się stąd!

Dirk ziewnął i przeciągnął się.

– Już niedługo to zrobię. Lecz najpierw musisz przepuścić królową.

– Nie mam zamiaru zrezygnować...!

– Daruj sobie, wiedźmo z Wielkiej Czułości. – Ślad znużonego lekceważenia wdarł się do głosu kota. – Królowa i jej dziecko wyjdą stąd. Czarodziejskie istoty tak zdecydowały i nie mamy o czym więcej rozmawiać. Jeśli nie zadowala cię ich decyzja, to dlaczego nie powiesz im tego osobiście?

Nocny Cień obdarzyła Willow miążdżącym spojrzeniem, po czym odwróciła się do kota.

– Czarodziejskie istoty nie mogą mi mówić, co mam robić!

– Oczywiście, że mogą – powiedział rozsądnie Dirk. – Właśnie to zrobiłem w ich imieniu. Przestań się awanturować o to. To jest już ustalone. A teraz usuń się z drogi.

– Dziecko jest moje!

Dirk oblizwał szybko łapę i wyprostował się.

– Nocny Cieniu – zwrócił się do niej łagodnie. – Chcesz się ze mną zmierzyć?

Zapanowała długa pauza, podczas której wiedźma i przyzmatyczny kot patrzyli sobie w oczy w półmroku Wielkiej Czułości.

– Ponieważ gdybyś chciała – ciągnął Dirk – musisz wiedzieć, że nawet jeśli ci ulegnę, ktoś inny zostanie wysłany na moje miejsce, potem następny i tak dalej. Czarodziejskie istoty to uparte stworzenia. Ty, lepiej niż inni, powinnaś o tym wiedzieć.

Nocny Cień nie poruszyła się. Kiedy przemówiła, w jej głosie brzmiało zdziwienie.

– Dlaczego one to robią? Dlaczego tak bardzo troszczą się o jego dziecko?

Dirk ze Skraju Lasu zamrugnął oczami.

– To bardzo dobre pytanie – zamruczał miękko. Podniósł się, przeciągnął i z powrotem usiadł. – Coraz bardziej niepokoję się o moją poranną drzemkę. Poświęciłem tej sprawie już zbyt wiele czasu. Pozwól królowej i jej dziecku przejść. Natychmiast.

Nocny Cień pokręciła powoli głową, odmawiając czegoś, czego nie potrafiła wyartykułować. Przez krótką chwilę Willow była pewna, że ma zamiar napaść na Dirka, że będzie walczyć z przyzmatycznym kotem przy użyciu każdej, najdrobniejszej cząstki swej siły i mocy magicznej, którą posiadała.

Ale zamiast tego odwróciła się do Willow i powiedziała miękko:

– Nigdy tego nie przebaczę. Nigdy. Powiedz to królowi-marionetce.

Potem zniknęła w mroku jak duch rozplywający się we mgle. Maleństwo obudziło się, kręcąc się w ramionach matki i mrugając zaspanymi oczami. Willow spojrzała w dół, między fałdy płaszcza. Zagruchała miękko do swego maleństwa. Kiedy ponownie podniosła wzrok, Dirka też już nie było. Czy był tutaj z nią przez cały czas? Wyglądało na to, że czarodziejskie istoty wysłały go kolejny raz, chociaż z pryzmatycznym kotem nigdy nie można być do końca pewnym. Tak czy inaczej uratował jej życie. Ścisłej mówiąc, uratował jej dziecko. Dlaczego? Pytanie zadane przez Nocny Cień pozostawało bez odpowiedzi. Co w tym dziecku było takiego, co miało dla wszystkich takie znaczenie?

Kołyszając niemowlę w ramionach, znowu ruszyła w drogę.

Zbliżała się połowa poranka, gdy Ben Holiday dotarł do krainy leżącej tuż na południe od Wielkiej Czeluści. Nigdy nie dostałby się tam tak szybko, gdyby Strabo nie zaoferował mu transportu w zamian za kabałową szkatułę. Smok od samego początku chciał dostać szkatułę, lecz Ben odmówił wydania jej, nie będąc przekonanym, czy powinna znaleźć się w posiadaniu kogoś innego niż on sam.

– Daj mi ją, Holiday – przekonywał smok. – Będę ją trzymał w miejscu, do którego nikt nie ma dostępu, w ogniu w głębokiej jamie na Pustkowiach, dokąd nikt nie przychodzi.

– Ale dlaczego w ogóle chcesz ją mieć? – zapytał Ben. – Co byś z nią robił?

Smok powrócił ze swojego szturmu na demony. Byli sami na środku łąki. Horris Kew leżał bez sił na ziemi kilka metrów od nich. Questor Thews i Abernathy jeszcze do nich nie dotarli.

Głos smoka przepęłniała tęsknota:

– Od czasu do czasu chciałbym ją wyjmować i patrzeć na nią. Smoki pożądają skarbów i zbierają cenne rzeczy. To wszystko, co nam zostało z naszego starego życia; wszystko, co mi zostało, teraz, kiedy jestem sam. – Rogata głowa Strabo nachyliła się. – Trzymałbym ją w takim miejscu, gdzie nikt by jej nie znalazł. Trzymałbym ją tylko dla siebie.

Ben przerwał tę przydługą konwersację, aby interweniować między kipiącym ze złości Abernathym, który właśnie podbiegł, a przerażonym Horrisem Kewem. Przy pomocy Questora Thewsa zdołał przywrócić trochę spokoju między nimi. Magik w końcu uratował im życie, przypomniał swemu wytraconemu z równowagi skrybie. Następnie odprawił Kallendbora z jego armią, wymuszając na władcy Rhyndweir przysięgę, że stawi się przed nim za tydzień i wytłumaczy się ze swego postępowania. Strażom rozkazał rozpedzić ludzi, którzy przyszli szukać kryształów marzeń, a znaleźli o wiele więcej, niż oczekiwali.

Potem przypomniał sobie o Willow. Natychmiast udał się do krainogłędu i znalazł ją, gdy właśnie opuszczała Wielką Czeluść, wspinając się na jej urwistą krawędź. Dominium Nocnego Cienia, pomyślał z przerażeniem, to nie miejsce dla sylfidy. Pomyślał o słowach wypowiedzianych przez wiedźmę przy pożegnaniu. Pomyślał o tym, co mogłaby zrobić

Willow, gdyby tylko miała taką możliwość.

Podróż do Wielkiej Czułości zajęłaby dwa dni, zbyt długo jak na te okoliczności. Ubił więc interes ze Strabo. Przejazd tam i z powrotem do Wielkiej Czułości w zamian za kabałową szkatułę, jeśli smok przyrzeknie, że już nigdy nie spoczna na niej i że nikt, łącznie ze smokiem, nie będzie nigdy próbował jej otworzyć. Strabo się zgodził. Złożył swoją smoczą, nienaruszalną, uroczystą przysięgę. To wystarczy, szepnął na stronie Questor Thews. Słowo smoka należało traktować jako zobowiązanie.

Ben wyruszył zatem na grzbiecie Strabo, szybując przez porywisty wiatr i deszcz, aż w końcu przebili się przez czarne chmury i znaleźli się pod błękitnym niebem. Słońce świeciło na ziemię, rozlewając złote promienie po pastwiskach i wzgórzach biegnących na pomoc, rozsiewając jasność tam, gdzie już płowiała ciemność.

– Tam jest! – zawołał do tyłu smok, gdy się zbliżyli. Jego przenikliwe oczy znacznie szybciej odnalazły sylfidę niż wzrok Bena.

Zaczęli pikować na szczyt wzgórza pokryty nielicznymi drzewami. Willow ukazała się na łące pełnej polnych kwiatów i krzewów bonnie blues. Ben popędził do niej, niepomyślnie na wszystko inne. Zawołała do niego z rozpromienioną twarzą, czując, że znowu łzy napływają jej do oczu.

Podbiegł do niej i momentalnie zatrzymał się jak wryty, widząc zawiniątko w jej rękach, kruchą barierę między nimi. Co ona tam trzymała?

– Nic ci nie jest? – zapytał, czekając z niepokojem na potwierdzenie, że czuje się dobrze, nade wszystko pragnąc usłyszeć jej głos.

– Nie, Ben. Czuję się dobrze – odpowiedziała. – A ty? Skinął głową, uśmiechając się.

– Kocham cię, Willow – powiedział. Widział, jak przelyka łzy.

– Chodź zobaczyć nasze dziecko – wyszeptała.

Zrobił krok do przodu, zamykając małą odległość dzielącą ich od siebie, niedowierzając i jednocześnie płonąc z oczekiwania. Przecież to za szybko, pomyślał. Jeszcze nie nadszedł czas. Nawet nie wyglądała na ciężarną. Jak mogła urodzić tak szybko?

Pytania zniknęły w poświęceniu jej uśmiechu.

– Dziecko? – powtórzył, a ona skinęła głową.

Odsunęła fałdy płaszcza, aby mógł zobaczyć. Nachylił się i zerknął do środka.

Z głębi wpatrywała się w niego zuchwale para oślepiająco zielonych oczu.

BESTSELLER

Dziennikarz siedzący w pokoju gościnnym wspaniałego domu Harolda Krafta w Diamond Head popijał małymi łykami koktajl truskawkowo-ananasowy i patrzył ponad rozległą przestrzeń werandy i basenu na niewiele bardziej rozległą przestrzeń Oceanu Spokojnego. Było późne popołudnie, słońce powoli wędrowało na zachód, coraz bardziej zbliżając się do płaskiej linii horyzontu, a stopniowe zmiany w natężeniu światła zapowiadały kolejny niewiarygodnie piękny hawajski zachód słońca. Granitowe podłogi pokoju dziennego i werandy połyskiwały jakby inkrustowane pyłkami złota, a kamienna krawędź basenu była jednym z tych rozwiązań, gdzie woda przelewa się po idealnie płaskiej powierzchni bloku i wydaje się, że spływa kaskadami aż do samego oceanu. Na jednym końcu werandy bulgotała zachęcająco jakuzi, a drugi zajmował bar i mała kuchnia z pełnym zestawem wydrażonych skorup kokosowych używanych do tropikalnych drinków podczas przyjęć tak często wydawanych przez pisarza.

Dom był skromnie oceniany na piętnaście milionów dolarów, chociaż cena nieruchomości zawsze zależy od tego, ile jest w stanie zaproponować nabywca, co oczywiście nie zawsze jest obiektywną miarą jej wartości. Domy w jego okolicy sprzedawane za dziesięć i więcej milionów dolarów nie posiadały ani tak rozległych terenów, ani tak wspaniałych widoków jak na przykład ten, który obejmował sporą część Honolulu. Same działki w jego sąsiedztwie szły za pięć milionów. Kwoty te były nie do pomyślenia dla większości ludzi. Dziennikarz przeprowadzający wywiad mieszkał w Seattle, w domu, który kupił piętnaście lat temu za trochę mniej niż to, co Harold Kraft zarabia w przeciągu miesiąca.

Kraft pojawił się nagle w drzwiach swojej pracowni, dokąd poszedł odebrać telefon, zostawiając dziennikarza z idealnie wymieszanym drinkiem i widokiem na ocean. Przeszedł do baru, przepaszając w krótkich słowach za to, że zajęło mu to tak dużo czasu, nalał sobie mrożonej herbaty, podszedł do kanapy, na której czekał cierpliwie dziennikarz, i usiadł. Wysoki, szczupły, z siwiejącymi włosami i krótką, spiczastą brodą la van Dyck, poruszał się z elegancją jak długi, powolny kot. Nosił jedwabne spodnie marynarskie, koszulę i skórzane sandały ręcznej roboty. Miał opaloną, orlą twarz i przenikliwe oczy piaskowego koloru. Plotki głosiły, że przeszedł gruntowną operację całego ciała i że rygorystycznie przestrzega reżimu ćwiczeń fizycznych, ale w wypadku ludzi bogatych i sławnych takie pogłoski to rzecz normalna.

– Dobre wieści – ogłosił z uśmiechem. – Skoro już pan tu jest, mogę się nimi z panem podzielić. Paramount właśnie wykupił prawa do *Czarodzieja*. Dwa miliony dolarów z góry. Chcą obsadzić Seana Connery'ego w roli tytułowej, a Toma Cruise'a w roli księcia. Co pan o tym sądzi?

Dziennikarz obdarzył go uśmiechem wyrażającym podziw.

– Myślę, że jest pan bogatszy o dwa miliony dolarów. Moje gratulacje.

Kraft lekko skłonił głowę.

– Zaczekajmy, aż zacznie się sprzedaż gadżetów reklamowych. Tam są prawdziwe pieniądze.

– Czy pisze pan swoje książki z myślą o zyskach, jakie przyniosą nakręcone według

nich filmy? – naciskał dziennikarz. Nie udawało mu się wyciągnąć z Krafta tyle, żeby zadowolić siebie i wydawców czasopisma. Kraft wydał trzy książki w ciągu dwóch lat i przez większość czasu dominował na liście bestsellerów, sprzedając ponad pięć milionów egzemplarzy w twardym wydaniu. Ale to prawie wszystko, co o nim wiedzano. Mimo rozgłosu, jakim się cieszył, i odniesionego sukcesu, wciąż pozostawał zagadką. Twierdził o sobie, że jest emigrantem, ale nie chciał powiedzieć, skąd pochodzi. Twierdził, że jest uchodźcą politycznym,

– Piszę, aby być czytany – odpowiedział dosadnie pisarz. – Co się dzieje potem, to zależy od klienta. Oczywiście, że chcę zarobić pieniądze. Przede wszystkim jednak chcę być zadowolony.

Dziennikarz zmarszczył czoło.

– To brzmi trochę...

– Obłudnie? Może i tak. Ale wie pan, robiłem już tak wiele *rzeczy* w życiu i byłem w tylu miejscach i właściwie nie mam się czym pochwalić. Mam tylko siebie, a moje pisanie jest przedłużeniem mnie. Bardzo trudno jest oddzielić te dwie rzeczy. Pisarz nie jest człowiekiem, który na koniec dnia odbija kartę zegarową i zwyczajnie idzie do domu. On nosi swoją pracę cały czas z sobą, zawsze myśli o niej, zawsze poleruje ją jak rodzinne srebro. Jeśli się nie jest z niej zadowolonym, to trzeba żyć z tym niezadowoleniem. Dlatego chcę być zadowolony z tego, co robię. Ważniejsze jest być zadowolonym niż bogatym.

– Nic nie szkodzi być jednym i drugim – zauważył dziennikarz. – Odniósł pan zadziwiające pasmo sukcesów. Czy kiedykolwiek zastanawia się pan nad tym, jak to było, zanim zaczęto pana wydawać?

Kraft uśmiechnął się.

– Przez cały czas. Ale wyczuwam, że próbuje mnie pan podejść. Muszę przypomnieć panu, że choćby próbował pan nie wiadomo jakimi sposobami, nie skłoni mnie pan do rozmowy o moim wcześniejszym życiu. Takie przyjęliśmy warunki dla tego wywiadu, prawda?

– Już pan to powiedział, lecz moi czytelnicy bardzo interesują się panem. Musi pan o tym wiedzieć.

– Wiem i wysoko to sobie cenię.

– Lecz wciąż nie chce pan rozmawiać o czymkolwiek, co wiąże się z pana życiem sprzed okresu, zanim zaczął pan wydawać?

– Obiecałem tego nie robić.

– Obiecał pan? Komu?

– Obiecałem to kilku ludziom. To wszystko, co zamierzam powiedzieć na ten temat.

– Porozmawiajmy zatem o pańskich postaciach i spróbujmy dojść do pańskiego życia tylnymi drzwiami, że się tak wyrażę. – Dziennikarz żywił nadzieję, że pewnego dnia sam wyda książkę. Uważał, że jest bardzo zręczny w posługiwaniu się słowami. – Czy są one

oparte na rzeczywistych postaciach z pańskiego poprzedniego życia? Weźmy na przykład nierozważnego króla z pańskiej magicznej krainy, jego nadwornego czarodzieja, który nigdy nie potrafi znaleźć się na miejscu, czy zgryźliwego psa, pełniącego funkcję skryby? Kraft skinął powoli głową.

– Owszem, oni istnieją.

– A co z protagonistą, wygnanym czarodziejem, który w ostatniej chwili ratuje sytuację w każdej książce? Czy jest w nim coś z pana?

Kraft odchrząknął skromnie.

– Troszeczkę.

Dziennikarz przerwał, czując, że w końcu do czegoś się zbliża.

– Czy kiedykolwiek parał się pan magią? No wie pan, czy bawił się pan wypowiedaniem zaklęć i tym podobnymi rzeczami? Czy to stanowiło część pańskiego życia?

Harold Kraft był przez moment zatopiony w myślach. Kiedy wrócił stamtąd, gdzie był wyobrażnia, twarz przybrała poważny wyraz.

– Wie pan co? – odezwał się. – Zamierzam zrobić wyjątek od zasady nie wspomnienia o mojej przeszłości i coś panu opowiem. Był taki czas, kiedy rzeczywiście zabawiałem się magią. Niewielkie *rzeczy*, naprawdę nic poważnego. Z wyjątkiem tego jednego razu, kiedy potknąłem się o coś, co w skutkach okazało się bardzo niebezpieczne. Moje życie i życie innych było zagrożone. Przeżyłem to, ale złożyłem obietnicę pewnym ludziom, że już nigdy się nie posłużę... to znaczy, nigdy się nie będę zabawiał magią. Obietnicy dotrzymałem.

– Zatem magia w pańskich książkach, sztuczki magiczne, zaklęcia i tym podobne rzeczy mają swoje odzwierciedlenie w prawdziwym życiu?

– Niektóre, tak.

– A opowieści, które pan układa, te hipnotyzujące historie o potworach i elfach, o mitycznych stworzeniach i czarodziejach, jak na przykład pański protagonista, czy to wszystko ma również podstawy w realnym życiu?

Kraft najpierw wolno podniósł jedną brew, potem opuścił.

– Pisarz pisze o tym, co zna. Doświadczenie życiowe przenika do jego wnętrza. Zwykle przybiera inny kształt niż w rzeczywistości, ale zawsze tam jest.

Dziennikarz skinął głową z uroczystą powagą. Czy dowiedział się czegoś z tej wymiany zdań? Nie był pewien. Wszystko to było raczej mętne. Tak jak Harold Kraft. Ukrył swoje zakłopotanie, sprawdzając coś przy maleńkim magnetofonie stojącym na stoliku do kawy. Taśma wciąż się kręciła.

– Czy można powiedzieć, że przygody, o których pan pisze, odbijają w jakiś sposób pańskie własne życie? – spróbował jeszcze raz.

– Tak, można tak powiedzieć.

– W jaki sposób? Kraft uśmiechnął się.

– Musi pan użyć wyobraźni.

Dziennikarz odwzajemnił uśmiech, starając się nie zgrzytać zębami.

– Czy zna pan jeszcze jakieś historie, panie Kraft, które chciałby pan opowiedzieć?

– Proszę mi mówić Harold – zaproponował pisarz, machnąwszy szybko rękami. – Myślę, że trzy godziny spędzone razem w okopach dziennikarstwa upoważniają nas do tego, aby zakończyć rozmowę, przechodząc na „ty”. Odpowiem na twoje pytanie: tak. Mam inne historie do opowiedzenia i trochę czasu, jak sądzę, żeby to zrobić. Nad jedną już teraz pracuję. Nosi tytuł: *Zakłęcie drapieżnego ptaka*. Chciałbyś zobaczyć okładkę?

– Bardzo chętnie.

Wstali i krótkim korytarzem przeszli z pokoju dziennego do pracowni, która początkowo służyła Kraftowi za biuro. Na różnych biurkach poustawiane były komputery i drukarki, a wszędzie piętrzyły się książki i papiery. Na ścianach wisiały oprawione w ramki okładki książek. Na środku pokoju dominowało biurko z drewna akacji hawajskiej. Ze sterty zadrukowanych kartek leżących na biurku Kraft wyciągnął kolorowe zdjęcie i podał je dziennikarzowi.

Zdjęcie przedstawiało ptaka, który był cały czarny z wyjątkiem korony białych piór na głowie. Ptak opadał na stworzenie o niezbyt przyjaznym wyglądzie przypominające zbitą kępę ostów. Z wyciągniętych szponów strzelała błyskawica. Na widok zbliżającego się ptaka do lasu pierzchały czarne postaci.

Dziennikarz przyglądał się przez moment zdjęciu.

– Dużo w tym napięcia. Czy ptak przedstawia kogoś z pańskiego wcześniejszego życia?

Horris Kew, który obecnie nazywał się Harold Kraft, skinął głową z uroczystą powagą.

– Niestety, biedny Biggar. Znałem go bardzo dobrze – powiedział z dramatyczną intonacją.

I złożył na zdjęciu nostalgiczny pocałunek.

KONIEC tomu IV